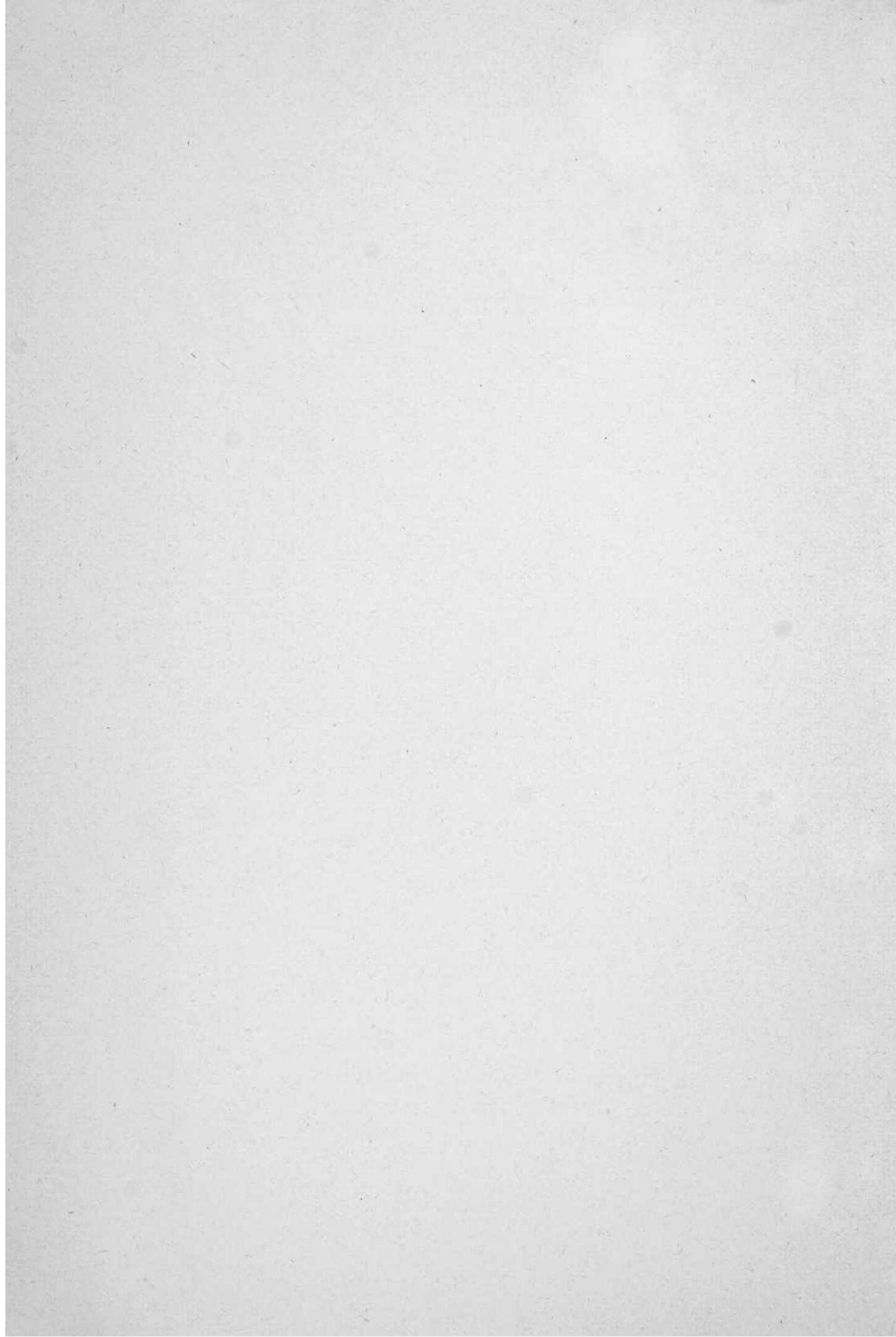


W GÓRACH NIEBIAŃSKICH
(TIEN - SZAN)



DR JERZY Z GRANOWA HR. WODZICKI

W GÓRACH
NIEBIAŃSKICH
(TIEN-SZAN)

WSPOMNIENIA Z POLOWAŃ
NA KOZIOROŻCE I DZIKIE BARANY

Z 64 ILUSTRACJAMI
WEDŁUG ZDJĘĆ FOTOGRAFICZNYCH
AUTORA

L W Ó W * 1 9 3 8

ZAKŁADY GRAFICZNE SKI AKC. KSIĄŻNICA-ATLAS WE LWOWIE

I

PRZYGOTOWANIA DO WYPRAWY

Zaznawszy raz silnych wrażeń na myśliwskiej wyprawie w dzikich jeszcze puszczach, stepach i górach, nie zadowolni się już myśliwy bardziej łatwymi zdobyczami, które w Europie uzyskać może i ciągle tęsknić będzie za rewirami, w których nie ma miedzi i granic, gdzie jeszcze żyją te same potężne zwierzęta, które tysiąc lat temu zamieszkiwały nasze lasy, pustynie i pola.

Przez dwa lata po powrocie z wycieczki myśliwskiej do Afryki środkowej łatwo mi było siedzieć przykładowo w domu, obsypując najwyżej od czasu do czasu śrutem niewinne zające i bażanty krajowe. Urządzenie i zabezpieczenie okazów, w Afryce zebranych, zajmowało cały czas wolny, tak, że o tworzeniu nowych planów podróży wcale nie myślałem. Po uporządkowaniu tych zbiorów zacząłem jednak znowu marzyć o polowaniach trudniejszych, o okolicach dalekich, gdzie życie jeszcze swobodne prowadzić można bez ciężkich więzów, nałożonych nam przez cywilizację. Długo z tym pragnieniem walczyłem, wielokrotnie sobie mówiłem, że obowiązki nie pozwalają mi właściwie na odbycie ponownej wyprawy, że nie powinienem znowu na

długi czas opuszczać rodziny i narażać jej ojca na bądź co bądź znaczne niebezpieczeństwa dalekiej podróży w niecywilizowanym kraju. Namiętność jednak przemogła i w tym wypadku głos rozsądku; takto zresztą zwykle bywa u ludzi, nie posiadających spiżowego charakteru. Postanowiłem więc odbyć jeszcze drugą ekspedycję zoologiczno-myśliwską.

Chodziło teraz już tylko o wybór kontynentu, względnie kraju, do którego jechać mogłoby się opłacić. Wybór ten nie był łatwy, gdyż na kuli ziemskiej, zbyt już niestety gęsto zaludnionej, coraz mniej istnieje okolic, w których zoolog może znaleźć przyrodę w stanie jeszcze niemal pierwotnym, a myśliwy zwierzostan nie wyniszczony przez człowieka. O ponownej wyprawie do czarnego kontynentu, tego razu myśliwskiego, myśleć nie chciałem, gdyż byłoby to może wyzwaniem losu, gdybym po pomyślnym ukończeniu jednej ciężkiej wyprawy liczył na równie szczęśliwe przeprowadzenie drugiej ekspedycji w kraju, w którym klimat jest zabójczy dla białych i gdzie również nietrudno o niemiłą przygodę, polując na olbrzymy zwierzęcego rodu, które bardzo rozwścieczone ciągłym prześladowaniem czasem teraz pierwsze napadają na szukającego ich myśliwego i które — jak to statystyka nieszczęśliwych wypadków na polowaniu w Afryce z ostatnich lat wykazuje — nie rzadko nawet nad człowiekiem odnoszą zwycięstwo mimo jego lepszego obecnie uzbrojenia. Indie, kraj dawniej obfitujący w zwierza, nie przedstawia już obecnie dobrych widoków dla myśliwego. Najlepsze

przestrzenie dżungli zarezerwowane są dla angielskich oficerów i urzędników, inne dobre rewiry znajdują się w posiadaniu maharadzów indyjskich, urządzających tam polowania tylko dla swoich przyjaciół i lepszych znajomych. Przestrzenie zaś, cudzoziemcowi dostępne, są już raczej ubogie w zwierzynę. Przyjęte zresztą powszechnie w Indiach używanie słoni do polowania również nie nęci myśliwego, dbającego o to, aby trofea zdobywać własnymi wyłącznie siłami; ogromne te bowiem i rozumne zwierzęta podprowadzają strzelca pod samego zwierza bez żadnego ryzyka i wysiłku z jego strony. Przez pewien czas myślałem o odwiedzeniu Kanady, a raczej jej zachodnich prowincyj Kolumbii i Kassiaru, gdzie nierzadko jeszcze spotkać można olbrzymiego, amerykańskiego łosia, długorogiego, górskiego renifera i największego na świecie niedźwiedzia „*grizzly*”. W Kanadzie jednak miewa się wielkie trudności z przewodnikami myśliwskimi; półdzicy ci Indianie mają być mianowicie nadzwyczaj bezczelni i przewrotni. Często się zdarza, że, pokłóciwszy się z Europejczykiem, który za ich usługi płaci, porzucają go w puszczy bez pomocy lub też sami strzelają do zwierza, spotkanego w boru, nie troszcząc się o zakaz chlebowodawcy. Angielscy znajomi myśliwi, którzy już cały świat z karabinem w ręku objechali i wszystkie rewiry, na kuli ziemskiej leżące, dokładnie znali, radzili mi usilnie, abym tym razem próbował szczęścia w środkowych krajach Azji, a w szczególności zwiedził jeden z olbrzymich łańcuchów gór,

rozciągających się na północ od gór Himalajskich. Opowiadali mi oni, że można tam znaleźć zwierzyny jeszcze wiele, że natura tamtejsza jest wspaniała i że — co najważniejsza — klimat w tych górach należy uważać za nadzwyczaj zdrowy.

Największym i najpotężniejszym łańcuchem gór w Azji Centralnej jest pasmo gór Tienszańskich czyli Niebiańskich, ciągnące się od północnej granicy Persji przez cały rosyjski Turkiestan i chińską Dżungarię i łączące się w głębi chińskiego Turkiestanu z innymi górami w Chinach wschodnich. Długość tego łańcucha obliczają na 1900 km, szerokość wynosi w wielu miejscach aż 500 km, szczyty zaś wznoszą się częstokrotnie do 6000, a nawet do 7000 m. O imponujących rozmiarach tych gór można mieć dopiero wtedy wyobrażenie, gdy się je porówna z z największym pasmem gór europejskich. Cała długość Alp nie przenosi 1000 km, a najwyższy ich szczyt nie dosięga 5000 m. Myśliwy, dążący do Tien-szanu, dojechać musi do wschodniej, już w Chinach położonej, a więc od nas najbardziej oddalonej części łańcucha; bliżej położone góry są bowiem bardzo skaliste, bez lasów i bogatszej roślinności; życia więc zwierzęcego na nich niewiele. Różnymi drogami można się do chińskiego Tien-szanu dostać. Angielscy przyrodnicy i myśliwi zwykle tam się udają z Indyj, przekraczając wiecznym śniegiem pokryte przełęcze himalajskie i pustynie piaszczyste chińskiego Turkiestanu, nad rzeką Tarim położone. Droga to ciężka i trudna. Przez Hima-

laje przed końcem maja tylko ptak przelecieć może; podróż przez pustynie, na północy od tych gór położone, wymaga również ponad dwa miesiące natężających pochodów. W Tienszanie podróżnik mógłby więc stanąć dopiero w połowie sierpnia; w pierwszych zaś dniach października zapada tam już ciężka zima, pozostawaloby więc myśliwemu dla łowów i badań zoologicznych tylko półtora miesiąca czasu, co stanowczo jest za mało. Ten wzgląd, jako też trudności przedostania się przez łańcuch Himalajski na wiosnę spowodowały, że tego szlaku wcale w rachubę nie brałem.

Inni podróżnicy udawali się okrętem z Europy do Chin, płynęli następnie jedną z wielkich rzek chińskich jak najdalej w górę rzeki i jechali potem na wielbłędach przez pustynie zachodnio-chińskie aż do gór Niebiańskich. Ta droga była dla mnie również niemożliwa z powodu rewolucji chińskiej, wybuchłej w zimie 1911/12; w środkowych prowincjach tego państwa panowała wtedy zupełna anarchia, a częste w tych krajach i w normalnych czasach rozboje były tam według zasiągniętych przeze mnie informacji wtedy na porządku dziennym. Od północy możnaby się dostać na miejsce za pomocą kolei syberyjskiej, jadąc nią aż do jednej z jej najbardziej na południu położonych stacyj. Przejeżdżając dalej konno lub wozem przez rosyjskie prowincje Semipałatyńsk i Semirieczeńsk albo i przez zachodnią Mongolię, dotarłoby się również do wchodniego Tien-szanu, bez bardzo wielkich — co prawda — trud-

ności, ale niezbyt też szybko. Obliczywszy, że trzeba by poświęcić więcej jak sześć tygodni na przejazd od kolei do rewiru, nie mogłem się na tę marszrutę zdecydować.

Pozostawała droga od zachodu, która bezwarunkowo jest najkrótsza i najodpowiedniejsza dla Europejczyka wybierającego się w góry Tienszańskie. Jeżeli dotąd nie wielu podróżników ją wybrało, to stało się to dlatego, że przejazd przez rosyjskie, środkowo azjatyckie posiadłości możliwy był tylko za specjalnym pozwoleniem rządu, które w poprzednim dziesięcioleciu nie łatwo było uzyskać. Do stolicy rosyjskiego Turkiestanu, Taszkientu, można dojechać było koleją, stamtąd zaś do granicy chińskiej przebyć trzeba nie więcej jak 1500 km drogi konnej lub wozowej, którą przejechać można było stosunkowo szybko dzięki państwowej komunikacji pocztowej, na tym szlaku zaprowadzonej. Droga ta miała i tę dobrą stronę, że nie groziło na niej żadne niebezpieczeństwo; administracja rosyjska była tam bowiem dobra i sprężysta.

Ustaliwszy już bliższy program swej podróży, mogłem przystąpić do właściwych przygotowań. Od dokładnego przygotowania się do takiej wyprawy zależy — jak to na podstawie dwukrotnego własnego doświadczenia stwierdzić mogę — w pierwszym rzędzie pomyślny jej rezultat. Wypada naprzód zaznaczyć się bliżej z całą literaturą, tyczącą się danej okolicy, a więc przeglądać opisy podróży i sprawozdania z wypraw naukowych, do tego kraju

wysłanych, i przejrzeć książki zoologiczne, opisujące jego faunę. Potem uważam za nieodzowne, aby przed taką wycieczką nauczyć się, choć pobieżnie jednego z języków, w tej okolicy najczęściej używanych; znajomość języka krajowego najskuteczniej chroni podróżnika od wyzysku ze strony ludności miejscowej i nie mało mu ułatwia osiągnięcie celów podróży. Przed wyprawą w mowie będącą należało się wyuczyć języków rosyjskiego i kirgiskiego. Mówić po rosyjsku nauczyłem się łatwo i dokładnie, natomiast nie mogłem długo się zabrać do nauki mowy kirgiskiej, gdyż w Europie nie można było nigdzie dostać podręcznika lub gramatyki tego języka. Nareszcie zdołałem wyszukać antykwarycznie gramatykę kirgiską w jednym z miast kaukaskich; lecz ona także nie oddała mi wielkich usług, gdyż tyczyła się dialektu kazak-kirgiskiego, podczas gdy ja podczas mojej wyprawy miałem głównie do czynienia z innym szczepem kirgiskim; byli to tzw. Kara-Kirgizi, którzy zajmują najdalej na wschód położone stepy środkowo-azjatyckie i których język znacznie się różni od mowy, używanej przez zachodnie hordy tego narodu. Mimo to udało mi się dzięki znajomości kilkuset słów kirgiskich przezwyciężyć różne trudności, które by w przeciwnym razie były powodem wielkich przykrości. Z wielką rozwagą należy czynić zakupy przyborów, do ekspedycji potrzebnych; chodzi tu o to, aby nie zapomnieć żadnych rzeczy koniecznych, a nie zabierać ze sobą przedmiotów zbytecznych, gdyż nic nie utrudnia

tak swobody ruchów podczas wyprawy, jak wielka ilość pakunków. Namiot, łóżka polowe i meble obozowe mają być lekkie a przecież z trwałego materiału sporządzone, aby przetrwać wszystkie często gwałtowne wstrząśnienia dalekiej drogi. Ubrań i bielizny nie trzeba brać z sobą wiele, bo wymagania toaletowe są w puszczy niewielkie, a bieliznę w każdym strumyku wyprać można; wypada się tak obliczyć, aby ubranie z jednej strony przed końcem wyprawy nie rozleciało się zupełnie, z drugiej zaś po jej ukończeniu było dobrze już podniszczone; wtedy będzie je można bez żalu wyrzucić, względnie podarować swoim półdzikim towarzyszom, którzy i tak uważać je będą za odświętną swoją szatę. Ważnym szczegółem przygotowań będzie wybór obuwia, które winno być nadzwyczaj trwałe i bardzo wygodne. Skaleczone lub obtarte nogi są powodem prawdziwych męczarni dla podróżnika i często wręcz mu uniemożliwiają doprowadzenie wyprawy do końca. Z wiktuałów należy brać z Europy tylko przysmaki, które się bardzo lubi; gdyż się z powodu niepowodzeń i trudności, których nie brak na żadnej wyprawie, siedzi zrozpaczony i zgnębiony w namiocie, nic tak nie pociesza upadłego na duchu myśliwego jak spożycie małego kęska ulubionej słodczy, której by w puszczy i na wagę złota nabyć nie mógł. Zwykle popełnia się ten błąd, że się zabiera ze sobą wielkie ilości niesmacznych konserw, których transport przyczynia wiele kosztów i kłopotu; dojechawszy zaś do ostatniego miasta przed rozpo-

częciem właściwej ekspedycji widzi człowiek z nieprzyjemnym zdziwieniem, że takie same, a nawet lepsze konserwy mógłby i tu kupić i że taniej by mu to wypadło, niż ich wożenie ze sobą koleją lub okrętem. Handel międzynarodowy ogarnął bowiem obecnie już cały świat, a im bliżej się dojeżdża do okolic dzikich, w których podróżny życie koczownicze i obozowe prowadzić musi, tym lepsze i praktyczniejsze przybory potrzebne do takiego życia u kupców krajowych znaleźć może.

Dla myśliwego będzie wybór broni, którą się na ekspedycji ma posługiwać, rzeczą najważniejszą. Niech bierze zawsze pod uwagę, że z powodu zmęczenia, podniecenia i zdenerwowania będzie na wyprawie stale o wiele mniej pewnie strzelał, niż w swoich krajowych kniejach; niech bierze zatem ze sobą broń, którą już dokładnie wypróbował i ostrzelał, a to nie tylko na strzelnicy, ale i do żywego zwierza. Zaopatrując się w całkiem nowy, dotąd tylko do celu używany sztuciec lub karabin — choćby najlepszego wyrobu i najdroższego gatunku — można się narazić na ciężkie rozczarowania i przez chyby strzał pozbawić się możliwości zdobycia tych właśnie trofeów, dla których się tak daleko od cywilizacji ujechało. Sposobność do ubicia grubego zwierza nigdy się często nie nadarzy i od jednego strzału zwykle zależeć będzie, czy myśliwy przywiezie do domu te właśnie rogi lub tę skórę, o których głównie marzył, układając plan wycieczki.

Na końcu nie należy zapomnieć o listach, pole-

cających podróżnika władzom obcego kraju. Polecenia takie w drodze dyplomatycznej zawsze uzyskać można, trzeba jednak starania o nie dość wcześnie rozpocząć, gdyż korespondencja między władzami przeprowadza się w drodze urzędowej, a biurokracja na całym świecie jednomyślnie jest powolna.

II

PODRÓŻ

Po półtorarocznych usilnych przygotowaniach byłem 1 maja 19.. zupełnie gotów do podróży i wyruszyłem wieczorem w drogę tylko w towarzystwie jednego służącego, który odbył już ze mną wyprawę afrykańską i okazał się tam praktycznym i pożytecznym członkiem ekspedycji. W Wołoczyskach, na granicy rosyjskiej, spotkała mnie pierwsza, niemiła przygoda. Urzędnicy chcieli mi mianowicie zabrać strzelby i posłać je inną drogą do granicy chińskiej. Przestraszyłem się bardzo, wiedząc, że się już nigdy z bronią swoją nie spotkam, jeżeli ją sobie teraz dam zabrać. Urząd cłowy miał z Petersburga polecenie przepuszczenia całego bagażu mej wyprawy, nie wyłączając strzelb bez rewizji i bez oclenia; oprócz tego otrzymałem od ambasadora rosyjskiego we Wiedniu list, polecający mnie względem dyrektora komory. Zdawało się więc, że to wystarczy dla gładkiego przejechania przez rubikon cłowy. I rzeczywiście, jak długo chodziło o zwykłe kufry i bagaże, to urzędnicy zachowywali się całkiem po europejsku i przepuścili bez trudności dziesięć moich tłumoków. Gdy jednak przyszła kolej na futerały ze strzelbami, wydało mi się, że im pokazał jakiś

straszny, nieznany jeszcze ludzkości wynalazek, grożący zgubą i zagładą potężnemu imperium. Przytrzymali więc moje niewinne, małokalibrowe karabinki, oświadczając mi, że ich ze sobą brać nie mogę, bo któż może zaręczyć, że ja z tak niebezpieczną bronią w Rosji nie zostanę i tylko przed nimi udaję, że do Chin jadę! Sprawa była tak ważna dla Wszechrosji, że zasiągnięto nawet opinii szefa żandarmerii w Wołoczyskach, który w przeświadczeniu, że jemu i genialnemu paszportowemu systemowi rosyjskiemu znaczna część tego państwa winna spokój i dobrobyt, oznaczył takie moje strzelbiny jako niebezpieczne dla Cara i Cerkwi, o ile by mnie z nimi w głąb kraju puszczono.

Wobec takiego stanu rzeczy oświadczyłem urzędnikom, że jeżeli mam bez strzelb jechać, to wolę nie jechać wcale i raczej wrócić się z drogi, aby ze swego kraju telegrafować do Petersburga o pomoc. Energiczne to moje oświadczenie zaniepokoiło nieco zgromadzonych dostojników; po dłuższych burzliwych naradach między sobą zaproponowali mi oni na koniec, abym strzelby wziął wprawdzie ze sobą, ale pod urzędową plombą, którą dopiero na granicy chińskiej będzie mi wolno odjąć. Ponieważ mnie głównie chodziło o to, abym tę najważniejszą część swego rynsztunku miał ciągle przy sobie, zgodziłem się na takie kompromisowe załatwienie sprawy, chociaż przeczuwałem, że plomby te będą powodem wielu jeszcze przykrości. Mam przekonanie, że tylko znajomość rosyjskiego języka umożliwiła mi odnie-

sienie częściowego zwycięstwa w tym wypadku; podróżny, nie umiejący rozmówić się w takich razach, jest zupełnie na łasce urzędników obcego państwa i musi dać ze sobą zrobić, co im się tylko podoba. Pertraktacje w mojej sprawie tyle czasu zabrały, że pociąg pośpieszny odszedł dnia tego z półtoragodzinnym opóźnieniem; nie widziałem jednak nigdzie zdziwienia z tego powodu.

Na drugi dzień rano obudziłem się już w głębi Rosji w chersońskiej guberni. Olbrzymie przestrzenie czarnoziemiu miały dziwnie jeszcze zimowy wygląd. Oziminy ledwo się zieleniły, a na drzewach nawet pączków nie widziałem. Kraj robił wrażenie mało zaludnionego, bo wsie leżą daleko od siebie i kryją się w jarach i dołach; za to są one ogromne i każde sioło zajmuje znaczniejszy obszar, niż u nas większe nawet miasto. Przejechaliśmy potem koło kilku miast gubernialnych i powiatowych, jak Jelizawetgrad, Jekaterynosław, Charczysk i Taganrog; miasta te są również bardzo rozległe, bo domy budują tutaj niskie, jednopiętrowe tylko; nad nimi górują wszędzie zielone lub złociste kopuły licznych cerkwi. Nigdzie tak łatwo nie przychodziło jechać długo koleją, jak w Rosji i nigdzie zarząd dróg żelaznych nie dbał tak usilnie o wygodę jadących, jak właśnie tam. Każdy podróżny miał za śmiesznie małą opłatą ławkę na noc zapewnioną, a na jego usługi był w każdym wagonie, na dalsze przestrzenie idącym, aż dwóch służących. Pociągi zatrzymywały się często, a na stacjach, na których był bufet, i dłu-

zej, tak że co każde dwie godziny w jednej z tych doskonałych restauracyj kolejowych można się było posilić. Pomiedzy stacjami zaś łatwo było sobie skrócić czas podróży zapijając herbatę, którą pasażerowie sobie w wagonie sami zaparzali. Cudzoziemiec, któremu z początku to upodobanie Rosjan do picia herbaty w wagonie śmiesznym się wydaje, pozna już na drugi dzień takiej dalekiej podróży dobre strony tego narodowego zwyczaju, sam kupi sobie czajnik i będzie z zapalem robił herbatę jeszcze częściej od tubylców. Żałuję, że ze względów sanitarnych ten zwyczaj u nas się nie przyjął, gdzie prości zwłaszcza ludzie zapijają się podczas podróży wodą surową, dla zdrowia często wręcz szkodliwą. Sympatyczne bardzo wrażenie sprawiała w Rosji uprzejmość współpodróżnych, którzy robili wszystko, co w ich mocy, aby jadącemu w jednym z nimi przedziale drogę uprzyjemnić; dzielili się z nim wiktuałami, zapraszali do herbaty i starali się go zabawiać rozmową. Mniej przyjemny był brak czystości w wagonach, który się już w drugim dniu jazdy daje we znaki. Wszędzie widać resztki jedzenia, ości rybie, kawałki niedojedzonego mięsa i chleba, skórki owocowe, a na stołach rozlaną herbatę; woń zaś nieprzyjemną tych wszystkich niedogryzków tym bardziej się czuje, że Rosjanin z zasady okna w wagonie nie otwiera. Gdy cudzoziemiec to uczyni, to patrzą się na niego z takim oburzeniem i takim wyrzutem, z jakim by u nas spoglądali na przykład na pasażera, który by się we wspólnym wagonie

rozebrał do naga. Imponowało mi systematyczne zaprowadzenie wagonów dla jazdy bez przesiadania się między wszystkimi większymi miastami w olbrzymim państwie rosyjskim. Z Petersburga, Warszawy, Wołody, Taszkientu i Tyflisu, dojeżdżało się wszędzie jednym i tym samym wozem; z dalekiego Wschodu i z wysokiej północy docierało się do przeciwległego krańca Imperium, nie zmieniając wcale wagonu i, choćby podróżny jechał pięć, a nawet osiem dni bez przestanku, mogłeś siedzieć cały czas wygodnie na tym samym miejscu, mieć w nocy tę samą wygodną ławkę do spania i myć się co rana w tej samej umywalni, zaopatrzonej obficie w wodę, która nie wysychała, względnie nie kończyła się tak prędko, jak to w naszych pociągach bywa.

Przed Taganrogiem przejeżdżało się przez zagłębienie rzeki Doniec, gdzie są bogate pokłady węgla; liczne fabryki i zakłady przemysłowe nadawały okolicy wygląd kraju zachodniego. Wkrótce potem dojeżdża się do Morza Azowskiego i jedzie czas dłuższy nad jego brzegiem; morze to wydało mi się z brzegu dość płytkie, a kolor wody — pewnie z powodu zachmurzonego nieba — ciemny i brzydki. Piękny widok przedstawia się z okien wagonu na wielkie miasto Rostów, położone nad Donem. Miasto wznosi się amfiteatralnie nad brzegiem potężnej tej rzeki i kopuły olbrzymiego jakiegoś soboru górują nad czernią małych domków, mających kolorowe, zielone lub żółte dachy. Za Rostowem wjeżdża się w rozległe stepy Kubańskich Kozaków; na dwor-

cach widzi się coraz częściej ciekawe typy kaukaskie; ludzie otuleni są w siwe-brunatne lub czarne burki czerkieskie, na głowach ich widać olbrzymie czapki futrzane, za pasem kindżał lub szaszkę tj. pałasz kaukaski. Na czwarty dzień po wyjeździe z Wołoczysk zbliżyliśmy się do głównego pasma gór Kaukaskich. Kazałem się umyślnie zbudzić o trzeciej rano, aby nie zaspać widoku na ten potężny łańcuch gór, którego główne szczyty przewyższają najwyższe góry europejskie. Widok, który się moim zaspającym, ale żadnym piękna oczom przedstawił, przewyższył oczekiwania. Niemal bezpośrednio z zielonego wyłaniając się stepu, wznosił się aż pod strop nieba tytaniczny mur śniegiem i lodem obrosłych olbrzymów górskich, a wschodzące słońce muskało swymi promieniami niebosiężne te szczyty, zabarwiając śnieg tam leżący wszystkimi kolorami tęczy.

Nie ma może kraju na świecie z tak różnorodną ludnością, jak Kaukaz; na każdej stacji widziałem inne i coraz to nowe typy i żaden z towarzyszków podróży nie był w stanie mi powiedzieć, do jakiej narodowości wszystkich spotkanych ludzi zaliczyć należy. Osetyńcy i Gruzini, piękni Mingrelczycy i brudni Tatarzy, Kozacy i Ormianie zapełniali poczekalnie wszystkich dworców, hałaśliwie rozprawiając w najrozmaitszych narzeczach i ciesząc oko swymi malowniczymi i różnobarwnymi strojami. Po południu piątego dnia podróży zbliżył się pociąg do Morza Kaspijskiego i trzymał się już do samego Baku blisko wybrzeża. Przejeżdżaliśmy tu przez

olbrzymie bagna pokryte dziewiczymi, gęstymi zaroślami. Kraj robił wrażenie całkiem dzikiego, nie naruszonego jeszcze ręką człowieka. Oczy kierowały się mimowolnie ku zaroślom w nadziei, że ujrzą może między krzewami jakieś egzotyczne dzikie zwierzęta. W bagnach Kaukazu można zresztą rzeczywiście jeszcze teraz spotkać tygrysa i lamparta, wprawdzie nie tutaj na północy, ale w południowej części Kaukazu nad rzeką Leukoran. Dojeżdżając do Baku uczułem silny zapach nafty; był to znak, że zbliżamy się do jednego z największych na świecie źródeł tego światłodajnego oleju.

Z powodu rosyjskiego znakomitego systemu cłowego nie udało mi się wykonać na dworcu bakińskim uknutego w drodze planu, aby moje strzelby dostać już tutaj w rzeczywiste posiadanie. Mając w ręku receptis odbiorczy chciałem odebrać na dworcu cichaczem strzelby i uwieźć je ze sobą do hotelu; liczyłem na to, że w nocy nie zobaczą plomb i sznurów urzędowych, którymi były otoczone względnie, że poznają je jako towar cłowy dopiero, gdy będę już daleko. I rzeczywiście miałem już część bagażów na dorożce i chciałem ujeżdżać do miasta, gdy dopadł mnie zziębnięty i wystraszony urzędnik kolejowy i wszystko mi odebrał, oświadczając, że te rzeczy muszą iść na urząd cłowy i że dopiero nazajutrz będę mógł się o nie upomnieć.

Miasto Baku ma wygląd amerykański i widać było, że tu mieszkało wielu milionerów, którzy bez pracy dorobili się na nafcie grubych majątków. Na

ulicach spotykało się często wspaniałe pałace, wszędzie krążyły liczne samochody; w jadłodajniach zaś i kawiarniach słychać było ciągle muzykę i strzelanie korków podczas otwierania niezliczonych flaszek szampańskiego wina. W ślad za bogaczami zleciały się tu z całego niemal świata kobiety z półświatka. Co prawda wdzięki ich nie wydały mi się ponętne i były raczej już nieco podniszczone; tu na Wschodzie jednak, gdzie i krew goręcej płynie i estetyczne pojęcia bywają inne, były one widocznie wystarczające, aby bogatych nacierzy nakłaniać do większych wydatków na erotyczne cele. Hotele były nędzne z prymitywnymi i niewygodnymi łózkami. Zasnąć w nich trudno było, bo w sąsiedztwie słyszało się wieczorem ciągle hałasy, śpiewy i huczne zabawy. Typowo rosyjskie były tu umywalnie; do miedniczek nie zatrzymującej wody sączył się kropelkami maleńki strumyczek, wystarczający ledwie do umycia ust i nosa; a już po chwili i te krople ciec przestawały z powodu wyczerpania się miniaturowego rezerwoaru. Prośba zaś o wypełnienie zapasu wody wywoływała ogromne zdziwienie i niechęć u służby hotelowej, nieprzywykłej snąć do tak anormalnych życzeń gości. Rosjanin nie uznaje widocznie zalet wody zimnej i nie czuje potrzeby obmyć się dokładniej po wstaniu z łóżka; za to uczęszcza on pilnie do parowej łaźni i wierzy słusznie w doskonały wpływ gorącej wody na ludzki organizm. Nie ulega wątpliwości, że Rosja zawdzięcza temu regularnemu odwiedzaniu łaźni przez całą swoją ludność, że mimo

pijaństwo i niezdrowe stosunki higieniczne posiada jeszcze tylu bardzo silnych i nadzwyczaj zdrowych mieszkańców.

Rano nazajutrz po przyjeździe pojechałem na urząd cłowy; naczelnik urzędu, typowy Rusin, który powinien mieszkać raczej w Kołomyi, niż na Kaukazie, obiecał mi po przejrzeniu moich dokumentów, że zarządzi wszystko, co potrzeba, aby mi umożliwić rychłe odebranie moich strzelb. W tym celu posłał też zaraz bardzo uprzejmie jednego ze swoich podwładnych na dworzec; celnik ten przywiózł już za godzinę rzeczy, które po przeglądnięciu ich na komorze odstawiono pod nadzorem urzędników na statek towarzystwa „Kaukaz i Merkury“; parowcem tym miałem tegoż dnia wieczorem popłynąć przez Morze Kaspijskie do Krasnowodska. Dopiero tam przysługiwać mi będzie prawo zabrania strzelb ze sobą, plomb jednak i nadal naruszyć nie będzie wolno. Na urzędzie cłowym w Baku widać było ciekawe towary i interesujące postacie; była to główna stacja cłowa dla linii okrętowej z Enseli i tu podlegał ocłeniu cały import z Persji do Rosji; widać było dużo dywanów, materij wschodnich i skór zwierzęcych. Kupcy byli przeważnie Persami, Tatarami i Ormianami.

Nad przewozem strzelb moich na okręt czuwało aż dwóch urzędników, z których jeden był Rosjaninem czystej krwi; mimo to starał się mówić ze mną ciągle po polsku i przedstawił mi swego kolegę jako Polaka noszącego czysto polskie nazwisko „Ko-

sobudzki“. Byłem pewny, że, jeżeli już Rosjanin do mnie z grzeczności po polsku się odzywa, to tym bardziej p. Kosobudzki przemówi moim ojczystym językiem. Tymczasem usłyszałem ku wielkiemu zdziwieniu na swoje przedstawienie się odpowiedź rdzenie rosyjską: „*Oczeń prijatno pozna komitsia*“, słowa te były wypowiedziane czysto polskim akcentem. Rozmawiałem potem długo z p. Kosobudzkim; byliśmy sami bez świadków; mimo to ani słówka po polsku nie przemówił, a wiedział na pewno, że jestem Polakiem. Ciekawy jestem, z jakich powodów on tak starannie narodowość swoją przede mną ukrywał? Czy wstydził się może, że przeszedł na prawosławie i zewnętrznie stał się już całkiem Rosjaninem? Czy też może nie ufał mi i sądził, że pewniej i przede mną udawać Wielkorusa? Nie doszedłem prawdy i ciągle jeszcze mam przed oczyma tego renegata z czysto polską fizjonomią, udającego, że po polsku nie umie i że nigdy tym językiem nie mówił.

Jazda parowcem przez Morze Kaspijskie była bardzo przyjemna; kabiny okrętowe były wygodnie urządzone i jedzenie mogło, jak wszędzie w Rosji, nawet i smakosza zadowolnić. Statek nazywał się „*Kuropatkin*“. Przypuszczać należy, że okręt ten ochrzczono w ten sposób dla wyrażenia sławnemu generałowi wdzięczności za zasługi, położone w wojnie rosyjsko-japońskiej; swoją drogą, gdybym był Rosjaninem, to byłbym w tym wypadku wybrał raczej innego narodowego bohatera. Na statku spotkałem znowu rodaka; był to wyższy urzędnik skarbowy,

mieszkający w Aschabadzie nad granicą perską; ten jednak nie wstydził się wcale swej narodowości i mówił bardzo poprawnie po polsku pomimo, że od lat pięćdziesięciu przebywał w Azji i rzadko bardzo miał sposobność używania ojczystego języka. Opowiadał mi on ciekawe szczegóły o smutnym swoim życiu w Aschabadzie. W lecie panują tam straszne upały, podczas których rtęć podnosi się w południe do 50° R., tak że Europejczycy w dzień wcale z domów nie wychodzą. Mieszkańcy miasta cierpią bardzo z powodu braku wody, którą tylko w cysternach w małych ilościach dostawać mogą. Wszędzie naokoło rozciąga się kamienista, okropna pustynia i nigdzie nie ma cienia lub zieloności. W takich warunkach nie może on trzymać rodziny przy sobie i żona przebywa dla wychowania dzieci w Petersburgu. Nie dziwię się wcale, że ten rodak szuka — jak to zauważyłem — pociechy w kieliszku; wino i wódka pomagają mu zapomnieć o smutnym wygnaniu, w którym żyć musi. Poznałem także na okęcie bardzo miłą i dystyngowaną pannę rosyjską, która wracała z kursów uniwersyteckich w stolicy do rodziców, mieszkających w jednym z miast turkiestańskich. Była to więc tak zwana kursistka. W Polsce wyobrażaliśmy sobie, że kursistki rosyjskie uważać należy bez wyjątku za nihilistki lub kobiety moralnie niezdrowe, dla których uczęszczanie na wyższe szkoły jest tylko pozorem dla zaspakajania różnych zdrożnych upodobań. Otóż poznałem w czasie swojej podróży dużo takich kursistek;

w lecie przebywało ich bardzo wiele w Turkiestanie, Syberii i wschodniej Rosji, bo córki urzędników w tych krajach dalekich od cywilizacji jeździły prawie wszystkie na nauki do Petersburga lub Moskwy. Wszystkie te panny były według moich spostrzeżeń doskonale wychowane i zachowywały się stale bez zarzutu, nie rażąc ani przesadną nieśmiałością, którąśmy dawniej uważali za konieczny przymiot panny z dobrego towarzystwa, ani też zbyt swobodą w obejściu. Rozmawiając z nimi stwierdzić można też było, że na uniwersytetach wcale nie próżnowały i rzeczywiście dużo się nauczyły; w ogóle robiły mi one wrażenie kobiet o wiele więcej wykształconych od ogółu kobiet inteligentnych w zachodniej Europie. Przeciwnicy kobiecych studiów twierdzą, że uczone kobiety nie będą mogły, względnie chciały, wypełniać wszystkich obowiązków ze stanu małżeńskiego wypływających. Otóż poznałem w Rosji także kilka byłych kursistek, które po ukończeniu uniwersytetu wyszły normalnie za mąż i robiły wrażenie szczęśliwych małżonek. Zasiągałem poufnie informacji co do nich u licznych mężczyzn, którzy zwykle chętnie kobiety krytykować lubią, ale nigdy nie słyszałem zarzutu, aby eks-kursistki były gorszymi matkami i żonami od kobiet, które po ukończeniu kilku klas niższej szkoły już od piętnastego roku życia niczym poważniejszym się nie zajmują, czekając tęsknie, a często daremnie na męża i nudząc się bardzo.

Mieliśmy dojechać do Krasnowodska na drugi dzień

po wyjeździe z Baku o dziesiątej rano; tymczasem nad ranem rozpostarła się tak gęsta mgła nad morzem; że okręt ze względu na płytkość wody musiał stanąć i przez kilka godzin nie mógł się naprzód posuwać. Dopiero o szóstej wieczór dobiliśmy do portu krasnowodskiego i byli zmuszeni przepędzić drugą noc na okręcie, pociągu bowiem na wschód idącego tego dnia już nie było. Krasnowodsk jest jedną z najsmutniejszych miejscowości na świecie; w całym mieście nie ma ani jednego drzewka, a naokoło piętrzą się całkiem gołe, dziko postrzępione góry. Widok z okrętu przypominał mi widok na Aden nad Morzem Czerwonym, gdzie również widać tylko nędzne domki w otoczeniu nagich, ponurych skał. Żał mi było ludzi, którzy na tym pustkowiu żyć muszą; już teraz w maju było bardzo gorąco. Co tu się dopiero w letnich miesiącach dziać musi! W Krasnowodsku towarzysze podróży zaciągnęli mnie do kina. Bawiło mnie to, że tu w tym azjatyckim zakątku trzeba było oglądać te same niemądre paryskie filmy, którymi i u nas gawiedź się bawi i cieszy.

Nazajutrz rano wsiadłem do pociągu transkaspiskiej kolei, przeciągającej całą zachodnią część olbrzymiej turkiestańskiej prowincji. I na tej kolei jechało się zupełnie po europejsku; mieliśmy wagon restauracyjny, w którym o każdej porze dnia można było dostać doskonale ryby i raki z Kaspijskiego Morza. Przez cały pierwszy dzień jechaliśmy ciągle przez pustynię, pokrytą żółtym, lot-

nym piaskiem. Pustynia nie przedstawiała się jako płaszczyna, przecinają ją bowiem często pasma skalistych wzgórz, wszędzie zaś utworzyły się pagórki piasku, zniesionego przez wiatry na jedno miejsce. Wieczorem zbliżyliśmy się zupełnie do granicy perskiej i jechali kilkaset kilometrów tak blisko niej, że widać było kopce ziemne tam, jako znaki graniczne usypane. Zaczęły się tu stepy zamieszkałe przez plemię Tekke-Turkmenów. Dziko i dzielnie wyglądają mężczyźni tego szczepu, na głowach noszą oni bez względu na porę roku ogromne, metrowej niemal wysokości czapki futrzane. Podczas zdobywania Taszkientu przez Rosjan stawiali Turkmeni bardzo dzielny opór najeźdźcom. Na dworcu w Gök-Tepe widziałem potężne, gliniane mury fortecy turkmeńskiej zdobytej po dłuższych walkach przez Skobeleva. Genialny to musiał być dowódca, kiedy potrafił przeprowadzić swoje wojska przez te setki mil strasznej pustyni, dzielącej Turkiestan od właściwej Rosji. W Aschabadzie sprzedawali na stacji piękne róże i doskonale truskawki, które w kraju naszym dopiero za miesiąc będą kwitnąć, względnie dojrzewać. Później jechaliśmy wzdłuż rozległych ruin starożytnego grodu Merw. W szóstym wieku po Chrystusie był on chrześcijańskim, nestoriańskim miastem. O wiek później zdobyli je Arabowie i doprowadzili do ogromnego rozkwitu; zaliczano je wtedy do cudów świata i uważano obok Bagdadu za najwspanialszą stolicę na całym Wschodzie. W roku 1219 został Merw zdobyty przez Dżingischana; Mon-

gołowie mieli wtedy wymordować około miliona mieszkańców.

Niedaleko za Merwem opuszcza kolej terytorium rosyjskie i wjeżdża w posiadłości emira bucharskiego, lennika Rosji. Do samej Buchar, którą muzułmanie nazywają świętą — ma tam być z górą sto meczetów — nie mogłem się dostać z powodu braku czasu i złych połączeń kolejowych. Natomiast zatrzymałem się jeden dzień w Samarkandzie, mieście z ciekawą przeszłością historyczną i wspaniałymi zabytkami mahometańskiej architektury. Aleksander Wielki w r. 319 przed Chrystusem zdobył ten gród, który w starożytności nazywał się Marakanda, i długi czas w nim przebywał. W siódmym wieku po Chrystusie przeszło to miasto w posiadanie Arabów, a w XIII stuleciu zostało zniszczone przez Mongołów. Tamerlan zrobił ze Samarkandy swoją stolicę i prowadził tam wspaniały dwór, zdobiąc miasto monumentalnymi budowlami. Z ciekawszych ruin zwiedziłem naprzód grób Tamerlana; na masywnym, kwadratowym podmurowaniu wznosi się olbrzymia, niebieska kopuła pokryta na zewnątrz i na wewnątrz kolorowym fajansem. Pod nią spoczywa ów mongolski cesarz pod wielkim głazem czarno-zielonego nefrytu, tego najrzadszego ze wszystkich gatunków kamienia. Wspaniały widok przedstawia się turyście na registanie, środkowym rynku mahometańskiej części miasta; z trzech stron otaczają plac ten duże meczety, których mury i wieże pokryte są od dołu do góry różnobarwnymi, fajansowymi ceglami. Z pi-

sztaka, tj. głównej wieży meczetu Szyr-Dar ma się przed sobą wspaniałą panoramę; widać całą Samarkandę, tonącą w morzu wiosennej zieleni i zalaną potokami południowego słońca, które domy i ludzi żywymi zabarwia kolorami. Imponujące są też rozmiary meczetu Bibi-Chanum, wzniesionego przez Tamerlana celem uczczenia pamięci jednej z jego ukochanych żon. Przed tym meczetem wznosi się kilkadziesiąt metrów wysoki łuk, wykładany jasnoniebieskimi kaflami; przez ten łuk wchodzi się do właściwego meczetu, który niestety obecnie słabe tylko daje wyobrażenie o swej dawnej wspaniałości; połowa niebieskiej kopuły jego już się zawaliła, a z ośmiu smukłych minaretów oparło się tylko dwa zębowi czasu i wandalizmowi ludzi. Stamtąd udałem się do leżących za miastem mauzoleów rodziny Tamerlana, zwanych Szach-Sindeh; wzdłuż drogi, wiodącej pod górę znajduje się kilkanaście — około 18 — tych grobowców, jeden wspanialszy od drugiego. Budowa ich jest jednakowa; u każdego wznosi się na kwadratowych ścianach niewielka, jajowatej formy kopuła, pod którą właściwy grób się znajduje. Ściany każdego pomnika są wykładane fajansem, którego desenie i kolory na każdym inne; przeważa kolor turkusowy, widać jednak i ciemno-zielone, tudzież brązowe odcienie; ornamenty na fajansowych kaflach są często wykonane wypukle. U rogów ścian zewnętrznych wznoszą się niebieskie kolumny ozdobione u góry stalaktytowymi konsolami; na ścianach widać często różnobarwne, arabskie napisy, też jako

ornament użyte. Kopułki są ułożone bez wyjątku z biało-niebieskich fajansowych cegieł. Widok tych barwnych budowli, iskrzących się w słońcu jest czarujący; dla samego Szach-Sindeh, tego najpiękniejszego dzieła mahometańskiej sztuki budowniczej warto przedsięwziąć daleką podróż do Azji środkowej.

Nie mogłem się dość napatrzyć malowniczemu i ożywionemu ruchowi w ulicach Samarkandy; mieszkańcy tego niejednolitego pod względem narodowym miasta, a więc Bucharcy, Sarci, Uzbegy, Tadżyki, Persowie i Afgani noszą długie chałaty we wszelkich kolorach tęczy. Widziałem u nich jedwabne stroje o tak jaskrawych barwach, że u nas i największa elegantka nie odważyłaby się wystąpić w równie kolorowych szatach. Tłum tych czerwonych, żółtych lub jasnoniebieskich postaci krąży bez ustanku, bezcelowo na pozór po ciasnych ulicach bazarów, wypełnia gwarem rozmów terasy herbariarni i kawiarni lub pali w milczeniu długie arabskie cybuchy w przedsionkach swoich domków. Kobiet na ulicach nie widać prawie wcale, te zaś, które chyłkiem się przez ulice przekradają nie noszą przejrzystych dość welonów, jak w Turcji, ale są poprostu całkiem okutane w jakąś grubą, ciemnoszafirową organtynę, która całą twarz od włosów aż po szyję zupełnie i dokumentnie zakrywa. Sądzę, że duch Mahometa nigdzie z taką przyjemnością przebywać nie powinien, jak w miastach turkietańskich, gdyż nigdzie barbarzyński i zwykłą zazdrością o żonę spowodowany zakaz proroka, tyczący

się odkrywania lic kobiecych nie jest tak skrupulatnie i surowo przestrzegany, jak właśnie tutaj. Ciekawie przedstawiają się domki tuziemców, nie mające wcale okien na ulicę; drzwi ich są tak wysoko nad ziemią umieszczone, że dostać się można do wnętrza domu tylko po całkiem wąskich, chwiejnych i podejrzanie trzeszczących schodkach. Nie rozumiem jak w nocy dostaje się tu właściciel domu do swego mieszkania, nie narażając się na połamanie członków. Jestem pewny, że ten system budowy domów bez wejść spowodowany jest zazdrością mahometan tutejszych o ich haremy; musiałby to być już bardzo zuchowaty przyjaciel domu, któryby, chcąc nocą odwiedzić oczekującą nań cudzą małżonkę, zdecydował się na to trudne gimnastyczne ćwiczenie i próbował leżeć po ciemku na taką trzęsącą się drabinę. Wielkiego zawodu doznałem przy zwiedzaniu samarkandzkich orientalnych bazarów; spodziewałem się tu nadzwyczaj ciekawych wyrobów przemysłu wschodniego, a zwłaszcza pięknych dywanów, artystycznie wykonanej broni starożytnej i masywnych przedmiotów z brązu z dawniejszych czasów pochodzących. W rzeczywistości była tam sama prawie tandeta, przeważnie europejskiego wyrobu; dywany widziało się tylko nędzne, anilinowymi kolorami ufarbowane. Sławne, stare samarkandzkie dywany zostały już wszystkie wywiezione na Zachód.

Z Samarkandy do Taszkientu jedzie się tylko jedną noc; na dworcu stolicy Turkiestanu miałem znowu dowód doskonałej organizacji policji rosyj-

skiej; agenci wyszukali mnie zaraz w tłumie przyjezdnych jako cudzoziemca i grzecznie, ale długo rozpytywali się o cel mojej podróży i o wiele innych szczegółów, dotyczących się mego życia, zapisując to wszystko skwapliwie w ogromnej, na zewnątrz imponująco się przedstawiającej księdze służbowej. Mieliśmy trudności z przewiezieniem licznych moich tłumoków do miasta, gdyż małe dorożki tutejsze, zaprzężone w dwa kirgiskie koniki, z których jeden idzie w rosyjskim zaprzęgu w środku, drugi luzem galopuje z boku, nie mogły podjąć się przewozu ciężkiego bagażu. Trzeba było w tym celu nająć tutejszy sartański wehikuł, zwany arba. Jest to najśmieszniejszy rodzaj wozu, jaki w życiu widziałem. Między dwoma gigantycznymi o dwumetrowej średnicy kołami umieszczona jest platforma z desek, na której się kładzie ciężary. Woźnica siedzi na przodzie, prawie na zadzie konia podciągając wysoko nogi, które na obu dyszlach znajdują oparcie. Przestrzeń między kołami jest tak szeroka, że u nas nie mogłaby arba jeździć po żadnej drugoklasowej drodze publicznej. W niezmierzonych natomiast stepach azjatyckich oddaje ona znaczne usługi przesuwając się z małpą zręcznością przez wszystkie rowy, rozpadliny ziemne i łożyska rzek.

Stałem w holetu „Rosja“, który mnie zadziwił swoją czystością i znacznym stosunkowo komfortem; musiałem tylko przedwcześnie rozpakować polowę swoją pościel, gdyż gościowi hotelowemu nie daje się tutaj żadnej pościeli. Taszkient to miasto

zieleni; nigdzie pewnie na świecie nie ma między murami kamienic tyle drzew, jak tutaj. Wszystkie ulice są wysadzone sześcioma lub ośmioma rzędami wysokich drzew, a wiosenne teraz liście tych niezliczonych brzoź i topól tworzą jakby jasnozielone kopuły nad głową przechodnia. Pierwszego zaraz dnia złożyłem wizytę p. Baranowskiemu, dyplomatycznemu agentowi tutejszego generał-gubernatora; chciałem go na podstawie listu polecającego z Petersburga, wystosowanego do niego, prosić, aby mi wyjednał potrzebne do dalszej podróży pozwolenia rządowe. P. Baranowski oświadczył mi, że muszę w tej sprawie być sam u gubernatora, generała Samsonowa, i że mnie zawiadomi w hotelu, kiedy mnie wysoki ten dostojnik będzie mógł przyjąć. Dwa dni wypadnie mi w każdym razie czekać, gdyż jednego dnia to niedziela, drugiego zaś jeden z niezliczonych w Rosji dni galowych, w których nieszczęśliwa ludność obchodzić musi wszystkie ważniejsze daty życia przeważnej części członków rodziny panującej, powstrzymując się w te dni od wszelkiej pracy i wywieszając w patriotycznym, ale przeważnie przez policję wytworzonym uniesieniu w oknach swych mieszkań chorągwie o barwach państwowych. Na ulicach Taszkientu zauważyłem wszędzie pary małych turkawek, czy synogarlic i byłem pewny, że to swojskie ptaki, gdyż nie bały się wcale ludzi. Później dopiero powiedziano mi, że to dzikie turkawki, które we wszystkich miastach Turkestanu setkami się znajdują, gnieźdząc się często i na

ulicznych drzewach. Śliczne jest ich upierzenie; płaszczy mają jasno-siwy, a skrzydła, szyja i główka błyszczą się w fioletowych odcieniach ciemno-szarych piórek. Nigdy takiej synogarlicy samej nie widziałem; samiec trzyma się zawsze wiernie samiczki — podobnie, jak to u małych, zielonych papużek tzw. nierozdzielnych bywa — dając tym naśladowania godny przykład ludziom tak niechętnie przebywającym przez czas dłuższy w zgodnej, legalnej parze.

W niedzielę wybrałem się do katolickiego kościoła, który jest mały, ale schludny i zajmuje środek piętrowego budynku mieszkalnego. Ewangelię czytał ksiądz po rosyjsku, litewsku i polsku. Dopiero przy polskim czytaniu zauważyć było można u uczestników nabożeństwa zainteresowanie się słowami Pisma Św.; widać z tego było, że licznie zgromadzeni pobożni to sami Polacy. Po mszy zapoznałem się z księdzem, miłym i dzielnym Litwinem, który jest duszą taszkienckiej kolonii polskiej i opiekunem wszystkich Polaków w Azji Środkowej. Ks. Pranajtis przybył tutaj lat temu kilkadziesiąt, wezwany przez nieliczną wtedy garstkę Polaków turkiestańskich i nie miał przez dłuższy czas ani dachu nad głową, ani nawet ołtarza do odprawiania Mszy św. Dzięki swej przedsiębiorczości i zapobiegliwości, a zwłaszcza swej niezmordowanej pracy, stworzył on w Taszkencie po pewnym czasie zamożną parafię polską, która posiada nie tylko piękny dom z kościołem i ochronkę, ale jest również właścicielką wielkiej przestrzeni

gruntów, w mieście położonych i znaczną wartość pieniężną przedstawiających. Obchodząc te posiadłości parafialne nie mogłem nie podziwiać dzieła, które tu mógł stworzyć jeden człowiek energiczny i dla wyższej idei pracujący. Na potrzeby parafii i biedniejszych Polaków założył tu proboszcz formalne gospodarstwo dostarczające mu w wielkich ilościach jarzyn, zboża i nabiału; młyn i umiejętnie prowadzona kuźnia przyczyniają się również do powiększenia dochodów parafii i umożliwiają księdzu utrzymywanie okazałej liczby sierot w ochronie parafialnej. Mimo, że parafia taszkiencka zajmuje przestrzeń większą, niż całe Austro-Węgry, nie miał do niedawna tutejszy proboszcz żadnego pomocnika i sam musiał pełnić wszystkie obowiązki duszpasterskie na tym olbrzymim obszarze, dość gęsto przez katolików zamieszkałym. W Turkiestanie przebywają bowiem liczni stosunkowo urzędnicy-Polacy, a w oddziałach wojskowych służy też wiele katolików. Pragnąc przynajmniej co dwa lata zwiedzić wszystkie miejscowości, w których przebywa kilka owieczek, urządził ksiądz kościółek w wielkim wozie, a raczej wagonie i przenosi się z nim ciągle z miejsca na miejsce bądź to jadąc na szynach, bądź to posługując się siłą pociągową koni. Opowiedział mi, że rząd tutejszy na wszelki sposób mu jego zadanie ułatwia i nawet materialnie go popiera, przewożąc na kolejach wóz z kapliczką bezpłatnie. Oglądałem także przygotowania, poczynione do budowy nowego, monumentalnego kościoła, który się będzie wznosił

w ślicznym położeniu na wzgórzu nad rzeczką miasto okrążającą. Ksiądz ma nad tym strumieniem budkę kąpielową i bierze w niej w rzadkich chwilach wypoczynku kąpiele słoneczne, których jest gorącym zwolennikiem. Przez szereg lat cierpiał on ciągle na malarię i inne złośliwe gorączki, które w Turkiestanie silnie grasują, i miał już całkiem zniszczone nimi zdrowie. Kąpiele słoneczne tak go wyleczyły, że obecnie, mając lat sześćdziesiąt, czuje się zdrowszym i silniejszym niż kiedykolwiek. Znając z własnego doświadczenia olbrzymią siłę leczniczą słońca, jestem też zupełnie przekonany, że promieniom tego ciała niebieskiego można zawdzięczać wyleczenie się z febry. Swoją drogą ma ksiądz tu w Turkiestanie dość sposobności do użycia tego środka leczniczego, bo przez sześć miesięcy letnich tutaj prawie nigdy nie ma deszczu.

Proboszcz dał mi kilka bardzo pożytecznych wskazówek co do dalszej podróży i zwrócił moją uwagę na wielkie trudności, które na dalszej drodze do Przewalska przezwyciężyć będzie musiał; przepowiadał mi, że z powodu braku koni pocztowych będę musiał na licznych stacjach długo bardzo się zatrzymywać tak, że wcale przewidzieć się nie da, kiedy będę mógł do granicy chińskiej się dostać; przy szczęściu mogę przebyć tę ogromną przestrzeń już w dniach piętnastu, ale mógłbym tak samo być i cały miesiąc w drodze w razie niesprzyjających okoliczności. Ksiądz twierdził też, że zyskałbym wiele czasu, jadąc własnym tarantasem; przekładanie rze-

czy na każdej stacji z jednego tarantasa pocztowego na drugi trwa zawsze więcej jak godzinę, podczas gdy sama zmiana koni w kilku minutach nastąpić może. Uwaga ta tak mi trafiła do przekonania, że zdecydowałem się kupić własny swój wehikuł i poprosiłem księdza, aby mi jako dokładny znawca stosunków miejscowych w tym względzie dopomógł. ks. Pranajtis przywołał zaraz parafialnego kowala, który pojechał ze mną do miasta celem wyszukania odpowiedniego tarantasa. Tarantasem nazywają specjalny rodzaj woza, nadający się na drogi tutejsze, a raczej nadający się do jazdy po okolicach, gdzie właściwie — jak tutaj — dróg w prawdziwym tego słowa znaczeniu nie ma. Koła tylne i przednie znajdują się daleko poza siedzeniem i połączone są ze sobą bardzo długimi i elastycznymi drzewcami; taka budowa ma osłabiać trzęsienie wozu w czasie jazdy po nierównym gruncie i zastępować resory, których tu używać nie można, bo już pierwszego dnia jazdy pęknąć by musiały. Osie tarantasa muszą być nadzwyczaj silnie spojone i żelaznymi sztabami wzmocnione, aby przetrwać wszelkie wstrząśnienia szybkiej jazdy po kamieniach. Tarantasy wyrabiają tylko w jakimś mieście w północnej Rosji i to wyłącznie na zamówienie; w Turkiestanie można by tarantas chyba okazyjnie nabyć od właściciela, który go już nie potrzebuje. Niestety nie było teraz w całym Taszkencie takiego wozu na sprzedaż. Po dłuższych poszukiwaniach znaleźliśmy natomiast inny wehikuł, który według opinii kowala miał być

dla mnie bardzo odpowiedni. Budowa kół, osi i spodu była taka sama jak u tarantasa, wierzch natomiast był zanadto pojedynczy, gdyż nie posiadał właściwego siedzenia; proste deski tworzyły płytkie tylko zagłębienie w formie wanienki, a listwy drewniane podpierały budkę z płótna jako ochronę od deszczu i słońca. Nie mogłem sobie wyobrazić, jak będę mógł na takim wózeku razem ze służącym przez kilka tygodni wysiedzieć. Nie było jednak wyboru i trzeba było nabyć dziwny ten wehikuł. Cena jego wręcz mi zaimponowała, kazano mi bowiem zapłacić zań 140 rubli; za te pieniądze możnaby u nas prawie kupić ładny faeton na resorach! Kupienie wozu wpłynęło też na zmianę mej dalszej drogi; miałem poprzednio jechać jeszcze sześć godzin koleją do stacji Kabuł-Sai, leżącej na linii kolejowej Taszkient-Samara, skąd się zaczyna szlak pocztowy prowadzący do wschodniego Turkiestanu. Ponieważ przewóz mej telegi — tak nazywają Rosjanie tę formę wózka — koleją do pierwszej stacji pocztowej byłby bezwarunkowo niepotrzebnym utrudnieniem dalszej podróży, postanowiłem pojechać z Taszkientu prywatnymi końmi wprost do najbliższego miasteczka, leżącego na drodze do Przewalska i tam dopiero nająć konie pocztowe. Przedłużałem wprawdzie w ten sposób drogę wozową o jakie 150 km, ale mogłem za to spokojniej i lepiej upakować moje rzeczy na teledze.

W trzecim dniu mego pobytu w Taszkencie przyszło niecierpliwie oczekiwane zaproszenie na

audiencję do generał-gubernatora. W poczekalni przyjął mnie adiutant generała Samsonowa, ks. Oboleński, którego przysłano tutaj z Petersburga, gdzie w gwardii cesarskiej służy, dla poratowania zdrowia w cieplejszym klimacie. Musiałem chwilę czekać, gdyż gubernator przyjmował właśnie u siebie delegację chana Chiwy, który jest tak samo lennikiem Rosji, jak chan bucharski. Członków tego poselstwa ujrzałem chwilę potem, jak od generała wychodzili. Wydało mi się, że widzę jakieś postacie z 1001 nocy, że to sam Harun-al-Raszyd ze swoimi wezyrami mi się ukazuje! Trzej delegaci chańscy byli mężczyznami o postaci wspaniałej i wzroście wysokim z długimi, jedwabistymi brodami; szaty ich z purpurowego, wzorzystego jedwabiu spięte były szerokimi, metalowymi pasami, wysadzonymi gęsto brylantami pokaźnej wielkości; były to z pewnością prawdziwe kamienie, bo iskrzyły się żywo w świetle promieni słońca, wpadających przez okna komnaty. U pasów zwieszały się długie zakrzywione szable, których pochwy prawie całkiem drogimi kamieniami były pokryte. Na głowach mieli duże, na metr wysokie czapki z lamparciej i tygrysiej skóry, a naokoło wisiały na złotych łańcuszkach kaboszony rubinów, szmaragdów i szafirów; u góry zaś chwiały się jakieś długie, różnobarwne pióra z nieznanego mi pochodzące ptaka. Całość przypominała może nieco bogaty bardzo strój polski z czasów bezpowrotnie minionych. Generał-gubernator przyjął mnie z wyszukaną uprzejmością; oznajmił mi, że przyjazd mój

zapowiedziano już z Petersburga i że wszystkie rozkazy celem ułatwienia mej podróży już są wydane. Teraz obiecał mi nadto, że każe zatelegraować do wszystkich stacyj pocztowych we wschodnim Turkiestanie z poleceniem, aby mnie — o ile możliwości — nigdzie w drodze nie zatrzymywano i aby konie pocztowe były dla mnie wszędzie zarezerwowane bez względu na innych przejeżdżających, chociażby oni byli oficerami i urzędnikami, mającymi zwykle pierwszeństwo przed cywilnymi pasażerami. Kancelaria gubernatora ma mi zaś wydać pismo uwierzytelniające, w którym wszystkim władzom będzie nakazane, aby okazicielowi szli zawsze na rękę i udzielali mu wszelkich ułatwień. Za takie nadzwyczaj łaskawe poparcie udzielone mej ekspedycji musiałem być generałowi Samsonowowi głęboko wdzięczny; ale najbardziej rozczył mnie on propozycją uczynioną na wychodnym; zgadnąwszy bowiem, że jestem Polakiem, powiedział mi, iż mi na czas mego pobytu w Taszkencie przydzieli rodaka, swego urzędnika do szczególnych poruczeń, radcę stanu Radziejewskiego dla ułatwienia mi ostatnich przygotowań do wyjazdu na daleki Wschód. Generał-adiutant Samsonow zrobił mi wrażenie bardzo rozumnego i wykształconego człowieka. W stosunkowo młodym wieku doszedł on do jednego z najwyższych stanowisk w carstwie rosyjskim, dzięki zasługom, położonym w wojnie japońskiej, w której brał wybitny udział i jako dowódca rosyjskiej straży przedniej bardzo się odznaczył. Od kilku Rosjan

słyszałem, że on i generał Miszczenko są jedynymi wyższymi komendantami, którzy się w tej nieszczęśliwej wojnie chwałą okryć zdołali.¹

Wkrótce po mojej audiencji zjawił się u mnie p. Radziejewski, typowy polski szlachcic z sumiastymi wąsami, i przemówił do mnie tak ładnie po polsku, jak gdyby nigdy w życiu z Warszawy nie był wyjeżdżał. W rzeczywistości urodził się on gdzieś w głębi Rosji i całe życie przebywał w Azji, naprzód na Syberii, a następnie w Turkiestanie. Jako zdolny inżynier budował przez szereg lat kolej syberyjską i wyrobił sobie opinię tak dzielnego i uczciwego człowieka w sferach urzędowych, że przydzielono go teraz generałowi Samsonowowi nie w charakterze technika, ale jako urzędnika do załatwiania wyjątkowo zawitych i delikatnych zagadnień politycznych. Teraz właśnie zajmował się on bardzo ciekawą sprawą; miał obmyśleć środki, którymi można by zapobiec szkodliwej działalności Żydów turkiestańskich, niszczącej ludność tuziemną. W Turkiestanie, a zwłaszcza w Bucharze, żyli z dawien dawna Żydzi, którzy w zamierzchłej przeszłości tutaj przywędrowali. Religia tych izraelitów nie jest już czysto żydowską i zawiera wiele naleciałości mahomekańskich; tak np. panuje u nich wielożeństwo. Niektórzy ludzie utrzymują, że ci Żydzi bucharscy tworzą dwunasty szczep żydowski, który się gdzieś zatracił, wywędrowawszy z Palestyny w nieznane

¹ Gen. Samsonów poległ w r. 1914 w nieszczęśliwej dla Rosjan bitwie nad Jeziorami Mazurskimi jako dowódca jednej z armij.

jakieś strony. Za czasów panowania muzułmańskiego w Azji centralnej był los Żydów bucharskich ciężki i okropny. Nie mieli oni żadnych praw obywatelskich i nie wolno im było posiadać nieruchomości; mogli więc jedynie pośredniczyć w zawieraniu kupieckich interesów. Każdy Żyd musiał nosić na sobie gruby powróż w tym celu, aby muzułmanin, któremu on wszedł w drogę zaraz tym sznurem mógł go obiczować. Po zajęciu Turkiestanu przez Rosjan i oddaniu się chanatu bucharskiego pod lenno Rosji polepszyło się nagle położenie tych Żydów, co spowodowało, że wszystkie ich złe instynkty, trzymane na wodzy wielowiekowym prześladowaniem nagle się obudziły. Zaczęli oni na wielką skalę uprawiać handel, zakupywać ziemię i wypierają w ten sposób Sartów i Kirgizów z ich siedzib. Sartowie, zamieszkujący miasta tutejsze, trudnią się także z zapalem interesami handlowymi; będąc jednak nadzwyczaj uczciwymi i słownymi kupcami, a nie znając dokładnie obowiązującego prawa ulegają w regule chytrłości żydowskiej i procesy regularnie przegrywają, tracąc w ten sposób powoli swoje majątki. Mieszkający zaś w stepach Kirgizi są jako prości, a uczciwi pasterze oddani już całkiem na łup żydowskiej chciwości. Materialny pogrom azjatyckich plemion następuje tym pewniej, jeżeli Żyd bucharski działa w spółce z Żydami rosyjskimi, którzy od kilku lat w wielkich masach tu, przyjeżdżają posiadając w Azji o wiele więcej praw niż w Rosji, bo wolno im się wszędzie osiedlić i ziemię

nabywać. Władze myślą więc obecnie nad tym, w jaki sposób tę swawolę ukrócić by można, gdyż doszło już do tego, że izraelici całe wsie sarskie i auly kirgiskie z ziemi wyzuli.

Wieczorem zaprowadził mnie radca Radziejewski do oryginalnej jadłodajni kaukaskiej; jadłem tam smaczne kurczę podane rozplaszczone na półmisku, a pieczone w smalcu i niemożliwie tłusty szaszłyk barani. Ewentualne złe skutki zbyt tłustej strawy starałem się zażegnać zapijając dobre bardzo wino kachetyńskie, przypominające zupełnie lekkie, czerwone francuskie. Tego samego dnia wyszukałem sobie z pomocą portiera hotelowego woźnicę, który podjął się zawieźć mnie i mój wóz do Czymkientu, skąd miała się rozpocząć pocztowa droga. Był to Niemiec z kolonii niemieckiej, położonej 300 km stąd na wschód, koło miasteczka Aulie-Ata. Niemcy ci przybyli do Turkiestanu lat temu kilkanaście znad Wołgi, gdzie jeszcze za czasów Katarzyny II powstały kwitnące niemieckie kolonie. Zadziwiło mnie, jak ci Niemcy, którzy od tylu generacji wszelką spójnię z ojczyzną stracili, zdołali zachować wszystkie właściwości narodowe. Mówią czysto swym ojczystym językiem, a wielu z nich nie umie i do tej pory po rosyjsku, i są tak samo flegmatyczni, systematyczni i porządni, jak ich bracia nad Renem. Żenią się naturalnie tylko między sobą i, gdy im w turkiestańskich koloniach zabraknie dziewczuszek, przywożą sobie Niemeczki aż znad szerokiej Wołgi. Wszyscy bez wyjątku należą do sekty menonitów.

Jedenastego maja miał nastąpić mój wyjazd z Taszkientu; noc ten dzień poprzedzającą miałem okropną, bo spożyte kaukaskie tłuszcze burzyły się w moim wnętrzu i chciały je w niedelikatny i zbyt przyspieszony sposób opuścić. Niewyspany więc i przybity na duchu przewiozłem rano cały swój dobytek z hotelu na parafię polską, gdzie ksiądz proboszcz i radca Radziejewski, a nawet kowal parafialny mieli wszyscy radą lub czynem pomagać przy układaniu rzeczy na wozie. Było to bowiem nader trudne zadanie ze względu na wielką liczbę pakunków, a małe rozmiary wózka. Próbowaliśmy upakować dziesięć moich tobołków na rozmaite sposoby; w płytkiej jednak wanience, tworzącej siedzenie telegi, na wszystko miejsca nie było i zdawało się już pewnem, że dwa albo trzy mniej ważne tłumoki trzeba będzie poświęcić i tu porzucić. Na szczęście wpadł poczciwy kowal na myśl wybudowania z tyłu wózka platformy, na której by jeden z moich żelaznych kuferków i skrzynię z konserwami przytwierdzić można. Tak się też stało; mimo to musieliśmy siedzieć w wozie na kufrach wysoko, jak myszy na pudle; dla nóg w środku miejsca nie było tak, że one, bez oparcia na zewnątrz wisiały, głowy zaś nasze znajdowały się w niemiłym sąsiedztwie drewnianych sztab, podtrzymujących budkę ochronną nad wózkiem. Ksiądz Pranajtis, widząc nas zmartwionych tym niewygodnym siedzeniem, pocieszał nas, powiadając, że w drodze wszystko to się uleży i nam wcale dobrze będzie jechać. Jego

zdaniem powinno się wóz na tak daleką drogę urządzić sobie jak domek, w którym i jeść i spać można. Nasz domeczek wygodny w każdym razie nie był tak, że w ogóle miałem wątpliwości, czy na nim kilkunastodniową drogę przetrzymać zdołam. O dwunastej wyruszyliśmy z plebanii, sądząc, że już naprawdę Taszkient opuszczamy. Flegmatyczny jednak Niemiec uznał potrzebę nakarmienia koni po raz drugi w dniu dzisiejszym i zawiózł nas naprzód do karczmy tzw. karawansaraju, w którym poprzednio nocował. Była to obrzydliwa nora, w której uwijało się pełno dziko wyglądających wyrzutków społeczeństwa patrzących się na mnie w sposób nie wzbudzający zaufania; woźnica nasz wcale się nie śpieszył i jadł sobie spokojnie obiad, nie troszcząc się o swoich pasażerów, siedzących beczynnie na wozie w promieniach gorącego słońca. Dopiero o czwartej po południu rozpoczęliśmy naprawdę tę tysiąc pięćsetkilometrową kołową jazdę celem dotarcia w głąb azjatyckiego kontynentu. Pierwsze wrażenie jazdy było fatalne; wózek podrzucał nas wysoko na każdym kamieniu i na każdej dziurze, których tu było bardzo wiele. Aby nie wypaść z telegi w czasie jazdy należało wciąż trzymać się silnie drewnianych sztab na górze; plecy zaś nie mające żadnego oparcia już po godzinie jazdy silnie bolały. Pedantyzm właściwy Niemcom i u naszego Johana w niemiły sposób się objawiał. Przy każdej kałuży poił on konie; oprócz tego zatrzymywał się nadmiernie często dla opatrywania uprzęży i załatwiania osobistych swoich

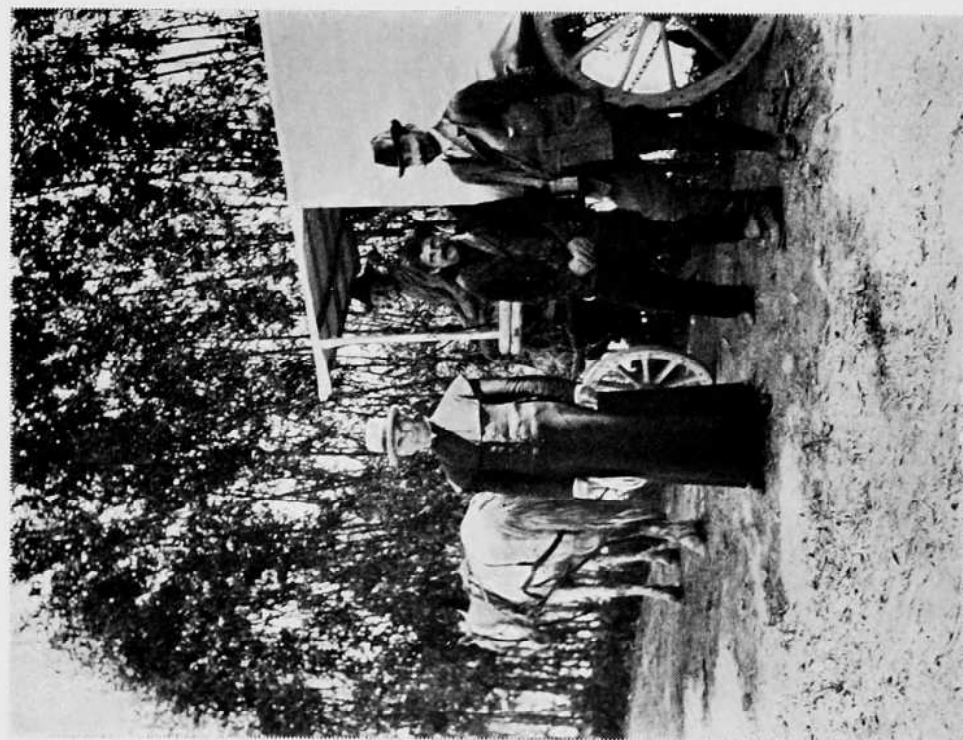
potrzeb. Po przebyciu 35 km zajechaliśmy na noc do jakiegoś tatarskiego saraja; telegę zaciągnął wóznica na wielkie, murem z gliny otoczone podwórze, na którym stało już mnóstwo rozmaitego gatunku wozów ciężarowych i gdzie rozlegało się silne chrapanie zdrowych widocznie, ale półdzikich i niezwykłych myć się ludzi; mimo, że podwórze nie miało dachu panował tam niemiły zaduch i nader nieprzyjemna woń. Przez ciekawą, a nielogiczną asocjację myśli przypomniało mi się tutaj, że ten sam rodzaj niedobrego powietrza uczułem lat temu kilka w parlamencie wiedeńskim, wchodząc do sali obrad, w której się po raz pierwszy byli zgromadzili posłowie przez czteroprzymiotnikowe głosowanie wybrani.

Trzeba się było zająć kolacją; obszedłem całą wieś i zdołałem z trudnością kupić kilka jaj, które mi potem jakaś brudna, ale ładniutka Ormianka ugotować raczyła. Po tym raczej skromnym posiłku rozciągnąłem się wraz ze strzelcem na wózku, na którym wcale nieźle można było leżeć; nogi tylko zwisały na dół w powietrzu, gdyż wóz był nader krótki. Mimo brudne i niechlujne otoczenie miała ta noc pewien czar i poezję. Pełnia księżyca nadawała fantastyczne kształty otaczającym nas arbom i innym dziwnego kształtu wehikułom; w dalekim stepie słyhać było od czasu do czasu wycie wilków, któremu bliżej wtórowało zajadle szczekanie licznych psów wiejskich. O trzeciej rano już uwiózł nas nasz Johan jeszcze podczas snu w dalszą drogę; zostaliśmy w niemiły sposób obudzeni przez trzę-

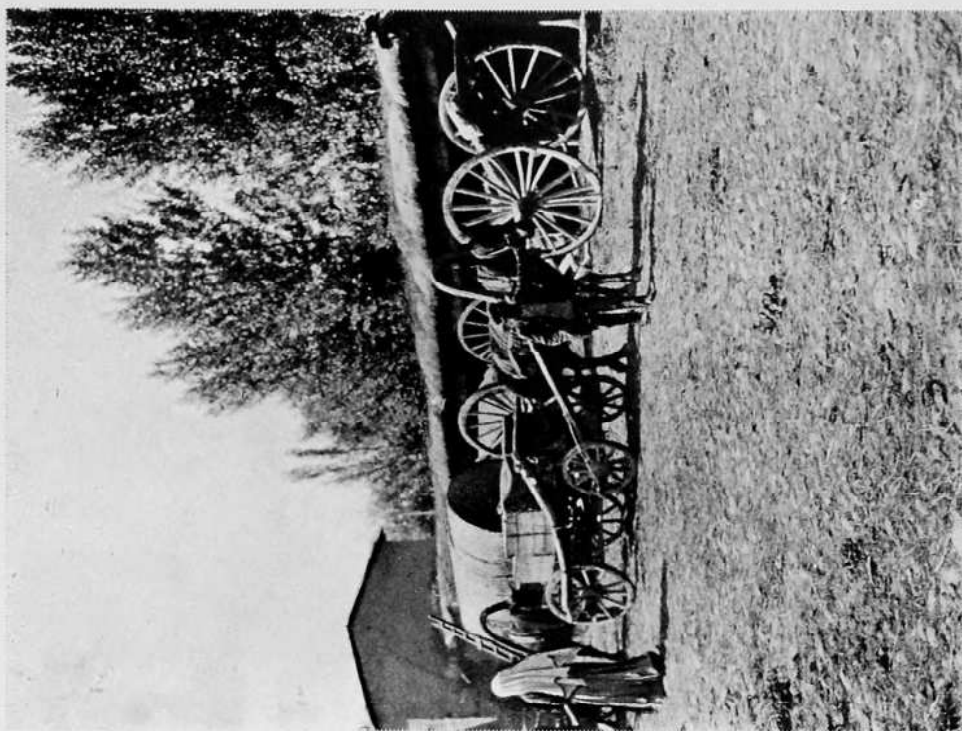
sienie telegi po kamieniach. Tak jechaliśmy ciągle aż do dwunastej w nocy, popasając w drodze ze sześć razy; te popasy, które trwały od jednej do trzech godzin, były nudne, ale konieczne dla dania wypoczynku nie tylko koniom, ale i rozkołatanim i zbolalym ciałom naszym.

Do Czymkientu dojechaliśmy 13 maja rano, przed południem, przejechawszy około 200 km w niespełna dwie doby. Konie Niemca, wyglądające na oko nędznie, okazały się bardzo wytrzymałe i nie sędzę, aby konie europejskie mogły w dwa dni przebyć tak znaczną przestrzeń z trzema ludźmi, ciężkim dość wózkiem i bagażami, ważącymi pewnie z 500 kg.

Czymkient to zielona oaza wśród niezmięrzonych stepów; miasteczko ukryte w głębokim jarze znika w morzu młodych, ale już wysokich drzewek. Opowiadano mi w Taszkencie, że drzewa na tutejszym dziewiczym gruncie z czarodziejską rosną szybkością, a widziałem tu rzeczywiście topole zasadzone lat temu dziesięć, a tak wysokie jak u nas trzydziestoletnie drzewa. Na pocście w Czymkencie nie miała nam zwiastowano nowinę: że szlak pocztowy do najbliższego większego miasteczka Aulie-Ata jest zupełnie zdeorganizowany i że o przejeździe tych 200 km pocztowymi końmi mowy być nie może. Konie miały wyzdychać z powodu jakiejś zarazy, czy przemęczenia i poczta musi najmować konie prywatne nawet dla przewozu pocztowych przesyłek. Wobec tego nie pozostawało nic innego do



Przed wyjazdem z Taszkientu.



Karawanseraj w Turkiestanie.



Karawana wielbłądza.



Bard sarcki w Aulie-ata.

zrobienia, jak najać Johana i na ten dalszy etap. Dla niego była to gratka nielada, gdyż on tę drogę, chcąc się dostać do domu i tak przejechać musiał, a w ten sposób zarabiał najniespodziewaniej jeszcze 30 rubli. Za miastem mieliśmy ciekawe zdarzenie; spotkaliśmy w stepie jakiegoś bogatego rosyjskiego kolonistę, jadącego z szaloną szybkością piątką koni zaprzężonych do lekkiego wózka. Był najzupełniej pijany i o mało nas nie rozbił. Johan wszczął z nim rozmowę i pochwalił jego konie; na to pijanica zaproponował zamianę jednego konia; Niemiec przyjął skwapliwie tę propozycję widząc dobrze, że wszystkie konie kolonisty są dobre, silne i młode. Myślałem, że to tylko żart pijaka i oczom swoim wierzyć nie chciałem, gdy chwilę już później telegę moją ciągnął dobry koń rosyjskiego chłopca, podczas gdy on zabierał, zataczając się, nędzną szkapę Niemca na swoją własność. Widać, że wódka i w Azji rozum ludziom mać. Przyznać jednak muszę, że to był jedyny pijany Rosjanin, którego w ciągu całego pobytu w Turkiestanie spotkałem. Koloniści tutejsi robią w ogóle doskonałe wrażenie; są oni widocznie inteligentni, weseli, trzeźwi i zamożni i posiadają bezsprzecznie wyższy stopień kultury, niż chłopci wielkorosyjscy. Zewnętrzny już wygląd wsi przez nich zamieszkałych, świadczy dobrze o ich zapobiegliwości gospodarczej. Domy są obszerne, porządnie zbudowane, zaopatrzone w piece i werandy, a na zewnątrz kolorowo ładnie pomalowane; w stajniach spotyka się dużo bydła, owiec

i koni. Kobiety zarówno, jak i mężczyźni, ubierają się bardzo barwnie i czysto. W każdej niemal wsi zauważyłem cerkiew i szkołę, a rozmawiając z dziećmi, stwierdziłem, że wiele z nich umie czytać i pisać.

Na koloniach turkiestańskich osadził rząd już pewnie kilka milionów włościan — mówiono mi, że jest tu najwięcej Małorusinów z południowo zachodnich gubernij — a jeszcze teraz płyną z wnętrza Rosji nieprzejrzone dalsze falangi kolonistów, których tutaj przywabia i łatwość otrzymania ziemi i łagodny klimat. Rząd daje osiadłym tu poddanym znaczne przywileje; nie płacą oni żadnych bezpośrednich podatków i są dotąd zupełnie wolni od służby wojskowej. Nie ulega wątpliwości, że Rosja przez tę na wielką skalę prowadzoną kolonizację Azji Środkowej stworzyła wielkie, imponujące dzieło cywilizacyjne.

Zupełnie inny widok niż we wsiach rosyjskich przedstawia się podróżnikowi przejeżdżającemu przez miasteczka zamieszkałe przez Sartów. Człowiek myśli, że przebywa w Ziemi Świętej za czasów Chrystusowych, gdyż widzi wszędzie apostołskie twarze, takie, jak je znamy z obrazów religijnych, stworzonych przez mistrzów renesansu włoskiego. Długobrodzi, poważni i stateczni mężczyźni, odziani w długie kolorowe chałaty siedzą nieruchomo na drewnianych balkonikach znajdujących się przed każdym domkiem i nie zwracają wcale uwagi na ruch uliczny, zajęci — jak się zdaje — wyłącznie piciem herbaty, którą zagryzają słodkimi migdałami. Kobiet

i tutaj na pozór brak zupełny; czasem tylko widzi się grube, niebieskawe worki sunące chyżo wzdłuż ścian domków i przypuszczać należy, że w tych ruchomych workach znajdują się przedstawicielki tutejszej płci pięknej. A śliczne muszą być te żony i córki Sartów, sądząc po mężczyznach, którzy są wspaniali. Raz tylko miałem krótką wizję sarskiej piękności; w Aulie-Ata spotkałem jakąś widocznie wielką muzułmańską panię, jechała bowiem na wspaniałym, bogato przybranym wielbłądzie i była otoczona całą zgrają służby. Gdym koło niej przejeżdżał, raczyła popełnić grzech, o pomstę do Mahometa wołający, i uchyliła rąbek swej zasłony; ujrzałem czarne, namiętne oczy kształtu migdałów i owal cudnej twarzyczki koloru dojrzałej brzoskwini. Do Aulie-Ata dojechałem 15 rano; w miasteczku tym panował ruch olbrzymi, bo był to dzień — jak się zdaje — targowy. Na ulicach nie widzi się tu wcale ludzi pieszych; wszystko, co ma po dwie nogi, jeździ na koniu, na ośle lub wielbłądzie. Kilkolennie chłopaczki i małe nawet dziewczynki siedzą dziarsko na małych konikach i pędzą, co koń wyskoczy, wśród tłumu innych jeźdźców. Tu pożegnaliśmy ostatecznie Johana i dostaliśmy po kilku godzinach wyczekiwania trójkę wspaniałych pocztowych koni. Trójka ta pognęła jak wiatr do następnej stacji; przejechaliśmy 30 wiorst w niespełna 2¹/₂ godziny. Inna to była jazda z jak flegmatycznym Niemcem, choć dla moich kości jeszcze boleśnieszka.

Nudzić się podczas takiej jazdy nie ma moż-

ności; z jednej bowiem strony trzeba się stale trzymać kurczowo na wózku, aby z niego nie wypaść, z drugiej zaś widzi się ciągle coś ciekawego, co uwagę przykuwa i zajmuje oko. Już sama jazda dziewczynym stepem w jego czarującej wiosennej szacie ma dużo w sobie poezji; dekoracja zmienia się co chwila jakby w teatrze. Tu na lewo widać zielone bujne łąki, tam na prawo znowu kamieniste postrzępione pagórki, a dalej rozciąga się duży szmat żółtego, lotnego piasku. Na urodzajnych obszarach stepu jest teraz moc kwiatów, widać duże przestrzenie pokryte kwieciami jednego koloru; tam tworzą maki czerwone barwne kobierce, tu ścielą się duże jakieś anemony białym po ziemi obrusem; gdzieś tam zaś pokryła przyroda-artystka ziemię bogatym haftem błękitnych niezapominajek.

Pocztą jedzie się istotnie bardzo dobrze, dziennie robimy bowiem 100 do 120 wiorst; swoją drogą, aby taką przestrzeń w ciągu doby ujechać, trzeba być w ruchu od 4 rano do 12 w nocy zmieniając konie 4 lub 6 razy. Na stacjach czeka się tylko tak długo, jak długo trwa przeprężenie koni; płaci się tam takse za przejazd do następnej stacji i daje się napiwek woźnicy. Wydaje mi się, że od wysokości napiwka zależy szybkość jazdy; jeden woźnica zwierza się drugiemu, że otrzymał dobrą nagrodę i ten rusza wobec tego z miejsca galopem. Ostatecznie widziałem się zmuszony zmniejszyć napiwki, gdyż Kirgizi pędzili tak szybko, jakby nas roztrząść chcieli. Są oni doskonałymi powożącymi, ale nie zważają na

żadne przeszkody terenu. Dziwnym jest, że można dostać czasem konie nadzwyczajnie dobre, a czasem zupełnie nędzne i zbyt częstymi, forsownymi jazdami całkiem wycieńczone. Niekiedy są konie prawie dzikie i jeszcze nieujeżdżone; takimi rumakami jechać niemiło, gdyż często ponoszą, co i nam kilkakrotnie się zdarzyło. Raz uniknęliśmy niemal cudem jakiejś katastrofy; rozbiegane konie wpadły w głębokie, stromymi brzegami opatrzone łożysko rzeki. Na szczęście udało się nam w ostatniej chwili zeskoczyć na ziemię, wóz jednak się wywrócił i dziwić się trzeba, że na kamieniach rzecznych na kawałki się nie rozleciał. 17 maja wieczorem dojechaliśmy znów do większego miasta, Piszpieka; tam dzieli się droga pocztowa na dwa rozgałęzienia. jedno z nich prowadzi do Wiernego, stołecznego miasta gubernii siemirieczńskiej, drugie zwraca się ku górom tienszańskim i biegnie wzdłuż północnego wybrzeża jeziora Issyk-Kul do Przewalska. Ostatnimi dniami spotykałem ciągle olbrzymie karawany wielbłądów. Wielbłąd tutejszy nie jest tym brzydkim zwierzęciem, które się widuje w Arabii i północnej Afryce z gołą zupełnie, brodawkami tylko i bliznami pokrytą skórą i odrażająco chudymi kanciastymi kształtami. Przeciwnie, jest to okazałe, tłuste stworzenie z pięknym długim włosiem, który u starych zwłaszcza samców zwisa na szyi i na udach w długich bujnych kosmykach. Ponieważ noga jest od kolan do kopyt naga, ma się wrażenie że wielbłąd ubrał się w majtki pożyczone od kobiety dbającej

o ciepłe zaopatrzenie dolnych kończyn. Maść tych zwierząt jest przeważnie jasno-bura, widać jednak czasem kremowe i ciemno-brunatne okazy. W karawanie wielbłądy idą gęsiego, związane ze sobą sznurem; niektórym przywiązują na szyję dzwonki różnej wielkości. Dźwięk tych dzwonków rozkołysanych chodem zwierząt słyszeć daleko w stepie i wydaje się niekiedy, że to dzwony kościelne gdzieś w pobliżu biją. Na czele wielbłądziej karawany kroczy z reguły osiołek; nie dowiedziałem się, dlaczego tu temu sponiewieranemu w opinii świata zwierzęciu tak zaszczytne przypada zadanie.

Mówiono mi, iż z Piszpieku pojedę już pocztą bez żadnych większych trudności, a to z powodu że ruch przejezdnych do mało odwiedzanego, powiatowego tylko miasteczka Przewalska bywa niewielki. Tymczasem stało się przeciwnie; przed nami pojechało kilku oficerów wysłanych na topograficzne roboty w góry i koni na stacjach wcale nie zastałem. Już na drugim przegonie za Piszpiekiem trzeba było najać prywatne konie, aby zbyt długo na stacji na konie pocztowe nie czekać. Kolonista rosyjski dał mi — wprawdzie za horendalnie wysoką cenę — trójkę tak wspaniałych ogierów, że u nas i prezydent państwa nimi nie powstydzilby się jeździć. Konie były olbrzymiego wzrostu i bardzo szlachetnych form; w Europie musiałoby się za nie zapłacić conajmniej 6000 złotych, a tu był ich właścicielem prosty całkiem chłop. Zwiedziłem po drodze wieś dungańską. Dungani są to Chińczycy,

którzy w połowie zeszłego wieku wywędrowali z właściwych Chin do Turkiestanu i przyjęli mahometańską religię. Twarze ich są odrażająco chińskie i żółte; nie noszą jednak warkoczów i mają strój odmienny od chińskiego. Śmieszne wrażenie robią kobiety nie zakrywające twarzy. Zawijają się one od głowy do dołu w białe płótno, które na nogach tworzy szerokie szarawary; od kolan zaś do kostek są spodnie te ściągnięte białymi, filcowymi zawijaczami skręconymi w ten sposób, jak angielskie „putties“ do polowania. Śmieszna taka postać kobieta opiera się, chodząc po ulicy, na dłuższym od niej kiju pielgrzymim.

Na stacji Dżył-Aryk, położonej nad rzeką Czu, los złośliwy dał się nam we znaki i zatrzymał nas przez 10 godzin w pustej całkiem okolicy. Wszystkie konie pocztowe były w drodze, a koni prywatnych w pobliżu nigdzie nie można było najać. Miałem tam na szczęście miłe towarzystwo pułkownika Epanczyncowa, który jechał z żoną do Przewalska jako szef oddziału topograficznego, mającego odmierzyć niebadaną dotąd część gór tienszańskich. Korzystając z wolnego czasu zrobiłem wycieczkę entomologiczną na okoliczne, zupełnie gołe góry. Pod kamieniami znalazłem dużo ciekawych żuków, z których niektóre, żyjąc stale w ciemnościach, nie posiadały wcale oczu. Zresztą życia zwierzęcego na tych górach nie było wcale. Słyszałem tylko z daleka skrzeczenie srok — ten ptak jest rzeczywiście wszechobecny.

Rzeka Czu płynie tu w głębokiej przepaści wąskim bardzo korytem. Później ma się ona szeroko rozlewać, tworząc rozległe bagna, pokryte olbrzymią trzcina. W szuwarach wszystkich rzek turkiestańskich żyje dużo tygrysów; nikt jednak prawie na nie polować nie próbuje, gdyż w trzcinach ich nie dostanie, a one stamtąd wcale nie wychodzą żywiąc się wyłącznie dzikami, które na bagnach w wielkich ilościach się trzymają. Tygrysa tutejszego możnaby dostać chyba po śniegu idąc za jego tropem, o ile w ogóle człowiek mógłby się przedrzeć przez gęszcz kilkunietrowych trzcin; oprócz tego trzeba by mieć i psy gończe, które by za tygrysem iść i ostanowić go się odważyły. Śnieg jednak tutaj na równinie prawie nigdy nie leży, a psy należałoby aż z Europy brać ze sobą. W takich warunkach uznałem, że się w ogóle nie opłaci próbować polowania na te drapieżniki. A szkoda, bo tygrys środkowo-azjatycki jest bliskim krewnym tygrysa mandżurskiego, względnie koreańskiego, ma śliczne, długowłose, puszyste futro i jest większy i wspanialszy od tygrysa podzwrotnikowych krajów azjatyckich. Rozmawiałem z pułkownikiem rosyjskim, który twierdził, że w sposób wyżej podany ubił już siedem tygrysów. Kto wie jednak, czy to prawda?

Od stacji Dżył-Aryk jechałem przez dziesięć godzin dzikim, bardzo głębokim wąwozem. Skaliste te, nie mające żadnej wegetacji góry tworzą nader strome ściany i robią raczej smutne wrażenie. Żyje na nich w licznych okazach olbrzymi jakiś sęp,

którego gatunku oznaczyć nie mogę, gdyż tylko z daleka go widziałem. Wąwóz ten zwany „Buam“ stanowi jedyny przejazd między łańcuchem gór „Aleksandra“, a pasmem „Kungei-Ala-Tau“ i tylko wtedy dojechać można do płaskowzgórza okalającego jezioro „Issyk-Kul“. Jezioro to, dwanaście razy tak duże, jak największy szmat wody w Europie się znajdujący tj. Jezioro Genewskie, ujrzałem po raz pierwszy na stacji Kutem-Aldy. Od widoku srebrnobłękitnej, niezmiernej tafli wodnej, której zarówno na północy jak i na południu towarzyszą niekończące się na widnokręgu, potężne pasma gór okrytych śniegiem i lodem, oczu trudno oderwać. Nad jeziorem leciało stado dzikich łabędzi; zdawało się, że to białe żagle wiatrem od swych masztów oderwane. Cudny to był obrazek dla miłośnika przyrody, patrzałem więc na te ptaki z niemniejszym zachwytem, z jakim Leda spoglądać musiała na swego łabędzia-kochanka mimo, że pobudki do zachwytu były u mnie całkiem inne niż u tej mitologicznej postaci. Łabędzie nie leciały tu kluczem jak żórawie i gęsi, ale w bezładnym stadzie.

Jechaliśmy tak nad brzegiem jeziora przez trzy dni; a że i do najpiękniejszego widoku przyzwyczać się można, więc w końcu bardzo pragnąłem, aby się ta przepiękna droga nareszcie skończyła. I na tym ostatnim etapie mieliśmy liczne trudności z pocztowymi końmi. Instytucja jazdy pocztowej, w zasadzie nadzwyczajnie pożyteczna w krajach nie posiadających jeszcze szyn kolejowych, jest w Turkie-

stanie zupełnie chybiona. Ruch wzmagał się na tujejszych szlakach bardzo w ciągu ostatnich lat, a kontrakty zawarte dawniej przez rząd z dzierżawcami stacyj pocztowych nakładają na nich obowiązki utrzymywania małej tylko ilości koni, nie wystarczającej zupełnie na przewóz poczty i coraz liczniejszych podróżnych.

Podczas tej mojej przeszło dwutygodniowej drogi cierpiałem ciągle głód; oprócz mleka i chleba, a czasem nielicznych jaj, nie można było niczego dostać do jedzenia; konserw zaś mięsnych, które wiozłem ze sobą zwykle nie można było ugotować, a to dla braku paliwa. Na nizinie turkiestańskiej drzewa nie ma wcale, a mieszkańcy palą w piecach wyłącznie suszonym gnojem bydłowym; ale i jego brak często na odludnie leżących stacjach pocztowych.

Na granicy i w obrębie powiatu przewalskiego przyjmowano mnie z rozkazu jego naczelnika w sposób bardzo gościnny i uroczysty. Starszyzna kirgiska każdej włości oczekiwała mnie na granicy stepów należących do gminy i towarzyszyła następnie konno mojej bryczce przez czas dłuższy. W niektórych wsiach rosyjskich przyjmował mnie starosta gminny chlebem i solą i solenną przemową, na którą ze łzami wdzięczności w oczach odpowiadać musiałem. Kilku zaś żandarmów kirgiskich jechało ciągle za mną, aby mi drogę ułatwić i konie dla mnie naprzód zamawiać. Byliśmy tu już w stepach, zamieszkałych przez hordy Kara-Kirgizów. Mężczyźni tego szczepu mają typ wybitnie żydowski i nie ulega

dla mnie wątpliwości, że Kirgizi są pochodzenia semickiego. Charakterystycznie przedstawiają się ich czapki, noszone przez nich i zimą i latem. Są to wysokie stożki z kolorowego, najczęściej żółtego lub zielonego aksamitu zaopatrzone w koło z dołu szerokim oblamowaniem z futra zwykle lisiego lub baraniego. Kobiety zawijają głowę w dużą płachtę z białego płótna, która związana w kokardę spada im aż na piersi. Daje im to wygląd naszych zakonnic. Gdy się jednak te panie ujrzy na koniu, to zaraz wi-
dać, że u nich nic zakonnego nie ma. Jeżdżą bowiem po męsku i z ogromną brawurą; widziałem nieraz Kirgizki pędzące galopem na rozbrykanym koniu i trzymające na każdej ręce po jednym wyrrywającym się z objęć matki niemowlęciu. Kobiety te cieszą się zupełną wolnością i nie zakrywają nigdy twarzy pomimo, że wyznają gorliwie religię Mahometa. Każdy Kirgiz ma tyle żon, na ile mu majątek pozwala; bywa on rzadko o nie zazdrosny; złe języki powiadają też, że Kirgizki korzystają szeroko z tego braku zazdrości i nie przestrzegają zbyt surowo obowiązku wierności małżeńskiej. A że często ładną, świeżą twarzyczką się cieszą, nie trudno im przychodzi znaleźć spółnika grzechu. Kirgiz musi żonę kupić i płaci ojcu cenę w wielbłądach, koniach lub owcach; cena zawisła od powabu, wieku i stopnia dziewiczości kobiety. Ojcowie starają się też bardzo o to, aby córka poprzednio nie miała tzw. narzeczonego, gdyż w tym wypadku osiągnąłby za nią o wiele mniejszą cenę. Przyjechawszy raz do osiedla

kirgiskiego zauważyłem, że wszystkie jurty były ustawione razem, a tylko jedna stała daleko na uboczu. Na moje zapytanie, dlaczego tę jedną tak daleko postavili, odpowiedziano mi: „A bo ten Kirgiz ma dwie córki“! W naszych kamienicach, których tak łatwo, jak jurty przestawiać nie można, nie da się niestety zastosować tutejszy sposób chowania córki od niepożądanych zetknięć z osobnikami płci brzydkiej.

Jurta to dom kirgiski; stożkowate wiązanie z wikliny lub grubej bambusowej trzciny pokrywa się dużymi pokrowcami z filcu wyrabianego tutaj w doskonałym gatunku z owczych skór i owiazuje powrozem ukreconym z wełny baraniej. Gruby wojłok nie przepuszcza wcale wody i chroni siedzących w jurcie od wiatrów i zimna; wewnątrz znajduje się palenisko, a u góry otwór do wypuszczania dymu, który na złą pogodę zamykają. Jurtę można z wielką łatwością przenieść z miejsca na miejsce; za godzinę jest już rozebrana, a jeden, a przy większych dwa wielbłądy zaniósą ją bez trudności na nowe miejsce przeznaczenia. Jest to więc idealne domostwo dla narodu pastersko-koczowniczego, jakim są Kirgizi. Dawniej wolno było Kirgizom wędrować po całym Turkiestanie; teraz każde plemię ma przeznaczony dla siebie pewien obszar stepów na własność i nie wolno im już koczować poza granicami ich terytorium. Za to mają pewność, że obcy z ich pastwisk korzystać nie będzie. Kirgizom przysługuje pewien rodzaj samorządu; mają prawo wybierania naczeln-

nika plemienia i innych funkcjonariuszy gminnych i rozsądzania mniej ważnych spraw w obrębie gminy powstających.

Wjeżdżając w środkowo-azjatyckie posiadłości rosyjskie byłem pewny, że zauważę tu silny i okrutny ucisk, a nawet prześladowanie ludności tubylczej; myślałem, że kiedy Rosja tak bezwzględnie gnębi na wyższym stopniu cywilizacji stojące, podbite narody, na zachodzie państwa osiadłe, to tym więcej dusić i terroryzować będzie półdzikich azjatyckich mieszkańców. Tymczasem spostrzegłem ze zdziwieniem, że rząd z nierosyjskimi mieszkańcami Turkestanu obchodził się w sposób o wiele względniejszy, sprawiedliwszy i liberalniejszy, niż z tak zwanymi inostrancami na zachodniej granicy. Wszystkim tutejszym plemionom daje on zupełną wolność religijną, pozwala zachowywać właściwości narodowe i nie czyni żadnych prób rusyfikacji. Miałem nawet wrażenie, że Rosjanie podbitym Azjatom dawali większe prawa, niż to czynią Anglicy w swych pozaeuropejskich dominiach, a przecież ci ostatni słyną, a raczej szczycą się rzekomym liberalizmem wobec mieszkańców zawojowanych, egzotycznych krajów. Sądziłem dotąd, że to natura rosyjska spaczona po części domieszką krwi mongolskiej wymaga bezwzględnego okazywania siły pięści każdemu zwyciężonemu i że Rosjanin nie umie w ogóle postępować łagodnie i względnie wobec słabszego. A tu widzę niespodzianie rządy bardzo liberalne i poszanowanie obcej wiary i narodowości. Jakże to sobie

wytłumaczyć antysłowiańskie, bezcelowe i niekulturalne prześladowanie obcej ludności na zachodzie? Znałem raz bogatego parweniusza, który za sekretarza trzymał sobie barona z podupadłej rodziny staropolskiej. Baron był bardzo biedny, a mimo to każdym ruchem, każdym słowem dowodził, że ma w sobie rasę. Parweniusz czuł bezwiednie, że jego podwładny czymś go przewyższa i że on tego czegoś mimo swoją potęgę materialną nigdy nie zdobędzie. Więc mścił się za to na biednym baronie i na każdym kroku starał się go upokorzyć, skaleczyć i zdeptać. W podobny chyba sposób można sobie wytłumaczyć politykę rosyjską na zachodnich kresach państwa. Tak, to będzie polityka zazdrości, polityka mszczenia się za posiadanie pewnych przymiotów, których Rosjaninowi narazie brak i za osiągnięcie pewnego stopnia kultury, do którego rosyjskie społeczeństwo dotąd w swej całości dojść nie mogło.

25 maja dojechałem wreszcie po 15 dniach nieprzerwanej prawie jazdy kołowej do Przewalska, ostatniego miasteczka rosyjskiego nad granicą chińską. Przybyłem tam w stanie zupełnego wyczerpania fizycznego, roztrzęsiony jazdą, wygłodzony, niewyspany a co najgorzej, pokryty obrzydliwie brudem, gdyż podczas jazdy nie było prawie nigdzie możliwości dokładnego obmycia się. Przewalsk nosi swą nazwę na pamiątkę znakomitego podróżnika Przewalskiego, który pierwszy zbadał i opisał olbrzymie pustynie i góry Azji Centralnej. Sądząc z nazwiska musiał on być polskiego pochodzenia ; Rosjanie jednak

wymawiają jego nazwisko: „Przewalskij“ i krztuszą się przy każdej takiej próbie rusyfikacji polskiej litery. Miasteczko zrobiło na mnie nader sympatyczne wrażenie; domy są, jak to wszędzie bywa, przeważnie niskie, ulice szerokie i wysadzone wszędzie smukłymi topolami. Najpiękniejszą rzeczą jest widok na zajmujący cały południowy widnokrąg szereg białych szczytów górskich. Szkoda tylko, że miasta nie założono nad samym Issyk-Kul, ale dwaście wiorst od niego; nad jeziorem ma stać piękny pomnik Przewalskiego; dla braku czasu nie mogłem jednak tam pojechać.

Eskortujący mnie policjanci zaprowadzili mnie do prywatnego mieszkania bogatego, tatarskiego kupca Achmeda Giereja Karymowa, a raczej do jego wdowy, gdyż on sam przeniósł się przed trzema miesiącami do wieczności.

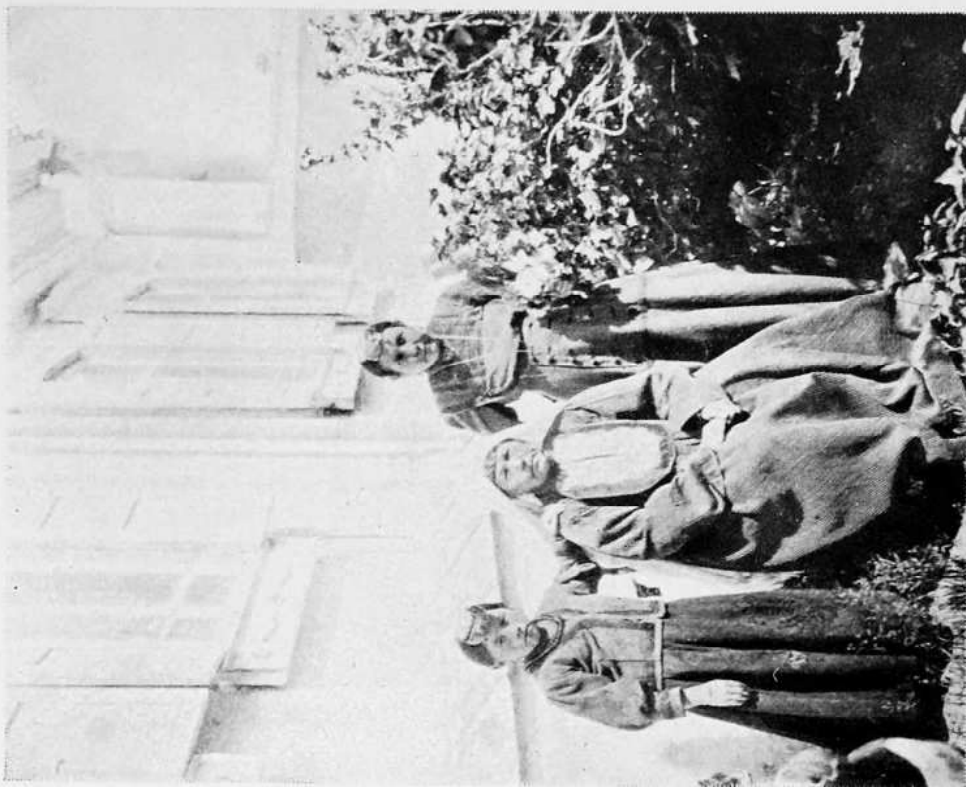
Tatarzy odstąpili mi na prośbę naczelnika powiatu prawie całe swoje mieszkanie; miałem więc do dyspozycji dwa obszerne salony, pokój jadalny i dwie komnaty sypialne. Salony były urządzone bogato, ale dość śmiesznie w na pół orientalny, a pół europejski sposób. Wyjeżdżając zostawiłem je zresztą w okropnym stanie, gdyż wskutek przepakowywania moich rzeczy bardzo się zawałały. Tatarzy są według moich spostrzeżeń bezwarunkowo najgościnniejszym na świecie narodem. Cała rodzina Karymowów, składająca się z prababki, babki, matki i kilku córek ciągle za mną chodziła po całym mieszkaniu, bijąc mi bez ustanku głębokie pokłony

i śledząc uważnie za każdym moim ruchem. Gościnność ich wymagała widocznie, aby ktoś z rodziny ciągle się przy gościu znajdował, co zresztą mi wielkiej przyjemności nie sprawiało, gdyż mowy nie było o tym, aby choć chwilkę zostać samemu. W zastępstwie matki, właściwej głowy domu, nie rozumiejącej ani po rosyjsku ani po kirgisku robiła głównie honory siedemnastoletnia ładniutka jej córka, Fatima. Usiadłszy prosiłem ją, aby także zajęła miejsce; ona jednak w żaden sposób tego uczynić nie chciała patrząc tylko na mnie wzrokiem wyrażającym cześć i pokorę i obserwując ze słodkim uśmiechem moje zachowanie się. Zdaje się, że u Tatarów kobiecie w ogóle nie wypada siadać w obecności mężczyzny. Gdy Fatima na chwilę dla zajęć gospodarskich wychodziła to zastępowała ją uroczą, dwunastoletnią Szemsi z oczami jakby kobiety z haremu.

Celem dokładnego oczyszczenia swojej osoby po tej piekielnej jeździe kazałem zagrzać łaźnię domową, którą tu każda rodzina sobie zakłada i udałem się do niej w solennym pochodzie poprzedzany przez cztery generacje żeńskie rodziny Karymowów. Po dojściu do komnaty łaźiebnej kobiety się usunęły z wyjątkiem Fatimy, która pełnymi godności ruchami wskazała mi, gdzie ubranie złożyć należy i gdzie woda gorąca i zimna się znajduje. Widząc, że panna domu po udzieleniu tych cennych wskazówek nie odchodzi a będąc ciekawy, jak długo gościnność tatarska każe dotrzymać towarzystwa prze-



Troskliwy ojciec kirgizki.



Pani Karymowa z córkami.



Rzeka Czu.



Naczelnicy gmin kirgizkich.

bywającemu w łaźni gościowi, zacząłem się rozbierać. Fatima długo bardzo wytrzymała i dopiero gdy wstydliwym ruchem zdjąć miałem ostatnią część bielizny kryjącą moją brudną nagość, złożyła mi grzeczna ta dziewczyna głęboki ukłon i wyszła z ubieralni tyłem się cofając. Widać z tego, że i tatarska uprzejmość ma swoje granice, w każdym razie dość szeroko zakreślone. Wieczorem dali nam nasi amfitrioni obfitą kolację, między innymi nurzającą się w tłuszczu pieczeń barania, której mimo głód przełknąć nie mogłem i smaczne jakieś tatarskie ciastka na miodzie. Po wieczerzy przepakowaliśmy kuferki; miałem bowiem zamiar, zbyteczne w puszczy ubrania tutaj pozostawić. Pakunki, które w środku telegi jechały, nie odniosły znaczniejszych szkód; straszny natomiast widok przedstawił się moim oczom po otwarciu żelaznego kuferka umieszczonego z tyłu bryczki. Kufer ten pękł zupełnie wskutek trzęsienia, a żelazne jego sztaby weszły do środka i roztarły na miazgę mnóstwo cennych dla mnie rzeczy. Nawet blaszane, silne puszki z konwerwami nie zdołały się oprzeć naciskowi i rozbiły się rozlewając swą zawartość po kuferku i psując przez to inne znowu przedmioty. W smutnym bardzo stanie znajdował się mój czarny surdut zapakowany nieostrożnie przez strzelca razem z konserwami, a stanowiący jedyne moje odświeżne ubranie w podróży. Był on obecnie rozpiłowany z tyłu na dwoje i umazany dokumentnie w sosie gulaszowym z puszek wyciekłym. Ładne będą mieć w Przewalsku wyobrażenie o ele-

gancji gościa z dalekiego zachodu! Noc pierwsza po kilkunastu dniach spędzona w łóżku bez ubrania była delicyjna! Rano składałem oficjalne wizyty. Naczelnik powiatu, pułkownik Iwanow zaprosił mnie bardzo uprzejmie na obiad. Poszedłem potem na pocztę, na której naturalnie listów z ojczyzny nie zastałem, a następnie udałem się z bijącym sercem na urząd cłowy, obawiając się przykrej tam przeprawy przy rewizji plomb otaczających strzelby i część bagażów; wszystkie sznury trzymające plomby pękły naturalnie wskutek mej szalonej jazdy pocztowej; miałem więc wątpliwości, czy komora przewalska uwierzyć zechce, że plomby te stały się fikcją bez żadnej winy z mojej strony. Naczelnik jednak komory Iwanow — nazwisko to odpowiada widocznie w Rosji niemieckiemu Meier lub Schmitt i w samym Przewalsku było aż 3 urzędników tego nazwiska — okazał się dżentelmenem od stóp do głowy; obiecał mi bowiem przysłać swego pomocnika do domu i rzecz całkiem gładko załatwić. Urzędnik ten zjawiał się rzeczywiście wkrótce potem u mnie i podpisał oglądawszy tylko pobieżnie mój dobytek; dokument dający mi zupełną wolność rozporządzania mojami rzeczami. Dziwne zrobiłem spostrzeżenie co do rządowych funkcjonariuszy rosyjskich. Im dalej się na Wschód jedzie, tym bardziej cywilizowanych, po europejsku myślących i uprzejmych urzędników się spotyka. A właściwie powinno być przeciwnie, gdyż człowiek się przecież coraz bardziej oddala od Europy. Zdawałoby się, że

Rosja na zachodnie kresy posyłała z umysłu jakieś wyszukanie nieokrzese, azjatyckim poglądom hołdujące jednostki, czyżby może w tym celu, aby obcy zaraz po przebyciu granicy uczuł się w kraju (z odrębną, nieco wschodnią cywilizacją) niezbyt przychylnie dla cudzoziemców usposobionym.

Obiad u naczelnika był bardzo przyjemny; obawiam się tylko, że zrobiłem tam wrażenie brzydkiego żarłoka. Dziwić się jednak nie można, że jadłem z apetytem ten pierwszy, zasługujący na to miano obiad po tak długiej przymusowej jajo-mlecznej diecie. Do zupy podali — jak tu w regule bywa — doskonale rosyjskie „pirażki“, rodzaj mięsnych pasztecików, stanowiących narodowy przysmak; po-każna ich liczba znikła w mgnieniu oka i bezpowrotnie we wnętrzu przybysza z dalekich stron. Żona pułkownikowa Iwanowa jest Angielką, urodzoną już w Turkiestanie, która mimo to zachowała wszystkie właściwości narodowe będąc przy tym dystygowaną, ładną i miłą osobą, nie przypominającą niczym kościstych, żółtoskórych „misses“ spotykanych nie-stety dziwnie często w naszych domach i dających nam fałszywe pojęcie o kobiecie angielskiej. Od dawna już mówiłem ciągle tylko po rosyjsku i kirgisku, z przyjemnością skorzystałem tu ze sposobności rozmowy w języku Albionu, którym pułkownikowa władała biegle, mimo że od czasu zamążpójścia prawie nigdy go używać nie miała sposobności. Okoliczność, że mąż ani słowa po angielsku nie rozumiał, jakoś nam wcale przyjemności nie psuła!

Naczelnik zainteresował się bardzo moją wyprawą i zaproponował mi, abym od niego wziął jako dozorcę karawany żandarma kirgiskiego tzw. dżigita, za którego uczciwość ręczył i który może mi być bardzo pożyteczny, gdyż już podróżował po chińskim Tien-szanie; pojechałby on ze mną w swoim mundurze służbowym i będzie w ten sposób wzbudzał poszanowanie dla mojej wyprawy u Kirgizów spotykanych w drodze. Pierwszy ten członek mej utworzyć się mającej karawany nazywał się Dżajnàk; zjawił się u mnie wieczorem i zrobił na mnie doskonałe wrażenie swym inteligentnym wyglądem. Żądał tylko bardzo wysokiego zadatku na swoją płacę; na moje zapytanie, na co tyle pieniędzy mu potrzeba, odpowiedział, że zostawia w Przewalsku aż 3 żony z których jedną młodziutką, siedemnastoletnią kobietkę bardzo niedawno za drogie pieniądze nabył. Gdyby tym paniom nie zostawił dość środków do życia bez troski, mogłyby one łatwo mieć żal do niego i zemścić się na nim w sposób nie licujący z zasadami ścisłej moralności. Wobec tak ważnych motywów dałem mu bez szemrania żadaną sumę, zastrzegając się jednak, że nie odpowiadam zgoła za to, gdyby te kobiety w czasie długiej jego nieobecności o nim chwilowo zapomniały.

27 maja puściłem się w dalszą drogę do stacji kozackiej zwanej po rosyjsku „Ochotnicze“, a po chińsku „Narynkol“, leżącej nad samą granicą chińską. Mimo bardzo wczesny mój wyjazd zebrała się cała rodzina Karymowów celem solennego po-

żegnania się ze mną; przybył nawet szef tej rodziny, syn Karymowej, mieszkający zwykle za miastem w młynie przez niego prowadzonym. Byłem doprawdy rozrzewniony uprzejmością tych zacnych ludzi i zażenowany tym, że o przyjęciu zapłaty za noclegi i wikt ani słyszeć nie chcieli. Dziwnym mi się wydawało widzieć tu Tatarów, jako bądź co bądź całkiem cywilizowanych, spokojnych ludzi, kiedy ich dotąd miałem w wyobraźni jako dzikich najeźdźców, grabiących i niszczących wschodnie włości Rzeczypospolitej. Gdyby nie żółta cera, to by ich na zewnątrz od Europejczyka nie mógł odróżnić; mają oni być bardzo zręcznymi i zdolnymi kupcami i dorabiać się majątków w podobnie szybki sposób, jak Żydzi. Syn Karymowej odprowadził mnie aż za miasto, i to w powozie na resorach; jest to nadzwyczajny zbytek w tych stronach i tylko potentaci finansowi szczyścić się mogą posiadaniem takiego wehikułu.

W dwa dni przejechaliśmy 200 wiorst, dzielących nas od Narynkola; podróż ta poszła gładko, trudno tylko było przebyć wysoko położony prześmyk Santasz. Konie nie mogły wyciągnąć telegi na stromą górę; Dżajnak musiał więc wezwać do pomocy horde Kirgizów, koczującą w pobliżu; ci przywiązali liny do kół i zaciągali nas z wielkim wysiłkiem, a jeszcze większym krzykiem na przełęcz. Gdyby śnieg nie był już stajał na górze, byliśmy nigdy tej przeszkody nie przemogli. Po drugiej stronie Santasza rozciąga się wielkie płaskowzgó-

rze położone 2000 metrów nad poziomem morza. Na tej płaszczyźnie leży miasteczko Karkara, w którym w ciągu całego lata największy w środkowej Azji jarmark rosyjsko-chiński się odbywa. Ściągają się tutaj z Turkiestanu, Dżungarii, Mongolii, a nawet aż z Tybetu dziesiątki tysięcy Kirgizów, Kałmuków, Chińczyków i Tybetańczyków celem wymiany bydła, wielbłądów i koni na towary potrzebne im przez cały rok w domu. Widok tego jarmarku ma być imponujący; całe płaskowzgórze pokryte jest setkami jurt, otoczonych przez niezliczone stada zwierząt domowych. Obecnie wobec wczesnej pory roku była Karkara całkiem jeszcze opuszczona.

Ochotnicze leży nad rwącą rzeczką Narynkol, niedaleko głównego łańcucha Tienszanu; gór wysokich stamtąd nie widać, bo są zakryte przez mniejsze wzgórza bliżej się wznoszące. Osada wygląda schludnie i porządnie; drewniane domki Kozaków otoczone są warzywnymi ogrodami i obsadzone topolami. Zajechaliliśmy do chaty atamana kozackiego, który był zarazem dzierżawcą krańcowej stacji pocztowej. Przyjął nas zrazu nie bardzo gościnnie i wydawał się gburowaty, później jednak okazał się porządnym człowiekiem i ostrzegał mnie nawet przed Kozakami, którzy mnie oszukać chcieli. Wkrótce też zjawił się u mnie miejscowy przystaw, oficer eksponowany tu przez rząd dla kontroli granicy. Był to człowiek niezbyt sympatyczny, który zaraz na początku rozmowy oświadczył mi, że cudzoziemcom po rosyjskiej stronie gór polować nie wolno.

Zarazem prosił mnie, abym na granicy nie robił zdjęć fotograficznych; widocznie obawiają się w tej pustyni szpiegostwa! Potem oglądał ze zbytnią może ciekawością moje rzeczy i interesował się w niepokojący nieco sposób moimi strzelbami mówiąc, że po ukończeniu mojej wyprawy będzie chętnym na wszystko odbiorcą. Wydawało się, że nie miałby nic przeciw temu, gdybym mu te rzeczy chciał podarować. Przypomniiał mi on pewnego kacyka murzyńskiego, który raz w Afryce przybył do mego namiotu i wszystkich przedmiotów dotykał się palcem szepcząc pożądliwie: „Daj mi to, bo mi się podoba“. Ze zwykłą jednak rosyjską gościnnością zaprosił mnie przystaw na obiad, na którym podano na moją cześć barszcz po polsku, ale na końcu posiłku, bo tu obiadu nigdy nie rozpoczynają zupą.

Już tego samego dnia wieczorem uczułem się niezdrów. W nocy rzucałem się w silnej gorączce niespokojnie na tapczanie, na którym w chałupie atamańskiej spać musiałem i nie mogłem oddychać z powodu silnego klucia w płucach. Rano o utrzymaniu się na nogach mowy być nie mogło, zacząłem wtedy silnie kaszlać i dużo krwi wypluwać. Potem wzmożła się gorączka tak bardzo, że straciłem przytomność i przez 6 dni w ogóle nie wiedziałem co się ze mną dzieje. W chwilach, w których z prostracji się budziłem, miałem uczucie zdziwienia, że jeszcze żyję; domyślałem się bowiem, że przechodzę ciężkie zapalenie płuc, które i w cywilizowanym kraju nic życia łatwo przeciąć może. Tu prawdopodobień-

stwo takiego radykalnego zakończenia się choroby było tym większe, że na 200 km w około żaden lekarz się nie znajdował; w mojej zaś apteczce podróżnej brakowało również środków na takie cięższe za-słabnięcia.

Strzelec mój wydawał się zrozpaczony; przeczuwał widocznie, że będzie musiał sam jechać z powrotem do Europy. Ataman tylko był dobrej myśli i pocieszając mnie mawiał: „Was tylko „roztrisło“ na te- ledze i wszystko będzie znów dobrze“. I znowu okazało się, że natura łatwo tam pomóc umie, gdzie może i lekarz byłby bezradny. Siódmego dnia mi-nęła gorączka, tak że swój tapczan opuścić mogłem. Ponieważ jednak klucie w środku i plucie krwią nie ustawało, sądziłem, że to tylko przerwa w chorobie i że niebawem przecież trzeba będzie poddać się ostatecznej pokucie za lekkomyślność, z którą się na wyprawę tę udałem. Postanowiłem jednak w każ- dym razie wykorzystać to znaczne polepszenie i na wszelki sposób starać się dotrzeć do gór i lasów, do których od 6 tygodni tak pracowicie dążyłem. Jeżeli to ma być koniec wszystkiego to lepiej przecie zginąć w obliczu wspaniałej, boskiej przyrody, niż tu w tej chacie, z którą mnie żaden węzeł nie łączy.

Chodziło teraz o to, aby jak najprędzej wynająć ludzi i konie potrzebne do ekspedycji. Dżajnak z atamanem krzatali się już koło tego w czasie mej choroby i wybrali dwóch Kirgizów, którzy poprzednio kilkakrotnie podróżowali z końmi pakunkowymi i bardzo porządnymi ludźmi być mieli. Jako specja-

listę do myśliwstwa chciałem pozyskać pewnego Kirgiza, który słynął w okolicy jako dzielny strzelec i który często z przystawem jeździł na polowanie. Kirgiz ten stawiał się wprawdzie na moje wezwanie, ale tylko dla przedstawienia mi prośby, abym ze względu na zbliżające się wybory starszyny kirgiskiej nie brał go na tak długo ze sobą w góry; miał bowiem rzekomo wielkie szanse być wybranym gminnym starostą. A więc i tu nie daje się widocznie polityka pogodzić często z myśliwstwem! Nie chcąc niszczyć tak świetnie zapowiadającej się kariery publicznej tego Kirgiza, nająłem jako myśliwego i zarazem naczelnika karawany Kozaka Nabokowa, którego ataman gorąco mi polecał jako bardzo godnego człowieka. Słyszało się w życiu tyle złego o Kozakach, że z pewnego rodzaju niepokojem oddawałem przedstawicielowi tej kasty tak ważne funkcje w karawanie. Ataman starał się zwalczyć moje wahanie się oznajmieniem, że Nabokow przed przyjęciem tej posady u mnie gotów jest nawet przysiąc w cerkwi od wódki.

Miałem pierwotnie zamiar wynająć tylko konie potrzebne pod wierzch i pod bagaże; właściciele żądali jednak tak wysokiego miesięcznego wynagrodzenia, że okazało się korzystniejszym konie zakupić. Nabyłem więc 11 sztuk po cenie przeciętnej 50 rubli za konia. Sześć koni było potrzeba do jazdy, na pięciu zaś mieliśmy pomieścić cały nasz rynsztunek i zapasy do jedzenia. Konie kupiliśmy częściowo od Kirgizów, częścią od Kozaków, trzy zaś naj-

lepsze przyprowadzili mi Kałmucy spoza granicy chińskiej. Typ tutejszych koni nie ma nic odrębnego; są to ciepłokrwiste, średniej wielkości koniki z długą bardzo grzywą i niestrzyżonym nigdy, wlokącym się po ziemi ogonem.

9 czerwca o trzeciej po południu nastąpił nasz wyjazd z Narynkola. Upakowanie rzeczy poszło zupełnie gładko dzięki sprawności Nabokowa, Dżajnaka i Kirgizów; przy pakowaniu postępuje się w ten sposób, że na grubym, filcowym kocu umieszcza się z obu stron grzbietu końskiego dwa większe tłumoki lub kuferki, które się następnie przymocowuje powozem z sierści baraniej okręconym kilkakrotnie naokoło korpusa końskiego. Na górze między kuferkami umieszcza się drobniejsze pakunki, bacząc na to, aby cały ciężar znajdował się w równowadze i nie ciążył zbyt na jedną stronę. Dziś musieli mnie przytwierdzić do konia w ten sam sposób jak tłumoki, z powodu bowiem osłabienia nie byłbym w stanie utrzymać się na siodle, gdybym doń nie był przywiązany sznurem. Wsiąść zaś na konia udało mi się jedynie dzięki skutecznej pomocy 3 czy 4 ludzi. Jechałem w ogóle jak na ścięcie; konia mi dali takiego, który żył dotąd na wolności w stadzie i nigdy trenzli w pysku nie miał. Szedł wprawdzie dość spokojnie, ale głowę nieustannie wydzierał, tak że ciągle się nim trzeba było zajmować. Wobec tego Nabokow w drodze przesiodłał swego i mego konia i ja pojechałem dalej na jego stateczniejszym rumaku, dając mu tym sposobność do wyprawiania harc

celem ujeżdżania mego młodego wierzchowca, do czego ani sił ani ochoty nie miałem. Najęci Kirgizi jechali też konno i ciągnęli za sobą związane razem konie pakunkowe; dżigit zaś zamykając pochód, nadzorował całą karawanę bacząc na to, aby nic z rzeczy nie zgubić w drodze. Po dwóch godzinach jazdy stepem dojechaliśmy do gór w tym miejscu, gdzie wypływa z nich rzeczka nosząca nazwę: „Mały Muzart“. Strumień ten chcieliśmy jeszcze dziś wieczór przejechać w bród, aby już na drugim jego brzegu rozbić pierwszy nasz obóz. Ale tymczasem zaczął padać rzęśisty deszcz i trzeba było po tej stronie nocować. Zrobiło się też zaraz bardzo zimno i nieprzyjemnie. Smutnie mnie to usposobiło i pomyślałem sobie, że jeżeli ta niepogoda dłużej potrwa, to wyratowanie się moje z choroby nie jest bardzo prawdopodobne. Noc spędziliśmy na zielonej stromej zbocz, która dalej przechodziła w skalistą przepaść; na dnie wąwozu huczał rwący strumyk, jeden z dopływów Muzarta. Ludzie zdołali ledwo ustawić namiot, gdy deszcz w prawdziwą ulewę się zamienił. Namiot kupiony nie w Londynie, jak to zwykle ludzie robią, ale w Wiedniu wydaje się praktycznym i łatwym do ustawiania i jest prawdopodobnie lepszym od namiotów angielskich, którymi się posługiwałem podczas mojej poprzedniej wyprawy. Śpię w nim razem ze strzelcem, oprócz tego jest tam miejsce na stół i na jedną walizkę, w której chowam ekspedycyjne pieniądze. Spostrzegłem jednak już dziś, że pobyt w namiocie w czasie niepogody do przy-

jemności nie należy; wszystko przesiąka wilgocią, a trudno bardzo się ogrzać nie mając ze względu na niebezpieczeństwo pożaru możliwości rozniesienia ognia w pobliżu. Ludzie chronią się od deszczu pod olbrzymią płachtą jurtowego filcu podpartą gałęziami. Niedaleko tego schroniska zapalili oni olbrzymi ogień ściągając do niego całe jodły, których kilka suchych leżało w pobliżu obozu.

III

POLOWANIA W TIENSZANIE ROSYJSKIM

10 czerwca obudziło nas słońce zaglądając ciekawie pod płótno namiotu. Wymarsz się opóźnił, bo naprzód musieliśmy zarznąć i rozćwiartować barana kupionego od Kalmuków obozujących w pobliżu. Trzeba było zapłacić za niego $5\frac{1}{2}$ rubla, cena ta wydała mi się wygórowana, gdyż na tutejszym baranie mięsa niewiele; udźce tylne zwłaszcza są bardzo małe, dużo miejsca zajmuje bowiem ogromna narośl tłuszczowa, którą to zwierzę nosi na zadzie. Bród na Muzarcie przebyliśmy szczęśliwie przemaczając jednak nogi aż po wyżej kolan. W porannych godzinach łatwiej się można przeprawić przez tutejsze górskie rzeczki, bo mróz nocny ścina wodę i przyływ staje się mniejszy. Dalszy pochód prowadził nas przez górskie połoniny, bujną pokryte trawą. Wszędzie rozpościerały się wspaniałe kwieciste dywany; wiosna była tu widocznie w swej największej krasie. Zauważyłem duże bardzo, ciemnofioletowe lub białe fiołki i krótkołodygowe żółte maślaki. Gdzieś urwiska były porośnięte jodłą gatunku *Picea Schrenkeana*, która — jak to później stwierdziłem jest jedynym, wysokopiennym drzewem w Tienszanie. Dziwny bardzo jest wygląd tej

jodły; gałęzie są nadzwyczaj krótkie i dolne nie bywają dłuższe od górnych; dzieje się to — jak mnie mam — z powodu regularnego przemarzania bocznych pędów na wiosnę. Drzewo zaś wygląda wskutek tego jeszcze wyższe, ale nader chude, a całość przypomina świecę lub lalkę sklepową, na której przymierzają damskie suknie. Kolor igieł jest raczej ciemno-szary, niż zielony; z daleka wygląda las całkiem czarny i sprawia posępne, ponure wrażenie. Miejscami, gdzie szalał pożar, stoją jodły przepalone i obnażone, bez gałęzi. Często leży las cały zwalony wiatrami na ziemi. W ogóle lasu tu niewiele. Wspinaliśmy się teraz na coraz wyższe góry, dążąc ku dolinie „Uertento“, gdzie zamierzaliśmy naprzód spróbować szczęścia łowieckiego. Jechałem z Nabokowem inną ścieżką, niż reszta karawany, gdy nagle przygalopował do nas dżigit donosząc, że kilka koziorożców przeszło przez grzbiet najbliższej góry, cofając się przed karawaną. Pojechaliśmy w tę stronę nie widząc jednak żadnej zwierzyny oprócz dwóch ułarów. Ułar (*Tetraogallus himalayensis*) jest to ogromny ptak wielkości i barwy dropia, należący do rodziny kuraków. Przebywa on tylko na kamienistych bardzo górach, wabiąc się ciągle donośnym i jakby żalosnym świstem. O pierwszej po południu rozłożyliśmy się obozem na całkiem gołej górze; wątpliwą ochronę od wiatru dawało kilka większych skał sterczących w pobliżu. W koniecznie potrzebną wodę można było się łatwo zaopatrzyć, gdyż niedaleko sączył się strumyczek między kamieniami, za

drzewem jednak trzeba było posyłać daleko na koniu i mało go tam było. Na obiad mieliśmy kotlety baranie; mięso barana w Azji ma zupełnie odmienny i lepszy smak, niż naszego skopa; nie wydaje ono żadnego nieprzyjemnego zapachu i jest o wiele mniej tłuste, pewnie dlatego, że tłuszcz koncentruje się w narośli na zadzie.

Po południu zaczął lać deszcz ze śniegiem, pędzony silnym wiatrem, i zrobiło się całkiem zimno. Leżałem na łóżku polowym, wstrząsany dreszczami, nie mogąc się zagrzać mimo ciepły worek sypialny i liczne futra. Wicher ku wieczorowi tak się spotęgował, że była obawa zawalenia się namiotu. Noc spędziłem bezsennie, czując się znowu bardzo chorym.

Mimo to wyjechałem 10 czerwca z Nabokowem na „ochotę“ — tak trafnie nazywają Rosjanie polowanie. Ranek był przecudny; mróz musiał jednak dosięgać kilku stopni poniżej zera, bo trawa była pokryta silnym, białym szronem. Stąd przedstawił się po raz pierwszy moim zdumionym oczom widok na wielkie góry tienszańskie. Panorama była tak wspaniała, że zapomniałem chwilowo o swojej biedzie fizycznej. Na prawo od doliny Uertento, wzdłuż której się teraz posuwamy, ciągnął się gęsty szereg białych zupełnie, stropu nieba — zda się — dosięgających olbrzymów; nad wszystkimi górował potężny „Chan-Tengri“, to znaczy po turkiestańsku „król nieba“; szczyt ten ma 7200 m wysokości i przedstawia się jak szpiczasta głowa cukru. Je-

dziemy grzbietem bezleśnych gór, zjeżdżając od czasu do czasu niżej, nad brzeg wysokich urwisk. Tam zsiadamy z koni i badamy dokładnie ściany, często zarośnięte drzewami lub krzewami. W jednej przepaści chodziło rzeczywiście trzy sarny, ale stok był tak stromy, że nie miałem odwagi spuścić się niżej, a stąd było na strzał za daleko. Po kilkugodzinnym podjeździe, podczas którego innej zwierzyny nie zobaczyłem, zawróciłem ku domowi. Wtem spostrzega Nabokow na bardzo stromej zboczy ciągnącej się z 1000 m w dół dwie sztuki sarn syberyjskich i radzi mi, abym wprost szedł na nie, on zaś podjedzie z końmi w bok celem ściągnięcia na siebie uwagi tych bardzo ostrożnych zwierząt. Schodzenie moje po stoku zamieniło się wkrótce w nieprzyjemnie szybkie zjeżdżanie, zbocz bowiem wznosiła się pod kątem prawie 60 stopniowym. Sunąłem się w ten sposób z 300 m w dół, a sarny ciągle jeszcze przedstawiały się jak małe punkciki. Dopiero po dalszych 200 m zobaczyłem je wyraźniej przez lornetę i stwierdziłem, że jedna sztuka ma rogi, że jednak spogląda już ze zbytnim zaciekawieniem na szarą kulkę z góry się toczącą. Wobec tego zjeżdżałem dalej tylko w chwilach, w których rogacz, pasąc się trzymał głowę przy ziemi. Wkrótce po tym zauważyłem silne zaniepokojenie u zwierza i uczułem, że nastąpiła psychologiczna chwila, w której myśliwy na strzał się decydować musi, jeżeli nie chce ujrzyć swoją ewentualną zdobycz uchodzącą galopem. Odległość wynosiła jeszcze z 400 m; z powodu zboczy

zaś widziałem tylko górną część rogacza, co strzału wycieńczonemu chorobą myśliwemu też nie ułatwiało. Strzelam i naturalnie chybiam. Rogacz pędem ucieka. Widzę jednak ze zdziwieniem drugą sztukę z rogami, w tym samym miejscu, gdzie się pierwsza poprzednio znajdowała. Po strzale zwierzę lekko zaznacza, robi kółko i stępa zaczyna iść w dół ku znajdującej się tam przepaści. Po drugiej kuli wydaje mi się, że upadł, bo go już więcej nie widzę. Po tym wzruszeniu kładę się na ziemi oddychając ciężko i czekam na swojego przewodnika, który powiada, że kozioł leżeć powinien, bo widział tylko jednego uciekającego.

Zsuwamy się dalej z góry już we dwójkę i spostrzegamy rzeczywiście niebawem leżące zwierzę. Nabokow radzi jeszcze raz strzelać, ja jednak, mając nieszczęsną manię oszczędzania kul, zwlekam ze strzałem, chcąc bliżej jeszcze się podsunąć. Rogacz w jednej chwili staje na równe nogi i puszcza się galopem, ignorując kulę za nim puszczoną; idziemy za nim i widzimy go wkrótce znowu leżącego. W chwili gdy go już na serio chcę dobić, zrywa się ponownie, a ja go po raz drugi chybiam w biegu. Po strzale przystaję chwilkę na pagóreczku dając doskonałą sposobność do trafienia go śmiertelną kulą. Ciągnę namiętnie za cyngiel, ale karabin kłapie. Pokazuje się, że wszystkie kule już wystrzelone. Szukam nerwowo za innymi w kieszeni i konstatuje z obrzydzeniem, że zostawiłem naboje w innym ubraniu w namiocie. Siadam i nie chcę iść dalej za po-

strzałkiem, uważając dalszą gonitwę za bezcelową. Nabokow idzie sam i wraca za kilka minut z wiadomością, że kozioł leży opodal pod wielką skałą. Podsuwamy się ostrożnie i widzemy rzeczywiście o 10 kroków od siebie parostki i łeb rogacza widocznie bardzo słabego, ale jeszcze żywego. Stoimy więc z godzinę nad nim myśląc, że on może z powodu upływu krwi skończy. Kozak robi mi na koniec propozycję, że on pocichutku ku zwierzęciu się podsunie i je za bieg chwyci. Zbliża się na metr, ale cap w tej chwili w nogi. Nabokow łapie go mimo to i razem staczają się w przepaść. Zbocz dalsza była tak spadzista, że robiła wrażenie przepaści. Wydaję okrzyk przerażenia, obawiając się o życie mego towarzysza. Za chwilę ukazuje mi się pokrwawiona trochę głowa Nabokowa spoza krawędzi skały; woła mi, że rogacz mu się wyrwał, ale że on pójdzie za nim dalej w dół i dojść go musi. Proszę go, aby tego nie robił, gdyż na tak trudnym terenie nie wydaje mi się bezpieczną walka ze stworzeniem prawie tak silnym, jak nasz jeleni. On złazi w dół, nie bacząc na przestrożę. Za niespełna godzinę widzemy dzielnego Kozaka pnącego się na powrót ku mnie; jest cały spocony, ale dumny i rzuca mi pod nogi rogi, skórę i nieco mięsa z mego pierwszego sybiryjskiego capa. Opowiada mi, że kozioł miał oba tylne biegi złamane względnie nadwerężone, ale był zresztą całkiem zdrowy. Jak długo postrzałek szedł w dół, to nie mógł go uchwycić; potem zrobiła się ściana i dla rogacza za stroma, musiał się więc

skierować na powrót w górę. Wtedy dopiero Nabokow mógł go dopaść i nożem wyprawić w lepsze zwierzęce światy. Na parostki patrzałem z prawdziwym zadowoleniem; były 32 cm wysokie i od dołu do góry ładnie operlone.

Sarna syberyjska (*Capreolus pygargus var tienszanensis*) jest jedynym reprezentantem sarniego rodu w Azji środkowej; oprócz w Tienszanie spotyka się ją we wszystkich górach i lasach Turkiestanu i południowej Syberii. Rogacz jest wielkości naszego daniela, zresztą tak podobny do europejskiego, że tylko po większych rogach można go odróżnić. Gdy wsiadaliśmy na konie, zlatywały się już do ścierwa sępy ze wszystkich stron, przeważnie jasno-żółte, niemal białe z czarnymi skrzydłami; jeden tylko — pewnie ptak młody — był ciemno-brązowy. Były to sępy himalajskie (*Gyps himalayensis*); wspaniałe te ptaki mają olbrzymią rozpiętość skrzydeł. Sądzę, że z ptaków drapieżnych tylko kondor południowo-amerykański wielkością je przewyższać może. Po południu dnia tego zjechało do nas z wizytą kilku Kałmuków znajdujących się niestety również na myśliwskiej wycieczce. Wszyscy mieli strzelby ze sobą, zaopatrzone w długie widły, na których w czasie mierzenia i strzału broń opierają. Po dzisiejszym strzelaniu po nogach mam wrażenie, że i mnie takie widły częstoby się zdały. Strzelby ich były — jak to z ubolewaniem stwierdziłem, bez wyjątku europejskimi karabinami — co prawda starego systemu. Jeden miał nawet austriacki, werndlowski karabin

z 1871 r. Broń taka wystarcza jednak zupełnie do zdziesiątkowania zwierzyny w okolicy, po której wielu takich myśliwych się kręci. Nasi goście mieli też przytroczone do siodła kawałki zabitego świeżo „pygargusa”; w ładownicach ich widziałem dziwnie znaczne zapasy kul.

Wieczorem przeszedłem przez ciężką przygodę. Pojechaliśmy na innych koniach szukać sarn po drugiej stronie obozu. Niebo było zupełnie pogodne, tylko na zachodzie tworzyła się malutka chmurka, która nawet w naszym polskim, dżdżystym klimacie obaw żadnych by nie budziła. Śledząc przez czas dłuższy za sarnami w zagłębieniu między górami, zarośniętym jodłami, nie zwracaliśmy wcale uwagi na to, co się na niebie dzieje. Obracamy się wreszcie i widzimy morze szarych, kłębiących się obłoków pędzące ku nam. Kozak wołał zaraz, że trzeba natychmiast śpiesznie wracać do obozu. Już po kilku minutach chmury nas dogoniły i zakryły zupełnie świat dookoła. Choć jechałem za Nabokowem tylko o 10 kroków, widziałem go bardzo niewyraźnie; dalej zaś wszystko było pokryte jakby gęstą, białą oponą. Jechaliśmy w tym całunie mgły pewnie przez dwie godziny. Wydało mi się to podejrzanym, gdyż odległość, dzieląca nas od namiotu, nie powinna była wynosić więcej jak 2 km. Równocześnie zauważyłem, że przewodnik mój zaczyna prowadzić ze sobą głośnie jakieś monologi. Pytam o powód i słyszę wyznanie Nabokowa, że zupełnie zbłądził. Robiło się już ciemnawo i noc czerniła już powoli, ale stale

szare tonie mgły. Mówię Kozakowi, że dalej jechać nie ma już celu, bo tylko jeszcze bardziej od obozu się oddalamy; zresztą trzeba było i tak stanąć, gdyż natknęlibyśmy się na jakąś spadzistą zbocz, zarosniętą drzewami. Byłem już zrezygnowany na to, że wypadnie noc przepędzić pod drzewem; perspektywa zaiste przerażająca dla człowieka całkiem chorego; oprócz ubrania miałem na sobie tylko wełniany kaftanik i lekki płaszcz od deszczu, a tu w nocy bywa regularnie kilka stopni mrozu. Kozak rozniecił pod jodłą ogień, przy którym rozgrzałem skostniałe ręce i osuszyłem ubranie zwilgotniałe od lepkiej mgły. Niebawem uczulem silny powiew wiatru i miałem wrażenie, że się jaśniej wokoło robi i że mgły się rozsuwają w pobliżu, jakby firanki, które ktoś w zaciemnionym podnosi pokoju. Nabokow leci jak opętany na wysoką skałę niedaleko sterczącą i krzyczy stamtąd za chwilę: „Siadajmy żywo na konie, wiem teraz, kędy jechać trzeba“. Jedna chwila wystarczyła obytemu z górami człowiekowi do zorientowania się co do kierunku obozu. Jechaliśmy klusem, nie bacząc na przeszkody. Wkrótce jednak straciłem znowu nadzieję uratowania się, bo mgła — jakby mszcząc się za to, że nas na chwilę wypuściła ze swych śliskich objęć, pokryła znowu ziemię wokoło. Wtem słyszę tuż obok rzenie konia — głos dla mnie miłszy od harfy Eola i wesoły okrzyk Nabokowa: „Wot i pałatka“. Tak blisko znajdowaliśmy się od domu, a bylibyśmy przecież byli zmuszeni nocować o chłdzie i głodzie, gdyby

jakaś przychylna, a potężna dłoń nie była na chwilę rozsunała mgliste chmur zasłony. Raz już byłem w Afryce zniewolony nocować z powodu zbłądzenia pod gołym niebem i truchleję jeszcze teraz na samo wspomnienie o tej nocy. Tam było wprawdzie ciepło, za to niepokoiły mnie chmury moskitów i dwa lwy, które porykując okrażały łakomie i zbliżka nasz ogień, nie chcący się palić na obrzydliwym bagnisku, na którym nas zmrok był zaskoczył.

Na drugi dzień 11/6 było wszędzie białe od śniegu, upadłego w nocy; pogodę natomiast można było nazwać ładną. Łańcuch wysokich gór ze swymi lodowcami i turniami widny był jak na dłoni. Wyjechałem z Nabokowem już o pół do czwartej na polowanie. Nasi ludzie mieli później, gdy słońce szron już stopi, obóz zwinąć i podążyć za nami w głąb doliny Uertento, gdzie o 25 km stąd miało być ładne miejsce na obóz. Po dwóch godzinach jazdy musieliśmy iść dalej piechotą — prowadząc konie za sobą — po nader wąskiej, niebezpiecznej nawet ścieżce, wijącej się po zboczu stromej góry, pokrytej ruchomymi głazami. Myślałem z niepokojem o tym, czy tamtędy będą mogły przejść ciężko obładowane konie pakunkowe. Z pobliskiej przełęczy otworzył się nam rozległy widok na inne zupełnie góry i połoniny. Na zielonym niedalekim stoku, na którym z rzadka rozrzucone były potężne, pojedyncze skały, ujrzałem po raz pierwszy w życiu stadko koziorożców. Wydały mi się one w ciele duże, rogi ich natomiast były wątle. Nabokow był

tym spotkaniem tak zemocjonowany, że robił wrażenie całkiem nieprzytomnego człowieka i niczego się od niego nie można było dowiedzieć. Plan podchodzenia był jasny, gdyż łatwym się wydawało zejść po zboczu w dół i zbliżyć się znacznie do stadka, chroniąc się za głazami jakby umyślnie dla mnie tak symetrycznie rozrzuconymi. Podejście poszło rzeczywiście gładko, trawa tylko mokra wskutek topniejącego śniegu była tak śliska, że Kozak w swoich dużych nie podbitych gwoździami butach na przestrzeni 500 kroków co najmniej 20 razy się przewrócił. Wychyliam głowę spoza ostatniej skały i widzę śliczny obrazek: Koziorożce zbite w kupę przyglądają się walce czy zabawie dwóch samczyków. Przewodnik dopiero teraz potwierdza moje przypuszczenie, że to rzeczywiście stadko, złożone z samych młodych capów. Mimo to decyduję się ze względu na to, że to pierwsze moje spotkanie z tą górską zwierzyną, na strzał i biore na cel jednego z bawiących się kozłów, przypuszczając, że to najstarsze ze stada złożonego z 9 sztuk. Strzelam bez wszelkiego wzruszenia opierając karabin na kamieniu, ale czuję, że strzał następuje później, jak powinien, w chwili, gdy cel już był stracony. Potem się pokazało, że miałem ze sobą jeden stary, zwietrzały nabój i że prawdopodobnie tutaj go przez pomyłkę wystrzeliłem. Po strzale koziorożce stały jeszcze przez chwilę, jakby otumanione, nim jednak do drugiej sztuki wymierzyć zdołałem, ruszyły one cwałem w dół, tak że dopiero za nimi ponownie strzelić

mogłem. Nabokow powiada, że oba strzały były chybne, mnie tylko to się dziwnym wydaje, że jeden kozioł od stada się odbił, dążąc ku grupie skał, położonych w dole pod nami. Poszliśmy tam; ja zmęczony bardzo usiadłem dla wypoczynku na skale, Kozak zaś zesunął się dalej, obiecując wypędzić mi koziorożca spomiędzy kamieni. Wrócił za pół godziny opowiadając z ożywieniem, że cap tam się znajduje, że jest ciężko postrzelony i że on już dwa razy rękami go łapać próbował. Trzeba więc, abym za nim poszedł, dobić postrzałką. Teren był tutaj bardzo trudny; między gigantycznymi wielkości domów piętrowych skałami prowadziła tylko wąziutka ścieżynka, śliska bardzo i stroma. Koziorożca nie zastaliśmy w miejscu, gdzie go Nabokow miał zostawić i farby żadnej też tam nie było. Musiał się widocznie płoszony dwa razy, gdzieś wynieść i był dla nas bezpowrotnie stracony. Gdyby nie głupota Kozaka, który zamiast mnie natychmiast przywołać, chciał się zabawiać w takie same łapanie, jakie mu się wczoraj tak dobrze z rogaczem udało, byłbym łatwo dostał postrzeloną sztukę. W dalszej drodze widziałem jeszcze dwa rogacze, które jednak w całkiem niedostępnych miejscach stały. Przejechaliśmy też przez smutny, ale oryginalnie wyglądający las. W morzu kamieni, pochodzących z osunięcia się jakiejś góry, sterczały wielkie, pojedyncze, suche i obnażone z gałęzi jodły. Tak wyglądać mogą lasy na planecie, na której w przemianie światów wszelkie już życie zagasło. Widziałem tu po raz pierwszy

liczne okazy pięknego gatunku motyla z rodziny *Parnassius apollo*, ale musiałem się samym ich widokiem zadowolnić, bo siatki i inne przybory entomologiczne nie były jeszcze rozpakowane. W pobliżu przyszłego obozu trzeba było po nadzwyczaj stromej drożynie spuścić się z jakie 1000 m w dół ku rzeczce Kertento. Nigdy bym nie wierzył, aby z tak spadzistej góry można było zjechać konno, a jednak nie tylko my, ale i nasze pakunki groźną tę drogę szczęśliwie przebyły. Obóz był ślicznie położony na wysokiej polance między drzewami; pojawiła się tam jednak nowa plaga w postaci komarów, które już w dzień nielitościwie nas cięły.

12 czerwca kazał Nabokow już o trzeciej rano jechać na łowy, miał on bowiem zamiar, dotrzeć aż do samego końca doliny i zbadać oprócz tego, czy przez znajdujący się tam przesmyk będzie można się dostać do doliny „Saikat“, ciągnącej się równolegle na zachód od doliny, w której obecnie przebywamy. Przesmyk okazał się nie do przebycia; konie zaraz z brzegu zapadały się po brzuch w miękki śnieg, a wyżej musiało go być jeszcze więcej. Nic to dziwnego, bo przełęcz ta leży na wysokości 3800 m nad poziomem morza; powiadają, że można jej użyć dla przechodu dopiero w późniejszej porze lata. Pod względem myśliwskim doznałem tu wielkich rozczarowań; mimo dokładne obejrzenie całego szeregu gór nie wypatrzyliśmy ani jednego koziorożca; sarn było natomiast dość dużo, ale cóż z tego? Widzą one myśliwego, jadącego wzdłuż

koryta rzeki, o wiele prędzej, niż on je ujrzeć może i uciekają już na 1000 kroków pędem na góry. Im bliżej końca doliny, tym dziksze, bardziej postrzępione stają się okoliczne wierchy i turnie; wegetacja wszelka ustaje i widać tylko gołe, kamieniste lub nietającym nigdy śniegiem pokryte szczyty. Dolina sama jest zamknięta od południa potężną śniegową ścianą, z której spływa wielki lodowiec ciągnący się jeszcze kawałek dalej w dolinie. Wróciliśmy do obozu o czwartej po południu a więc po 12 godzinach podjazdu nie wziawszy nic do ust od rana prócz szklanki herbaty. Blisko domu wpadliśmy w codzienną naszą ulewę, która tym razem nie zdołała już nas przemoczyć.

Następnego dnia obudził mnie Nabokow znowu przed świtem, obiecując, że zwiedzimy kilka miejsc, gdzie koziorożce napewno być powinny i wyciągnął mnie zaraz konno na bardzo wysoką górę; udało się to tylko dzięki temu, że jechaliśmy ciągle zyg-zakiem po stromych zboczach. Na wierzchołku spotkała nas wielka przykrość, gdyż przekonaliśmy się, że gęsto tam rozpostarta mgła nie pozwala śledzić za zwierzyną. Kozakowi wydawało się, że „tuman“ — tak on tę mgłę nazywał — wkrótce przejść powinien; wobec tego trzymał mnie z górą 3 godziny na tym szczycie; przemarzłem tam do szpiku kości, a potem przecież bez rezultatu do obozu wrócić musiałem. Widzę już teraz, jak wielkie trudności klimatyczne myśliwy tu miewa; co dzień bez wyjątku pada deszcz, śnieg lub grad, a oprócz tego

uniemożliwia często i mgła wszelki podchód na górską zwierzynę. Wieczorem wydrapałem się wskutek nalegań Nabokowa na inną, równie brzydko stromą górę; miały tam być łączki, na które przed zachodem słońca rogacze zawsze na paszę wychodzić zwykły. W rzeczywistości nic tam nie zastaliśmy, Kozak zaś zawieruszył się gdzieś, sprowadzając konie piechotą na dół, wskutek czego byłem zniewolony maszerować dwie godziny ostro do domu, co przy moim osłabieniu nie było przyjemne. Spocilem się jak mysz, ale uczulem się nazajutrz znacznie zdrowszym; przestałem też od dnia tego miewać gorączkę i pluć krwią. Tylko sił nie mam jeszcze żadnych, nie wiem, czy to następstwem choroby, czy też skutkiem przebywania na tak znacznych wysokościach w rzadkim powietrzu. Faktem jest, że nie mogę zrobić 10 kroków bez silnego zadyszania się, a nawet, siedząc na koniu, czuję często brak oddechu.

Tak jestem zdegustowany brakiem zwierzyny w tej dolinie, że wydaję rozkazy, aby jutro wracać szybkim marszem do „Małego Muzarta“ celem spróbowania następnie szczęścia w dolinie „Saikał“, słynnej z ilości żyjących tam koziorożców. Wyjechaliśmy znacznie przed karawaną, aby po drodze polować. Chybiam kulą ułara; ogromnego tego ptaka mało między kamieniami widać. W dalszym podjeździe nie zauważył Nabokow usnąwszy — jak się zdaje — na siodle, trzy koziorożce, które spłoszone przed nami w górę pomknęły; były to drobne, niegodne strzału sztuki. Dojeżdżając do Muzarta

wjechaliśmy we większe jodłowe lasy, stanowiące idealną siedzibę dla rogaczy; wśród lasu są wszędzie małe łączki; na które sarny wychodzić lubią. Wychylając się na taką łączkę, zawrócił Nabokow nagle konia, zeskoczył z niego i, sapiąc, jak miech ze wzruszenia, wezwał mnie, abym się do strzału gotował. Zaglądam ostrożnie za grzbiet górki, która nas kryła, i widzę ładnego szóstaka, pasącego się na 80 kroków. Zwierz zaznaczył silnie odebraną kulę, nie podobało mi się jednak, że tylko tyłem rzucił się w górę. Farby na tropie ani śladu; rogacz poszedł w dół stromą zboczą, pokrytą lasem, zavalonym masą leżących jodeł. Rozeszliśmy się tam i każdy z nas na swoją rękę szukał za postrzałkiem. Niezrozumiałym było dla mnie złe strzelenie sztuki tak doskonale stojącej. Już nadzieja znalezienia czegokolwiek była pierzchła, gdy po upływie pół godziny słyszę hopkanie mego towarzysza; dążę ku niemu, przełaząc z trudnością przez zapory dziewiczego tego lasu, i spostrzegam rogacza siedzącego z podniesioną głową pod drzewem. Nauczony ostatnim doświadczeniem śpieszę się z dobiciem zwierzęcia mimo, że Nabokow tym razem mnie powstrzymywał, twierdząc, że kozioł już dogorywa. Mylił się bardzo, bo rogacz miał pierwszą kulę w zadniej szynce. Już trzecią sztukę brzydko w tył strzelam. Daje mi to do myślenia, czy broń nie odniosła jakichś uszkodzeń w czasie podróży; trzeba będzie spróbować drugim, rezerwowym karabinkiem strzelać. O drugiej po południu przybyliśmy do tego samego obozu, w którym pod-

czas pierwszej nocy w puszczy nocowaliśmy. Dzielne nasze konie zrobiły dnia tego pewnie ze 40 km bez żadnego wypadku. Wieczorem pojechał Dżajnak do Narynkołu dla kupienia chleba i ewentualnego przywiezienia poczty. Kupiłem tu znowu barana. Kałmucy zaczynają mnie już wyzyskiwać, gdyż kazali mi za tego nader chudego skopa zapłacić o rubel więcej, niż za pierwszego, lepiej w mięso wyposażonego.

15 czerwca lał do południa deszcz ze śniegiem na przemian; siedziałem więc smutnie na swoim łóżku polowym. Po południu odbyłem długi podjazd po lesistych dolinach i urwiskach okolicznych; widziałem tylko kilka kóz i znalazłem gniazdo cietrzewie z jajami. Nazajutrz zwinęliśmy znowu obóz i wyruszyli w dolinę Saikał; ja pojechałem z Nabokowem boczną jakąś drogą, przebywając wysoką przełęcz, zasypaną metrowym śniegiem. Było tam kilka stopni mrozu, a lodowaty wichur na wskroś nas przewiewał; konie ciągle się zapadały i równie często na lodzie się ślizgały. Po 7 godzinach ujrzelśmy na stokach jednej z piętrzących się tam skalistych gór stado koziorożców, dążące stępą ku wierzchołkowi. Chcieliśmy konno podążyć za nimi, natknęliśmy się jednak wkrótce na przestrzeń pokrytą ruchomą masą wielkich głazów; trzeba więc było iść dalej piechotą prowadząc konie za cugle; przejście to było dla nich niebezpieczne, gdyż wstawwszy nogę między kamienie mogły ją łatwo złamać. Sam się tam kilkakrotnie boleśnie przewró-

cilem, kilka razy zaś się koń na mnie przewalił. Piękny był widok falangi koziorożców pnącej się gdzieś pod niebiosami z wolna pod górę. Z przodu szło ze 60 sztuk kóz i drobiazgu, tylną straż natomiast tworzyło 6 czy 8 grubych byków, których olbrzymie rogi jak wielkie łuki na niebie się rysowały. Postanowiliśmy spróbować, przeciąć im drogę — idąc dalej piechotą bez koni. Dotarliśmy do wierzchołka aż po trzech godzinach, drapiąc się niemal pionowo po śniegu i skałach pod górę i to na to tylko, aby tam po tropach stwierdzić, że stado przeszło już na drugą stronę wierzchołka, gdzie znajdowały się urwiska i granie niedostępne dla człowieka.

Na tej samej górze spotkała mnie prawdziwa katastrofa, gdyż Nabokow rozbił mój duży termofor, gorącą zawierający herbatę, na którą się od kilku już godzin cieszyłem. Nie jest wcale wyjaśnione, w jaki sposób nieszczęście się stało, bo Kozak przysiąc gotów, że ani się z flaszką przewrócił, ani nią o kamień uderzył. Do obozu dotarliśmy aż o wpół do czwartej. Deszcz ze śniegiem padał całą noc bez przestanku.

17 czerwca wyjechaliśmy przed brzaskiem dnia jeszcze, aby odszukać wczorajsze stado. Niebawem ujrzeliśmy je na tym samym, co wczoraj, wierzchołku. Mogłem zwierzęta przez perspektywę dokładnie obejrzeć; są one maści kremowej i wydają się do słońca jakby różowe. Gdy nas z góry dostrzegły, zaczęły powoli usuwać się ku szczytowi; podążyliśmy za nimi pieszo, brodząc po świeżym śniegu, który w nocy na stopę wysoko napadał. Pośliznąwszy się niespo-

dzianie zjechałem na brzuchu z jakie 50 metrów w dół; dziwię się, że się nie stoczył dalszych 500 metrów po stromym stoku, bo nie było właściwie powodu do tak prędkiego zakończenia upadku. Doszliśmy potem do rodzaju krateru zamkniętego z 3 stron pionowymi skalnymi ścianami, do którego prowadziły tropy ibeksów — jak angielscy myśliwi nazywają koziorożce; kładziemy się na eksponowanym cyplu skały i szukamy w głębinie za naszą zwierzyną. Nabokow kiwa niebawem na mnie, nie mogę jednak szybko przypelzać ku niemu, gdyż na tej wąskiej grani trudno równowagę utrzymać. Kozak widział przez chwilę stojącego w dole na grzebieniu skały capa, który potem gdzieś zniknął. Później pokazał on się i mnie, na sekundę, nie było jednak czasu wziąć go na cel, gdyż zaraz skoczył i schował się za kamieniami; zobaczyliśmy go dopiero daleko, gdy galopem na dobre uchodził. Musiał nas zwietrzyć i podążyć za stadem, które już poprzednio uważało za właściwe opuścić górę niepokojoną dwunożnymi gośćmi. W drodze powrotnej spotkaliśmy wśród lodowców małe jeziorko górskie częściowo lodem pokryte. Na jego szmaragdowych wodach żyła samotna para dużych lisiożółtych kaczek; strzelałem do nich kulą bez rezultatu. Ptaki te, nieprzywykłe do takich hałasów w tym lodowo-śnieżnym pustkowiu okrażały potem długo jeziorko, żałośnie bardzo kwacząc i mnie w ten sposób widocznie wymówki robiąc.

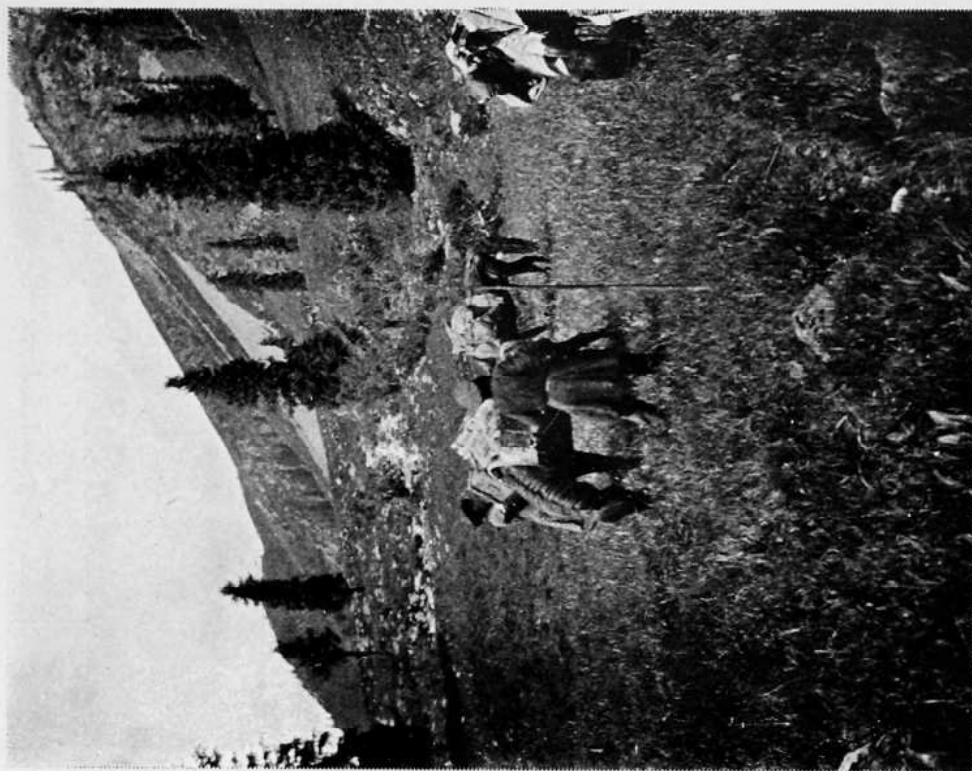
Po południu mieliśmy czas na tutejsze stosunki

wyjątkowo pogodny, deszcz bowiem tylko przez godzinę padał. Pojechawszy wobec tego szukać rogacza, zajechaliśmy nad głęboką przepaść z rzadka porośłą drzewami. Po dokładnym zbadaniu ścian odkrył tam Nabokow leżącą sztukę — niestety była to koza. Mój towarzysz namawiał mnie namiętnie do strzału, tłumacząc mi, że mięso kozy syberyjskiej jest wyjątkowo kruche i smaczne, a baran w obozie już prawie całkiem zjedzony. Pomny tradycji łowieckich opieram się heroicznie pokusie. Rzuciwszy przypadkowo okiem na lewo widzę, że się tam z cienia drzew wysuwa na czyste czarny jelen — nie to rogacz, ale na głowie nosi wieniec jakby jeleni. Po strzale idzie ślaniając się dalej; strzelam jeszcze trzy razy trafiając go dopiero ostatnim strzałem i to tylko w bieg. Osłabiony staje teraz pod drzewem i tam go, trzęsąc się ze wzruszenia, szczęśliwie dobijam. Parostki są wprost fenomenalne; 39 cm wysokie, bardzo grube, do samej góry gęsto operlone z niezwykle długimi, silnie ku środkowi zagiętymi końcami; na jednym rożku jest pięć pasemek. Zabiłem widocznie bardzo starego rogacza-mylkusa; z tego powodu był on w sierści tak ciemny, niewyleniony, podczas gdy inne sarny w czerwcu są tu już czerwone, jak u nas latem. Wieczór się już zbliżał, nie rozbieraliśmy więc rogacza na miejscu, ale wsadziliśmy go całego Nabokowowi z tyłu na siodło. Choć kozioł ważył pewnie z 60 kg przyniósł go silny koń z łatwością do namiotu.

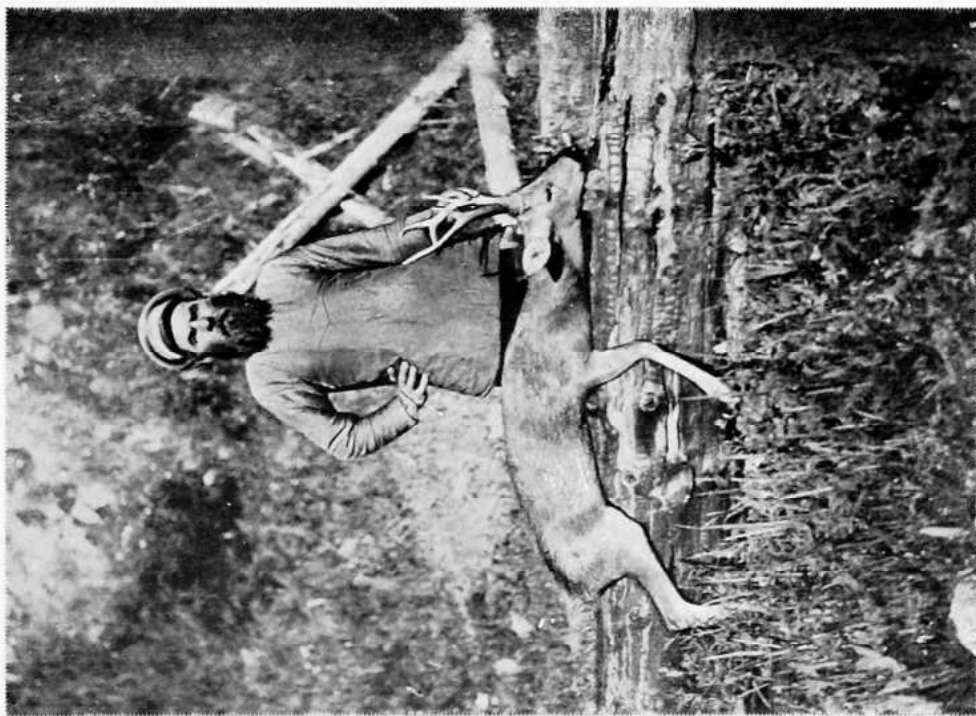
18 czerwca mieliśmy odbyć ciężki i niebezpieczny



Karawana moja maszeruje stepem.



W dolinie Uertentö.



Rogacz ubity w dolinie Saikal.



Myśliwi kalmuccy.

pochód; chodziło o to, aby z wyżyny, na której obozujemy spuścić się bez wypadku w samą dolinę Sajkał. Doliny Tienszanu mają tę odrębność, że tworzą w dolnej swej części głębokie, wąskie wąwozy, którymi ledwo rzeka, która dolinę wyłobila, przedostać się może. Ludzie, chcący taką dolinę odwiedzić, muszą te przeważnie niedostępne wąwozy okrążyć daleko górami i mogą dopiero po rozszerzeniu się doliny w jej górnej części w nią wkroczyć. Karawana musiała dziś iść po wąziutkiej ścieżce, wykutej w prostopadłej niemal ścianie, u stóp której widać było toń głęboką jakiegoś tutejszego „Czarnego Stawu“. Koniowi wystarcza silnie się potknąć, aby stracić tu równowagę, runąć w dół i utopić w jeziorze siebie, a co gorsza noszony na grzbiecie bagaż. Właśnie gdy o takiej możliwości myślałem zaczął jeden z naszych koni, który miał na sobie upakowany namiot, a więc rzeczy dla mnie niemal najcenniejszą, walić się w otchłań. W tej chwili jednak przyskoczył dzielny Dżajnak z błyskawiczną szybkością do konia i zdołał powstrzymać jego upadek zapierając się własnym ciałem. Ja zdretniałem cały z przerażenia i mogłem dopiero po chwili wyrazić Kirgizowi, który przy tej okazji ratunkowej niewątpliwie swoje życie narażał, uznanie za jego heroiczny czyn i wręczyć mu dobrze zasłużoną pieniężną nagrodę. Wyprzedziwszy potem karawanę, dojechałem szczęśliwie do rzeczki, spuszczać się w dolinę niemal pionowo w dół; dziwiłem się, jak koń może na tak stromym stoku nie wywrócić koziółka, upadając na

głowę. Przy brodzie na rzece musieliśmy zaczekać na resztę taboru, przejście nie było tu bowiem łatwe z powodu rwącej i zawalonej dużymi głazami wody. Gdyby w razie upadku konia jakiś kuferek w wodzie się oderwał, to bym się z nim już nigdy nie zobaczył; przepadłby porwany silnym prądem i wnet na miazgę rozbity o skały. Widząc pierwszy promyczek słońca zaglądający spoza szczytów w głęboką dolinę, śpieszę się na słońcu położyć. Słońce to rzadka rzecz tutaj; zwykle tylko do ósmej rano nim się cieszyć można. Spoglądam przypadkowo w górę i spostrzegam na zboczy, bardzo niedaleko, długorogiego rogacza patrzącego na mnie. Zrywam strzelbę i zapomniawszy zdjąć grubą rękawiczkę, strzelam źle, chybiając kozła na czysto. W tej chwili wychyla się drugi rogacz z pobliskiego krzaka, i tego na miejscu ruję. Gdybym był miał ręce wolne byłbym dziś z pewnością zrobił dubelt do kapitalnych pygargusów. Grube rogacze lubią tu widocznie chodzić w parze, bo kilkakrotnie spotykałem już po dwa razem chodzące. Nabokow poszedł po zabitego capa i strącił go po prostu na dół. Parostki zaimponowały mi swoją długością (42 cm), natomiast są one bardzo wąsko osadzone. Przy obieleniu tej sztuki znaleźliśmy w jej głowie kilkadziesiąt dużych robaków białych, larw jakiegoś owada. Dziwne, że zwierzę mogło w ogóle żyć z tymi pasożytami, mającymi siedzibę tak blisko mózgu. Przekroczenie rzeki odbyło się bez nieszczęścia, tylko siwosz mego strzelca położył się nagle bez widocznego powodu w samym

środku lodowatej wody, mocząc w ten sposób swego jeźdźcę po szyję; ale i inni mieli nogi aż powyżej kolan mokre. Następnie zrobiliśmy jeszcze ze 25 km. wzdłuż rzeczki rozbijając obóz w miejscu, gdzie góry mniej strome się stają i istnieje możliwość podchożenia zwierzyny. Od drugiej po południu lał naturalnie deszcz i silny wiatr trząsł namiotem w posadach.

Na drugi dzień wyjechałem mimo silne osłabienie, wywołane nocnymi żołądkowymi zaburzeniami wcześnie rano na podjazd, po to tylko, aby po ośmiu godzinach powrócić, nie zobaczywszy ani ogona. Gdzież są te sławne koziorożce tienszańskie, rzekomo tak liczne? W tej części doliny widocznie ich nie ma wcale, gdyż dziś zwiedziliśmy miejsca, które im idealnie odpowiadać mogą. Dojechaliśmy wysoko aż do dość znacznego lodowca, zamykającego dolinę Saikał od wąwozu Uertentö. Dużo tu jest świstaków, są one dwa razy większe od naszych i uciekają do swoich nor przy zbliżaniu się jeźdźców. O pierwszej mieliśmy silną burzę z piorunami i ulewnym deszczem, który nas dokumentnie przemoczył. Po tym przejściu wydawał mi się moj namiot tak ciepły i wygodny, jak polski modrzewiowy dwór.

20 czerwca odbyłem znowu siedmiogodzinny podjazd bez najmniejszego rezultatu. Zrekognoskowaliśmy przełęcz Alai-Aigür, którą jutro karawana przedostać się ma w dolinę Bajumkol, położoną stąd na zachód. Przesmyk jest zasypyany głębokim złodowaciałym śniegiem. Ponieważ on wydaje się całkiem

twardym możemy ryzykować przejście przez przełęcz. Nieobecność koziorożców w Saikale nie daje się wytłumaczyć. Nabokow twierdzi, że je tu zawsze w wielkich ilościach widywał, a w Przewalsku też mi mówiono, że to jedna z najbardziej w zwierzynę obfitujących dolin. Trzeba mego szczęścia, aby ją zastać tak pustą.

Nazajutrz wyruszyliśmy wszyscy razem ku Ałai-Aigür i stanęli po trzech godzinach na siodle przemyku. Tu okazał się naszym oczom przerażający zaiste widok. Cała zachodnia zbocz była pokryta kilkunastometrową warstwą lodu i śniegu, na dole zaś kończył się lodowiec niemal prostopadłą, wysoką ścianą. Trzeba było najmniej trzy kilometry przebyć tym śniegiem, który dziś, prażony ciepłymi promieniami rannego słońca był na jakie pół metra całkiem miękki. Konie zaraz z brzegu zapadały się w nim po brzuchy i absolutnie dalej iść nie chciały. Wszyscy ludzie musieli pójść naprzód i torować ścieżkę dla naszych wierzchowców. Ale i po ubitej w śniegu drożynie konie z trudnością przegonić się dały. Biedne zwierzęta załamywały się co chwila na lodzie i przewracały w śniegu, dwa nawet wyrwało się w panicznym strachu z rąk i poszło w kierunku znajdującej się wśród lodowca przepaści; dopiero w ostatniej chwili udało się nam je zatrzymać i od skoku w przepaść uratować. Jeszcze większe trudności mieliśmy z końmi jucznymi, które z ładunkiem z miejsca w ogóle ruszyć się nie mogły. Musieliśmy je oswobodzić od ciężarów, te ostatnie na

rękach znosić na dół i tam dopiero ponownie ładować. Po stromym końcowym spadzie lodowca zjeżdżały wszystkie konie na zadach; myślałem, że znajduję się w cyrku. Cztery godziny trwała ta ciężka przeprawa, a nie obeszło się też bez straty, gdyż w śniegu zawieruszył się gdzieś trójnózek kuchenny. Mój strzelec uznał tę stratę za nie do powetowania i cały dzień oplakiwał zgubę, twierdząc, że teraz obiadu ugotować nie będzie już w stanie. Los nie chciał, abyśmy się szczęśliwą przeprawą przez siodło zbytnio cieszyli, i zesłał nam zawieruchę, która przez godzinę zasypywała nas śniegiem i krupami, tak, że na dwa kroki przed sobą nic się nie widziało. A dalsza droga nie była również bezpieczna. Niewyraźna, w licznych miejscach śniegiem zasypiana ścieżka wiła się w dół między ogromnymi kamieniami. Koń mój upadł tu nagle na głowę, ja zaś, skostniały od zimna, nie mogłem go dość prędko poderwać, tak, że za chwilę na szyi mu siedziałem. Jeszcze teraz się dziwię, jak się tam utrzymać zdołałem, nie waląc się przez łeb koński na kamienisty grunt. Z radością ujrzelismy znowu zielone połoniny, a niżej i las. Byliśmy w dolinie Bajumkol, ciągnącej się u stóp najwyższych gór centralnego łańcucha Tienszanu, między którymi ogromem się odznacza 6400 m wysoki szczyt Mikołaja Michałowicza. Stąd było już widać jego pionową, 2000 m wysoką ścianę marmurową, tworzącą północną zbocz tego olbrzyma. Dziś przekroczyliśmy znowu granicę rosyjską; według zdania prystawa w Ochotniczem nie wolno mi tu

polować; ale wobec tego, że po chińskiej stronie koziorożców wcale nie widać, będę mimo zakazu w tej dolinie szczęścia próbował. Wieczorem namówiłem Nabokowa, aby pieszo poszedł ze mną na rogacza; przekonałem się bowiem, że jeżdżąc konno na tutejsze sarny ma się minimalną szansę przyjscia do strzału, bo się te nader ostrożne zwierzęta zawsze przedwcześnie płoszy. Kozak mój piechotą bardzo chodzić nie lubi, więc już po dziesięciu minutach oświadczył mi, że znajdujemy się w doskonałym miejscu i że tu koniecznie na kozła zasiąść należy. Już po chwili jednak znudziło mu się czekanie, a to tym bardziej, że komary nas gryźć poczęły, i tłumaczyć mi zaczął, że trzeba wracać do domu, bo tu w ogóle rogacz przyjsć nie może. Usłyszał on surowe słowa nagany za tak niewłaściwe zachowanie się. Tego samego dnia posłałem wobec pełni księżyca Dżigita nocą do Narynkolu po chleb i kartofle.

22 czerwca pojechaliśmy w górę doliny, lecz do dziesiątej nie widzieliśmy żadnej zwierzyny. Zdenerwowany tym, zacząłem lajać Nabokowa, zarzucając mu, że nędznym musi być myśliwym, kiedy nie wie, gdzie Tekkè — kirgiska nazwa koziorożców — szukać należy. Poczciwy Kozak srodze się tą naganą zmartwił. Nie pozostała ona jednak bez skutku, gdyż zaczął się zaraz ze zdwojoną energią drapać konno na wysoką górę i pokazał mi wkrótce trzy małe koziołki, za którymi zresztą nie warto było śledzić, choćby dlatego, że się ku szczytowi góry wynosiły.

Później ujrzelismy w małej, bocznej dolinie stado, złożone z 15 grubych byków, pasące się o jakie tysiąc metrów nad nami. Korzystając z falistości gruntu zaczęliśmy je pieszo podchodzić. Myśląc, że się do nich już na strzał zbliżyłem, wychylałem ostrożnie głowę spoza skały, stwierdzając jednak z ubolewaniem, że capy w międzyczasie znacznie się w górę posunęły i jeszcze więcej oddaliły. Mogłem tylko przez szkła oglądać te majestatyczne zwierzęta; rogów wyjątkowo długich widać nie było, ale wszystkie były dobre. Koziorożce nagle przestały pisać się dalej na górę, zawróciły na miejscu i poszły znowu ku dołowi, ale nie w naszą stronę, tylko jeszcze dalej naprzód. Dosiadamy szybko koni i staramy się — ukryci za skałami — klusem zabiec im drogę. Niestety stado zmienia znowu swój plan i kieruje się ponownie ku wierzchołkowi, gdzie jeżyły się niebotyczne, niedostępne turnie. Widząc, że się ku nim już nie zbliżymy, postanawiam puścić za nimi kulę, mimo że dzieliła nas odległość jakich 600 do 800 m. Było tak daleko, że nie mogłem celować do pojedynczej sztuki, ale po prostu w stado. Po strzale słyszę Kozaka wołającego: *Boh dał i odin upał*. Widzę sam, że jeden z koziorożców został się w tyle, stanął i za chwilę się położył. Przez perspektywę można było niebawem stwierdzić, że on już nieżywy. Drugą kulą zламаłem innemu capowi tylny badyl; ten kozioł mógł jednak kulejąc podążyć jeszcze za stadem. Wygramoliłem się osobiście po bardzo stromej zboczycy do leżącej sztuki, pomimo, że Nabokow

powiedział, że to niepotrzebne, bo mi go całego zrzuci z góry pod nogi; ale wypadło jakoś pierwszą prawdziwą zdobycz tej górskiej wyprawy oglądać w miejscu gdzie padła. Zwierz robił wrażenie imponujące. W szczególności zwracają uwagę: szeroka czaszka, długa broda i grube, masywne cielsko; rogi zaś zadziwiają wprost rozmiarami, choć koziorożca tego na tienszańskie stosunki należało zaliczyć tylko do średnich. Długość rogów wynosiła 105 cm, rozpiętość między końcami 74, grubość zaś u nasady 30 cm. Zrobiłem z niego kilka zdjęć, potem odcieśliśmy głowę, cielsko zaś zjechało w podskokach aż na dół, gdzie obalenie zwierza nastąpić miało. Tam omal nie zaszła katastrofa. Nabokow załadował na swego rumaka skórę, mięso i rogi. Gdy koń zapach krwi poczuł, znarowił się zaraz, zaczął stawać dęba, przewrócił Kozaka starającego się go okiełzać, powłókł go z dziesięć metrów po ziemi za sobą, wyrwał mu się wreszcie, wpadł w szalonym pędzie między skały nad rzeczką rozsiane i popędził między nimi gdzieś w daleki świat. Wydawało mi się, że musi się rozbić, a nawet zabić o kamienie, a Nabokow wybuchnął nawet rzewnym płaczem uważając to także za nieuniknione. Co do mnie to bałem się głównie o rogi na siodle przywiązane. Czyż miałem je znów utracić po tak krótkim cieszeniu się nimi? Pojechaliśmy, a raczej ja pojechałem, bo Nabokow musiał *nolens-volens* kroczyć piechotą, w kierunku, w którym koń zniknął i — o dziwo — o cztery kilometry dalej ujrzeliśmy go stojącego między skałami

z nogami zamotanymi w sznur, którym mięso było do siodła utwierdzone, oszalałego wprawdzie ze strachu, ale całego i zdrowego. Rogi były nieuszkodzone, tylko z mięsa przepadł comber, strata bolesna, bo w domu mięsa już wcale nie ma. W drodze powrotnej siekł nas niemiłosiernie deszcz, śnieg i grad i straszna ta aura trwała do późnej nocy.

Następnego dnia odbyłem nadzwyczaj ciekawy, ale nieszczęśliwy podjazd. Po dwóch godzinach zjechaliśmy na strzał rogacza; pokazało się niebawem, że to wątły kozioł, zdaje się nawet, tylko szpiczak. Wahałem się, czy strzelić warto choć mięso z niego byłoby pewnie bardzo soczyste. Capek sam rozstrzygnął kwestię, uchodząc zawczasu. Na górach leżało dziś kilka centymetrów świeżego śniegu; na jednej z nich zobaczyliśmy kilkanaście legowisk; zdawało się z początku, że koziorożce tu nocowały. Kozak jednak bardzo sprytnie poznał po tropach zwierząt, że to nie były tekkè, lecz archary, tj. dzikie barany. Trop górskiej owcy jest bardziej długi i śpiczasty od tropu ibeksa. Z pobliskiego, wysokiego szczytu ujrzelśmy rzeczywiście stado owiec niżej na łące się pasące. Odległość była bardzo znaczna, ale wobec braku wszelkiej osłony nie można je było bliżej podejść, tym mniej, że już w naszą stronę spoglądały. Myśliwi zaliczają barany do najostrożniejszych zwierząt łownych na świecie, bo widzą one i wietrzą na dalekie bardzo odległości. Obserwując je przez szkła, widziałem naprzód same owce i młodsze zwierzęta; później dopiero wychylił się spoza

skąły stary baran, wspaniałe stworzenie wielkości dużego jelenia. Kręcone rogi sterczały po bokach głowy na metr z każdej strony. Zepsuty wczorajszym szczęściem zaryzykowałem strzał do tego patriarchy, chociaż było tak daleko, że muszka mi go całego zakrywała. Kula padła też na jakiś sążeń pod niego. Stado pierzchło galopem w nieładzie, a zarazem i nadzieja rzadkiej, przepysznej zdobyczy. Niezwykły to wypadek, żeby barany zeszły tak nisko; zwykle przebywają te zwierzęta tylko na wysokich bardzo płaskowzgórzach, pokrytych po większej części śniegiem i lodem, gdzie myśliwemu żyć ciężko i trudno. Zdaje się, że to stado, liczące około dwudziestu sztuk, przynęciła tutaj świeża, młoda trawka.

Na tym samym podjeździe podjechaliśmy jeszcze na niedaleki dystans z dziesięć sztuk młodzieży koziorożcowej. Długo się bawiłem widokiem jej harc i zabaw. Młode capki stawały na zadnich biegach, a przednimi się biły. Matka uderzała czasem zbyt niesfornych synków rogami. Jednemu zwłaszcza dostały się porządne cięgi; przyszedł on właśnie ze spaceru, przedsięwziętego na wysoką skałę, z której widocznie uzyskać chciał szerszy pogląd na świat. Za tę — zdaje się — samowolnie podjętą wycieczkę spotkała go zasłużona i dotkliwa kara, został bowiem silnie skopany matczynymi racicami. Deszcz ulewny przerwał to zajmujące widowisko. Ciekawa jest wielka różnica wielkości samców i samic u tutejszych dzikich zwierząt; kozy koziorożców i owce są tylko pół tak duże, jak capy i barany. Na obiad podano

udziec z wczorajszego koziorożca; mięso okazało się smaczne, ale niemożliwie twarde, nawet na młodsze zęby, niż moje.

24 czerwca odbyłem tylko długi spacer po bajmukolskiej dolinie; odjechawszy bowiem 12 km od obozu ujrzeliśmy szybko nadciągające gęste chmury, które góry tak mgłą pokryły, że trzeba było w niższych pozostać regionach. Przelustrowaliśmy tylko dwie przepaście, zarośnięte jodłami, śledząc za sarnami. Jazda przez las była arcy-niemą. Gałęzie biły mnie silnie po piersiach i głowie, ściągając mnie kilkakrotnie przemocą prawie z konia. Dziś padał deszcz ze śniegiem przez kilkanaście godzin prawie bez przerwy; wszystkie rzeczy w namiocie tak przesiąkły wilgocią, że biorąc przedmiot jakiś do ręki miałem wrażenie, że dotykam się przeziębłego węża. Niepokoiły się o naszego dżigita, który już wczoraj powinien był wrócić z Narynkola. Nabokow w dodatku straszy nas opowiadaniem o napaściach rozbójników na pojedynczych jeźdźców, zaszłych właśnie w tej dolinie. Przyjazd Dżajnaka wywołał też głośną radość u całej drużyny. Przywiózł on dziesięć potężnych bochnów kwaśnego co prawda chleba, dziesięć jaj, ćwierć korca kartofli i — o niewymowna rozkoszy — także kubek świeżego masła. Niepokojące wiadomości dochodzą nas z Chin. Chińczycy chcą się teraz zemścić na Mongołach, którzy temu kilka miesięcy powstali przeciw nim i wymordowali ich urzędników, i mieli wysłać z Kuldży i Kaszgaru kilka tysięcy wojsk celem

urządzenia rzezi wśród Kałmuków. Ci ostatni rzekomo uciekają już gromadnie w kierunku granicy rosyjskiej. Jeżeli te rozruchy wkrótce się nie zakończą, to mam wątpliwości, czy zdołam przeprowadzić projektowaną wycieczkę w głąb chińskich dzierżaw.

25 czerwca wyjechaliśmy z domu później niż zwykle, bo mgły wisiały długo nad górami i snuły się gęsto po zboczach. Góry były aż do dolin pokryte mokrym śniegiem, co jazdę po stokach czyniło bardzo niebezpieczną, bo śnieg nabijał się na kopyta konia. O włos byłbym doznał groźnego wypadku. Wierzchowiec mój pośliznął się na wszystkich czterech nogach równocześnie i zaczął walić się w dół po stromej zboczach zakończonej przepaścią. W ostatniej chwili udało mi się zeskoczyć na prawą stronę konia, który kilka razy skoziłkował się, nim go wielki głaz zatrzymał w jego upadku. Gdyby mi się nie udało na czas opuścić siodła, mógłbym być rozduszony o kamienie. Biedne zwierzę trzęsło po tym wypadku ze strachu; dziwnym trafem nie odniosło i ono żadnych cięższych obrażeń. Lubie mego kałmuckiego ogierka. Dziwnej on jest maści; choć jest cały jasnym kasztanem, ma nogi i długi po ziemi wlokący się ogon śnieżno-biały; prócz tego widać jeszcze na zadzie trójkątną białą plamę. Pod górę idzie dzielnie i umie się po najbardziej stromej zboczach wygramolić. Natomiast boi się bardzo zlażyć z góry i często się przy tym potyka. Niemile to uczucie dla jeźdźcy, to ciągle ślizganie i potykanie się konia na tak górzystym terenie; nigdy się nie wie,

czy to nie początek prawdziwego upadku, i miewa się wrażenie, że coś zaczyna człowieka ciągnąć w jakąś otchłań nieznaną. Koń mój sapie głośno ze strachu, gdy widzi przed sobą niebezpieczne miejsce i długo nad tym rozmyśla, w jaki sposób się najlepiej przez nie przedostanie. Dzięki pasji Nabokowa zjeżdżania z góry na łeb na szyję po najbardziej stromym stoku i trawersowania przepaści w karkołomny sposób, prowadzi codziennie połowa naszej drogi przez miejsca niebezpieczne; i ledwo człowiek się się otrząść zdoła ze strachu po jednej groźnej przeprawie, już znowu wobec nowej trudności bać mu się przychodzi. W takich warunkach nie ma czasu na nudy i podczas bezowocnych podjazdów. Dziś znowu nic nie widziałem.

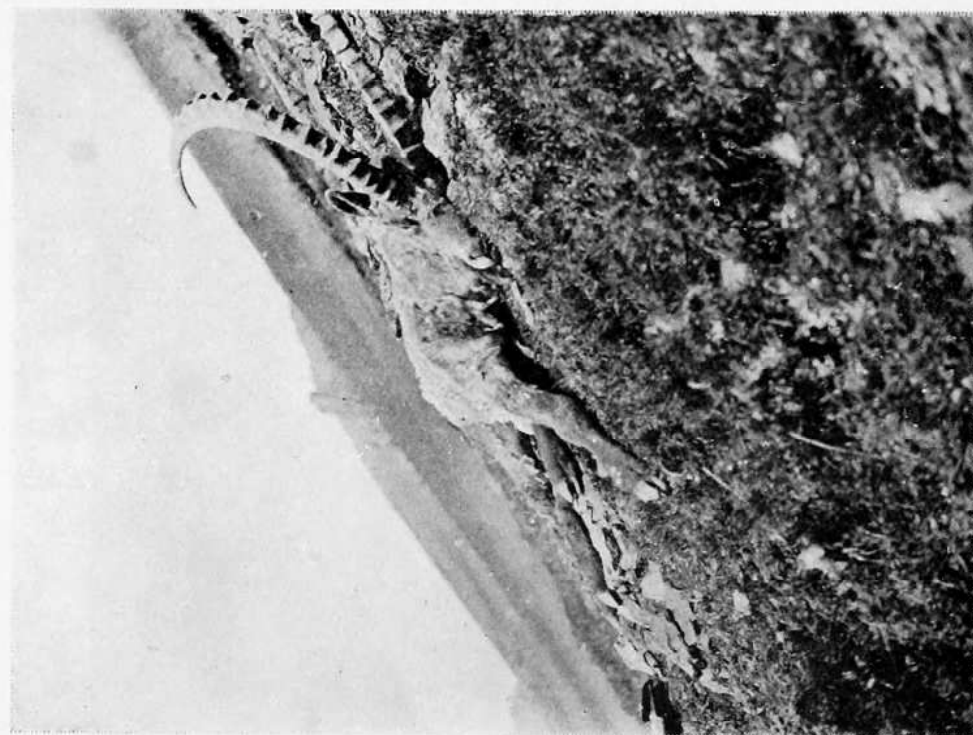
Następnego dnia przenieśliśmy się w boczną dolinę Bajumkola zwaną Aszu-Tör. Tabor miał tylko 8 km do przebycia. Pojechawszy z Kozakiem naprzód, zobaczyłem duże stado tekkè, blisko szczytów; z dołu nie można było osądzić, czy są między nimi grubsze sztuki. Gdy znikły za skałami, tworzącymi grzbień góry, zaczęliśmy leżeć za nimi. Pochód trwał przeszło trzy godziny; gorzej się tu idzie niż u nas, bo taternik z powodu nadzwyczaj rzadkiego powietrza ciągle się dusi i oddechu złapać nie może. Doszedłszy do wierzchołka mogliśmy stwierdzić, że drugi bok góry tworzy zupełnie pionowa ściana zawalona niżej niedawno spadłymi lawinami. Było jasne, że tamtędy i ibeksy pójść nie mogły, musiały się gdzieś bokiem wynieść; nie poszedłem zresztą dalej

za nimi, bo siły były całkiem wyczerpane i wydawało mi się, że Nabokow niepotrzebnie kazał mi piąć się za stadem właśnie w najtrudniejszym miejscu. Należało raczej jechać dalej naprzód i starać się potem ibeksom przeciąć drogę. Gdy się idzie za nimi, to one mają zawsze czas niespostrzeżenie jakoś się ulotnić. Z wierzchołka tego miałem czarujący widok przed sobą, a choć się tutaj widzi co chwila malownicze bardzo krajobrazy, nie mogłem nie odczuć silnego wrażenia, patrząc na wspaniałą panoramę roztaczającą się tu dookoła. Jak na dłoni widziało się stąd jasno oświecony jaskrawym, południowym słońcem stożek Chana-Tengri, którego szczyt z różowego marmuru jest prawie 3000 m wyższy od europejskiego Mont-Blanc. Naokoło i obok niego piętrzyły się setki innych mocarzy górskich mało co niższych od niego i łańcuch gór śniegowych zdawał się rozciągać bez końca. Nikt dotąd na Chana-Tengri się nie wydrapał i człowiek tam pewnie nigdy nie dotrze. Broni on swej dziewiczości pierścieniem lodowców szerokości pięćdziesięciu pewnie kilometrów, a sam szczyt jest tak stromy, że ptak chyba mógłby tam dolecieć. Nawet śnieg się na jego pionowych skałach utrzymać nie może i wszędzie widać czerwony, żółty lub szary marmur tworzący górne ściany tego tytanicznego wszechmocy boskiej dzieła.

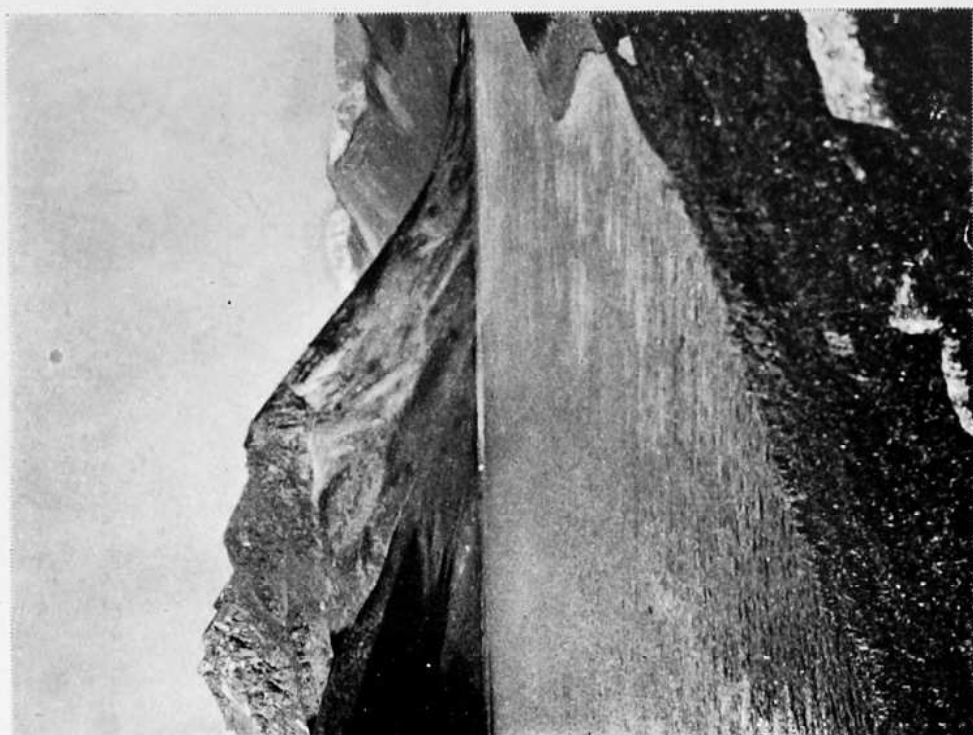
27 czerwca zabrał mnie Nabokow, dziś wyjątkowo pełny animuszu myśliwskiego, jeszcze po ciemku na ochotę. Nie bardzo daleko od obozu przeżyliśmy chwilę silnej emocji, ujrzawszy w półmroku grubego ro-

gacza pasącego się wprawdzie wysoko na górze, ale zamierzającego widocznie posuwać się w dół ku lasowi. Wobec tego schowaliśmy się za drzewami czekając na niego. Po kwadransie koziół rzeczywiście znacznie się ku nam przybliżył, niestety zaświstał nagle w pobliżu świstak, który nas był zwietrzył. Wystarczyło to, aby capa znowu na górę wypędzić. Bieda z tymi świstakami! Nie tylko ostrzegają one często zwierzynę o niebezpieczeństwie, ale kopią na zboczach i nawet ścieżkach głębokie dziury, które w trawie są tak mało widoczne, że koń tam łatwo nogę wsadzić i złamać może. Dużo tu jest rogaczy; w każdej niemal przepaści zarośniętej jedliną żyje co najmniej jeden stary pygargus. Każdy z nich jest jednak tak czujny i przebiegły, że myśliwy zwykle złego mu nic zrobić nie może. Jego w drzewach trudno bardzo dostrzec, a on zawsze widzi już z daleka myśliwego jadącego konno i daje tylko znać o swojej obecności głośnym straszaniem. Na dalszym podjeździe spotkaliśmy dwa stadka małych koziorożców, z których jedno tak nisko się pasło, że można je było od biedy z doliny otrzeliwać. O dwunastej wyciągnęły nas konie na dużą górę, skąd miało się rozległy widok na okolicę. Tam wypatrzyliśmy trzecie stadko tekkè — był to również sam drobiazg, a na innej górze jeszcze cztery sztuki, które wydawały się grubszy. Nie miałem wielkiej ochoty do podchodzenia ich, bo trzeba było z tej góry zjechać, a następnie wyjechać, względnie wyjść na drugą, jeszcze bardziej stromą, a byłem już po-

rzładnie zmęczony i głodny. Kozak jednak, mając jakieś dobre przeczucie, namówił mnie do spróbowania szczęścia. Rzec nie była tak żmudna, jak się to mnie wydawało, gdyż można było do połowy góry, na której ibeksy żerowały, wyjechać konno, tak, że właściwy podchód nie trwał więcej niż półtorej godziny. Nabokow szedł dość nieostrożnie naprzód i wychylił się spoza skały, kryjącej nam widnokraj. W tej chwili spostrzegłem koziorożce 250 m przed nami spoczywające na skale. Syknięciem powaliłem przewodnika swego na ziemię, sam zaś dopelzałem do kamienia, w pobliżu się znajdującego, i oparłszy broń o niego, do strzału się gotowałem. Czujne ibeksy musiały już coś podejrzanego zauważyć, gdyż wstały nagle jak na komendę i ku nam głowy zwróciły. Zauważyłem, że u wszystkich czterech sztuk rogi nietęgłe, ale postanowiłem mimo to strzelać biorąc pod uwagę, że od 5 dni wcale się nie złożyłem i że w obozie z mięsem znowu było kruczo. W chwili spuszczenia cyngla czułem że mi się ręka bardzo trzęsie — co tutaj zresztą bywa stale — i nie byłem pewny precyzji strzału. Nie mogłem się też zorientować zrazu co do tego, co się po strzale stało. Wtem słyszę szum wielki na lewo nad głową i z za skały, o dziesięć ledwo kroków od nas odległej, wypada kozioł z rozwianą wiatrem brodą i wystraszonymi ślepiami i pędzi wrost na mnie. Strzałem w komorę ruluje go w ogniu, tak, że koziołkując pod same nogi mi pada. Potem pokazało się, że pierwszym strzałem bieg tylny mu złamałem i że on



Mój pierwszy koziorożec.



Jezioro Akkul.



Mój pierwszy baran.



Koziorożec ubity 22 czerwca..

straciwszy wskutek tego przytomność, wprost do nas przyleciał. Drugi koziorożec stał jeszcze w tym samym miejscu, gdzie stadko się pierwszej znajdowało. Sądziłem, że jest raniony i dałem do niego aż pięć strzałów nie mogąc go jednak zwalić na ziemię. Później zobaczyliśmy na ścianie skalnej, po której on uchodził, jakby rogi i cielsko leżącego capa. Choć dostęp na tę ścianę był bardzo trudny, podjął się Nabokow dobrowolnie stwierdzić, co to tam leży. Pokazało się, że to były rzeczywiście rogi jakiegoś olbrzymiego koziorożca, który dawno temu zginął, to zaś, cośmy brali za ciało, okazało się bryłą różowego marmuru. Rogi dziś zdobyte, miały tylko 75 cm długości, byłoby to dużo na rogi koziorożca włoskiego, pirenejskiego, arabskiego, a nawet na himalajskiego nie zaś na tienszańskiego; tutejszy koziorożec (*Capra sibirica* var. *Merzbacheri*) jest największym na świecie przedstawicielem tej rodziny dzikich kóz i rogi dobrego capa powinny być ponad metr długie. Od miejsca zabicia do obozu było z górą 30 km. Drogi powrotnej, nie było więc łatwo przebyć, a to tym mniej, że przez trzy godziny siekł nas deszcz z gradem. Grad był tak duży, że bijąc mnie w głowę, przez czapkę nawet dotkliwie mnie raził; kilkakrotnie przyszło nam chronić się przed nim w pieczarach skalnych, spotkanych po drodze. Kałmucki krasy mój ogier nie lubił widocznie piorunów; gdy grom taki padł tuż obok nas, potęgując jeszcze huk swego uderzenia echem tworzącym się w górach, zaczął mnie mój wierzchowiec nie na żarty

ponosić. Nie spodziewając się u niego takiego wybuchu temperamentu, z trudem tylko na siodle utrzymać się zdołałem. Wróciłem dnia tego o piątej po południu do obozu po trzynastogodzinnej, prawie nieprzerwanej jeździe i czułem się moralnie i fizycznie gotów. Na posiłek dzisiejszy podali mi ozór z kozioróżca w potrawce; dość mi on smakował, ale nie był łatwy do zwałczenia zębami.

Ponieważ się pokazało, że i w dolinie Aszu-tör nie ma grubych ibeksów, przeczuliśmy się 28 czerwca w drugą boczną dolinę Bajumkola, noszącą nazwę Ak-Kul. Marsz był długi i mało urozmaicony; wypadało przejść przez dwa wysokie górskie siodła, co koniom ciężko objuczonym nie mało czasu zabrało. Jadąc bajumkolską doliną podziwiałem wspaniałe łąki, różnobarwnym pokryte kwieciami. W ogóle trudno sobie wyobrazić większe bogactwo kwiatów od tego, którym wiosenną porą na poloninach tien-szańskich oko wędrowca zachwycać się może. Ziemia jest literalnie pokryta dywanem kwitnących roślin. Barwy kwiatów wydają mi się żywsze i wspanialsze, niż w Europie, a dzwonki ich i kielichy większe, aniżeli u nas. Kilka razy próbowałem obliczyć ilość gatunków rosnących na jednym metrze kwadratowym i dorachowywałem się często na tej małej przestrzeni dziesięciu lub piętnastu rodzajów kwiatów. I co dzień pojawiają się nowe, świeże i jeszcze cudniejsze od poprzednich. Zdawałoby się, że to jacyś niewidzialni ogrodnicy o to się troszczą, aby grządki i klomby kwiatowe na tych dziewiczych

ogrodach zawsze były odnawiane i umiejętnie odświeżane. Czasem się wprost nie chce wierzyć, że to nie ręka ludzka te kwiaty tak gęsto i równo usiała z taką dbałością o harmonię i upiększenie natury. Jedziesz na przykład długo wśród gołych zupełnie skał nad szumiącym strumykiem i ze smutkiem widzisz, że wszędzie dookoła ani trawki, ani w ogóle źdźbła zielonego nie dojrzy. A nagle stwierdzasz niespodziewanie, że z obu stron rzeczki trochę dalej posiał jakiś duch-ogrodnik szerokie pasmo ciemnofioletowych, dużych prymul, rozweselając tym ponurość tego skalistego pustkowia, a ciebie krzepiąc na duchu. Na godzinę przed przybyciem do obozu schwyciła nas straszna burza z piorunami, gradem i śniegiem. Przykro było ustawiać namiot w czasie tego rozpasania się żywiołów, a jeszcze przykrzej się odczuwało niemożność zgotowania obiadu w tych warunkach atmosferycznych. Dotkliwy głód zaspokoilem kawą, którą mam ze sobą w konserwie; jest ona doskonała i boleję nad tym, że tylko dwie puszki w podróż zabrałem. Obiad dostałem dopiero późno wieczorem po uspokojeniu się nawałnicy.

Nazajutrz miałem drugie spotkanie z archarami, które się równie nieszczęśliwie jak pierwsze, skończyło. Pojechaliliśmy naprzód do jeziora Akkul mającego kilka morgów przestrzeni i leżącego zwyż 4000 m nad poziomem morza. Okolica naokoło przedstawia się niesłychanie odludnie i dziko; wszędzie tylko postrzępione mury skalne, a śnieg nawet w dolinie w parowach wszędzie jeszcze leży. Jedynym

mieszkańcem tego jeziora był ciekawy ptak z rodziny brodzieńców z czarnym płaszczem, białym brzuszkiem i czerwonymi nogami i dzióbem. Musiał to być ptak-anachoreta, jeżeli — mieszkając nad tak pustą wodą — życie znosić może. Byłbym go chętnie dla kolekcji swojej zastrzelił, bo musiał to być rzadki, a może i nieznany dotąd gatunek, ale Nabokow zaklinał mnie, aby strzałem nie płoszyć szlachetniejszej zwierzyny, której się tu spodziewał. Nieco później wykrył Kozak bardzo bystro świeże ślady baranów na mokrej trawie i poszedł ze mną piechotą w kierunku, w którym się zwierzęta udały. Co do mnie, to niebardzo wierzyłem, aby te tropy rzeczywiście były dzisiejsze, i nie miałem przeto uwagi należycie skupionej. Wychodząc na wzgórze, z którego można było ogarnąć wzrokiem małą skalistą dolinę, spostrzegam na dole kupkę rozrzuconych różowych kamieni, jakich tu wszędzie dużo się znajduje, i chcę właśnie przewodnikowi, który wzrokiem dalsze zakątki nizinki przeszukiwał, powiedzieć, że te głazy są zupełnie takiego koloru, jak onegdaj przez nas widziane barany, gdy nagle spostrzegam, że kamienie się ruszają i że rogi z nich wystają. Padam zaraz na ziemię, pociągając za sobą Kozaka i mogę przez lornetę stwierdzić, że mamy przed sobą stadko archarów, z których kilka nosi na głowie potężną obsadę rogów. Widzę równocześnie, że zwierzęta już się na nas patrzą i że nie ma ani chwili czasu do stracenia, więc robię, co mogę, aby być szybko gotowym do strzału. Niestety trzeba znowu

strzelać daleko na odległość 400 może kroków. Nim pojedynczą sztukę na cel wziąć zdołałem, zerwały się nagle wszystkie owce i w szalonym pędzie pobiegły w dół doliny. Zrozpaczony puściłem, nie mierząc, cztery kule w sam środek pędzącego stada i nie zarwałem dziwnym trafem żadnego z baranów, choć one w zbitej szły kupie i kule między nie padały. Kozakowi wyrwał się tu *un cri de coeur*: Ażeby choć jeden w żopę był dostał! Wracając do domu, zapędził się Nabokow na górę, która okazała się nie do przebycia, i musiał potem zrobić wielkie koło, aby się dostać na właściwą ścieżkę, prowadzącą do domu. Wieczorem był stan pogody zupełnie normalny, mieliśmy więc śnieg, deszcz, grad, wichurę i lodowate zimno.

Następnego dnia przecierpiałem dużo z powodu najzupełniej nieudanego podjazdu. Z powodu mgły mogliśmy dopiero o 6 rano wyjechać; wobec tego Nabokow zrezygnował z dalszych planów postanawiając szukać tylko rogaczy na górach, wznoszących się nad obozem. Rzecz zaś całą w ogóle fatalnie poprowadził, wpakował się bowiem zaraz na początku w takie strome urwiska, że nietylko nie można było tamtędy konno przejechać, ale miało się też znaczne trudności z przeprowadzeniem wierzchowców w ręku. Gdy koń mój kilkakrotnie się zwałił i o mało co razem ze mną w przepaść nie pogrążył, odmówiłem dalszego współdziałania w prowadzeniu koni i cugle Kozakowi oddałem, starając się choć piechoto przejść cało przez te niebezpieczne

miejsca. Później zabrnęliśmy w jakieś gęste lasy, gdzie także ciągle zsiadać i konie prowadzić było trzeba, bądź to z powodu wielkich kamieni, bądź z powodu złomów zawalających drogę. Lasy tejsze wyglądają nadzwyczaj dziko. Mnóstwo jodeł zwalonych leży na ziemi, inne stoją jeszcze, ale są już suche, a ich bezigliste konary sterczą złowrogo, robiąc wrażenie, że to ktoś umyślnie straszydła w lesie poustawiał. Tam gdzie las cały przez częste tu pożary zniszczony lub przez wichry obalony, puszcza się rodzaj jakiejś brzydkiej wierzby i rosną żółte, kolczaste krzewy, które krajowcy nazywają *Karagana*. Wyżej ponad strefą drzew widać zamiast naszej kosodrzewiny gatunek kartowatego jałowca lub tui; tworzy ona potężne gęstwiny, przez które ani człowiek, ani zwierz przedrzeć się nie jest w stanie. Po prawdziwych męczarniach dotarłem dnia tego o 11 do obozu, na całym ciele potłuczony i podrapany i tym porankiem myśliwskim srodze zniechęcony. Widziałem dziś świeżutki trop niedźwiedzia, ale gdzie go tu szukać w takiej dzicy, w której człowiek ani konno, ani pieszo naprzód posuwać się nie może. Sądząc po śladach musi tu być dużo misiów. Mimo to, na spotkanie się z nim liczyć nie należy, bo on przeważnie, nocą tylko chodzi, a w dzień śpi w jakichś niedostępnych jaskiniach.

Wobec tego, że i dolina Ak-kul nie spełniła pokładanych w nią co do zwierzyny nadziei, przystępujemy do dalszego punktu programu, dotąd nie

bardzo świetnego i wyruszamy jeszcze wyżej w góry na płaskowzgórzu, położone na wysokości 4500 m nad rzeką Sarydžas. Ma to być ulubiona siedziba baranów; żyją tam rzekomo także bardzo silne tekkè. Ciężkie to będą dla nas czasy; ze względu na wysokie położenie panują tam wielkie zimna i nadchodzą ciągle nawałnice śnieżne, trwające i doby całe. Brak zupełny drzewa utrudnia również przebywanie na tej płaszczyźnie, którą Kirgizi nazywają „Syrt“. Mamy tam dojechać w dwóch dniach. Pierwszego dnia robimy 25 km i dostajemy się w górę doliny Kap-Kak; ładna to dolina, dużo w niej drzew i łąk. Ma to być dobry rewir na jelenie-wapiti. Po drodze spotkaliśmy pięknego rogacza; z dołu było i zadaleko na strzał i niedobrze go było widać. Roznamiętniony Nabokow pędzi pieszo co tchu pod górę, aby się do kozła zbliżyć, a ja nierozsądnie lecę także za nim. Rezultat tej gonitwy był ten, że się bardzo silnie zadyszałem i nie byłem w stanie, wziąć rogacza na cel. Nim płuca przyszły do równowagi i serce normalnie bić zaczęło, zaszył się rogacz w krzaki i przepadł nam zupełnie. Po południu dnia tego nastąpiła zwykła awantura atmosferyczna, ale jeszcze straszniejsza, niż zwykle, bo deszcz nie ustał wieczorem, ale zamienił się w śnieg, który potem całą noc sypał.

Rano musieliśmy odgartywać wał śniegowy przed namiotem, aby w ogóle móc wyjść z naszego domostwa. Góry naokoło wyglądały jak w zimie. Dalszy pochód okazał się dnia tego niewykonalny, a polo-

wanie ranne z powodu śniegu też nie przyszło do skutku. Wynagrodziłem to sobie, biorąc kąpiel słoneczną; słońce zaświeciło mianowicie dziś pierwszy raz od miesiąca na dłużej, niż na kilka minut. Dziwne to było uczucie; wszędzie naokoło leżały głębokie zasy śniegu, a tu słonko gorącymi promieniami skórę prawie paliło. Po południu zrobiliśmy wycieczkę w sąsiedztwo na rogacza. Teren do polowania był tutaj doskonały, bo wszędzie napotykalismy przepaście, do których myśliwemu zaglądnąć było warto. W pierwszej czeluści, odkryliśmy tylko dwie kozy, w drugiej zaś ujrzelismy młodego capka. Ze względu na płacz panujący od dwóch dni w obozie z powodu braku mięsa postanawiam strzelać do niego i podchodzę go na dwieście kroków, kryjąc się za jodełkami. Kozioł kulę ładnie zaznaczył i padł w naszych oczach sto kroków od strzału. Parostki są małe, lecz przedstawiają się oryginalnie, albowiem jeden rożek jest już czysty, drugi zaś całkiem jeszcze omszony. W trzeciej przepaści chodził sobie znów rogacz z rogami nie kapitalnymi. Ulegając niepotrzebnie namowom Nabokowa strzeliłem i do niego, rulując go w ogniu. Strzelając do niego popełniłem karygodne głupstwo, gdyż na strzał wypadł z pobliskich krzaków niewidzialny przedtem, potężny i wspaniały kozioł i uszedł z głośnym straszaniem w górę, nie dając mi sposobności do strzału. Spostrzegając nagle, że zgubiłem swoją najlepszą perspektywę, niezbędną na tutejszym polowaniu, nie idę zaraz do leżącej sztuki, ale rzucam się do

szukania zguby. Nabokow zaś, który utrzymuje, że lorneta została przy pierwszym pygargusie, nie patrzy za nią razem ze mną, ale idzie brać rogacza. Znalazłem szkła porzucone w miejscu, gdzie zacząłem pełzać po ziemi dla podejścia drugiego kozła. Wtem słyszę kozaka wołającego z dołu: „Kozioł uszoł“. I rzeczywiście nie było już ani śladu rogacza, który przez kilka minut leżał, jak nieżywy. Farby widać było wiele, ale nie można było iść za nią daleko, bo po 100 krokach zupełnie cieć przestała. Obszukałem potem konno jeszcze całą zbocz, po której postrzałek widocznie w dół ku rzeczce się spuścił, nic zgoła nie znajdując. Kula musiała oczywiście uderzyć w puste miejsce powyżej płuc, ogłuszając tylko zwierzę.

3 lipca przekroczyliśmy prawie 4000 m. wysoką przełęcz Kaszkatur. W życiu jeszcze nigdy tak nie zmarzłem, jak na tej wyżynie, tysiąc metrów tylko niższej od najwyższej góry europejskiej. Smutno tu było na górze; oko widziało tylko nagie skały, śnieg i zamarzniete wody. Na tej pustyni żyła para tutejszych głuszców górskich, ułarów. Skostniałymi palcami musiałem je dokumentnie chybić, gdy biegły po kamieniach. Z daleka już widać było dolinę Sarydžas, którą płynęła rzeczka, tą samą nazwę nosząca. Niewielki ten strumień ma łożysko co najmniej tak szerokie, jak Wisła pod Warszawą; wody w nim co prawda niewiele, resztę miejsca zajmują masy naniesionych tam prądem kamieni. Góry stają się tu mniej strome, ich wierz-

chołki nie kończą się skalnymi turniami, lecz są łagodnie zaokrąglone; takie to góry lubią najwięcej barany. Na południu zamyka dolinę szereg olbrzymich lodowców; leżą one jeden koło drugiego, białe i martwe i wyglądają, jak kamienice na pustej, miejskiej ulicy. Dalej jeszcze za lodowcami pnie się w górę długi poczet najwyższych szczytów tien-szańskich. Mam poważne obawy co do tego czy konie będą tu miały co jeść. Świeża trawka ledwo się puściła, zeszłoroczna zaś twarda i żółta nie stanowi pożywnej paszy. Dalszym powodem niepokoju jest zupełny brak paliwa w całej okolicy. Wzięliśmy wprawdzie nieco suchego drzewa na koniach ze sobą, wątpię jednak, czy ten zapas choć na dwa dni nam starczy.

Przybyliśmy do doliny dość wcześnie i można było jeszcze pojechać trochę na polowanie. Zapominając jednak o ohydzie tutejszego klimatu, zgodziłem się na propozycję leniwego niekiedy Nabokowa, aby odłożyć podjazd na popołudnie. Z polowania tego nie było naturalnie nic, gdyż Sarydžas przedstawił się nam już dzisiaj w najpiękniejszym swym świetle. Od drugiej godziny do wieczora następowały po sobie bez przestanku burze śniegowe, a wicher tak dokazywał, że namiot, targany na wszystkie strony tylko cudem zdołał się oprzeć jego atakom. Strzelec mój przemarzł dotkliwie na przesmyku i czując się chorym, wzbraniał się wziąć się do gotowania obiadu. Jeżeli i z jedzeniem mają być trudności to przyjdzie chyba zrzec się dalszych nie-

fortunnych prób zdobycia tutejszych niedostępnych trofeów i umykać co tchu w gościnniejsze strony.

4 lipca pozwolił mi patron myśliwych, zapisać na rozkładzie barana. Angielscy sportsmeni, najkompetentniejsi na polu egzotycznego łowiectwa, powiadają, że dopiero ten myśliwy ma prawo przypiąć sobie *the blue band* za myśliwstwo — my byśmy to odznaczenie nazwali może wielką wstęgą orderu św. Huberta — który w swoim pokoju zawiesić może rogi zabitego przez siebie grubego barana górskiego. Ze wszystkich bowiem stworzeń przez łowców na kuli ziemskiej poszukiwanych jest baran najtrudniejszy do podejścia i do ubicia. Dziś wprowadzie orderu myśliwskiego jeszcze nie zdobyłem, gdyż mój baran nie jest kapitalnym, lecz ledwie średnim okazem, zawsze jednak jest to dobry początek, dający nadzieję, że nieszczęście prześladowające mnie dotąd w moich spotkaniach z archarami, tym ostatecznie przełamane zostało. Wyjechaliśmy na łowy dopiero o 1/26, przedtem bowiem przykrywały świat tumany mgły, a na niebie wisiały ołowiane chnury, jakie u nas chyba w grudniu widuje się przed ciężką śnieżycą. Pojechaliśmy prosto do właściwej siedziby baranów w te niższe, faliste, zielone góry, leżące na lewym brzegu rzeki i graniczące z lodowcami. Dziś są te góry pokryte kilkunastocentymetrowym śniegiem. Nie myślałem, aby wzgórza, tak wysoko położone, mogły być zabagnione; w rzeczywistości było tam wiele moczarów, przez które nieprzyjemnie było jechać, gdyż

konie zapadały się często po kolana w błocie, pokrytym śniegiem i dlatego niewidocznym, i z trudnością tylko mogły wyciągać nogi z tej gęstej, lepkiej masy. Przez cztery godziny nic zgoła nie widzieliśmy. Teren był do podjazdu korzystny, bo można było ze szczytów pagórków badać wszystkie okoliczne dolinki, zagłębienia i jary. W ciągu dalszego podjazdu spłoszyliśmy naprzód trzy małe stadka owiec, w których starych baranów — zdaje się — nie było. Znając bystry wzrok tych zwierząt wyjeżdżaliśmy z jak największymi ostrożnościami na punkta eksponowane. Mimo to owce każdym razem spostrzegły już nasze głowy ukazujące się na ich widnokregu i pierzchały w nieładzie, nim byliśmy w stanie, objąć wzrokiem okolicę. O 11 wyszedł Nabokow bardzo bystro inne archary, pasące się w kotlinie, jeszcze 2 km od nas odległej, i zdołał się schronić ze mną na wyżynę, gdzie byliśmy ukryci przed wzrokiem stada. Następnie zajechałem kłusem — drugi raz dopiero od miesiąca, spróbowałem tego chodu końskiego, tu w górach zgoła nie używanego — na wzgórze nad zwierzyną się znajdujące, a po 200 krokach, piechota przebytych, ujrzałem barany, spokojnie w dole się pasące. Oglądam je chwilę przez lornetę i stwierdzam, że barana z rogami tworzącymi śrubę między nimi wprowadzić nie ma, ale że to są sztuki godne strzału, zwłaszcza dla myśliwego, który w spisie zabitej zwierzyny nie ma jeszcze archara. Widzę równocześnie, że kilka sztuk spogląda ku nam w górę i myślę sobie,

że te zwierzęta zauważyły już pewnie moją czapkę lub włosy leżącego obok mnie Kozaka; Nabokow bowiem zdejmuję w pobliżu zwierzyny zawsze swój niebiesko-czerwony, a więc na polowaniu rzeczywiście nie bardzo praktyczny kaszkiet kozacki. Przewodnik mój szepce mi teraz do ucha, aby dopełzać do kamienia; o dziesięć kroków od nas był mianowicie większy głaz, dający i dobre oparcie do strzału i schronienie przed oczami archarów. Pamiętając ostatnią awanturę z owcami, kiedy one w chwili przygotowań do strzału cwałem pomknęły, nie słucham niestety tej rozumnej rady i strzelam z wolnej ręki do pierwszego lepszego z baranów, niedokładnie mierząc i trzęsąc się ze wzruszenia, jednym słowem w taki sposób, w jaki uczeń gimnazjalny strzela na wakacjach do swego pierwszego rogacza. Baran po strzale wcale nie zaznacza, przynajmniej ja nic nie widzę, może dlatego, że mi oczy z emocji mgłą zasłzy, i pędzi wraz z całym stadem galopem w dół. Teraz nastąpiła rzecz najboleśniej-sza. Z zagłębienia niewidzialnego z miejsca, z którego strzelałem, a które można doskonale objąć wzrokiem od kamienia, który nad całą dolinką górował, wypadło pięć baranów-olbrzymów z metrowymi, podwójnie zakręconymi rogami. Gdybym był posłuchał mego Kozaka, mógłbym być strzelać do tych kapitalnych archarów o sto kroków bliżej, niż do tamtych znacznie mniejszych. Spuszczam się po spadzistej, wręcz niebezpiecznej ścianie na miejsce strzału — zwykle unikam starannie takich gim-

nastycznych wysiłków i widzę, że farby niema. Nabokow idzie teraz ze mną za tropami stada, głośno płacząc i żałośnie biadając nad tym, że nie wykorzystaliśmy lepiej tego spotkania w tak cudownie dla myśliwego korzystnych warunkach. Trzeba przyznać, że archary nasze były wyjątkowo nieostrożne, pasąc się w ukrytej kotlinie. Zwykle trzymają się one podczas żerowania w takich miejscach, gdzie mają na trzy strony całkiem wolny widok, zabezpieczając się z czwartej strony wiatrem od niebezpieczeństwa. Tropy są w błotnistym terenie doskonale widoczne, ale nie widzimy niczego, coby uprawniało do spodziewania się, że kula swoje zadanie spełniła. Po przejściu 300 kroków powiada mi Naboków: „*Barin*, popatrzcie na to czerwone przed nami, kamień-li to, czy co innego?” Nie, to nie kamień, to martwy archar, wyjaśnia mi moja perspektywa. Z kulą w środku ciała co prawda za komorą dopiero trafiony, zdołał ten silny zwierz pójść jeszcze 500 kroków i to nie zwalniając i później biegu. Rozmiary tego pewnie jeszcze nie całkiem wyrosniętego okazu wręcz mnie zadziwiły. To zwierzę jest zupełnie wielkości naszego karpackiego jelenia, a wyższe od niego w nogach i zgrabniejsze w budowie ciała ze szlachetną głową i dużymi, wyrazistymi, zielonymi oczami. Rogi nietęgę, 63 cm długie mają 65 cm rozpiętości; grubość ich u nasady wynosi 31 cm. Nie byłam pewny, do którego gatunku mam zaliczyć ubitego barana. W Azji centralnej żyje 3 odmiany tych zwierząt: *Ovis Ammon*, któ-

rego właściwą ojczyzną są góry altajskie, *Ovis Poli*, żyjący przeważnie w transhimalajskich krainach i *Ovis karelini*, którego spotkać można we wszystkich pasmach gór mongolskich i chińskich. W Tien-szanie ma być rzekomo najwięcej owiec ostatniego gatunku, niektórzy myśliwi jednak mieli mieć spotkania i z tamtymi odmianami. Różnica między nimi są nieznaczne i tylko biegły znawca dzikich owiec może ściśle oznaczyć właściwy gatunek po kształcie rogów, wzroście i kolorze sierści.

Obawiając się, że koń Nabokowa zrobi nam z mięsem znowu podobną awanturę, jak onegdaj, przesiodłaliśmy konie i dali skórę, mięso i rogi na mego konia; sam zaś pojechałem na Nabokowej szkapie. Skutek tej jazdy był ten, że postanowiłem na przyszłość używać zawsze tego gniadego wierzchowca, który ma dobre bardzo nogi, wskutek czego stosunkowo rzadko się potyka, względnie pada. Jest więc nadzieja, że na przyszłych podjazdach mniej będzie chwil takich, w których strach o całość mej osoby dech mi zapiera.

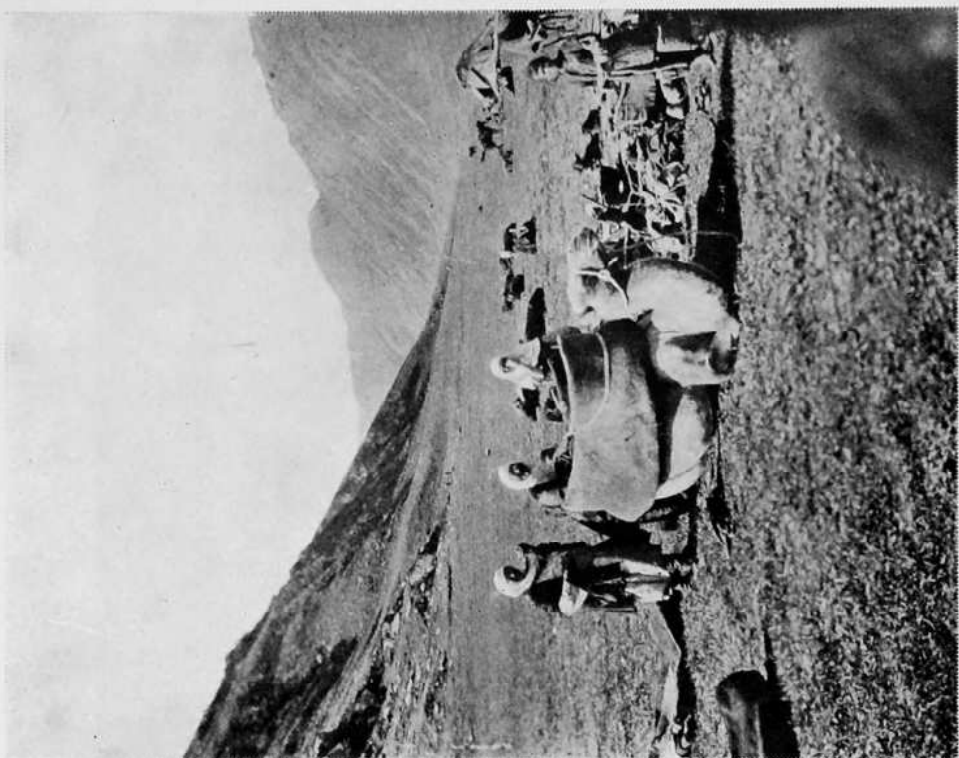
Silny śnieg, padający podczas drogi powrotnej, wyjątkowo nie wzbudzał we mnie ponurych myśli, bo byłem w prawdziwie dobrym usposobieniu. Na małym jeziorku, utworzonym przez wody Sarydżasa, zerwały się dwa klucze dzikich kaczek, jedne czarne z czerwoną główką, wielkie jak nasze cyranki, drugie czarno-białe wielkości gęsi. Biorąc na uwagę, że silny mróz zaczął dziś brać już o 4 po południu i że strzelec cierpi na wewnętrzne niedomagania,

kazałem otworzyć jedną z trzech wziętych ze sobą na nadzwyczajne potrzeby butelek wina; było to czerwone wino z taszkienckich winnic, przypominające smakiem bardzo dobre europejskie. Można być pewnym, że winnice, założone w cieplejszych okolicach rosyjskiego Turkiestanu w ostatnich dziesiątkach lat mają wielką przyszłość przed sobą.

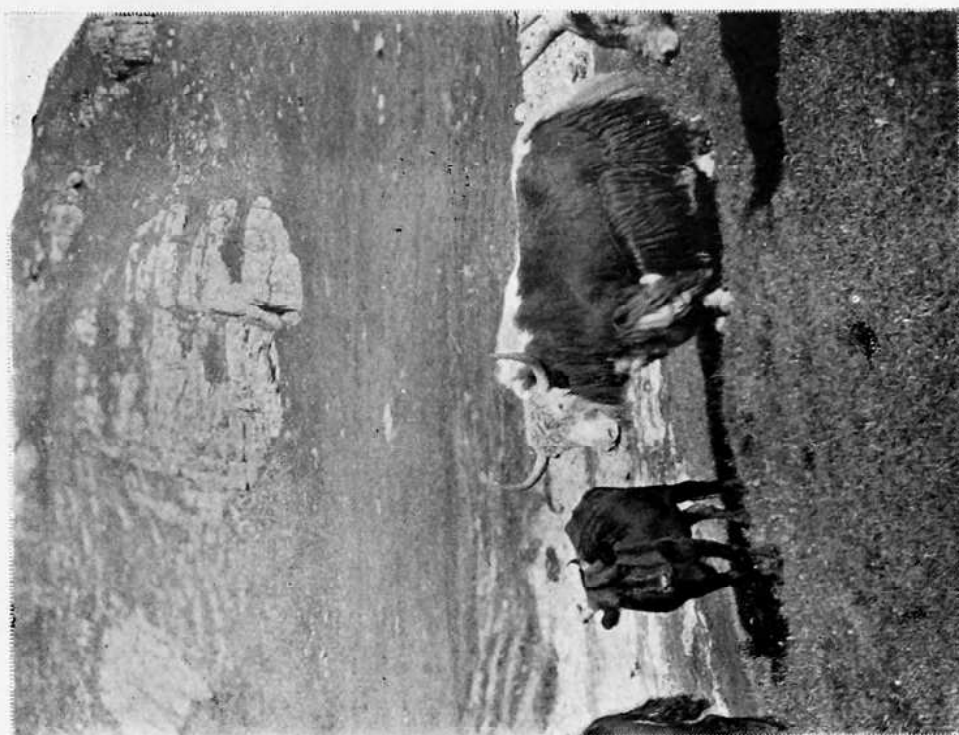
Następny dzień przyniósł mi znowu duże rozczarowanie. Pojechaliśmy w górę rzeki dojeżdżając aż do źródeł znajdujących się u stóp sławnego lodowca Semenowa; ma on przeszło 30 km długości i zaliczony być musi do największych lodowców na świecie. Okolice źródeł Sarydżasa tworzą według Nabokowa i opisów podróżników jeden z najlepszych rewirów na koziorożce w całym rozległym łańcuchu tienszańskim. Jechałem więc tam z silnie naprężoną uwagą, spodziewając się na każdej górze ujrzeć stado tekkè z kapitalnymi capami. W rzeczywistości było tam tak pusto, jak to na południowym biegunie zapewne wyglądać musi. Sam zresztą krajobraz przypominał żywo podbiegunowe strefy; nawet w dolinie leżał śnieg na 40 cm wysoko, wody wszystkie były zamarznięte, a zielonego miejsca na próżno by szukał. Nawet tropów żadnych z wyjątkiem wilczych nie widzieliśmy. Sądząc po ilości tropów musi być wiele wilków w TienSZanie, mimo że dotąd żadnego nie widziałem. Oprócz dużego wilka burego o zwykłym, wszędzie rozpowszechnionym typie jest tutaj wilk rudy, którego Rosjanie nazywają „szakałem“. Ma on być mniejszy, ale



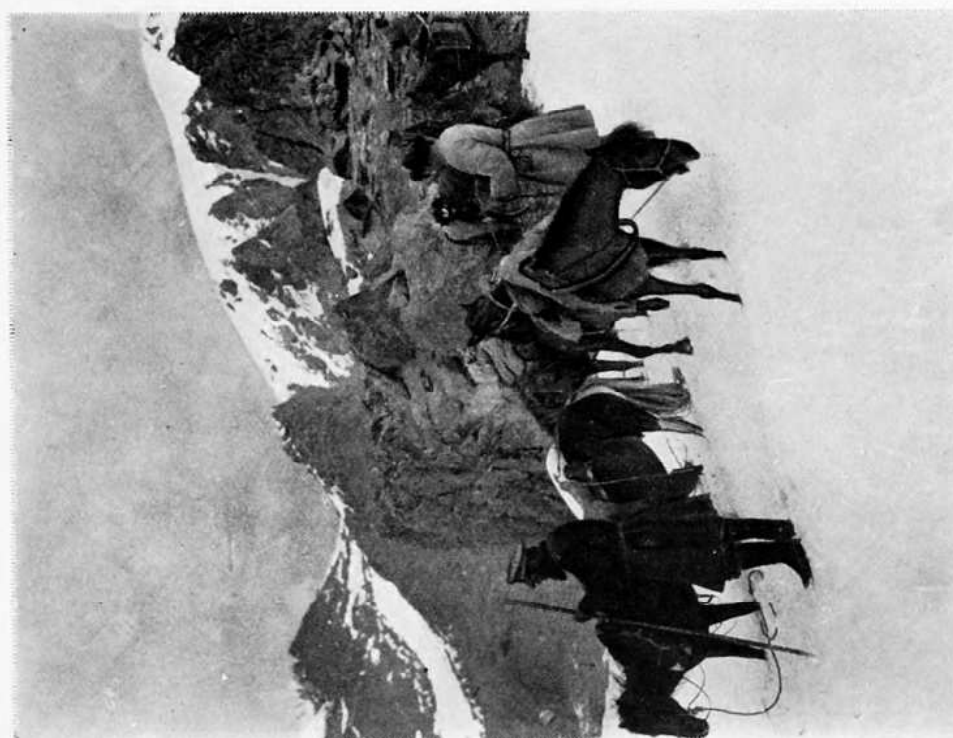
W dolinie Bayumkol.



Kirgizi pakują jurte na wielbłąda.



Mieszaniec jaka z wolem.



Po przejściu przez przełęcz.

dłuższy w ciele, a zarazem o wiele drapieżniejszy i niebezpieczniejszy dla ludzi od wilka szarego. Tubyłcy boją się go jak ognia i uważają go za równie groźnego przeciwnika, jak tygrys.

Gdy po trzech godzinach przejażdżki po tej polarnej krainie ani ptaszka zobaczyć nie mogłem — Kozak twierdzi, że nawet przyzwyczajonym do chłódów koziorożcom tego zimna za dużo było i że pewnie w cieplejsze okolice wywędrować musiały, kazałem obóz jeszcze tego samego dnia po południu przenieść o 12 km w dół rzeki niedaleko miejsca, gdzie do baranów strzelałem. Noc dzisiejsza była wyjątkowo zimna. Termometr nasz wprawdzie już się stłukł, tak że nie wiem napewno, ile w rzeczywistości było stopni mrozu. Przypuszczam jednak, że zimno musiało dochodzić do 7 lub 8 stopni, bo ziemia była rano na kamień zamarznięta. Warto wyliczyć wszystkie rzeczy, którymi się na łóżku polowym okrywam, aby uniknąć zamiany w słup lodowy. Zamiast się na noc rozebrać, co u ludzi szczęśliwszych zwykłą bywa rzeczą, wdziewam na siebie — mając już ciepłą bieliznę i grube ubranie — masywny kaftanik włóczkowy, kamizękę futrzaną i długi płaszcz z grubej materii. Na nogi biorę berlacze i dwie pary ciepłych pończoch wełnianych. To wszystko wsuwam wraz ze swoją osobą do wielkiego worka sypialnego podszytego flanelą i nie przepuszczającego wilgoci i wiatru. Na to przychodzi w końcu ciepły koc i olbrzymie futro, kozuch ten pożyczyłem w Narynkolu, ponieważ futra, wzięte z Europy,

okazały się niewystarczającymi w tym niemożliwie ostrym klimacie. Kłamałbym twierdząc, że spanie pod taką górą ubrania daje ciału uczucie swobody, cel jednak zakresłony jest osiągnięty, bo w nocy przynajmniej nie dygocę ze zimna.

6 lipca mieliśmy śliczny poranek, na niebie nie było widać ani chmurki i góry śniegowe otaczające nasz widnokrąg z 3 stron wydawały się całkiem bliskie i zachwycaly oczy białą swoją szatą. Gdy opuszczaliśmy obóz, słońce jeszcze nie było zeszło i świat tonął w półmroku. Tylko najwyższy szczyt Chana-Tengri, muskany pierwszymi promieniami życiodajnego ciała niebieskiego, gorzał już i płonął purpurowym blaskiem myśl nasuwając, że to ktoś bardzo pobożny zapalił na tej niebosiężnej wysokości, święty jakiś ogień celem wezwania mieszkańców ziemi do wyrażenia hołdu i podziękii Stwórcy pięknego wszechświata. Podążyliśmy ku płaskim i bagnistym góróm tworzącym dalszy ciąg wyżyn, na których spotkaliśmy wczoraj w tak okazałej liczbie archary. Mimo siedmiogodzinną z powodu moczarów bardzo przykrą jazdę nie spotkaliśmy nic prócz dwóch owiec z jagniętami. Nabokow i mój ostatni cały dotąd termofor uszli dziś obaj wielkiego niebezpieczeństwa. Kobyła Kozaka zapadła się nagle po brzuch w jakimś trzęsawisku, pogrążając pod sobą jeźdźca i ciepłozachowujące naczynie, wożone z wielkimi ostrożnościami w kieszeniach siodła. Kozak zdołał się wkrótce wydostać spod konia, termofor naturalnie tego o własnych siłach

uczynić nie mógł i wydawał się skazany na zagładę, a to tym bardziej, że koń, starając się podnieść, uderzał sobą kilkakrotnie silnie o ziemię pomnażając tym — mojem zdaniem — tylko już ilość kawałeczków stłuczonego szkła we flaszcze. Widocznie jednak cuda i w naszej erze jeszcze się zdarzają, flaszka bowiem była cała. Niezrozumiałym jest, jakim sposobem ta nader delikatna rzecz zniosła to tak bezwzględne obchodzenie się z nią. Ciepła herbata, którą zaraz na miejscu tego tragikomicznego wypadku wypilem, nigdy jeszcze w życiu tak mi nie smakowała. I na Syrcie nic więcej pożytecznego zdziałać już nie można; wracamy więc jutro forsownymi marszami do Narynkola, aby możliwie rychło móc potem wyruszyć na wielką wyprawę w głębokie chińskie góry, gdzie więcej może zwierzyny będzie niż tutaj.

Nazajutrz wyjechałem o świcie przed karawaną, aby zbadać jeszcze, czy na wzgórzach ciągnących się wzdłuż północnego brzegu Sarydżasa baranów nie ma. Pokazało się, że one tam obecnie przebywać nie mogły, gdyż te góry, a raczej położone między nimi doliny od tygodnia zajęte były przez Kirgizów i stada bydła. Okolica ta jest — jak mi mówiono — przeznaczona wyjątkowo na letni wypas. Zresztą Kirgizi zachowują sobie górskie pastwiska na zimę, — jak się zdaje — z tego powodu, że tam mimo bardzo mroźne zimy śnieg na południowych zwłaszcza stokach prawie nigdy nie leży, wskutek czego bydło i w zimowych miesiącach tam poży-

wienie znaleźć może. Tylko dzięki pysznej trawie, rosnącej na połoninach, mogą koczownicze tutejsze narody prezimować szczęśliwie swoje olbrzymie stada. Na dolinie bowiem wzdłuż Tienszanu się ciągnącej jest w ogóle mniej trawy, a w zimie leży tam gruba warstwa śniegu. Właściciele bydła, do różnych plemion się zaliczający, zawarli między sobą raz na zawsze prywatne umowy, postanawiające, że w lecie bydła w góry pędzić nie będą i że pewne części gór zarezerwowane są dla pewnych szczepów. Wykroczenie przeciw takiej umowie uważane jest za niehonorowe i pociąga za sobą zapłatę grzywny na rzecz tego plemienia, którego prawa naruszono.

Zatrzymaliśmy się u Kirgizów, spotkanych, aby się napić kumysu, który się wyrabia ze sfermentowanego mleka kobyłego i ma smak kwaśnej serwatki. Nie bardzo mi on smakował, ale przyznać muszę, że gasi skutecznie pragnienie. W każdym razie jest kumys dla zdrowia nader pożyteczny. Kirgizi, którzy mięsa prawie nie jedzą i głównie kumysem się żywią, rzadko bardzo chorują, a nie znają zwłaszcza prawie wcale chorób żołądkowych. Dosiegają oni często bardzo późnego wieku. A nadmienić trzeba, że w szczególności mężczyźni żyją tu bardzo niehigienicznie, leżąc cały dzień bezczynnie w jurcie, nie imając się żadnej pracy i zbliżając się i w drugiej już połowie życia zbyt często do swych nowonabytych, nieraz młodych bardzo małżonek. Kirgizów zaliczyć można do najgościnniej-

szych na świecie narodów. Gość może u nich w każdej chwili wejść do jurty, którą sobie wybierze i w niej przenocować, a nawet mieszkać tak długo jak mu się to podoba. Zapłaty za to Kirgiz nigdy nie przyjmuje, choć gościa przez cały czas i żywić musiał.

Byłem dziś w dwóch jurtach: u niezbyt zamożnego Kirgiza i u wielkiego bogacza. Bogatym nazywają w Azji Środkowej człowieka dopiero wtedy, gdy posiada co najmniej po kilkaset sztuk krów i koni; bywają jednak tutaj i tacy, do których kilka tysięcy sztuk domowych zwierząt należy. Wobec tego, że koń lub krowa przedstawia zwykle wartość około 50 rubli, można tych ludzi i według naszych pojęć nazwać zamożnymi. Swoją drogą ten ich majątek jest kapitałem jakby martwym, bo bogaty Kirgiz prawie nigdy swoich krów i koni nie sprzedaje; nie dbając o pieniądze, dla których rzadko znajduje użycie, zadowalnia się zupełnie tym, że mu klacze dostarczają kumysu, a krowy „airanu“, gatunku kwaśnego mleka, podobnego do „joghurtu“ bułgarskiego. Nie było wielkiej różnicy w przyjęciu u biednego, a u bogatego Kirgiza i dostałem nawet u pierwszego lepszy kumys. U biedaka podała mi napój jedyna jego żona, u bogacza zaś najstarsza z pięciu tam obecnych pań domu. Podawanie gościowi kumysu jest widocznie funkcją zaszczytną, przypadającą najstarszej, a więc mającej największe zasługi, żonie. Pod ścianami umieszcza Kirgiz swoje domowe i ozdobne sprzęty, a więc dywany mon-

golskiego lub bucharskiego wyrobu, siodła, które są nieraz bardzo bogate ze srebrnymi ornamentami i strzemionami, broń i skóry ubitych zwierząt. W obu jurtach, do których zawitałem, w gościnę, przyjęła mnie w progu cała rodzina wraz z krewnymi i przyjaciółmi domu. Posadzono mnie na honorowym miejscu u biednego na owczej, u bogatego na niedźwiedziej, koło ogniska na ziemi rozścielonej skórze, gospodyni zaś domu wzruszyła zaraz drągiem kumys przechowywany w olbrzymim, skórzanym miechu i nalawszy napój w płaską miskę, podała mi go z prawdziwym wdziękiem, większym może, niżby to niejedna europejska dama uczynić była w stanie. Sporządzenie dobrego kumysu ma być rzeczą niezwykle trudną; udaje się on dobrze tylko w dzień piękny, słoneczny; wobec moich doświadczeń nie musi się więc ten nektar w tutejszym klimacie często udawać! Mówiono mi, że dziewczyna, znająca dokładnie kunszt robienia tego napoju, ma dobre widoki zrobienia korzystnej partii małżeńskiej i osiąga przy zamążpójściu wyższą od przeciętnej za młodsze żony cenę. Ponieważ materialści powiadają, że za pieniądze wszystko mieć można, miał bogaty Kirgiz naturalnie same ładniutkie żony. Strój ich składał się z koszuli, szerokich szarawarów z różowego perkalu i długiego kaftana z ciemnej materii otwartego z przodu. Koszule były dziwnym trafem u wszystkich kobiet dziurawe, zwłaszcza pod szyją, tak że widziało się piersi, które — aczkolwiek żółte — miały ładny

kształt greckich amfor i wydawały się na oko jędrne i elastyczne. Nie chcę przypuszczać, że dziury w koszuli umyślnie pozostawiono i że Kirgiski uprawiają w ten sposób nową odmianę kokieterii zapomocą biustu; z drugiej jednak strony stwierdzić muszę, że dziwnie często widziałem taką dziurawą bieliznę. a to nawet u zamożniejszych kobiet, które stać było na całą odzież. *Honny soit, qui mal y pense!*

Widziałem tutaj nadzwyczaj ciekawy okaz wołu. Był to mieszaniec wołu krajowego z „yakiem“ tj. dzikim bykiem, znachodzącym się na wyżynach Tybetu i transhimalajskich krain. Miał on rogi zakręcone ku przodowi w dół, jak wół piźmowiec, zad w porównaniu z przodem bardzo niski, a po bokach długie, jedwabiste włosy, sięgające aż do ziemi.

Z trudnością wydostaliśmy się od naszych amfitionów, bogacz bowiem chciał koniecznie zabić i upiec na moją cześć źrebie; mając wątpliwości co do wartości kulinarnej tej pieczeni starałem się uwolnić od tego zaszczytu oświadczając, że tak długo czekać nie mogę i że nam czas w drogę. Większa część Kirgizów tego aułu towarzyszyła mi na koniach aż do podnóża przełęczy Kapkak, do której teraz zdążaliśmy. Przełęcz okazała się mimo swoją wysokość, która według mojej mapy wynosiła 3800 m, bardzo wygodną, wcale nie stromą i nie zasypaną śniegiem. Przenocowaliśmy w środku doliny Kapkok po zrobieniu dnia tego około 40 km drogi.

8 lipca był dniem dla nas bardzo ciężkim; przejechaliśmy bowiem zwyż 50 km w ulewny deszcz po drodze nieciekawej; dolina staje się, czym niżej, tym bardziej pustą; drzewostan i bogate kwieciste łąki znikają powoli, a góry przemieniają się w nieurodzajne, nędzną, żółtą trawą pokryte pagórki. Dojeżdżając do Ochotniczego oglądałem kozackie uprawne pola. Żyto niedbale na nieobrobionej roli zasiane znajduje się dopiero w tym stopniu rozwoju, co u nas na początku maja. Każdy Kozak, który skończył lat 18, dostaje od rządu w dożywotne władanie 15 dziesięcin; dla wielu z nich, zwłaszcza leniwszych jest to obszar za wielki; dlatego widać tu prócz pól uprawnych często kawałki roli zapuszczonej i trzciną porosłej. Stanowić to winno przestrożę dla ustawodawców mających zamiar przeprowadzić radykalną reformę rolną i oddać dotąd małorolnym większe obszary.

Kozacy w ogóle sami swej ziemi nie uprawiają; każdy z nich trzyma sobie Kirgiza prawie za bezcen, który mu całą ciężką pracę wykonuje. Ciekawym jest, dlaczego Kirgiz, służący u Kozaka, w polu czoła pracować gotów, podczas gdy u siebie w domu niczym się zajmować nie chce, pozostawiając do załatwienia wszystkie cięższe czynności gospodarskie kobietom.

Spotkanie, które dnia tego miałem, dowodzi znowu, że mi na tej wyprawie szczęście właściwie nie towarzyszy. O milę od Narynkola widzę z daleka konie i mundury i poznaję z przerażeniem, że

to sam przystaw jedzie, ten sam, który mi tak surowo zabraniał jeździć na łowy w góry rosyjskie. Według własnego przekonania miałem wprawdzie zupełne prawo i tam polować, bo dokument przysłany mi w drodze dyplomatycznej z Petersburga zawierał pozwolenie podróżowania w celach naukowych i myśliwskich po całym Turkiestanie. Zakaz więc rotmistrza narynkolskiego, który nie mógł przeczytać mego dokumentu w języku niemieckim wystawionego, nie był właściwie uzasadniony. Ale spotykając mnie powracającego z doliny Kap-kak, a więc ze środka gór rosyjskich mógł mi on właściwie robić trudności; obawiałem się w szczególności, czy nie skorzysta z mego rzekomego przewinienia dla zabrania mi strzelb, które mu się tak bardzo spodobały. Prystaw miał całe lato urzędować w Karkarze ze względu na jarmark tamtejszy, liczyłem więc na to, że się o moim przebywaniu w rosyjskich dolinach górskich nie dowie. Przyjechał dziś na jeden dzień tylko do Ochotniczego i nieszczęście chciało, aby go spotkać powracającego właśnie do Karkary. Oby z tego powodu tylko później jakie zawikłania nie wynikły. Musiałem udawać wielką radość z powodu, że go tak niespodziewanie widzę, dowiadywać się z niezwykłym zainteresowaniem o jego zdrowiu i prosić go, aby się kłaniał swojej żonie, swoją drogą bezporównania miłszej od niego. Wydawał się zadowolony z tego, że nic dotąd właściwie nie ubiłem i że polowanie w górach tutejszych uważam za najtrudniejsze ze wszystkich na całym świecie polo-

wań. Nabokow wytłumaczył mi potem dlaczego przystaw z mego niepowodzenia tak się cieszy, opowiadając mi poufnie, że musi często z naczelnikiem — tak rotmistrza tu nazywają — jeździć na łowy, lecz że tenże jeszcze nigdy piórka nawet nie podniósł. Przyznać zresztą muszę, że dygnitarz narynkolski nie wspomniał mi ani słówkiem o moim przekroczeniu jego zakazu i był podczas tego spotkania w ogóle bardzo uprzejmy.

W Ochotniczem zajechałem tym razem do Nabokowa, który posiada ładny, drewniany dom z dużym obejściem, dającym wygodne pomieszczenie wszystkim moim koniom. Rodzina Kozaka składa się z żony, 5 synów i córki. Żona to bardzo sympatyczna kobieta, która swego czasu musiała nawet być bardzo ładną. Widzę też, że jest dobrą gospodynią, gdyż dała mi zaraz po przyjeździe doskonałe masło i smaczny chleb domowy, na które to przysmaki po miesięcznym, niemal ścisłym pod tym względem poście, żarłocznie się rzuciłem. Ze synów odbywa najstarszy swoją 5-letnią służbę kozacką, a drugi się do niej przygotowuje; reszta to chłopcy od 15 do 3 lat. Córka jest to 17-letnia, miła i reolutna osóbka z dziwnie rasową główką, podobnie jak ojciec. Czyżby może i Nabokow pochodził od szlachcica polskiego. Byłoby to do wytłumaczenia, bo przodkowie jego żyli kiedyś napewno w granicach Rzeczypospolitej. Nabokowie odstąpili mi swój pokój mieszkalny, bardzo czysty i sympatyczny, a słynny z tego, że w nim w swoim czasie mieszkał

ks. Arnulf bawarski, który temu lat 8 odbył naukową ekspedycję w te strony, nieszczęśliwą zresztą, gdyż zaraz po jej ukończeniu umarł.

Widać, że wszyscy członkowie tej rodziny są bardzo poczciwi i prawdziwie się cieszą gościem z tak daleka do nich przybyłym. Starają się mi też na wszelki sposób uprzyjemnić pobyt, i tak córka ozdabia mój pokój kwiatami z ogrodu, matka piecze umyślnie dla nas narodowe pierażki, a chłopcy przynoszą mi pierwsze porzeczeki, jedyny zdaje się owoc, dojrzewający w Narynkołu, miejscowości położonej na 1850 m wysokości. Największą przyjemność sprawił mi sam gospodarz domu za-grzaniem łaźni domowej, z której jest niepomrotnie dumny, bo uchodzi za najlepszą w Ochotniczem i sam prystaw w niej pocić się lubi. Jest ona rzeczywiście bardzo porządna, [toteż kąpiel w gorącej wodzie, przy której dwóch chłopców Nabokowa objęło rolę służących kąpielowych szurując mnie z przejęciem od stóp do głów, była prawdziwem używaniem] po tak długim regularnym marznieniu i nie-możności porządnego umycia się.

Następny dzień był poświęcony sprawunkom i odpoczynkowi. Podkuliśmy na nowo konie, które w ciężkim terenie potraciły prawie wszystkie podkowry, i uzupełnili nasze zapasy cukru, herbaty, mąki, ryżu i uruku. Urukiem nazywają po mongolsku suszone morele, które w Turkiestanie chińskim dziko rosną i które tu wszędzie prawie za bezcen sprzedają; kompot z uruku stanowi dla nas codzienne słodkie

zakończenie głównego w puszczy posiłku. Nabokow okazał się znowu bardzo pożytecznym, odszukując gdzieś na swoim strychu blaszany specjalny kufer na jaja, pozostawiony tu przez księcia bawarskiego. W kuferku tym zdołaliśmy pomieścić 104 jaja, a Kozak zobowiązał się przewozić je troskliwie z miejsca na miejsce podczas dalszej wyprawy. Mamy teraz pewność, że wikt nasz będzie w przyszłości bardziej urozmaicony.

IV

WYPRAWA W DOLINĘ AGOYAS

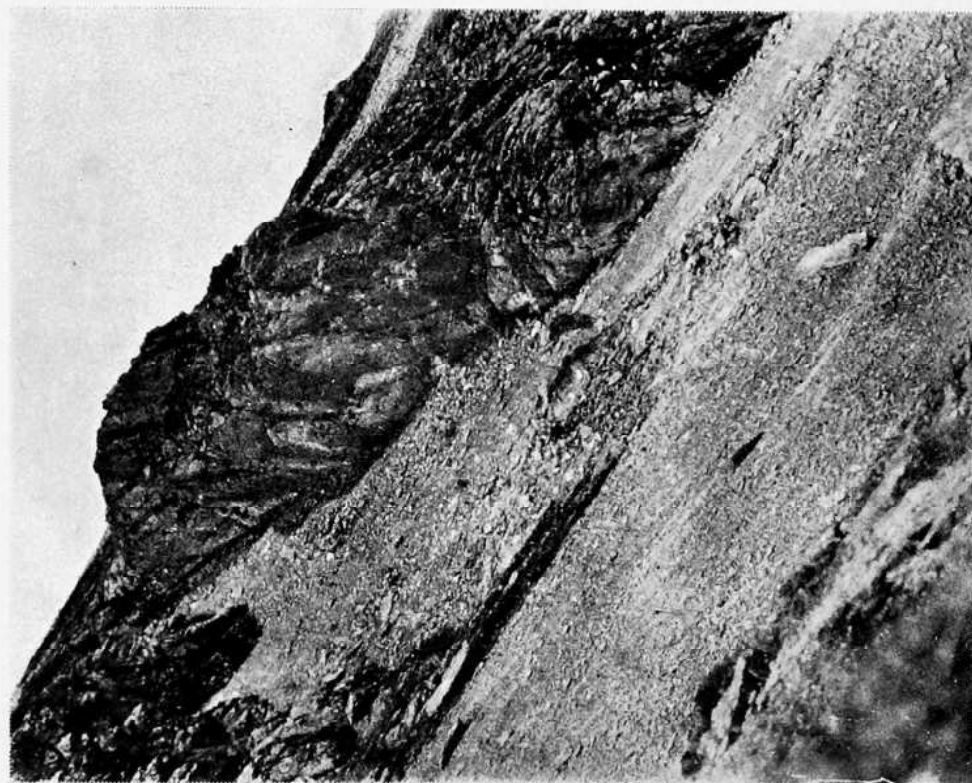
18 lipca nastąpił nasz wyjazd do rzeki, względnie doliny, Agoyas, oddalonej o 80 km od Narynkola. Wobec dalekiej drogi i konieczności zaszanowania koni nająłem tutaj telegę, na którą wpakowano cały nasz dobytek, konie zaś szły luzem, dzień był słoneczny i bardzo gorący. Wydało mi się, że przeniesiono mnie gdzieś na drugą stronę kuli ziemskiej. Temu 3 dni jeździłem w mróz po okolicy całkiem zasypanej śniegiem, a dziś pocę się ciągle z powodu upału i kąpać się mogę w każdej spotkanej rzeczce. Marsz jest monotonny; posuwamy się naprzód szeroką doliną rzeki Tekkès, rozległym stepem, porośłym wysoką trawą. Urozmaicam sobie pochod niefortunnymi próbami podchodzenia dropi, żerujących na stepie. Dropie tutejsze muszą należeć do innego gatunku, niż nasze, mają bowiem więcej piór białych; niestety są równie ostrożne, jak na Zachodzie. Później chybiłem w brzydki sposób wielką czarno-białą kaczkę i zabiłem dwa biegusy, podobne do naszych kulonów, ale bez ich kabłakowatego dzioba. O $1\frac{1}{2}$ 6 po południu dotarliśmy do rzeki Aksu i rozbili nad nią obóz. Ten

wieczór w stepie był cudownie piękny; góry, okrążające dolinę od południa i od północy jaśniały w promieniach idącego na spoczynek słońca żywymi barwami, a niebo było na zachodzie dziwnie jaszkrawo żółte, na wschodzie zaś niemal fioletowe. Następnego dnia zrobiliśmy dalszych 40 km i dojechali wieczorem do rzeki Agoyas, czyli Agias, w miejscu, w którym ona wypływa z gór w dolinę, dążąc ku rzece Tekkès. Zmartwiłem się dziś z powodu niemożności znalezienia myśliwego Kałmuka. Angielscy znajomi mówili mi w Europie, że bez kałmuckiego przewodnika trudno bardzo w górach chińskich polować, bo tylko ci myśliwi znają dobrze teren i wiedzą, gdzie zwierza szukać należy. Nabokow i mój dzigit twierdzili wprawdzie, że oni często w chińskim Tienzanie bywali, że góry i po tej stronie granicy dobrze znają i że więc Kałmuka niekoniecznie najmować potrzeba. Nie ufając jednak tym zapewnieniom — jak się potem okazało, całkiem słusznie — oświadczyłem kategorycznie, że Kałmuka mieć muszę; było to tym potrzebniejsze, że Nabokow jako myśliwy pozostawiał wiele do życzenia z powodu swej nerwowości i awersji do chodzenia piechotą. Reflektowałem głównie na dwóch przewodników, których mi już w Europie polecono. Jeden z nich Nuraàh był sławny z tego, że umiał doskonale wabić jelenia-wapiti; ma to być kunszt bardzo trudny, a koniecznie potrzebny, żeby podczas rykowiska móc ubić tego króla jeleniego rodu. Nuraàh mieszkał gdzieś w pobliżu rzeki „Wielki

Muzart“, przez którą my wczoraj z wielkim trudem się przedostali. Wysłany przeze mnie dżigit szukał go cały dzień i stwierdził nareszcie, że ten przewodnik na własną rękę wyjechał na polowanie w góry i dopiero za miesiąc wróci do domu; dowiedział się równocześnie, że Nuraàh w ostatnich czasach bardzo się postarzał i z powodu osłabionego wzroku nie umie już dobrze zwierza wykryć i pokazać. Wobec tego nie żałowałem nawet, że go nająć nie mogę. Drugi sławny przewodnik, Archaàh, miał swoją jurte gdzieś blisko rzeki Agoyas; lecz i tego odszukać nie było można; mówiono, że on gdzieś na północ powędrował. W smutnym więc raczej usposobieniu rozbiłem obóz nad Agoyasem, należało bowiem rozwiązać dwa trudne problemy: skąd wziąć Kałmuka i jak się dostać wyżej w dolinę tej rzeki. Wkroczenie w nią stanowi w ogóle największą trudność dla myśliwych w Tienszanie, a do niej się koniecznie dotrzeć winno, gdyż stanowi ona główny maticznik koziorożców w całym centralnym łańcuchu tienszańskim. Rzeka Agoyas, największa z rzek tu-tejszych, wypływa blisko wschodniego zakończenia pasma gór Chałyk-Tau, płynie 50 km wzdłuż tychże, skręca następnie na północ i wypływa po dalszych 25 km w dolinę Tekkesu, do którego później wpada. Wzdłuż całego biegu rzeki piętrzą się z obu stron olbrzymie góry, bardzo skaliste, na zboczach których mają żyć jeszcze teraz wielkie stada dzikich kóz. Nieliczni podróżnicy, którzy przywieźli z Azji prawdziwie wielkie rogi ibeksów, ubili je w Agiasie;

wobec tego nie można się dziwić, że właśnie w tej dolinie szczęścia myśliwskiego spróbować pragnąłem. Zarówno znajomi Anglicy, jak i tubylcy, twierdzili jednak, że tam polować można dopiero z końcem sierpnia i we wrześniu, a to dlatego, ponieważ jedyna droga konna w dolinie przenosi się kilkakrotnie przez rzekę, którą jako bardzo rwącą, głęboką i zasypaną wielkimi głazami przebyć można wbród dopiero późno w lecie, gdy już wiosenne wody ze śniegów i lodowców spłyną. Moi ludzie, którzy dotąd twierdzili, że sobie i nad Agoyasem doskonale dadzą radę, byli obecnie całkiem bezradni i na moje zapytanie, co teraz robić, odpowiedzieli małodusznie, że bez przewodnika w górę Agiasa posuwać się nie możemy i że nam albo do Narynkola wracać przyjdzie, albo iść dalej na wschód ku dolinom Kok-Terek i Dzyrgalàn, gdzie wprawdzie zwierzyny nie wiele, gdzie jednak znajdziemy łatwo przewodnika dla tych wschodnich dolin u Kara-Kirgizów tam zamieszkanych. Nie miałem naturalnie wcale ochoty, po prawie 8 dniach monotonnej podróży, ruszać znowu w pochód na dalszych 5 dni, zwłaszcza w okolicę nie bardzo obiecującą pod względem myśliwskim. Postanowiłem zatem jeszcze raz spróbować, czy nie znajdę przecież przewodnika, znającego rewiry Agiasa.

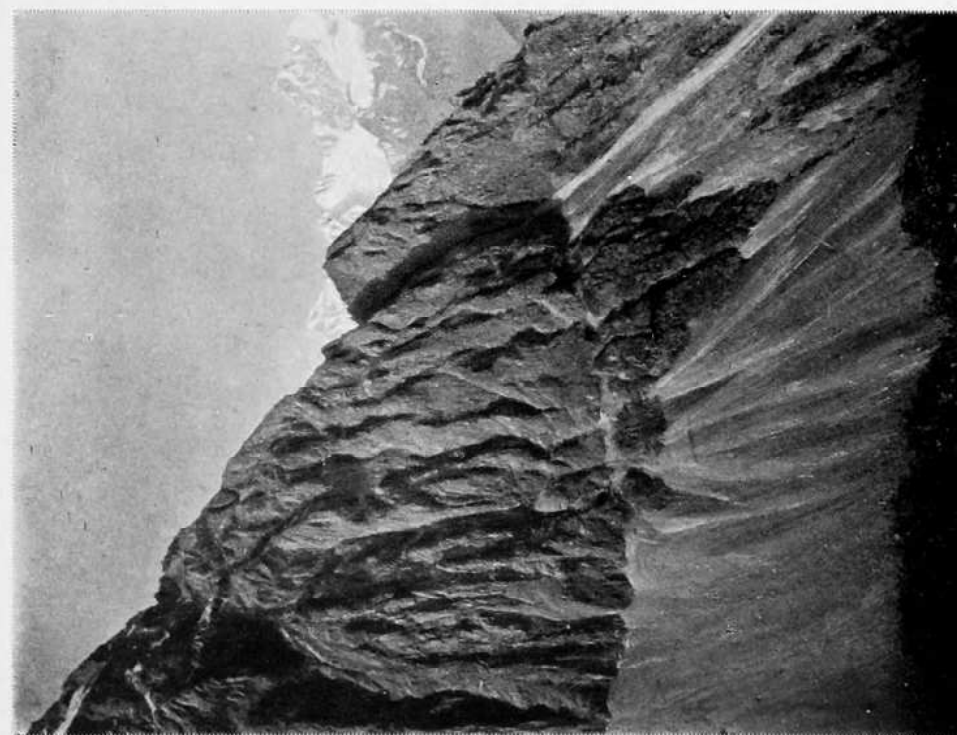
Na drugi dzień wysłałem wczesnym rankiem dzigita z rozkazem udania się do kilku innych jurt kałmuckich, dalej na północ położonych, i przywiezienia kałmuckiego myśliwego bez względu na koszt.



Zbocz, na której ubilem sześć ibeksów.



Część rozkładu z 17 lipca.



Droga powrotna 17 lipca.



Mój najgrubszy koziorożec.

Dziwne jest rozmieszczenie siedzib tego narodu. W dolinie Tekkésu mieszka ich z tysiąc, począwszy od granicy rosyjskiej do rzeki Agoyas; dalej nie ma ich znowu zgoła i pokazują się dopiero na wschodnim spadzie gór tieńszańskich, gdzie rozciąga się rozległa dolina Yułduz! Główne ich siedliska natomiast znajdują się na południu i na zachodzie od miasta Kuldży, a więc dopiero o kilkaset km stąd. Kalmucy są narodem już czysto mongolskim z całkiem żółtą cerą, skośnymi oczami; charakterystyczną ich cechą są długie warkocze, noszone przez mężczyzn, takie same, jakie przed zaprowadzeniem rzeczypospolitej i Chińczycy nosili. Są oni poganami, nie posiadają stałych siedzib i żyją głównie z polowania prześladując zwłaszcza świstaki, mięso których namiętnie spożywają, ceniąc też wysoko mięso psie. Na wiosnę bieżącego roku panowały w ich kraju rozruchy; w Europie, gdzie dzienniki wszystkie zdarzenia z przesadą do wiadomości podają, odradzano mi nawet jazdy w kraje tak wielką rewolucją nawiedzone. Na miejscu jednak nie przedstawiała się rzecz tak poważnie. Urzędnicy chińscy wyzyskiwali od niepamiętnych czasów niełitościwie Kalmuków, którzy, dowiedziawszy się o rewolcie w Pekinie i o utworzeniu republiki chińskiej, skorzystali zaraz ze słabości Chin oficjalnych i odmówili płacenia danin, żądanych przez urzędników w Kuldży. Przy tej sposobności mieli oni zamordować wszystkich wysłanników chińskich. Później jednak, gdy w całej Dżungarii, tak nazywają pro-

wincję między właściwą Mongolią a chińskim Turkiestanem leżącą, wojska napowrót porządek przywróciły, poddali się Kałmucy znów władzom, płacąc nawet znaczny okup za głowy ubitych Chińczyków. Krwawszemi są za to walki, które Kałmucy prowadzą ciągle z Kirgizami; chodzi tam głównie o pastwiska w Tienszanie, do których jedni i drudzy roszczą sobie prawa. Właśnie przed naszym przyjazdem miała się odbyć wielka potyczka w pobliżu mego dzisiejszego obozu, podczas której zastrzelono 7 ludzi. Trupów jednak już nie widziałem. Obecnie panował tu względny spokój i niełatwym nawet było, zebrać wiadomości o tych krwawych zajściach. O 12 w południe zjawił się w obozie z niecierpliwością przeze mnie oczekiwany dżigit; wkrótce można było stwierdzić, że towarzyszy mu 3 jeźdźców, którym u głów wisiały długie czarne warkocze. Ponieważ u nich żadnych innych cech kobiecości dojrzeć nie mogłem, trzeba ich było zaklasyfikować, jako mężczyzn-Kałmuków. Był to rzeczywiście amban, tj. wójt, jednej z okolicznych gmin kałmuckich, który chciał mi złożyć swoje uszanowanie i przyprowadzał mi myśliwego, noszącego wdzięczne, ale niełatwe do wymówienia nazwisko „Ong'kàh“. Amban zapewnił mnie, że jego towarzysz jest dzielnym przewodnikiem myśliwskim i że już raz towarzyszył „Amerykanowi“ na wyprawie myśliwskiej. Wszystkich zagranicznych myśliwych przybywających w te strony nazywają „Amerykanami“, mimo, że tu od początku świata

raz tylko podróżował prawdziwy Amerykanin. Określenie to ma może oznaczyć, że ci myśliwi z bardzo dalekich stron przybywają i że ze sobą dość pieniędzy mieć muszą. Kałmucki myśliwy zrobił na mnie dość dobre wrażenie, nie podobało mi się tylko, że gdy zamiast miesięcznej płacy, żądanej przez niego w kwocie 40-tu „son“ tj. rubli ofiarowałem mu tylko 30, obiecując mu równocześnie wysokie strzałowe od każdej ubitej sztuki, na ten interes się zgodzić nie chciał, mimo, że proponowane mu przeze mnie pobory byłyby wyższe od sumy, którą on żądał, nawet w razie bardzo miernych wyników łowów. Widocznie nie miał on zaufania do swoich zdolności myśliwskich, mających mi umożliwić ubicie tutejszej, trudno dostępnej zwierzyny, a może nie sądził, aby z moich małych gwintówek — tak tu powszechnie nazywają karabiny i sztucce kulowe, które oglądał kręcąc z powątpiewaniem głową, w ogóle coś zabić było można. Nie wiem, czy już wspomniałem, że miałem ze sobą tylko ulubioną moją, a najlepszą na świecie, dalekonośną broń — 6¹/₂ mm karabinki systemu „Mannlicher-Schönauer“. Losy dalszej mej ekspedycji były w tej chwili w takim niebezpieczeństwie, że wypadało się zgodzić na wszystkie warunki Kałmuka. Za chwilę też stał się on stałym już członkiem karawany; obiecywał mi solennie, że doprowadzi mnie do samych źródeł Agoyasa i pokaże mi dużo „tekkè“ z „takimi“ rogami; tu podnosił ze śmiesznym namaszczeniem ręce wysoko ponad swoją głowę i zakreślał nimi wielki łuk, wy-

wołując tą obietnicą żywsze bicie mego myśliwskiego serca.

Ludzie moi nie mieli jakoś wcale ochoty do opuszczenia już dziś naszego obecnego obozowiska. Mieli oni bowiem w pobliżu jurty kirgiskie, w których przebywały opuszczone chwilowo przez mężów i łaknące rozrywki niewiasty, i w których rzekomo kumys lał się strumieniami. Aby ukryć właściwy powód chęci pozostania tu dłużej, tłumaczyli mi oni z zapalem, że wartałoby popołudniu zapolować w lasach, pokrywających pobliskie wzgórza, gdyż tutaj żyje dużo „illików“, tj. sarn syberyjskich. Przejrzawszy jednak prawdziwy stan rzeczy, nie uległem tym pokaśnym zapewnieniom i kazałem zaraz zwinąć obóz. Takie energiczne wystąpienie w karawanie uważam czasem za niezbędnie potrzebne, aby w ludzi wpoić przekonanie, że decyzja we wszelkich ważniejszych wypadkach bezwarunkowo i wyłącznie do mnie należy. I tak się stało; już o 2 posuwał się mój tabor rzeczywiście w głąb doliny Agoyasa przechodząc zaraz z początku przez zawałoną zwierzającymi głązami, dla koni nader niebezpieczną, a bardzo spadziłą zbocz. Ong'kàh, badany co do swych dalszych planów, oznajmił mi, że to nieprawda, aby trzeba było przeprowiać się przez Agias już w dolnym jego biegu i że przeciwnie można się lewym jego brzegiem posuwać aż do samych źródeł, o ile się zna jedną ukrytą ścieżkę. Trudności mogą być tylko z przedostaniem się przez jeden z dopływów wspomnianej rzeki, zwany Kopr-Suh

(*Suh* znaczy po kirgisku woda lub rzeka), który jest mało co mniejszy od samego Agoyasa. W dolinie Kopr ma być według zapewnień Kałmuka jeszcze więcej koziorożców, niż w głównej dolinie. Marsz dzisiejszy wynosił ledwie 18 km. Rozłożyliśmy obóz nad małą bezimienną rzeczką, ale tak rwącą i głośno szumiącą, że wziąłem ją za sam groźny Kopr-Suh.

13 lipca wyjechałem o 3 rano na pierwszy, po może aż 10 dniach podjazd myśliwski. Strumień nie noszący żadnej nazwy, ale mimo to głęboki przebyłem szczęśliwie dzięki pomocy Kałmuka, który prowadził mego konia za cugle i chronił mnie swoją szkapą od silnego naporu wody. Powiada on, że nawet przez tę małą rzeczułkę tylko przed południem przejść można, gdyż w późniejszych godzinach dnia prąd zwiększonej wody konia łatwo obalić i unieść może. Oto inne znów utrudnienie tutejszych wycieczek myśliwskich; należy uważać, aby o pewnej godzinie być z powrotem w domu, bo w przeciwnym razie byłoby się zmuszonym nocować gdzieś w puszczy pod jodełką albo w pieczarze skalnej. To ostatnie uważał Ong'kàh za rzecz zupełnie naturalną, wspominając, że jego „Amerykan“, z którym w zeszłym roku polował, zwykle tak noc przepędzał. Co do mnie, to mam po rozmaitych doświadczeniach życiowych awersję do noclegów nie we własnym łóżku, choćby ono było twardem, obozowym łóżem. Kazałem więc Kałmukowi dobitnie wytłumaczyć, że winien on usilnie dbać o to, aby

mnie co wieczora doprowadzić z powrotem „Üidö“ tj. do domu. Dziś widziałem prawdziwie dziewiczy las tienszański, wcale ręką ludzką dotąd nie tknięty, a nie tak wyniszczony pożarami, jak lasy dotąd spotykane. Jadąc przez te jodłowe bory, ciemne i gęste, miałem pewność, że tutaj i niedźwiedź i marał potężny — tak nazywają Rosjanie nie tylko syberyjskiego jelenia, ale i tienszańskiego wapiti — siedzibę swoją mieć muszą. Wkrótce potem wprowadził nas Kałmuk w szczelinę między skałami. Była to droga najbardziej malownicza, jaką sobie wyobrazić można; wiodła ona tajemniczym ciemnym wąwozem, którego szerokość wynosiła może dwa, a często jeden tylko sążeń, utworzonym przez kilkaset metrów wysokie, zupełnie pionowe ścianki z ciemnego granitu. Na dnie szczeliny płynął, a raczej spadał z góry z hukiem i szumem niewielki strumyk. Słońce nigdy tu nie dochodziło, więc widać było w tej głębinie rośliny nie znające ciepła i światła, mchy i porosty dziwnego kształtu, rozwichrzone i szare raczej, niż zielone. Takie to krzewy rosnąć muszą w jakichś podziemnych, nam nieznanych światach. Mimo piękność szczeliny odetchnąłem swobodniej, opuściwszy ją, tam bowiem miało się obawę, że pionowe skały zamkną się znienacka dusząc człowieka, który między niemi przejść się odważy. Na górze, byliśmy już wysoko, ujrzeliśmy wyższe jeszcze przedtem niewidoczne zielone wierzchołki; na stokach, bujną trawą porosłych, widać też było duże partie skał. Koziorożce lubią właśnie ten typ

gór, bo mogą w nocy i wczesnym rankiem paść się na połoninach, a na dzień cofnąć się między skały, gdzie śpią lub dla zabawy, czy też ruchu po kamieniach sobie łażą. Dolina Agoyas dała zaraz pierwszego dnia dowód, że jej dobra reputacja nie jest fałszywa, Kałmuk pokazał nam bowiem wysoko nad nami aż cztery stada ibeksów, każde z kilkudziesięciu sztuk złożone. Ponieważ jednak nam się wydawało, że wśród nich dużych rogów, a nawet w ogóle capów nie ma, nie kwapiliśmy się z ich podchodzeniem, jadąc dalej ciągle ku śnieżnym wyżynom, gdzie duże kozły łatwiej zostać można. Nie spotkawszy jednak nic przez dalsze dwie godziny postanowiłem widziane poprzednio stada przecież podchodzić, licząc na to, że w takiej liczbie zwierza choć kilka męskich przedstawicieli koziego rodu napotkam. Nabokow odprowadził konie do domu, Ong'kàh bowiem oznajmił, że będziemy mogli przez grzebień góry, na której koziorożce się znajdowały, bliższą drogą wprost do obozu się spuścić. Kontent byłem, że jazda konna na dziś się skończyła, z powodu bowiem plagi bąków, kęsających nasze konie w nielitościwy sposób, stała się ona tu nader nieprzyjemna a nawet nie całkiem bezpieczna, jak to przykład Kałmuka dowodzi. Rumak jego miał tą dziwną, a dla jeźdźca przykrą nawyczką, że chcąc się oswobodzić od owada wyjątkowo dotkliwie go kęsającego, przewracał się po prostu na bok, zmuszając jeźdźcę do salwowania się szybkim ze siodła skokiem. Giętkiemu Kałmukowi skok ten zawsze

się udawał, pytanie jednak, czy ja zdołałbym tak zręcznie na czas opuścić mego wierzchowca, gdyby on mając tak zły przykład przed sobą, zapragnął zastosować i dla siebie ten radykalny środek dla spędzenia upartych bąków. Nie miałem wyobrażenia, aby w jednym miejscu mogła się w ogóle nagromadzić taka niezliczona ilość tego plugastwa. Naokoło koni latała ich cała chmura, tak że jeźdźca mnie o kilka kroków poprzedzającego wcale widać nie było. Gdy zaczęliśmy pieszo wspinać się na górę, poleciała część ich, przywabiona widocznie ludzkim potem za nami i tak nas obsiadła, że na ubraniu nie było ani centymetra od nich wolnego miejsca. Jednym uderzeniem zabijało się sto sztuk tych krwiożerczych much, a za chwilę znajdowała się na tym samym kawałku materii znowu taka sama ich ilość. Szczęście jeszcze, że stosunkowo mało na twarzy siadały, ale na ręce trzeba było bardzo uważać, aby je od dotkliwego pocięcia uchronić. Zauważyłem aż cztery rodzaje bąków; oprócz naszych gatunków, jednego dużego z czerwonymi lub zielonymi oczyma i drugiego małego siwego, który w Europie w jesieni zwykł konie trapić, widać było grubego bąka czarno-żółtego, którego ojczyznę właściwie austriacka monarchia być powinna, i średniego, niemal zupełnie czarnego, który kąsał w sposób wyjątkowo napaściwy i odważny.

Po kilku godzinach męczącego, ale nie niebezpiecznego wspinania się ujrzelśmy przed sobą kamienne rumowisko, rodzaj olbrzymiego lejka między

skalnymi ścianami. Nie spodziewając się stosunkowo tak nisko zwierzyny wychylił się może nieco nieostrożnie spoza grzebienia górującego nad rumowiskiem. A tu nagle zaroła się cała ta przestrzeń od kremowo-żółtych zwierząt, które nas już zoczyły i ku szczytowi góry uchodzić zaczęły, nie uciekając jednak we właściwym tego słowa znaczeniu, ale zwolna z honorem się cofając. Śliczny był widok tej masy koziorożców w ruchu; szły one partiami różnymi ścieżkami. Nie zdaję sobie sprawy z tego, ile ich tam być mogło, może 200, a może i 400 sztuk. Na strzał było za daleko, a zresztą w całym tym stadzie nie widzieliśmy w ogóle samców. Po kwadransie opróżnił się cały lejek z koziorożców, które przeszły wszystkie przez grzebień góry. Jeszcze przez chwilę ukazywały się od czasu do czasu tekkè na graniach tworzących szczyt spoglądając z zacięciem w dół na dziwne jestestwa, które sapiąc ciężko ku nim się gramoliły. Ong'kàh szedł przede mną, nie patrząc się przed siebie. W tem spostrzegam sam na przodzie cztery koziorożce pędzące galopem o jakie 150 kroków i widzę, że mają dość duże rogi — a więc to widocznie capy. Dźgam kijem alpejskim Kalmuka, niosącego karaninek, biorę ten ostatni za chwilę w posiadanie i szukam celu. Koziorożce idą teraz truchtem przystając od czasu do czasu na cyplach skał. Zadyszany jednak straszliwie mierzyć spokojnie nie mogę i broń odłożyć muszę. Później strzeliłem wprawdzie do tych capów kilkakrotnie ale całkiem nie potrzebnie, bo one już zbytnio

były od nas oddalone. Tymi strzałami zmarnowałem nie tylko kilka nabojów, ale spłoszyłem pewnie i inne koziorożce, które po tamtej stronie góry znajdować się powinny. Ong'kàh uspokajał moje obawy co do spłoszenia reszty koziorożców zapewniając, że one strzałów się nie boją, gdy myśliwego nie widzą, sądząc wtedy, że to, „kudai“ tj. Pan Bóg strzela. Ten ostatni zaczął zaraz potem rzeczywiście strzelać, bo zesłał burzę z grzmotami i tak silnym gradem, że głowy przed nim pod krawędziami skał trzeba było chronić. Podczas dalszego pochodu następowały w odstępach półgodzinnych ciągle podobne nawałnice, utrudniając chodzenie po śliskich stromych zboczach. Moje obuwie podbite suto gwoździami dawało mi jakie takie oparcie, Ong'kàh natomiast w swoich opankach z jeleniej skóry (szczęśliwiec zabił bardzo niedawno dwa duże byki) walił się co chwila na ziemię, i staczał się regularnie kilka lub kilkanaście kroków na dół nic sobie zresztą z tych upadków nie robiąc. Po dalszej godzinie doszliśmy na drugą stronę góry. Tam zoczyliśmy naprzód stado tekkè, które ułożyło się na spoczynek w przepaści między wysokimi ścianami. O podkradaniu się ku nim myśleć nie należało, gdyż zaległy w miejscu całkiem niedostępnym. Niżej ujrzelśmy dalsze stadka tych zwierząt spoczywające na kupkach skał po całej zboczach rozrzuconych. Mogłem się do nich łatwo zbliżyć kryjąc się za kamieniami, względnie czasem i za chmurami, które podczas burz na tej wysokości nie ponad nami, ale przez nas przeciągały. Nieba-

wem byłem ibeksami całkiem otoczony. Siedząc w zagłębieniu między skałami widziałem je na lewo i na prawo od siebie, z przodu i z tyłu. Mogłem je doskonale oglądać, bo niektóre nie stały dalej, jak na pięćdziesiąt kroków ode mnie. Widziałem ich oczy na nas zwrócone — musiałem kilkakrotnie, patrząc na nie, parsknąć śmiechem, bo koza kozioróżca ma dziwnie śmieszny wyraz fizjonomii, spogląda oczami jakby sennymi, czy rozmarzonymi, a przytem wygląda całkiem niezwykło poważnie. Były to naturalnie same „iczkè” — tak kalmucy nazywają samice — i kozłatka ibeksów. Siedzieliśmy tam z godzinę, mając ciągle nadzieję, że spoza jakiejś krawędzi skały capek choć jeden się wychyli. I rzeczywiście wychylił się, ale niestety niewielki. Poznaliśmy go po brodzie, którą sobie wycierał o mokrą trawę, rogi bowiem były mało co większe od rogów kozy. Długo wzbraniałem się strzelać, z jednej jednak strony błagał mnie Kalmuk, aby zrobić dobry początek wspólnego polowania, dodając, że całego kozioróżca będzie można dostawić do obozu znajdującego się w dole, z drugiej zaś brzmiały mi w uszach napomnienia mego strzelca, aby koniecznie coś mięsa przywieźć do domu, bo daje na obiad już ostatni kawałek barana, kupionego temu dwa dni. Tym łatwiej uległem tym namowom, że od 5 lipca nic zgoła nie zabiłem. Kozioróżec, dostawszy kulę z góry w dół blisko karku, zrulował na miejscu i stoczył się z 200 m po zielonej runi ułatwiając nam w ten sposób transport jego do namiotu. Odcieśliśmy

rogi, ja wsunąłem do kieszeni jęzor, który stanowi delikatny smakołyk zwykle zabierany mi cichaczem przez Kirgizów, ścierwo zaś posłaliśmy kopnięciem nogi dalej w dół. Pokoziolkował się kilkaset metrów, zatrzymany dopiero przez pierwsze drzewa rosnącego u stóp góry lasu. Wróciłem do domu o piątej niezbyt dumny z dzisiejszej zdobyczy ale oblizując się na myśl o świeżym, młodym mięsie mej ofiary. Brzydko łakomym staje się człowiek w tej pustyni; swoją drogą, gdy się nie strzela, to jedzenie stanowi jedyną pociechę w ciężkim, koczowniczym życiu.

Ong'kàh, który przedtem zapewniał, że z tego obozu będzie trzy dni łowów, postanowił nagle, że się już 14 lipca dalej ku dolinie Kopr-Suh posuwać będziemy; zniechęcił się widocznie tym, że tutaj ani jednego porządnego capa nie widział. Okazuje się, że na górach, jak wczorajsze, a więc nie bardzo dzikich i nie pokrytych śniegiem na szczycie, żyje tylko sam drobiazg koziorożców. Starsze kozły, ostrożniejsze i odporniejsze na zimno, chronią się na wyższe jeszcze góry, gdzie dostęp trudniejszy i ludzie rzadko bardzo dochodzą.

Pochód dzisiejszy jest monotonny; emocje sprawiało nam tylko przeprawienie się przez bezimienną rzeczkę, które zresztą szczęśliwie się udało. Nabokow siedział od samego rana na brzegu, aby uchwycić chwilę, w której w rzece najmniej płynie wody. Następuje tu zwykle między 8 a 10 przedpołudniem; o tym czasie przepłynęły już wody ze śniegów i lodów, stopionych dnia poprzedniego, a mróz

nocny zatamował dalszy zwiększony przypływ. Ujechawszy dziś 20 km, rozłożyliśmy się obozem na lewym brzegu rzeki Kopr. Tuż nad obozem wznosił się wysoko w górę prostopadły prawie całkiem mur skalny; po ścieżce, w nim wykutej, wyjechał następnego dnia Kałmuk ku memu wielkiemu zdziwieniu konno; co do mnie to wolałem oddać mu konia do prowadzenia i drapać się piechotą miałem bowiem uczucie, że koń tu na wznak się przewrócić musi. To dziwne! Idąc piechotą nad przepaścią nie miałem zwykle zawrotów głowy; gdy zaś konno jechać mi przyjdzie po bardzo stromej zboczy w górę lub na dół, to mi się słabo robi i mam wrażenie, jakbym się zaraz wraz z koniem w dół musiał stoczyć.

Na górze zrobiliśmy niemiłe odkrycie świeżych śladów konia na ścieżce. Ong'kàh myśli, że to jakiś kałmucki myśliwy chciał się spuszczać w dolinę Kopr-Suh, lecz zobaczywszy tam namiot „Amerykana“ uważał za stosowne się cofnąć. Niebawem zobaczyliśmy też rzeczywiście w dali konnego Kałmuka, a dalej jeszcze dwóch. Przywołujemy ich i dowiadujemy się, że to znajomi i krewni mego przewodnika z tego samego aułu, co on. Do siodeł mieli przytroczone dwie skóry zabitych wczoraj tekkè; przyznali się, że z tych gór, na które my się dziś wybierali, wypłoszyli ze sto sztuk koziorożców dodając, że mimo to nie potrzebujemy wracać, gdyż jedną, boczną dolinę pozostawili nienaruszoną i my tam powinni spotkać się z ibeksami. Śmieszne było

uzbrojenie tych Mongołów. Mieli stare, wojskowe karabiny rosyjskie tzw. berzanki niezmiernej długości, a przedłużone jeszcze olbrzymimi widłami, służącymi jako oparcie przy mierzeniu, długość całej broni wynosiła co najmniej $3\frac{1}{2}$ m. Widzę, że Kałmucy lepiej się obchodzą z bronią od wielu europejskich myśliwych; karabiny wyczyścili bardzo ładnie, chroniąc zamek szmatami, a lufę korkiem od zamknięcia. Jeden z nich odpokutował ciężko swoją pięciodniową myśliwską wycieczkę; od refleksu słońca na lodowcach i śniegu dostał ostrego zapalenia oczu i był chwilowo zupełnie ślepy, jęcząc ciągle z bólu. Jest to wielkie niebezpieczeństwo grożące myśliwemu w wysokich górach; poluję tu też zawsze w ciemno-zielonych okularach, łagodzących odbłask białych przestrzeni. Rozmowę z naszymi rywalami przerwał ulewny deszcz, przed którym schroniliśmy się do pobliskiej jaskini. Tejże nocy służyła ona za mieszkanie niedźwiedziowi, który pozostawił tam liczne ślady swego pobytu; po wypadłych mu z futra włosach wnioskujemy, że należał on do gatunku jasno-płowych niedźwiedzi. Deszcz wkrótce przeszedł, pojechaliśmy więc w dolinę wskazaną nam przez Kałmuków; leżała ona bardzo już wysoko i gubiła się w lodowcu, stanowiącym jej zakończenie; po obu jej bokach piętrzyły się dzikie, czarne turnie. Ze względu na nie zrobiło mi się dość nieprzyjemnie, gdy Ong'kàh, nie odkrywszy „tekkè“ w samej dolinie, proponował mi spacer na te groźne ściany, skąd miało się mieć możliwość zaglądnięcia w kry-

jówki skalne, w których według jego doświadczeń grube capy zwykle się trzymają. Dopiero na jego solenne zapewnienie, że napewno nie będzie niebezpieczeństwa stoczenia się w dół, zdecydowałem się na to gimnastyczne ćwiczenie. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że mój mongolski przyjaciel na każde zapytanie, czy na tę lub na ową górę bezpiecznie leźć, regularnie, stereotypowo odpowiadał: „*Dżoł dżaksy*“ tj. droga piękna, podczas gdy później przejście to zwykle okazywało się jako karkołomne i nad wyraz niebezpieczne. Tutaj można było jako tako się wydrapać, gdyż mimo ściany turni niemal prostopadłe miało się wszędzie kępki trawy i mchu, na których noga od biedy znajdowała oparcie. Byłbym może i nie wylazł, gdyby nie pomoc poczciwego Kałmuka, który się mną cały czas niezmiernie troskliwie opiekował, nie można powiedzieć, jak zwykła niania, ale jak najlepsza angielska *nurse*, pokazywał mi on każde miejsce, gdzie stąpić należało, kopał dla mnie schodki w ziemi, usuwał z drogi kamienie, podawał mi rękę w razie potrzeby lub ofiarował swoje plecy jako oparcie. Po trzech godzinach stanąłem rzeczywiście na grzebieniu góry, ale byłem też — jakto mówią — gotów. Usiadłem na skale, sapiąc głośno, i w swoim zmęczeniu nie zauważyłem nawet, że zerwała się silna śnieżycy i że wskutek tego nic nie widać. Lekkonogi zaś Ong'kàh tak rzeźki, jak gdyby był odbył co najwyżej pół godzinny spacer po linii A-B krakowskiego rynku, poszedł jeszcze wyżej, każąc mi tu siedzieć. W ra-

zie spostrzeżenia zwierzyny miał on mnie zawołać. Po kwadransie ujrzałem przez zasłone padającego śniegu niewyraźnie jego sylwetkę nad sobą i domyślając się, że mnie do siebie przyzywa, zacząłem się ku niemu posuwać. Teraz dopiero spostrzegłem ze zdziwieniem, że brodzę po dość głębokim, świeżo spadłym śniegu i że mi zaczyna być zimno. Kałmuk oświadczył mi z rozjaśnioną miną, że odkrył w pobliżu tekkè i że niektóre z nich są grubymi kozłami — tu nastąpił charakterystyczny ruch rąk, oznaczający potężne rogi. Gdy się zapytałem, czy ich jest dużo, złożył on ręce z wyciągniętymi palcami jak do modlitwy, potem obrócił palce na dół i złożył ręce odwrotnie, następnie zrobił jeszcze raz ruch pierwszy i ponownie drugi. Ta mimika miała znaczyć, że jest czterdzieści ibeksów. Jak on w tej zamieci mógł w ogóle dostrzec koziorożce i zorientować się co do ich liczby, pojąć zgoła nie mogę. Poprowadził mnie on teraz jakie 200 kroków wyżej; byliśmy tutaj na wysokości 4000 m, wobec czego płuca moje i serce wadliwie funkcjonowały, co spowodowało świszczący i zbyt głośny oddech. Zmęczone nogi plątały mi się ciągle, jakby stawiane przez pijanego człowieka; ratując się od upadku opierałem się ciągle na kiju górskim, którego okuty koniec często z hukiem o kamienie zawadzał. Wszystkie te odgłosy wywoływały u mego przewodnika skierowane na mnie, karcące i pełne wyrzutu spojrzenia. Nareszcie pokazał on w dół, powiadając, że tekkè tuż pod nami znajdować się muszą. Oprócz śniegu



Baran jako ofiara dla kuchni.



Karawana w Kopr-suh.



Powrót z pomyslnego podchodu.



Tak leżał koziorożec zabity 23 lipca.

coraz gęściej padającego nic jednak nie widziałem i nic też widzieć nie mogłem, bo ibeksów już tam nie było, jak to Ong'kàh — spuściwszy się na dół — za chwilę sprawdził. Powiada on, że usłyszały widocznie moje sapanie a zwłaszcza uderzenia kija o kamienie i cichaczem uszły. Z powodu zmęczenia i mokrego zasypującego nas śniegu byłem tak zdemoralizowany, że odczułem zadowolenie, iż nie ma potrzeby strzelania. W takich warunkach musiałoby się to i tak skończyć pudłem. Miałem też tylko jedno słowo na ustach: *üido* tj. do namiotu! Życzenie to wywołało uśmiech politowania u Kałmuka, który — jak się zdaje — dopiero teraz chciał na prawdę zacząć polować. Powrót nastąpił inną drogą, prowadzącą samym grzbietem gór. Dziwne są niektóre łańcuchy tienszańskie; jedna strona takiego pasma jest zupełnie skalista i niemal pionowo w górę się wznosi, druga natomiast pokryta zielenią i znacznie mniej spadzista. Wygląda to tak, jakby nadczłowiek jakiś niezmiernie mocny był wielką łopatą rozkopał skorupę tam ziemską, rzucając wszystkie głazy tylko na jedną stronę olbrzymiego rowu. Gdyby nie śnieżyca, to mógłbym być grzbietem tym wcale wygodnie naprzód się posuwać. Mokry śnieg jednak przylepiał się do podeszew i tworzył tam wielkie twarde kule. Gdym tych grud bezzwłocznie z nóg nie zbijał, to ześlizgiwałem się zaraz na dół i powstrzymać mogłem upadek tylko chwytając się jakiegoś większego po drodze głazu. Podczas tego marszu mogłem zabić co najmniej cztery uła-

ry; duże te kuraki, tu mieszkające ludzi dotąd widocznie nigdy nie widziały, bo patrzyły na nas zbliska bez obawy, witając nas gdakaniem tak, jak kury swojskie wołają na klucznice, przynoszącą im wieczorne ziarno. Miałem silną ochotę strzelić do nich, ale Ong'kàh sobie tego nie życzył, spodziewając się ciągle koziorożców. Te ostatnie trzymały się rzeczywiście gdzieś niedaleko, gdyż dwukrotnie słyszeliśmy tupot ich racic, gdy uciekały po kamieniach. Widocznie poczuły nas lub zoczyły, a my ich z powodu zamieci widzieć nie mogliśmy. Po dalszej godzinie pochodu — zdawało się, że grzbiet tych gór nigdy się nie skończy — odkryło bystre oko Kałmuka trzy, czy cztery tekkè, spoczywające na przeciwległej zboczy głębokiego parowu. Ja nawet przez silne szkła przez długi czas ich spostrzec nie mogłem, nareszcie jednak zdołałem przez śnieg zobaczyć niewyraźnie łuki ich rogów, które mi się wydały potężne. Chociaż nie były bardzo daleko — dwieście może kroków, nie wypuściłem kuli, gdyż po złożeniu się, już koziorożców w ogóle nie widziałem. Powrót z tej góry był w swoim rodzaju też oryginalny, Ong'kàh wybrał na zejście stok, pokryty wszędzie grubą warstwą ruchomego, drobnego kamienia. Stawiając gdzieś nogę, wprowadzało się kilkaset okolicznych kamyków w toczenie się; mimowoli czułem obawę, że cała ta masa luźnych gruzów zjedzie naraz na dół i mnie całego zasypie. W ogóle nieprzyjemny to był dzień; w domu długo się po tej śnieżnej kąpieli ogrzać nie mogłem.

16 lipca był znowu pochód, bo Ong'kàh powiedział, że wobec wypłoszenia zwierzyny przez jego pobratymców niema w tym obozie dłużej co robić. Byłbym chętnie jeszcze raz na tę wyżynę zaglądnął, na której — jak przez zasłonę — te wielkie rogi ujrzałem, lecz przewodnik zapewnił mnie, że stare capy raz, choćby tylko lekko zaniepokojone, daleko bardzo uchodzą, wobec czego szukanie za nimi w tym miejscu byłoby bezcelowe.

Dziś stała się rzecz całkiem niespodziewana, gdyż przeszliśmy gładko przez rzekę Kopr. Przejście to było projektowane dopiero na później, gdy do źródeł rzeki dojdziemy. Nabokow jednak zauważył miejsce, gdzie strumień ten szeroko się rozlewał, i gdzie dużych głazów w jego korycie nie było, i spróbował przejść na drugą stronę. Ujrzawszy, że mu to łatwo się udało, zarządziłem zaraz przeprawienie się całej karawany przez wodę, chcąc tę niebezpieczną chwilę mieć już za sobą i być spokojnym co do tego, iż w górę Agiasa napewno już się dostać będziemy mogli. Mimo, że woda dochodziła jeźdźcom powyżej brzucha, obyło się bez wypadku, tylko Kirgiz Sadak-Pai, którego koń, się potknął, zniewolony był zanurzyć się w wodę wraz z głową. Po zrobieniu dwóch mil prawym brzegiem Kopr-Sùh rozłożyliśmy obóz w miejscu, w którym rzeka na dwie części się dzieli, tworząc w ten sposób dwie doliny. Naokoło piętrzyły się bardzo wysokie góry, których wierzchołki przeważnie śniegiem były zasypane.

Dzień następny był dla mnie dniem pamiętnym, w którym wspaniałych wrażeń myśliwskich doznałem. Już od niejakiego czasu przeczuwałem, że wkrótce przyjdzie dla mnie nagroda po tylu trudach, zawodach i niepowodzeniach. W myślistwie zresztą tak zawsze bywa; wytrwać tylko cierpliwie potrzeba, a św. Hubert wytrwałemu łaskę swoją przedzej, czy później zawsze okaże. Wyjazd z obozu nastąpił z pierwszym brzaskiem dnia. Nerwy miałem tym razem jakoś bardzo napięte, jakby w oczekiwaniu nadzwyczajnych wypadków, tak że nawet porannej herbaty skończyć nie mogłem. Bardzo blisko obozu usłyszeliśmy warczenie lamparta śniegowego, tzw. irbisa, i równocześnie bek koziorożców, który one — jak Ong'kàh twierdzi — tylko wtedy wydają, gdy przez tego drapieżnego kota są gonione. Rzeczywiście ujrzelśmy niebawem po drugiej stronie przepaści, nad którą jechaliśmy, stado nieletnich ibeksów uciekające przez grzbiet góry. Natomiast drapieżnika zobaczyć nie mogliśmy mimo dokładne obszukanie przeciwległych skalnych ścian przez nasze dalekowidze. Barwa skóry tego lamparta, brudnobiała z dużymi, czarnymi centkami zlewa się tak zupełnie z kolorem opoki, że uniemożliwia zwykle odkrycie zwierza. Choć lampart śniegowy nie jest wcale rzadki w podśnieżnych regionach Tienszanu, nie dostanie go myśliwy prawie nigdy na strzał, gdyż jest to zwierzę nadzwyczaj czujne, które zwykle tylko w nocy kryjówkę swoją opuszcza. Słyszałem w ogóle tylko o dwóch Europejczykach, którzy się

z nim spotkali. Jeden z nich, hr. Hoyos, miał szczęście podpatrzeć lamparta, który tylko co był ubił koziorożca, i zastrzelił go na jego ofierze, gdy pił zapamiętałe świeżą krew. Anglik, Mr Church, spotkał się z lampartem niespodziewanie między skałami oko w oko i strzelił go w przód, druzgocąc mu łopatkę. Lampart zwrócił się na miejscu i uszedł na pobliską, całkiem pionową skałę, na którą Anglik wyleźć nie mógł. Oddał on swój karabin towarzyszącemu mu Kirgizowi z poleceniem, aby za kotem poszedł i dobił go. Kirgiz kończył właśnie drapać się na skałę, gdy mu lampart, który się tam był przyczaił, skoczył na głowę i silnie go pogryzł i poranił. Mr Church patrzył się z dołu na tę scenę i biednemu Kirgizowi nic pomóc nie mógł. Lampart zaś przepadł dla myśliwego.

Jadąc ciągle pod górę, wjechaliśmy w wysoko położoną, wąziutką dolinkę. Z jednej jej strony znajdowały się całkiem śniegiem pokryte, z drugiej zaś zielone góry. Chociaż na tych ostatnich żadnych koziorożców widać nie było, zdecydował Ong'kàh bardzo słusznie, że na nie wyjść będzie trzeba, bo tam się znajdują jamy i przepaście, w których tekkè, niewidzialne z dołu przebywać powinny. Wyjście na górę było dość wygodne i niezbyt męczące. Nie doszliśmy jeszcze do połowy, gdy Kałmuk rysim rzeczywiście zwrokiem odkrył ibeksy leżące na drugiej, dalszej, kamienistej górze. Niebawem mógł on już stwierdzić, że są to tekkè z ładnymi rogami. Tym dobrym swoim wzrokiem zaimponował mi on

niezmiernie, gdyż do koziorożców było — jak się to potem pokazało — dobrych pięć km. Co do mnie to ich nawet przez dwunastokrotnie powiększające szkła dojrzeć nie mogłem. Zaczęło się podchodzenie, z początku nieuciążliwe po trawie, następnie trzeba było z duszą na ramieniu przedostać się przez kilka niemiłych bardzo urwisk i już stanąłem na górze, na której ibeksy się znajdowały. Z najbliższego wyższego punktu przedstawił mi się obraz, którego tak prędko nie zapomnę. Na wąskiej grani, tysiąc kroków od nas oddalonej, leżało, jak wojsko, dwadzieścia do trzydziestu dużych capów; wydawało mi się, że tam niema ani jednego kozła z rogami, mierzącymi mniej metra długości. Leżały one w najrozmaitszych pozycjach, często całą głowę wraz z rogami o ziemię opierając. Staremu koziorożcowi masywne bardzo rogi tak ciężą, że je przy wypoczynku zwykle na ziemię kładzie. Nie widziałem sposobu zbliżenia się do tych pięknych rogali; między nimi a nami rozciągała się — jak się to przynajmniej z naszego punktu obserwacyjnego wydawało, zupełnie równa zbocz pokryta kamieniem i nigdzie nie było widać większych skał lub zagłębień, które by podchodzącemu dawały możliwość ukrycia się. Sytuacja wydawała się tak beznadziejną, że zaproponowałem Kałmukowi, aby tekkè daleko obszedł i mnie je próbował przypędzić. Tenże jednak na to się zgodzić nie chciał i ku memu wielkiemu zdziwieniu na wprost koziorożca zaczął podchodzić. I podszedł je rzeczywiście z niesłychanym artyzmem na dwieście

kroków; odkrywał jakieś niewidzialne wklęsnięcia w gruncie, umiał się schronić przed oczyma zwierząt za najmniejszymi kamieniami i ciągle tak manewrował, że widzieliśmy rogi koziorożców, a ich ślepie nas dojrzeć nie mogły. Przytem musiał mnie on ciągle wspierać, bo teren stawał się coraz niebezpieczniejszy. Niektóre wielkie głazy usuwały się nam bez widocznego powodu spod nóg, inne staczały się z hukiem na nas z góry. Niebawem zauważył Kałmuk rodzaj ambony kamiennej dającej oparcie do strzału i, usuwając się na bok, wytwornym ruchem zaprosił teraz mnie do działania. Wysunąłem głowę i karabin ponad kamień i zobaczyłem capy na cyplu skalnym wcale niedaleko spoczywające. Byłbym chętnie godzinę całą na nie patrzył, tak śliczny przedstawiały widok w majestacie swoich rogów, ale trzeba było działać bez zwłoki, gdyż lada chwilę mógł wiatr się obrócić i cały trud stać się daremnym. Właśnie powstawał, przeciągając się leniwie, jeden z koziorożców; wziąłem go więc na cel i strzeliłem. Skutku strzału dojrzeć nie mogłem, bo zrobił się popłoch i zamieszanie w szeregach ibeksów. Widzę teraz, że ich kilka na grani bezradnie stoi i strzelam po raz drugi. Naraz robi się szum wielki tuż obok mnie i na dziesięć kroków tylko wypadają mi spoza kamienia na sztych liczne, rogate brodacze, spostrzegają mnie, sapią z przerażenia, zwracają się w bok i przechodzą blizutko jedno na prawo, drugie na lewo. Już nie mierzając, zaczynam do nich prac — innego, mniej trywialnego wyrażenia dla

określenia tego rodzaju strzelania nie znam — i strzelam w ciągu kilkunastu sekund sześć razy, nabijając jeszcze dwie kule. Teraz już nie pamiętam dokładnie, co się po tych strzałach działo. Mam tylko jakby wizję dużych rogatych zwierząt i widzę w wyobraźni, jak się ich cielska prażone kulami wyginają. Gdy to wszystko już znikło, pokazuje mi Kalmuk inną partię tekke, pnącą się nad nami pod górę. Było do nich już z 250 kroków, ale szły bardzo pomału, idąc widocznie ścieżką, którą i koziorożcom chodzić niebezpiecznie. Wyrzucam z kieszeni resztę zapasowych ładunków, Ong'kàh mi je pojedynczo zręcznie bardzo podaje, a ja posyłam natychmiast kule na górę, gdzie biedne capy właśnie przystają, ogłupiałe ze strachu. Trzy kule trafiają, a rezultat taki, że trzy ibeksy tracą równowagę nóg i z hukiem, łomotem i trzaskiem spadają sto kilkadziesiąt metrów w dół w przepaść, u naszych stóp leżącą. Truchleję, że w tym upadku rogi dla mnie tak cenne połamią, ale mogę niebawem przez lunetę stwierdzić, że twarda ich powłoka i to runięcie w dół na kamienie przetrwała.

Czuję się słaby po przebyciu jednej z najsilniejszych emocyj myśliwskich w życiu i siadam nie całkiem przytomny na kamieniu, aby ochłonąć. A Ong'kàh rozgląda się i liczy: *Bir, ekeü, üsz* tj. jeden, dwa trzy. Za chwilę donosi mi, że widzi pięć ibeksów martwych, ja zaś odkrywam przez szkła szóstego daleko w dole pod nami leżącego. Jeden padł od pierwszych strzałów, tylko dwa od kul na

bliską metę oddawanych, a trzy spadły z góry. Teraz przychodzi ważna chwila sprawdzenia, czy rogi są rzeczywiście tak dobre, jak się to zdaleka wydawało; będę mógł jednak dojść tylko do dwóch leżących capów, inne padły w tak niebezpiecznych miejscach, że Ong'kàh mi do nich iść nie pozwala i ja sam zresztą leżąc tam się boję. Czekam więc na miejscu, aż dzielny człowiek w pocie czoła i z narażeniem swego życia odetnie rogi, obieli zwierzęta i mnie trofea przyniesie. Trwało to bardzo długo i czekałem już z półtorej godziny, gdy naraz z pod skały, niemal pod moimi nogami się znajdującej słyszę jakiś hałas i widzę wychodzącego z pod niej majestatycznego koziorożca z rogami fantastycznie długimi. Staje bliźniutko, a ja siedzę osłupiały i po strzelbę nawet nie sięgam, bo nie mam już ani jednego naboju, wystrzelawszy jedenaście, wziętych z domu. Ibeks po chwili rusza zwolna, coś jakby zataczając się i znika wkrótce na horyzoncie. Do dzisiejszego dnia nie wiem wcale, czy ten koziorożec miał w sobie kulę, czy też, widząc towarzyszy swoich padających od strzałów, wpadł może na fortel ukrycia się w szczelinie skalnej; aż niebezpieczeństwo przejdzie. Gdybym był miał choć jedną jeszcze kulę, byłbym może bez żadnego trudu dostał rogi wspanialsze od wszystkich dziś zdobytych. Kto wie zresztą, czy byłbym na czas obudził się z odrętwienia, aby strzelić do tego mitycznie zachowującego się zwierzęcia. Powoli znosi Kałmuk rogi i skóry, razem spuszcza się do koziorożców do-

stępnych, a krótki błysk słońca pozwala zrobić z nich zdjęcia fotograficzne. Nareszcie mamy złożonych na kupie jeden comber, jeden udziec, tudzież sześć par rogów i sześć skór. O zabranii większej ilości mięsa mowy być nie może, choć ono by się bardzo przydało w obozie, gdzie pod tym względem panuje bieda. Swoją drogą ta masa ścierwa nie zgnije. Już od kilku godzin krążą nad nami liczne, białe-czarne sępy, duże jak dziesięcioletnie po zdrowych rodzicach dzieci, inne obsiadły gęsto cyple okolicznych skał, czekając, aż dwunożni drapieżcy — tak nas pewnie w mowie swej ptasiej nazywają, — których się boją, ale którym za zgotowaną im biesiadę wdzięczne pewnie będą, się oddalą i im *libera practica* pozostawiają. Wyciągam centymetr i z namaszczeniem mierzę uzyskane z takim wysiłkiem rogi. Jedne z nich są kapitalne, bo mają 122 cm długości, trzy bardzo dobre (112, 108, 107 cm), a dwie pary raczej wątle (80 i 78 cm). Gdybym był uważał, było łatwo zamiast tych dwóch ostatnich wybrać piękne rogale, ale w takich chwilach o wszystkim myśleć trudno.

Strzelaliśmy o w $1\frac{1}{2}$ 11 rano, znoszenie jednak trofeów tyle czasu zabrało, że zrobiła się godzina trzecia, a do koni jest pewnie z półtorej godziny ciężkiej bardzo drogi. Śpieszyć się musimy bardzo, bo wszystkiego teraz zabrać nie możemy i przyjdzie jeszcze raz, albo i dwa razy po resztę zdobywcy wrócić. Kałmuka znowu podziwiać muszę. Bierze on na siebie dwie skóry, dwie pary rogów, wagi co naj-

mniej po 20 kg i kawał mięsa i puszcza się z tym ogromnym ciężarem po ścieżce, na której każdy krok obliczyć trzeba, jeżeli się nie chce runąć w dół lub złamać nogę. Widać jednak, że to i dla niego ciężka rzecz, bo musi co dwadzieścia kroków siadać i wypoczywać; rozumiem to aż nadto, gdyż sam posuwam się z wielkimi trudnościami naprzód, choć wziąłem ze sobą tylko jedną parę rogów i to najmniejszą ze wszystkich. Do tego staje się deszcz, padający od godziny, coraz silniejszy. Na samo wspomnienie o tym powrocie po ścieżce tak diabelnie trudnej, że po niej chyba lucyfer na spacer chodzić powinien, robi mi się jeszcze teraz nieprzyjemnie.

Z góry, dominującej nad dolinką, w której pozostawiliśmy konie, wołamy na Nabokowa, który zawsze czujny, zaraz nas słyszy i wierzchowca bliżej ku nam przyprowadza. Zostaje przy nich i po dwunastu godzinach postu po rannej niedopitej herbacie jem kawałek chleba z czekoladą. Biedny Ong'kàh zaś wyprawia się z Nabokowem jeszcze raz w drogę, aby przynieść resztę zdobyczy. Przypuszczam, żeby wobec tego był wołał, gdybym prócz jednego lub dwóch koziorożców resztę był chybił; aby mu zresztą osłodzić jego dołę, darowałem mu wspaniałomyślnie pięć skór tekkè, które mają wielką wartość u miejscowej ludności.

Czekam i czekam, a moich ludzi o pół do szóstej jeszcze nie widać. Do obozu mamy ze dwie godziny uciążliwej drogi i nie możemy marzyć o tym, aby

ją moc przebyć po zapadnięciu zmierzchu. Grozi mi więc znowu noc w puszczy o chłodzie i głodzie. Deszcz wytworzył taką mgłę, że tylko na kilka kroków przed sobą widzieć można. W mózgu więc moim wytwarzają się ponure myśli; może oni w tej mgle zabłądzili, albo któryś z nich pod ciężarem upadł i siebie skaleczył? Myślę już o tym, czyby nie próbować wracać bez nich do namiotu, nie mam jednak zaufania do siebie, że drogę rano przebytą dość dobrze pamiętam i ścieżkę właściwą odnajdę. Nareszcie o szóstej wychylają się z całunu mgły dwa ludzkie cienie i słyszę dobrze oddech ludzi, dobywających ostatnich sił. Włożenie rogów i skór na konie następuje z wielkim pośpiechem. Wierzchowce Kałmuka i Kozaka przedstawiają fantastyczny widok — tak naszpikowane rogami. Aby móc wsiąść na tak ozdobionego konia muszą oni wylazić na wysoki kamień i skakać stamtąd odważnie na siodło. Sam przyciskam tylko do serca comber, przeznaczony na pierwszy stół obozowy. Tak szybko jechaliśmy, że już o $\frac{3}{4}$ byliśmy przy namiocie; a była to ostatnia chwila, bo było już ciemnawo. Nie obeszło się bez wypadku; koń Kałmuka upadł blisko obozu i trzy pary rogów potoczyły się w głąb urwiska; tym razem złamał się koniec jednego rogu, mogliśmy jednak na szczęście odszukać odłamek.

Następny dzień był poświęcony wypoczynkowi. Zresztą Ong'kàh oświadczył, że dziś polować by nie mógł, gdyż musi sobie wobec zdarcia swego starego jeleniowego obuwia uszyć chodaki ze skóry

tekkè. Sam zresztą uznałem za słuszne dać mu odpocząć po tak wielkich trudach i zasługach. Czystczenie czaszek i skór dało nam dnia tego dosyć zajęcia.

19, 20 i 21 lipca wypadło odpokutować za niezwykle powodzenie poprzedniego dnia. Trzy dni padał deszcz lub śnieg, względnie snuły się chmury nisko po stokach gór, uniemożliwiając wszystkie myśliwskie zamiary. Trudno sobie wyobrazić, jak się wlecze powoli taki dzień, spędzony cały w namiocie, gdzie się tylko dwa metry kwadratowe ma do dyspozycji. Przyzwyczailem się wstawać o 3 rano, więc i przy najlepszych chęciach dłużej jak do piątej spać nie mogę. Dziwnie pomyśleć, że między tutajszą godziną, a naszą jest prawie ośm godzin różnicy. Gdy ja tu rano wstaję, to tam w Polsce siadają moi bliscy dopiero do wieczornego posiłku. Podczas takiej słoty jem z rozpaczy więcej jeszcze i częściej, niż zwykle, i nadwerężam w ten sposób nader lekomyślnie i tak już szczupłe zapasy. Bardzo bolesną jest myśl, że znowu dzień dla łowów przepadł i że tak bezczynnie siedzieć muszę, podczas gdy za chmurami i mgłą chodzą koziorożce, metrowe rogi na głowach noszące.

Namiot nasz stoi na łące, pokrytej wszędzie szarotką. Nie uwierzą mi nasi alpejscy i tatrzańscy turyści, że ten kwiat przez nich tak często pożądanym, rośnie tu — można by prawie powiedzieć — koło domu, podczas gdy oni narażali niejednokrotnie życie na dzikich urwiskach, pragnąc zebrać niewielką

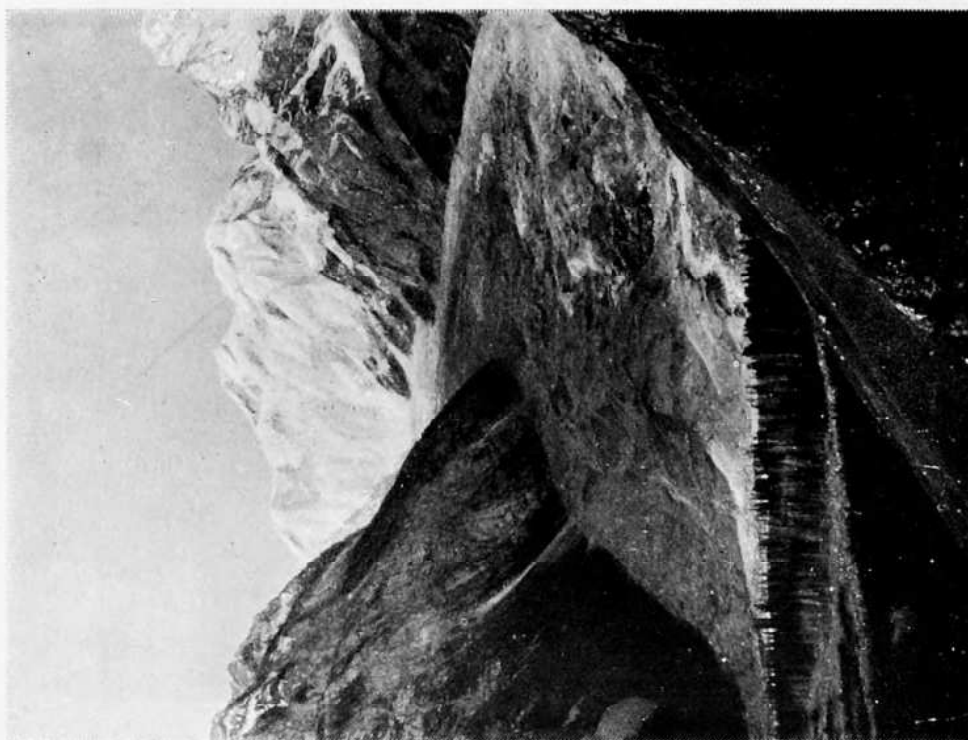
wiązkę tej dziwnej rośliny z kwiatem jakby z aksamitu powstałym. Trzeba dodać, że tu istnieje też drugi rodzaj szarotki, który znaleźć można wyłącznie w trudno dostępnych miejscach w sąsiedztwie wiecznego śniegu. Tę ostatnią tylko szarotkę zbierałem z zapalem, aby móc znajomym, młodym paniom przywieźć kilka jej kwiatków jako dowód mojej o nich pamięci i objaw hołdu. Śmiem mieć nadzieję, że żadna z nich nie będzie mnie posądzać o to, że jej przywożę tę szarotkę, którą można rwać bez trudu tuż koło namiotu, czekając na przykład na obiad.

Byłem tak przygotowany na ośmiodniową, można by rzec — polską słotę, że się niewymownie zdziwiłem, gdy Nabokow podniósł 22 lipca rano kotarę namiotu wołając wesoło: „Wstawajcie, barin, pogoda“. Pojechaliśmy doliną Kopr-Sùh aż do jej źródeł, znajdujących się pod potężnym lodowcem, mającym kilkanaście kilometrów długości. Po przykrej przeprawie przez wodę, która pociągnęła za sobą silne przemoczenie nóg, zobaczyliśmy już na trzeciej górze od obozu olbrzymie stado tekkè, ciągnące przez grzebień góry w kierunku skalistych urwisk, gdzie na dzień widocznie zalec miało. Szły one w oddziałach po 15 i 20 sztuk i zdawało się, że pochód tych pięknych zwierząt bez końca trwać będzie. Ong'kàh powiedział zaraz, że już teraz wie, w której przepaści stado ułożone do spoczynku znaleźć będziemy mogli. Z dołu nawet było widać, że w tej gromadzie znajduje się dużo grubych sztuk,

między którymi i piękne rogale być muszą. Do polowy góry mogliśmy wyjechać wierzchem, lecz jazda ta była z powodu kamieni i spadzistości gruntu przykrzejsza od najbardziej forsownego pięcia się pod górę na własnych nogach. Dalej jechać nie można było z powodu głębokiego śniegu, który podczas trzydniowej sloty pokrył wyższe gór stoki niemal półmetrową warstwą. Brodzenie po mokrym tym śniegu zrywało całkiem nogi, a tu droga jeszcze daleka nas czekała. Koziorożców nie można prawie nigdy podejść z dołu, bo wiatr zwykle ku dolinie ciągnie. Należy więc zawsze zejść wyżej od nich i dopiero z góry ku nim się podkradać. Po drodze spłoszył przewodnik stadko z 10 sztuk złożone, które się pasło w szczelinie, wzdłuż której drapaliśmy się ku szczytom. Później widzieliśmy jeszcze pięć sztuk z dwoma wspaniałymi capami, które znajdowały się niestety w miejscu, do którego człowiek nie posiadający skrzydeł w żaden sposób dostać by się nie mógł. Po czterech godzinach doszliśmy do wierzchołka góry i zwrócili się znowu ku dołowi, idąc wzdłuż szeregu szpiczastych turni, piętrzących się nad przepaścią, w której wielkie stado przypuszczalnie leżało. Ong'kàh drapał się tu od czasu do czasu na grań i badał pilnie skalne otchłanie, znajdujące się w dole. Bardzo jest trudnym wypatrzeć leżące koziorożce, barwa ich bowiem zlewa się na podstawie reguł, tzw. *mimicry* tak całkiem z barwą kamieni, że tylko wprawne oko tuziemca lub bardzo silne szkła zwierzę odkryć mogą. Niebawem

dał nam przewodnik znak, że widzi już koziorożce; musiałem teraz wywindować się z trudem i strachem na jego punkt obserwacyjny, piąć się rękami i nogami po skale prostopadłej i kilkanaście metrów wysokiej. Położywszy się potem na cyplu grani, wykryłem po pewnej chwili w przepaści pierwsze koziorożce. Z początku widzieliśmy tylko kilka sztuk, następnie odkrywaliśmy coraz to nowe zwierzęta; widocznym było, że tu zatrzymała się ostatecznie cała, liczna, z doliny wypatrzona czereda. Niestety wszystkie dostrzeżone tekkè były tylko bezbrodemi kozami lub małutkimi koźlątkami. Capa zaś ani śladu. Dopiero po długiej chwili mógł Ong'kàh odkryć posiadacza dobrych rogów, który leżał na przeciwnym stoku przepaści w odległości 400 m; w takich warunkach strzał nie miałby żadnego celu, a to tym mniej, że tylko szyję i głowę mu widać było. Posiedziawszy na skale przez dobrą godzinę, a nie widząc innego porządnego kozła, zaczęliśmy rzucać kamyczki w dół, aby stado zaniepokoić i zmusić do powstania. Zaraz potem zaczęła się też wędrówka koziorożców na przeciwną górę; szły tam całe masy kóz i dzieci kozich, z capów ukazał się tylko jeden, wprawdzie nie całkiem dobry, ale zupełnie możliwy. Strzałem blisko szyi, spowodowałem jego natychmiastowe stoczenie się w głąb przepaści.

Teraz dopiero ujrzeliśmy z bolem serca, że na przeciwną zboczy powstaje cały las rogów i że za stadem młodych i samic podąża 15, a może i 20 potężnych rogali. Pokazało się, że nieszczęśliwym



Lodowiec, którym się kończy dolina Kopr.



Kalmucy spotkani w dolinie Agoyas.



Dolina niedźwiedzia.



Jedyny ubity niedźwiedź.

trafem wszystkie stare capy leżały w jakimś niewidzialnym dla nas zagłębieniu między kamieniami; zresztą znajdowały się one tak daleko od nas, że pewny strzał do nich byłby i tak wykluczony. Próbowałem je wprawdzie zarwać kulą, gdy pod górę się pięły — naturalnie bez skutku. Zabity tekkè stoczył się kilkaset metrów w dół aż do strumyka na dnie przepaści płynącego. Skusiło to Nabokowa do podjęcia się sprowadzenia całego capa nierozbranego rzeczką do koni. Gorzko potem tego żałował, bo koziorożec z powodu kamieni wodą płynąć nie chciał tak, że biedny Kozak musiał go w pocie czoła, przenosić z jednego głazu na drugi. Było to nawet powodem, że czekaliśmy na niego dwie godziny u stóp góry i niepotrzebnie późno wrócili do domu.

Dziwne było dziś zachowanie się sępów podczas naszego zbliżania się do koziorożców. Kilkanaście ich krążyło uparcie nad stadem, całkiem nisko ku zwierzętom się spuszczać. Powiadają tu: sępy wiedzą, że myśliwy im częśćkę swej zdobyczy pozostawi i chcą mu w ten sposób formalnie pokazać miejsce pobytu koziorożców. Często się jednak zdarza, że tekkè zaniepokojone tym natręctwem ścierwojadów przedwcześnie uchodzą. Chciałbym wiedzieć, dlaczego sępów tu jest wprawdzie dużo, ale zawsze nie tyle, ile ich właściwie być powinno? Przecież nikt ich nie strzela, ani nie łapie, żaden zwierz ich nie pożera, a nie ma ich obecnie z pewnością więcej niż lat temu np. sto, mimo, że para takich ptaków

wychowuje corocznie zwykle po dwa młode, które długi szereg lat żyć mogą. Kto wie, czy znaczna ilość ich nie zdycha po prostu z głodu, nie mogąc czasem znaleźć ścierwa, jedynego ich pożywienia. Sęp jest tu naturalnie całkiem niezdolny do jakiegokolwiek akcji zaczepnej wobec żywego zwierzęcia, więc bez obcej pomocy nie może polować dla zdobycia dla siebie mięsa. Możliwym jest również, że sępy rozlatują się stąd po całej środkowej Azji, tak że tylko ich część przebywa stale w ich właściwych pieleszach.

Podczas dzisiejszego podjazdu widzieliśmy leżące po górach liczne pary rogów pochodzące od dawna padłych koziorożców. Naliczyłem co najmniej piętnaście par — przeważnie dużych rogów. Nabokow utrzymuje, że to wszystko rogi ibeksów, zjedzonych przez szakala, tj. czerwonego wilka. Powiada, że szakale urządzają formalne oblawy na dzikie kozy i pędzą je na brzeg jakiejś głębokiej przepaści. Koziorożce skaczą potem ze strachu w dół i rozbijają się tam na śmierć. W takim razie jednak powinno się spotykać raczej rogi młodych zwierząt, które z natury rzeczy częściej od rosłych łupem wilków stawać się muszą. Co do mnie, to sądzę, że większą część tych rogów pozostawili kałmuccy myśliwi, którzy strzelają ibeksy dla mięsa i skóry, nie dbając o rogi, które przedstawiają tylko dla cywilizowanego myśliwego cenną zdobycz.

Następny dzień polowania był nudny i monotony. Rozłakomieni wobec wczorajszego spotkania

tylu koziorożców pojechaliśmy znowu w tę samą stronę, wspinając się jednak tym razem nie na trzecią, ale na czwartą górę od obozu. Miałem nadzieję, że uda mi się podejść małe, wczoraj z daleka widziane stadko, w którym były dwa wyjątkowo silne capy. W rzeczywistości spotkaliśmy dziś tylko czeredę, złożoną z kilkunastu niewyrośniętych jeszcze kozłów, za którymi mi się iść nie chciało, zwłaszcza ze względu na to, że udały się one na bardzo skalisty i stromy wierzchołek. Ciekawy jestem, dlaczego widziane tu wczoraj ibeksy już się stąd wyniosły? Strzału tak daleko słyszeć, ani nas widzieć przecież nie mogły? Zdawałoby się, że niektóre zwierzęta znają jakiś dla człowieka tajemnicą okryty sposób, umożliwiający im ostrzegać się wzajemnie o grożącym niebezpieczeństwie i na dalszą odległość. Może jakąś zwierzęcą odmianę telegrafu bez drutu?

W obozie doniesiono mi o niemiłym fakcie że chleb, a raczej suchary, wzięte z Narynkola, które w obozie na cały miesiąc wystarczający zapas stanowić miały, już się skończyły. Ludzie zjedli ich w ciągu 14 dni prawie 100 kg; to niebywały apetyt. Ponieważ oni bez chleba istnieć nie mogą, co zresztą jest zrozumiałe, musiałem 'chcąc nie chcąc zdecydować się, wysłać dżigita celem zakupienia chleba u Sartów, mieszkających gdzieś w stepie o jakie 60 km stąd. Naturalnie zniszczy mi Dżajnak podczas tej dalekiej pośpiesznej jazdy konia, i będzie przez 5 dni daleko od obozu, gdzie go strzelec bardzo potrzebuje, bo on jeden umie i w deszcz

i podczas silnego wiatru utrzymać płonący ogień, niezbędny dla ugotowania naszej strawy. Nie jem teraz obiadu zaraz po przybyciu do obozu, jak dawniej, i zasiadam do codziennej biesiady codzień o 6 wieczór — jak to w Europie w dostojnych domach się praktykuje. Oznaczenie tej godziny okazało się praktyczniejsze od dawnego systemu, gdyż w dzień polowania trudno w ogóle przewidzieć godziny powrotu, wskutek czego ugotowany obiad nieraz długo na mnie czekał; w dzień zaś marszu trzeba się znów było z gotowaniem jadła bardzo śpieszyć, co znów mego europejskiego towarzysza wprowadzało w paroksyzmy wściekłości. Wikt mój jest właściwie bardzo dobry. Jednego dnia mam zupę z ryżem, a mięso z makaronem domowym, przyrządzanym z mąki przy pomocy jaj wziętych u Nabokowa i troskliwie przez niego z miejsca na miejsce przewożonych; drugiego dnia podają mi znowu rosół z tymże makaronem, i mięso z ryżem. Co drugi dzień tylko spożyć mi wolno deser, tj. kompot z „uruku“, tutejszych suszonych morel; kompot ten jest doskonały i jadłbym go chętnie i dwa razy na dzień, gdyby nie wzgląd na szczupły zapas cukru. Natomiast nie oszczędza się wcale na herbacie, wypijam też codzień pewnie z 15 szklanek tego orzeźwiającego napoju, rzadko jednak dostatecznie osłodzonego. Widać z tego, że wikt jest, jeżeli nie bardzo urozmaicony, to przynajmniej obfity. Teraz niema innego mięsa, jak kozioróżcowe, które mi zresztą coraz bardziej smakuje; przypo-

mina mi ono zupełnie wołowinę, nie mając też na szczęście nieprzyjemnego zapachu mięsa koziego; nawet rosół przygotowany na nim wręcz zły nie jest. Dodać trzeba, że cieszymy się posiadaniem maszynki do siekania mięsa; tylko dzięki jej możemy użyć do kuchni nawet mięso ze starego kozła.

24 lipca los znowu mi poszczęścił, a co ważniejsze i prędko poszczęścił, gdyż już o 8 rano byłem w posiadaniu kapitalnych rogów 122 cm. długich. Pojechaliśmy dziś — ma to być ostatni dzień naszego pobytu w tym obozie — znów ku tym wyżynom, na których onegdaj sześć tekkè ubilem. W chwili zsiadania z koni zobaczyliśmy nad sobą, ale już gdzieś w pobliżu stropu niebieskiego kilka koziorożców. Było ich tylko cztery, ale zrobiły mi one większe wrażenie od wszystkich dotąd widzianych. Miały one rogi tak potężne, że wierzyć się nie chce, aby zwierzę coś tak ogromnego na głowie nosić mogło. Patrzący na nas z góry z widocznym zaciekawieniem, a rogi sięgały im mimo głowy spuszczone niemal do zadów. Były to pewnie członkowie jednej rodziny, gdyż i długość i kształt rogów — przez perspektywę oglądane — zupełnie równe się wydawały. Po chwili ruszyły zwolna jeszcze wyżej ku szczytom i znikły nam wkrótce z oczu, pozostawiając mnie w niepewności, czy nas jako dwunożnych swoich nieprzyjaciół poznały. Ong'kàh jednak twierdził, że się nami wcale nie zaniepokoiły i że zna czelusć, w której te matadory na spoczynek legną.

Widzę z radością, że płuca moje akomodują się powoli do rozrzedzonego górskiego powietrza tak, że dla przyjscia znów do oddechu — idąc pod górę — nie potrzebuję kłaść się na ziemię, jak dotąd, co dziesięć ale już tylko co dwadzieścia kroków. Postęp to jeszcze niewielki, i Kałmuk, który w ogóle nigdy się nie zasapuje, patrzy często z bolesnym wyrazem twarzy na to powodowane przeze mnie opóźnianie się właściwego polowania. Przechodzimy dziś znowu wzdłuż skalistej dolinki, miejsca mej sławnej kanonady. Przewodnik wylazł na odgraniczający nas od niej mur skalny, popatrzył w dół i za chwilę dał mi znak, abym się do niego drapał. Widzę, że się coś doniosłego przygotowuje, bo mój przewodnik zdjął swoją czapkę. Ciekawym jest, jak na całej kuli ziemskiej myśliwi te same zwyczaje mają. Tak samo, jak Ong'kàh, zdejmuje i mój góral karpacki swój kapelusz, gdy niedaleko już od ryczącego jelenia się znajdujemy. Gdym dopełzał do Kałmuka, powiada mi on, że niedaleko w dole pasie się cztery tekkè, a piąty, wielki bardzo leży opodal. Dopiero po dłuższym badaniu terenu i kilkakrotnym wskazaniu mi miejsca, gdzie zwierzęta się znajdują, mogłem dostrzec leżącego kozioroźca. Łuk rogów duży, więc ze strzałem niema co zwlekać, mimo, że reszty sztuk dotąd nie dojrzałem. Choć Ong'kàh twierdził, że cap niedaleko się znajduje, było do niego z 250 kroków co najmniej. Zauważyłem w ogóle, że podprowadzający myśliwego do zwierzyny zarówno w Afryce i Azji, jak i w Eu-

ropie, zawsze utrzymuje, że blisko bardzo podprowadził. Gdy się potem dalekiego zwierza chybi, to powiada z dumą, że on swoje zrobił, ale myśliwy był niezręczny! Na strzał rogał się zrywa i pędzi ze swymi towarzyszami w dół, przesadzając po drodze przez kilka dużych skał. Nie widziałem uderzenia kuli, więc pytam się z emocją Nabokowa leżącego obok mnie, czy kozła trafiłem. Kozak powiada, że tak, ale tylko w badył. Zasmucony srodze tą wiadomością spuszczam się bez wielkiej nadziei na miejsce strzału i znajduję tam sierść. Idziemy ze 100 kroków dalej i widzimy koziorożca leżącego u stóp olbrzymiej skały już martwego. Kulę miał za komorą nieco za wysoko. Leżał on w tak niedostępnym miejscu, że byłbym się do niego nigdy nie dostał, gdyby mnie moi ludzie nie byli z dwóch stron wspierali. Cap zajął w śmierci śliczną pozycję; siedział, jakby żywy na skale zadzierając głowę wysoko w górę, a rogi zaryły mu się w ziemię otaczającą skałę z obu stron ciała. Zdziwiłem się nawet w pierwszej chwili, że koziorożec ten nie taki silny, jak poprzednio to myślałem; wydawał się węższy tylko z tego powodu, że 10 cm każdego rogu wbiło się w ziemię. Dopiero po ich odkopaniu z prawdziwym zadowoleniem stwierdzić mogłem, że ibeks ten do pierwszej klasy zaliczony być winien. Dlaczegoż właściwie Nabokow utrzymywał, że ja go źle, w biegu tylko trafiłem? Ku memu zdziwieniu stwierdzam rzeczywiście, że oprócz mego strzału komorowego ma on nogę przednią roztrzaskaną kulą. Nie trudno

było zgadnąć, że to niedobitek z ostatniego pogromu koziorożców w tejże dolinie i że to moja kula temu dni sześć tak nieszczęśliwie go trafiła. O dłoń wyżej, a byłbym już wtedy tego dobrego capa miał na rozkładzie. Cieszę się bardzo, że go dziś spotkałem; przynajmniej nie stanie się ten zwierz szlachetny łupem wilków i piękna jego ozdoba głowy nie będzie się bezpożytecznie po ziemi walać.

Nabokow wziął na siebie obielenie capa i doniesie sam skórę i rogi do koni, ja zaś z Kałmukiem podążyłem ku górze, gdzie widziane dziś rano cztery wielkierze znajdować się mają. Był to trud wielki, a bezowocny; spotkaliśmy tylko ich tropy widoczne na śniegu, a dowodzące, że zwierzęta poszły przez grzebień góry na lodowce, kędy człowiek za nimi nie mógłby podążać.

Schodząc na dół spotkałem duże stado ułarów; nie bojąc się już wyjątkowo spłoszyć grubszego zwierza mogłem do nich strzelić i zabiłem bardzo ładnie na dwieście kroków kulą jednego z tych ogromnych kuraków. Strzał niestety, a jeszcze więcej stoczenie się po stoku góry aż na dół tyle piór ptakowi wyrwały, że o spreparowaniu jego nie można było myśleć. Śliczne było upierzenie tego koguta; głowa cytrynowo-żółta z dużym białym podgardlem, na głowie miał szerokie pomarańczowe obwódki; lotki były śnieżno-białe, płaszcz zaś i spód był podobny, jak u naszego jarzábka, z tą różnicą, że mniej piórek było czarniawych, a więcej brunatnych i żółtych. Zrobił mi wrażenie, że jest znacznie więk-

szy od koguta-głuszca. Kula nie rozerwała mu na szczęście piersi, mieliśmy też z niego pierwszorzędną pieczeń, bo mięso jest równie delikatne, jak u jarząbka lub pardwy.

Nazajutrz ruszyliśmy w dalszą drogę; taki dzień marszu jest zwykle monotony i nieobfitujący we wrażenia. Dziś natomiast było ich dużo. Naprzód ruszył przed karawaną bury wilk i pobiegł przed nami korytem rzeki. Próbowaliśmy nakłonić psa Nabokowa, który z nami wyprawę odbywa i sam do czarnego wilka bardzo jest podobny, aby się z drapieżnikiem zmierzył i go przytrzymał. Pies jednak wzięwszy ogon między nogi, udawał, że wilka w ogóle nie widzi. W nocy, gdy wilki koło obozu krążą to zapamiętałe je naszczekuje, nie opuszczając jednak nigdy bezpiecznego świetlanego kręgu, utworzonego przez obozowe ognisko. Pies ten, którego się woła „Łysk“, oddawał się dziś z wielkim powodzeniem polowaniu na świstaki i zadusił trzy takie zwierzątka, które na czas do nory ujść nie zdołały. Cała nasza drużyna bawiła się widokiem tych psich łowów. Nabokow zeskakiwał za każdym razem z wielkim pośpiechem z konia, aby świstaka wyrwać z paszczy psa i uratować jego skórę. Futerko świstaka jest bardzo ładne i puszyste, włos ciemno-żółty z czarnymi końcami. Zdaje mi się, że futra tutejszych świstaków, których włos zimą na jasno-siwy się zamienia, sprzedają na rosyjskim targu futrzanym pod nazwą „piescy“.

Samo zwierzę jest nad wyraz śmieszne, zupełnie

niedźwiedź w miniaturze, z krótkim, grubym tułowiem i łapkami o długich podeszwach; zęby tylko ma gryzonia. Zwykle pies nasz podczas każdego marszu za świstakami goni, nie mogąc jednak nigdy żadnego z nich złapać, bo to zwierzątko nader czujne i zwinne, które nigdy daleko od swojej dziury się nie oddala. Nie wiem, dlaczego one dzisiaj były tak nieostrożne; może to piękna pogoda temu winna.

Szczęście, które po długotrwałym niepowodzeniu stale teraz mi towarzyszy, zaczyna mnie niepokoić, gdyż w takich razach boję się zawsze srogiego odwetu losu; postąpiłbym nawet chętnie, jak Polikrates, rzucając jakiś cenny dla mnie pierścionek w jeden z licznych górskich strumyków. Pierścionka jednak żadnego ze sobą, niestety, nie mam!

26 lipca zaprowadził mnie Ong'kàh w boczną dolinę rzeki Kopr, bardzo już wysoko położoną. Z jednej jej strony wznosił się szereg wysokich, ładnie trawą porośłych gór, których grzbiety tylko zygzakiem skalistych turni na niebie się odbijały. Była to więc znowu okolica dla ibeksów jakby stworzona. Już na trzeciej górze zobaczyliśmy bardzo liczne ich stado i Kałmuk zapewniał — czyni on to zresztą każdym razem dostrzegając koziorożce, — że widzi w stadzie duże rogi. Układaliśmy właśnie plan podchodzenia tej zwierzyny, gdy Ong'kàh z nienacka zawołał *Aju* i ruszył nagle z kopyta, pędząc na złamanie karku po całkiem prostopadłej zboczach do rzeczki; potem przejechał galopem przez

wodę i zatrzymał się dopiero po tamtej stronie jej łożyska pod większą skałą. Wiedziałem, że *Aju* to po kałmucku — niedźwiedź, więc nie pytając o nic, pognałem za przewodnikiem co prawda trzęsąc się ze strachu, że koń wraz ze mną się zabije. Za chwilę już zobaczyłem niedźwiedzia, który napuszczony i kudłaty, chodził sobie po stoku góry zarośniętej kolczastymi krzakami. Silne to wrażenie, gdy się po raz pierwszy w życiu ujrzy w stanie dzikim zwierzę, dotąd na rycinach tylko lub w niewoli widywane. Ten dziki niedźwiedź wydał mi się jeszcze śmieszniejszy od jego pobratymców, w klatce lub zwierzyńcach oglądanych, których pociesznem zachowaniem tak często się bawiłem. Wyrzucał on ciągle za siebie wysoko w górę duże grudy ziemi, a nawet większe kamienie, tak że od czasu do czasu w tumanie stał kurzu. Sądziłem, że niedźwiedź tak tylko się bawi, ludzie moi objaśnili mnie jednak, że on bardzo ważnemu dla siebie zajęciu się oddaje, mianowicie kopaniu za świstakami. Powiadają, że te gryzonie są głównym pożywieniem tutejszych niedźwiedzi i że te ostatnie do każdego prawie świstaka dokopać się umieją. Jaką siłę musi posiadać taki miś, jeżeli jest w stanie, wybrać dziury do 3 metrów głębokie w terenie przeważnie skalistym; widziałem często formalne tunele wyżłobione przez tych zwierzęcych inżynierów. Nory świstacze mają zwykle tylko jeden wchód, niedźwiedź więc, gdy jest wytrwały i ma dość wolnego czasu, którym, zresztą często rozporządza wobec tego, że innymi obowiąz-

kami nie jest przeciążony — do smacznego kąska rzeczywiście zawsze dobrać się może.

Niedźwiedzia można było doskonale podejść dzięki krzaczystemu zarostowi góry. Niestety podchodziliśmy go zbyt nerwowo, zbyt pośpiesznie; moi towarzysze byli jeszcze bardziej zemocjonowani ode mnie. Rezultat tego był taki, że po przebyciu trzystu kroków szybkim tempem pod górę trząśłem się ze zmęczenia i oddechu złapać nie mogłem. Do misia, który, tyłem do nas odwrócony, dalej z zapalem torował sobie drogę do świstaka, było jeszcze z dwiesięć kroków, dalsze jednak zbliżenie się było wykluczone, bo krzaki tu ustawiały i zaczynały się znowu dopiero w pobliżu zwierza. Czując, że w takim stanie porządnego strzału dać nie mogę, usiadłem na ziemi mimo namiętne podszepty Kozaka i Kałmuka, aby zaraz strzelać, bo niedźwiedź nas poczuje i pójdzie. Po kilku minutach myślałem że dostatecznie odpocząłem i dopiero w chwili ściągania cyngla poczułem, że ręce mi drgają, jakby w febrze. Niedźwiedź zwrócił był właśnie głowę i przód ciała chwilowo w naszą stronę i wcale złego nie przedstawiał celu. Ale strzał był zerwany tak, że kula pewnie wysoko ponad celem przeszła. Niedźwiedź skoczył teraz ku szczytowi pagórka, od którego tylko 50 kroków był oddalony, i przystanął na samym grzbiecie, chcąc widocznie zbadać, co to był za huk i świst w pobliżu. Pośpiesznie posłałem teraz stojącemu do mnie tyłem zwierzęciu drugą kulę, prawie nie mierząc i nie licząc w ogóle na trafność strzału, raczej z obo-

wiązku myśliwskiego, aby skorzystać z niespodziewanej sposobności do dania drugiego strzału, danej przez przystąpienie misia.

Na miejsce strzału szedłem, jak źle funkcjonujący automat. Żeby w ten sposób pozbawić się jedynej pewnie w życiu sposobności wzbogacenia spisu ubitej zwierzyny: tak popularnym, po całym niemal świecie rozpowszechnionym, lecz bardzo wytępionym i dlatego trudnym do spotkania zwierzem, to rzecz, która musi usposobić myśliwego do smutnych rozmyślań. To też dosłyszałem niedokładnie tylko rozmowę Kałmuka z Nabokowem kroczących przede mną tej treści, że jakoś huk drugiego strzału był taki, jakby kula była trafiła. Myślę sobie: ci dobrzy ludzie chcą mnie pewnie pocieszyć! Naraz Ong'kàh woła coś po mongolsku do Kozaka — ja nie rozumiałem wcale tego języka — i Nabokow, tłumacząc mi te słowa, oświadcza mi, że niedźwiedź już skończył. Leżał on rzeczywiście o krok od miejsca strzału, trafiony kulą, która uderzyła go w ucho, a wyszła okiem. Tylko dlatego nie widzieliśmy jego zwalania się na ziemię, ponieważ stał na samym grzbiecie pagórka. Była to stara niedźwiedzica, której wiek Ong'kàh na 8 do 10 lat szacował. O ile za życia wydawała mi się wielką, o tyle teraz przedstawiała mi się jako sztuka wprawdzie masywna i ciężka, ale nieduża. Trzeba wiedzieć, że niedźwiedź tutejszy jest w ogóle mniejszy od europejskiego i północno-azjatyckiego. Zabity należał do gatunku niedźwiedzi płowych (*Ursus leuconyx*); miał on fu-

tro bardzo nieładne, gdyż pod długim, żółtawym włosiem miejscami wytartym, widać było tylko gdzieś tam ciemniejszą sierść letnią. Widzę już, że ta skóra nie będzie stanowić ozdoby mego pokoju myśliwskiego. Ale mniejsza o to; zawsze przyjemnie móc powiedzieć znajomemu: „Oto niedźwiedź, zabity przeze mnie aż w Chinach“. Ludzie moi twierdzili, że gdzieś w pobliżu musiał ukryć się piastun, bo niedźwiedzica miała mleko. W żołądku jej znaleźliśmy kości świeżo pożartego świstaka, dowód, że on rzeczywiście temi zwierzątkami głód zaspokaja. Przywiązywanie skóry na koniu Nabokowa wywołało paniczny strach u naszych koni; myślały pewnie, że to wilk. Koniowi Kozaka trzeba było nawet obwiązać oczy płaszczem, nim można było trofeum u siodła przymocować.

Była dopiero 7 godzina rano, należało więc dalej polować, chociaż ja pod względem powodzenia myśliwskiego byłem na dziś zupełnie zaspokojony, a przypadkowym całkiem trafieniem niedźwiedzia niemal zawstydzony. Ong'kàh ujrzał teraz niezbyt daleko na kamienistej górze po tej samej stronie, gdzie niedźwiedź się znajdował, kilka rzekomo bardzo grubych tekkè. Powiódł więc nas ku nim z godzinę po ogromnych bardzo śliskich głazach, następnie usiadł, badał bardzo długo przez szkła górę i oświadczył nareszcie, że widzi wprawdzie leżące koziorożce, ale, że to są same „iczkè“, tj. kozy. Nie mogłem ani z dołu dużych ibeksów, ani na górze ich samic odkryć; przypuszczam więc, że on

wziął kamienie za koziorożce, a nie chcąc, ani się przyznać do swojej pomyłki, ani też drapać jeszcze wyżej stworzył z kamieni kozy. Chwilę później zobaczył on znowu rzekomo ogromnego niedźwiedzia czarnego, spacerującego na przeciwległym stoku dolinki po śniegu. Ani ja jednak, ani Nabokow tego niedźwiedzia zobaczyć nie mogliśmy; była to więc może również halucynacja naszego dobrego Mongola.

W Tienszanie żyje oprócz stosunkowo najpospolitszego płowego także czarny niedźwiedź z białą na przodzie plamą. Czasem, ale bardzo już rzadko, można się spotkać z niedźwiedziem bardzo dużych rozmiarów koloru rudego, który — jak mi się zdaje — jest identycznym z dość częstym w Himalajach czerwonym niedźwiedziem, zwanym przez Anglików *the red bear*.

Po wypiciu czaju zabraliśmy się do podchodzenia wielkiego stada ibeksów wczesnym rankiem już wykrytego. Góra była wysoka, lecz trawą porośła i robiła się stromą dopiero w pobliżu szczytu. Koziorożce leżały przypuszczalnie w przepaści, oddzielającej tę górę od sąsiedniej. Ong'kàh dedukował całkiem logicznie, że stado powinno było zalec w czeluści po naszej stronie ze względu na to, że tamtą oświecało słońce. W rzeczywistości leżały one wszystkie na przeciwnym boku nie bojąc się ciepłych promieni, których mogły zresztą uniknąć, chroniąc się w miejsca cieniste pod wielkimi głazami. Przepaść była 600 do 800 metrów szeroka,

a koziorożce leżały na wyższych jej ścianach, wskutek tego strzał był wykluczony. Uradziliśmy więc zatrzymać się przez dłuższy czas na szczycie góry, spodziewając się, że ibeksy poczują wkrótce głód i spuszcza się niżej, gdzie rosła trawa. Bardzo zabawnie było odkrywać w czeluści coraz to nowe zwierzęta zapomocą szkieł; to, co się z początku brało za zwykły kamień, rozpoznawało się później często jako spoczywającego sobie spokojnie ibeksa. W pierwszych chwilach widziałem ich tylko dziesięć, a już po godzinie uważnego badania wszystkich zakamarków skalnej ściany naliczyłem ich z górą sto sztuk. Naprzód zobaczyłem same małe zwierzęta i dopiero późno udało mi się wykryć z piętnaście kapitalnych capów, które się jakoś specjalnie kryć umiały. Około drugiej po południu zaczęła część tekkè wstawać i schodzić niżej, skubiąc z apetytem trawę. Do wczesnego ruszenia stada przyczynił się pewnie i huragan śniegowy, który o tym czasie przeleciał przez wierzchołki gór i zmusił nawet nas do opuszczenia naszego punktu obserwacyjnego i szukania chwilowego schronienia pod skałą. Gdy wróciliśmy, znajdowało się całe stado już o 200 metrów niżej; mogliśmy zatem mieć nadzieję, że się jeszcze więcej do nas zbliży. Wobec tego siedzieliśmy dalsze dwie godziny na naszym w podniebiańskiej już okolicy położonym stanowisku. Muszę przyznać, że się tu nietylko wcale nie nudziłem, ale nawet lepiej bawiłem, niż w jakimś bardzo dobrym cyrku. Z wielką przyjemnością śledziłem ciekawe, a często po-



Aszur ze swoim koniem pakunkowym.



Koziorożec po upadku ze stromej zboczy.



Rzeźby przedhistoryczne na skale.



Ular.

cieszne zachowanie się tych zwykle tak daleko od ludzi żyjących górskich zwierząt. Widziałem, jak niektóre z nich dla zabawy walczyły ze sobą; zbliżały się wtedy do siebie na dwóch tylnych biegach, zabawnie podskakując i przednimi w powietrzu śmiesznie przerabiając; w tej pozycji zostawały przez chwilę, aby się potem wzajemnie uderzeniami swych nieforemnych rogów z zapalem okładać. Widać, że starym capom potężne to poroże bardzo zawadza; gdy się nim biją, to robią wrażenie szermierzy, dzierzących w ręku szablę od nich samych większą. Celem spędzenia — jak się zdaje — natrętnych much wycierały one sobie pyski i głowy o ziemię, a dużym kozłom rogi i tutaj zamierzonego celu osiągać nie dawały. Śmiałem się serdecznie, widząc ich zakłopotanie i chybione zazwyczaj próby wytarcia o trawę pewnych mniej dostępnych miejsc na przodzie ciała bez zahaczenia o ozdobę głowy, którą je natura w tym wypadku bezsprzecznie zbyt hojnie uposażyła.

Ponieważ koziorożce niżej już schodzić jakoś nie chciały, należało coś zdecydować. Brałem pod uwagę nawet ewentualność strzału widząc, że dwa silne bardzo capy właśnie ładnie na poleć stoją; były one wprawdzie nieprzyzwoicie daleko, lecz przy dzisiejszym szczęściu, przy którym nie mierząc niedźwiedzia na dwieście z górą kroków w głowę trafiłem, mógłbym może, dobrze nastawiając lufę, koziorożca i na 500 kroków w jakieś żywotne miejsce ugodzić. Tu jednak strzeliła niestety Kałmukowi na-

der niedorzeczna myśl do głowy. Oświadcza mi naraz z miną tajemniczą, że możnaby stado bliżej podejść; myśląc oczywiście, że odkrył jakąś ścieżkę między skałami, którą się posuwając będzie się ukrytym przed oczami koziorożców, podążam w dobrej wierze i pełny nadziei za nim, na to tylko, aby za chwilę spostrzec z przerażeniem, że wysunęliśmy się na miejsce całkiem odkryte. Trzeba było zaraz się cofnąć, ale i tak byłoby już było zapóźno na to, bo bystry wzrok koziorożców w jednej chwili nas wykrył, wskutek czego cała czereda pośpiesznie w górę ruszyła. Dwie kule bezcelowo za nią posłane, przebiły łatwo i tak na wysokości 4000 m nie gęste powietrze. Skonstatować muszę, że mój przewodnik, który w tylu wypadkach okazał się pierwszorzędnym myśliwym, dziś wcale się nie spisał.

Następnego dnia opuściliśmy dolinę Kopr-Sùh już na dobre. Karawana wyruszyła rano o 7, dla posunięcia się w główną dolinę Agojasa, ja zaś pojechałem z Kałmukiem już o 4 w góry, aby wypatrywać tekkè, a następnie przez wysoką przełęcz, niedostępną dla koni jucznych, przeprawić się wprost do Agiasa. Na zielonej górze piętrzącej się nad obozem ujrzelśmy bardzo wcześnie koziorożce, które na samym szczycie stały. Zgrabne ich sylwetki rysowały się wyraźnie na niebie, zaróżowionym jutrzenką. Myślałem naprzód, że to krzaki ten szczyt tak regularnie obsadziły, w rzeczywistości był to długi, nieprzerwany rząd ibeksów, które może się w tym celu tak blisko nieba ustawiły, aby się na

wzór ludzi cieszyć pięknym wschodem słońca. Niebawem przestaliśmy się tem stadem interesować, poznawszy, iż rogów wybitniejszych tam snąć nie ma. Niżej natomiast odkryliśmy małe stadko leżących ibeksów i, sądząc tylko po wielkości zwierząt, mogliśmy być pewni, że to duże capy być muszą. Podejście ich poszło jak z płatka. Do połowy stoku dojechaliśmy konno, potem okrążaliśmy koziorożce posuwając się po tamtej stronie wierzchołka i wychyliwszy się za grzebień góry, ujrzelśmy je spoczywające spokojnie na 150 kroków od nas. Przed nami były dwa głazy; jeden blisko szczytu duży, a drugi już na zboczu mniejszy. Ong'kàh zaczął pełzać ku mniejszemu, który nie dawał należytego oparcia do strzału; zrobiłem zatem Kałmukowi znak, aby laźł do górnego kamienia. Później pokazało się, że ten rozkaz był szkodliwy. Wysunąwszy się ponad kamień, widzę, że nie ma do czego strzelać, bo wszystkie tekkè leżą całkiem płasko złożywszy nawet głowy na ziemię. Trzeba więc czekać, aż nasza przypuszczalna zdobycz przestanie spoczywać, jak człowiek w pościeli i przybierze więcej zwierzęcą postawę. Tymczasem mogłem się dowoli cieszyć zawsze ponętym widokiem tych ślicznych zwierząt i robić studia porównawcze co do rozmiarów pojedynczych rogów. Bardzo trudno jest ocenić z daleka długości rogów koziorożca. Jeden będzie miał rogi szeroko rozpięte i silnie zagięte w bok i będzie się wydawał słabszy od ibeksa, mającego rogi krótsze, lecz wąsko osadzone i mniej w kabłąk idące. Zabi-

cie rekordowego capa — rekordowym zaczyna on być od 125 cm w górę — jest zatem właściwie rzeczą szczęścia, gdyż żaden myśliwy nie pozna na większą odległość, czy strzela do zwierza z rogami 110 cm mierzącymi, czy też do takiego z rogami znacznie dłuższymi. Oglądając leżące zwierzęta, wybrałem sobie jednego capa, którego rogi w tej pozycji jakoś bardzo daleko w tył ciała sięgały. I w myśli wyrażam życzenie: „Ach, żeby tylko ten kozioł chciał wstać pierwszy“. W tej samej chwili cap mój, jakby suggestionowany przeze mnie, rzeczywiście się podnosi i zaczyna — trzęsąc przytem swoją puszystą brodą — przeraźliwie ziewać po odbyciu dobrej widocznie drzemki. Ponieważ stał mi całkiem na sztych, czekałem jeszcze ze strzałem, aż mi trochę łopatki pokazał. Kulą tamże uderzającą zrulowałem go jak zająca. Jak to zwykle na tym polowaniu się dzieje, potoczył się cap kilkaset metrów w dół po kwiecistej runi, zatrzymany potem na szczęście przez kilka kamieni. Towarzysze zabitego pobiegły szalonym pędem ku dołowi góry, nie dając sposobności do mierzonego strzału. A wielka to szkoda, gdyż było tam ze 12 samych grubych samców. Skusiło mnie, aby za nimi w kupę strzelić; ranilem tylko jednego — jak się zdaje — w tylną łopatkę, bo został się w tyle za stadem i silnie farbował; dojść go jednak nie mogłem. Kałmuk potem powiadał, że gdybym był polazł za nim do kamienia niższego, to byłyby tekkè, słysząc huk strzału z dołu poszły do

góry i szły po skałach wolniej, dając tym samym sposobność do kilka wygodnych strzałów.

Po zabiciu capa miałem jeszcze inny piękny widok. Z zagłębienia poniżej nas się znajdującego wypadło na strzał bardzo liczne stado kóz i młodzieży; sądzę, że ich było ze 200 sztuk. Popędzily — okrążając nas — ku dolnym zboczom góry, tam jednak spostrzegły konie przez nas pozostawione i czuły się wzięte w dwa ognie; tem onieśmiałone nie widziały w ogóle już, kędy uciekać mają. Stały więc naprzód długo na miejscu becząc żałośnie, potem galopowały w zbitej masie raz ku koniom raz ku nam, nawracając potem regularnie z drogi. Jednym słowem robiły ewolucje jak dobrze wyćwiczony oddział konnicy. Po dłuższej dopiero chwili zdecydowały się na czyn heroiczny i przedelfilowały na 50 kroków przed nami w obłokach pary, która im z pysków ze strachu i zmęczenia buchała. Zabity koziorożec chciał nam jeszcze po śmierci przyczynić trudu. Siła ciężkości wyrwała go z rąk Kałmuka, ściągającego zeń skórę i posłała go w mig 500 metrów dalej na dół. Jak niepyszni musieliśmy tam za nim podążyć, aby dzieło poćwiartowania go dokończyć. Zwykle staramy się takim figlom zabitych capów zapobiec, okładając je z dołu większymi głazami; na tej górze był jednak brak odpowiednich środków do zatrzymania zabitego zwierza na stromej zboczy.

O ile pierwsza część dzisiejszego podjazdu była przyjemna i łatwa, o tyle później przez bardzo

przykre chwile przejść musiałem. Z przełęczy, oddzielającej tę górę od doliny Agojas, prowadził w dół bardzo stromy i wąski jar, gęsto lasem i kolczastymi krzakami zarosły. Dnem jego płynęła, po ogromnych tocząc się kamieniach, mała wprawdzie, ale nader rwąca rzeczka. Ponieważ tam konno w żadnym razie nie można było się przedostać, musieliśmy iść piechotą i prowadzić nasze wierzchowce za sobą. Zwykle ktoś z ludzi konia mego za sobą ciągnie; dziś jednak sam się tego ciężkiego zadania podjąć musiałem, gdyż mój ogier nie znosi zapachu mięsa i, wietrząc je w pobliżu, zaraz się awanturuje i w dal ucieka; musiał on być więc trzymany w odpowiedniej odległości od konia Kałmuka, niosącego szczątki dzisiejszej zdobyczy.

Wypadało nam schodzić w dół pionową niemal ścieżką, przedzierając się z trudem przez nie do przebycia gęszcz krzewów, uzbrojonych w potężne kolce, które mnie przez ubranie kłuły i raniły. Co chwila się potykałem i przewracałem, koń zaś, kłuty również kolcami, ciągle mi się z rąk wyrywał lub także na ziemię się walił, względnie uderzał mnie boleśnie głową w plecy lub na leżącego bezwzględnie kopytami następował. Jeszcze zaś gorzej mi się powodziło, gdy przechodzić musiałem przez rzekę lub nawet iść jakiś czas jej korytem co wobec wąskości jaru często było koniecznym. Koń, bojąc się wartkiej, huczącej wody i wielkich czarnych kamieni, w żaden sposób dalej posuwać się nie chciał, zmuszając mnie do tego, abym go z całej siły cią-

gnął za cugle, co wcale łatwym nie było, bo sam na śliskich kamieniach równowagi w żaden sposób utrzymywać nie mogłem i z rozwartymi ze strachu oczami cały czas na nich balansować musiałem. Ten pochód przez jar, który trwał przeszło godzinę, śmiało mogę zaliczyć do najmniej przyjemnych wspomnień z mego pobytu w Tienszanie. Obóz zastałem rozłożony nad rzeką Kaprun; jest to jeden z większych dopływów Agiasa, to też tylko w godzinach małej wody przez niego się można przeprawić.

28 lipca zaszedł ten pamiętny wypadek, że mogłem zabić drugiego niedźwiedzia i to już w trzecim dniu po ubiciu pierwszego. Był to ewenement niezwykły, gdyż według wszystkich opisów ekspedycji tienszańskich może myśliwy tutaj mówić o szczęściu, gdy w ciągu sezonu jednego misia na strzał dostanie; zwykle nie spotka on ani jednego w ciągu całego lata. Dawniej były szanse pod tym względem lepsze. Od paru lat jednak zaopatrzyli się Mongoli i Kirgizi w ciągnioną broń i polując zapamiętałe na niedźwiedzie ze względu na cenne ich futro, znacznie je przetrzebili. Opowiadano mi, że lat temu dziesięć wstecz ubijał myśliwy kałmucki łatwo dziesięć do piętnastu niedźwiedzi rocznie; teraz jednak zadowolony być musi, gdy w ciągu takiego samego okresu dwie skóry do domu przywieźć zdoła.

Ong'kàh zaprowadził mnie w wąziutką, boczną dolinę Agojasa, do której dostęp był nader trudny i dla niewtajemniczonego zupełnie niewidzialny. Je-

chało się długo przez las, na stromej zboczy rosnący; potem trzeba było się przesunąć przez wąską szczelinę, utworzoną przez niebotyczne, skalne ściany i stanowiącą jakoby bramę tej tajemniczej dolinki. Już w pół godziny po wtargnięciu w to zaciszne, górskie ustronie spostrzec mogę, że u jadących przede mną Kałmuku i Kozaku powstaje rodzaj popłochu, że oni szybko końmi na miejscu nawracają i z nich na gwałt zeskakują. Moim pomocnikom myśliwskim każę na polowaniu zawsze przed sobą jeździć. Z jednej strony chcę, aby mi oni wyszukiwali i pokazywali najlepsze ścieżki na tak często wręcz niebezpiecznych przejściach, z drugiej zaś pragnę, aby dwie pary dobrych oczu wspierały moje przyrzędy do patrzenia, raczej słabe i zwierza na dalszy dystans rzadko odkrywające. Tutaj jest dla dobrego wyniku łowów rzeczą najważniejszą, aby zwierzyne spostrzec, nim ona to uczyni, gdyż trzeba przecież przed strzelaniem zesiąść z konia, i przygotować broń, co zawsze kilka chwil zajmie, w ciągu których zwierz już uciekający daleko ujść może. Naboków szepce mi teraz do ucha — trzęsąc się, jak zwykle w takich razach ze wzruszenia, jak liść osikowy: *Balszój niedwied* niedaleko. I jedno, i drugie było nieprawdą, bo niedźwiedź był raczej mały i znajdował się od nas o jakie 250 kroków. U poczciwego Kozaka każdy przez niego spostrzeżony zwierz niedaleko przebywa i jest z reguły okazem olbrzymim. Od niedźwiedzia byliśmy zakryci szeregiem większych krzaków, dalej rozciągała się czy-

sta zbocz góry; musiałem zatem stąd strzelać. Ong'kàh wpadł tu na nieszczęśliwą myśl ułatwienia mi dokładnego mierzenia urządzeniem oparcia dla karabinu na jednym z krzaków. Nierozważnie przyjąłem tę propozycję zamiast oprzeć broń na kiju alpejskim, do czego jestem przyzwyczajony. Ze względu na mały wzrost zwierza i daleką odległość mogłem strzelić bez wszelkiego wzruszenia do misia, myszkującego spokojnie po zboczu. Swoją drogą nie stał on mi dobrze, bo był tyłem do nas obrócony, głowę tylko w naszą stronę zwracając. Nie należało jednak strzału opóźniać, bo miś szedł zwolna, ale stale w górę i tym samym od nas się oddalał. Po strzale skoczył on czterema łapami naraz w górę i pobiegł ciężkim galopem do pobliskiego pasma gęstych krzaków, ciągnącego się dalej na stoku na przestrzeni kilkaset metrów szerokiej. Strzeliwszy, pobiegłem zaraz naprzód, aby stwierdzić, czy on z tego gąszczu nie wyjdzie. Mimo, że za krzakami była czysta całkiem zbocz, nie widziałem go wychodzącego z gęstwiny i poszedłem wobec tego na trop, wesóły i dobrej myśli, będąc pewny że ma w sobie kulę i w gęstwinie leżeć będzie. Rozwianie tych nadziei nastąpiło prędko; farby nie znaleźliśmy żadnej, za tropem ze względu na kamienisty teren iść nie było można, a przeszukanie gąszczów też żadnego rezultatu nie wydało, zresztą nie było możliwem te krzaki dokładnie obszukać, bo znajdowały się tam głębokie jary zavalone aż po wierzch kamieniem i spróchniałymi kłodami, tak że do nich

w ogóle nie można się było dostać. Ale tak, jak rzeczy stoją, muszę tego niedźwiedzia uważać jako chybionego na czysto, kto wie, czy nie z powodu krzaka, który dał niepewne, chwiejące się oparcie karabinowi.

Pojechaliśmy dalej doliną w górę i po niespełna kwadransie pokazują mi drugiego niedźwiedzia chodzącego blisko szczytu na gołej, zasłanej głazami górze. Był to niedźwiedź rzeczywiście duży ze zupełnie czarnym futrem. Moi towarzysze wzięli się z zapalem do podchodzenia zwierzęcia, zajeżdżając go z boku poza mniejsze wzgórza u stóp tej góry się znajdujące. Sam sceptycznie na tę próbę się zapatrywałem, gdyż było mi jasnym, że nie będzie dla nas możliwem, zbliżyć się niepostrzeżenie do niedźwiedzia w tak otwartej okolicy. Spostrzegł on nas jeszcze prędzej, niż by to przy zachowaniu należytych ostrożności stać się było powinno. Ong'kàh przesunął się — licząc na to, że do misia jeszcze daleko — z jednej skały pod drugą, wychalając się przy tym nierozważnie na chwilę na odkryte miejsce. Wystarczyło to, aby czujnego zwierza spłoszyć; podążył on ciężkim truchtem ku lodowcom pokrywającym wierzchołek. Żal mi tego niedźwiedzia; taka duża, czarna skóra stanowiłaby ładną pamiątkę.

Siadam tam, gdzie to przykre niepowodzenie mnie spotkało, celem wypalenia fajki i omówienia rzeczy z towarzyszami. Nim zdołałem fajkę nabić, woła naraz Naboków: „Trzeci niedźwiedź idzie z góry ku nam“. Za chwilę poprawia się mówiąc: „Nie,

to dwa wielkie capy tekkè“. Przez szkła widzę, że to istotnie grube sztuki, które szybko z góry, na której poprzednio niedźwiedź się znajdował, w dół się spuszczały. Nie wiadomo, czy one czemś są spłaszczone, czy tylko tak śpiesznie dążą na miejsce dziennego spoczynku. Trzeba im zabiec drogę, tak brzmi nasza szybka decyzja; może to się uda, bo koziorożce ku nam się zbliżają. Puszczam się więc na piechotę szybkim kłusem za Kałmukiem. Na szczęście nie było potrzeba biec bardzo pod górę; natomiast należało uważać usilnie na olbrzymie dziury, powstałe między kamieniami na mokrawej, górskiej poloninie. Wybiegamy z rzędu na trzy po drodze leżące pagórki, spodziewając się z każdego ujrzeć już capy. One jednak widocznie jeszcze niżej przez dolinkę przejść zamierzają. Dobiegłszy na szczyt czwartego mamelona dostrzegam w dole rogi grube jak rosłego drzewa konary i sykam wobec tego na Mongoła, który biegł, jak chart daleko przede mną, ale, zrozumiawszy w mig sytuację, w mgnieniu oka przypadł do ziemi. Widzę teraz już całego, wspaniałego kozła, jak właśnie przystaje, aby sprawdzić, co się to tam na pagórku ruszało. Ta chwila wystarczyła na szczęście, aby tego patriarchę koziego rodu kulą w komorę na miejscu powalić; przewrócił się na bok, jak dziecko małe. Jego towarzyszy, podążający jego tropem i równie kapitalny, jak on sam, pomknął na strzał galopem w dół. Tu wpadł Ong'kàh na dobrą myśl, aby zaświstać na niego, tak, jak to u nas niektórzy myśliwi, nie prze-

świadczeni o niechybności swoich strzałów, pokryjому na szaraka w miocie robią. Zdziwiony brodacz zatrzymuje się na ten dziwny dla niego odgłos jakby umyślnie na to, aby dostać kulę w środek masywnego swego cielska; teraz wierzga on silnie zadnymi badyłami, zawraca na miejscu, biegnie ze sto kroków nazad i znowu staje. Chcę go dobić, ale mogę odłożyć broń słysząc Kałmuka wołającego radośnie: „On zaraz „umrze“. Widzę teraz, jak cap na nogach się chwieje, potem dęba staje i wkońcu na wznak na ziemię się wali. Ten dublet sprawił mi wiele przyjemności. Dziwię się, że tak dobrze trafiłem mimo zadyszanie, spowodowane przebyciem dużej przestrzeni biegiem. Rzadki to wypadek, aby ibeksy prawie że same do myśliwego przyszły i to jeszcze dwa takie przepiękne okazy, których rogi wykazują 130 i 126 cm. długości. To są najgrubsze tekkè przeze mnie zdobyte.

Ong'kàh, dostawszy pięć „son“ nagrody za ubitego niedźwiedzia, nie chce teraz nic innego robić, jak szukać za drugim. W tym celu prowadzi mnie on często w dziewicze, gęste zarośla, w których te zwierzęta czasem rzeczywiście zatrzymywać się lubią, lecz przez które człowiek ledwie piechotą przeдрzeć się może. Mongoł mój zaś chce, abym tamtędy konno przejeżdżał.

29 lipca jechaliśmy względnie szli piechotą — zgięci we dwoje i ciągnąc z wielkim natężeniem opornego konia za sobą przez dwie godziny taką kolczastą gęstwiną. Gałęzie ścigały mnie co chwila

ze siodła, smagały nielitościwie po twarzy i zagrażały oczom; kolce zaś z dołu kaleczyły mi nogi i darły ubranie, a raczej pomnażały jego strzępy, z których ono obecnie się składa. Co chwila natrafiało się na głębokie rowy, które dalszemu posuwaniu się naprzód stawiały na przeszkodzie. Czasem trzeba było sobie aż nożem torować drogę. Gwoli sprawiedliwości muszę jednak stwierdzić, że Ong'kàh dziś znowu niedźwiedzia mi pokazał, wprowadzie nie w tej dziczy krzaczystej, ale za nią na czystym miejscu, wyścielonym kamieniami. Zdaje się, że mój przewodnik tam się już misia wcale nie spodziewał i dość nieuważnie naprzód posuwał. Wskutek tego spłoszył on zwierza, zajętego podważaniem głazów na spodzie rozpadliny, na brzeg której wyjechaliśmy. Niedźwiedź pomknął zaraz z nieniedźwiedzią chyżością do góry i oddalił się już znacznie od nas, nim ja z konia zeskoczyłem i karabin z ramienia zerwać zdołałem. Na świst Kałmuka przystanął — wprowadzie chwileczkę, ale kula moja wskutek zapewne zbyt pośpiesznego ściągnięcia cyngla nie trafiła go wcale, przelatując jednak widocznie blisko jego głowy, gdyż skwitował jej gwizd oburzonym fuknięciem.

Aby się po tym nowym niepowodzeniu pocieszyć zarządziłem przerwę w polowaniu i zabrałem się do picia herbaty. Naraz zaczął wysoko nad nami na górze skrzeczeć świstak. Oznacza to zawsze, że zwierzątko to widzi coś nadzwyczajnego w pobliżu, co je równie zaciekawia, jak i przestrasza. Popatrzywszy

w górę, zobaczyliśmy na terasie skalnej, tam zwisającej, dużą ciemną masę. Był to inny znowu niedźwiedź, który, stojąc na krawędzi skały spoglądał w głąb naszej doliny; chciał on zapewne w nią zejść, aby po jej drugiej stronie udać się na dzienny spoczynek. Zobaczył on jednak — jak się zdaje — nasze konie, z których jeden na nieszczęście był biały i dlatego wyjątkowo widoczny, gdyż po chwili cofnął się nazad w górę. Gdybyśmy i nasze wierzchowce lepiej ukryli, byłby nam miś może pod same nogi przyszedł. Niedźwiedź ten wydał mi się bardzo duży i ciemny.

Już na początku dzisiejszego polowania obserwowaliśmy stado koziorożców na innej znajdującej się górze. Góra ta przedstawiała się jako kamienny stożek o niezmiernie stromych bokach i wydawała mi się niedostępna dla ludzi. Nie czułem też najmniejszej ochoty, aby na niej wypróbować swoje zdolności akrobatyczne. Niemile mnie więc dotknęła propozycja Kałmuka, uczyniona w drodze powrotnej, aby ibeksy widziane rano przecież podchodzić. Przez lunetę wykrył on, że te koziorożce na jednej ze ścian złowrogiego stożka już się na spoczynek ułożyły i zapewniał mnie, że pokaże mi piękną i dobrą ścieżkę, aby się na górę móc wydrapać. Próbowałem, jeszcze zarzucić, że rano nie było widać w stadzie ani jednego grubego capa, ale on mi na to naturalnie zaraz odparł, że widzi wyraźnie kilka kozłów z „takimi“ rogami; tu rozwarł znowu ramiona w charakterystyczny swój sposób, używany dla określenia

bajecznie długich rogów. Nie chcąc, aby mnie o tchórzostwo, względnie lenistwo, posądzał, zdjąłem ze siebie wszystko co można było — obnażając się niemal zupełnie, gdyż dnia tego było bardzo gorąco — i podążyłem za nim na tę krzyżową drogę. Rzeczywistość była jeszcze gorsza od tego, czego się obawiałem. „Piękna“ ścieżka Kałmuka istniała rzeczywiście, było to pasemko śliskiej trawy, szerokie na pół metra i wijące się nad prostopadłą skałą tworzącą przepaść kilkaset stóp głęboką. Nie jestem taternikiem z zawodu i unikałem w życiu skrupulatnie niebezpieczniejszych wycieczek górskich; przechodziłem tu też prawdziwe tortury, idąc tak eksponowaną ścieżką i uczulem się szczęśliwym, gdy ją opuściliśmy, aby wejść na rumowisko wielkich głazów. Tu nowa trudność! Olbrzymie kamienie tam rozesłane były ruchome i nigdy się nie wiedziało, czy człowiek, wstąpiwszy na jeden z nich, nie straci nagle podstawy dla nóg i nie zwali się w dół, ścigany toczącymi się po zboczy głazami. Pełny zaufania postawiłem nogę na skałę objętości kilku metrów kwadratowych; ona jednak oparta na innych tylko wąską swoją krawędzią przewaliła się w mgnieniu oka na bok jakby była leciutką tylko cegielką. Ogromnym tylko skokiem zdołałem się uratować od przygniecenia i omal przy tym sobie nogi nie zwichnąłem, która mnie w następstwie i tak przez cały tydzień silnie bolała. Lecz i to niesympatyczne rumowisko nareszcie się także skończyło.

Stanęliśmy już na szczycie stożka i mogliśmy

objąć wzrokiem przepaść, po drugiej stronie której tekkè leżały. Niebawem zaczęliśmy je wykrywać, naprzód dużo kóz, następnie słabe capy, a nakoniec i lepsze, ale nie kapitalne. Dopiero po długim śledzeniu po wszystkich zakamarkach skalnych pokazał mi Ong'kàh kozła rzekomo bardzo dużego; sam go dobrze nie widziałem, gdyż stał blisko ciemnej ściany prawie w półcieniu. Po dzisiejszych fizycznych wysiłkach trzęsła mi się silnie ręka, tak że strzał, mierzony w komorę, trafił koziorożca — i to szczęśliwym trafem — w szyję. Upadł natychmiast w koziołkach w głąb czeluści skalnej. Teraz zaczęła się zwykła gonitwa spłoszonych zwierząt; na tej poszarpanej rozpadlinami górze musiały i one szukać sobie naprzód drogi; przystawały więc często na szczytach skał, aby zmiarkować, w którą stronę można uciekać. Do tych zatrzymujących się tekkè wystrzelałem szybko cały swój magazyn. Nie mogłem już poznawać siły rogów, ale Ong'kàh mi rzecz ułatwiał, podpowiadając mi z tyłu, który z koziorożców jest dobry, a którego puścić należy. Dwa dalsze ibeksy runęły ze skały, trzeci ciężko ranny zniknął mi z oczu. Poszliśmy za nim, a raczej Kałmuk poszedł sam, bo dla mnie miejsce, gdzie się postrzałek znajdował, było zbyt niebezpieczne; Ong'kàh wypłoszył go niebawem spod skały, gdzie się był położył, a ja go z góry łatwo dostrzelilem.

Straszny łomot z tyłu tak mnie w tej samej chwili przeraził, że omal broni z rąk nie wypuściłem; nie było to jednak nic katastrofalnego; tylko



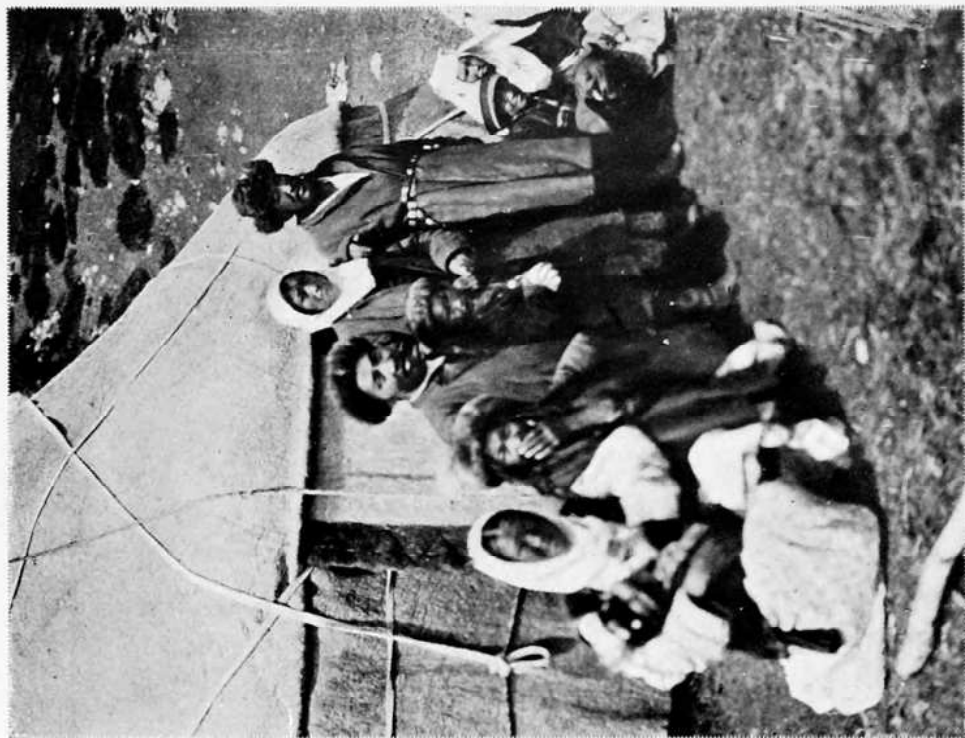
Ciężko ranny ibeks.



Naboków wraca z podjazdu.



Kirgizi z sokolikami.



Rodzina kirgizka przed jurta.

jeden z zabitych koziorożców toczył się jeszcze po śmierci dalej w głąb przepaści. Obejrzenie zabitych zwierząt przez perspektywę zupełnie mnie nie ucieszyło, wydało mi się bowiem, że to same koziorożce nie pierwszorzędnej jakości. Mongoł wprawdzie ciągle utrzymywał, że rogi ich są duże, ale że tego stąd nie widzimy, bo końce są przywalone kamieniami. Niestety nie on, ale ja miałem w tym wypadku słuszność. Rogi mierzyły 92 do 75 cm, zdobycz więc to nieświetna, zwłaszcza po wczorajszych olbrzymach. Zebranie skór i rogów było dziś niezwykle uciążliwe i niebezpieczne. Nie mogąc się spuścić w groźną przepaść, gdzie zdobycz nasza leżała, siedziałem skulony na wąskiej krawędzi skalnej, bojąc się silnie, aby mój zuch Ong'kàh lada chwilę w dół nie runął, podobnie jak capy, których rogi mimo swoje świetne oczy tak fałszywie otaksował. Musiał się dlatego tak grubo pomylić, że koziorożce znajdowały się w miejscu, zaciemnionym skałami, w oświetleniu nader niekorzystnym; później przyznał mi się on poufnie, że do uciekających kazał mi strzelać, nie oglądając ich już bliżej, uniesiony gorączką myśliwską. Ponieważ przewodnik nie mógł unieść więcej jak trofea z trzech capów, musiałem sam wziąć czwartą skórę względnie parę rogów. Z tym to znacznym ciężarem trzeba było przemknąć się przez wąskie pasemko trawy nad skalną otchłanią. Jakżeż żałowałem, że podczas przygotowań do wyprawy, które zresztą, nie chwaląc się, zupełnie dobrze przeprowadziłem, nie wpisałem na listę za-

brać się mających przedmiotów ze dwie maszynki do latania systemu Bleriota; byłyby się one dziś wyjątkowo przydały. Siedząc wieczorem w namiocie, do którego zresztą dopiero o 7 wieczorem dotarłem, dziwiłem się żywo, że jestem jeszcze cały i ruszałem od czasu do czasu umyślnie ważniejszymi i częściej używanymi członkami ciała, aby się przekonać, że one są i nadal proste jeszcze i niepołamane.

Następnego dnia odbyliśmy nudny pochód. Ong'kàh zapowiedział szumnie, że posuniemy się w górę Agiasa o cztery mile; w rzeczywistości wynosiła przestrzeń przebyta niespełna 12 km. I dla tej to trzygodzinnej ledwie drogi straciliśmy cały dzień dla myśliwstwa.

Pobyt w obozie staje się coraz przykrzejszym; w namiocie bowiem obiera sobie codziennie siedzibę — i to natychmiast po jego ustawieniu — niezliczona masa bąków, które w tym wypadku nie końskimi, ale ludzkimi nazywać trzeba. Gdy człowiek wejdzie do namiotu, obsiada go natychmiast cała zgraja tych plugawych istot i, nim on zdoła ręką ruch odganiający wykonać, czuje już kilkanaście ukąszeń na twarzy i rękach. Wypada więc cały dzień siedzieć gdzieś dalej pod jodelką, bo ruchome nasze mieszkanie staje się dopiero późnym wieczorem wolne od tych nieproszonych gości.

Obóz ten jest dla mnie jako dla entomologa pamiętny; jedyne to miejsce, w którym w Chinach spotkałem olbrzymiego, śnieżno-białego apolla, naj-

większego na świecie przedstawiciela tego gatunku górskiego motyla; ponieważ on szybko bardzo lata i nigdy nie siada, zdołałem tylko pięć sztuk wcielić do swojego zbioru, i to przy szybkonogiej pomocy wszystkich ciurów obozowych.

31 lipca zaprowadził mnie znowu Mongoł do szczeliny, pachnącej niedźwiedziem. Obawiam się, że wyjdę źle na jego zamiłowaniu do szukania tego zwierza. Niedźwiedzia pewnie więcej nie zobaczę, a stracę ostatnich kilka dni, które przeznaczam jeszcze dla polowania na koziorożce. Potem ma nastąpić długa podróż do doliny Mojen-tö, gdzie będę szukać za rogaczami i próbować zdobyć choć jednego dużego barana. To ostatnie zadanie jest bardzo trudne z powodu wielkiej rzadkości, a też ostrożności tych zwierząt. W dolinie dziś zwiedzanej zabaśniał się poprzedniej nocy rzeczywiście niedźwiedź świstakami, musiał jednak prawdopodobnie wcześniej ukończyć zakreślone sobie zadanie, bo go już tam nie zastaliśmy. Duże stado ibeksów nie dało się podejść, gdyż Kałmuk wychylił się nieostrożnie poza szczyt góry. Szkoda to niewielka, gdyż nie było w nim — jak się zdaje — dużych rogów. Ong'kàh był dziś w ogóle nieuważny, tak że musiałem kilkakrotnie dać mu naganę. Powód jego roztargnienia jest dość ciekawy. Przejeżdżając na początku podjazdu przez las usłyszał on kwilące w gnieździe pisklęta sokoła wędrownego i myślał widocznie potem przez całą drogę nad tym, jakby te jastrzębki dostać żywe w swoje ręce. Chińczycy płacą miano-

wicie dużo pieniędzy za takie młode sokoliki; jako zapaleni zwolennicy sokolnictwa tresują oni te ptaki i łapią nimi potem kaczki i bażanty; oswojonych zaś dużych orłów używają oni tutaj, a zwłaszcza w Mongolii do chwytania zajęcy i gazel pustynnych (*Gazella subguttorosa*).

Następnego dnia rano zapowiedział Ong'kàh z emfazą, że my pojedziemy bardzo wcześnie naprzód na polowanie, a karawana podąży dopiero później głębiej w dolinę Agiasa i stanie obozem nad najbliższą rzeczką. Zabawnie odbywa się moje wsiadanie na konia w obozie. Tak musieli dosiadać baszowie tureccy swoich wierzchowców w czasach, gdy Turcja nie była jeszcze „chorym człowiekiem“. Czterech ludzi co najmniej asystuje mi przy tym, i pomaga: jeden trzyma konia za uzdę, dwóch podaje mi strzemiona, a czwarty, przejęty bardzo ważnością swej roli, podpira niezbyt szlachetną, ale zawsze pożyteczną część ciała, aby jej umożliwić wydostanie się na wyżynę siodła; wyżyna swoją drogę nie wysoka, u konia trzynastej miary. W puszczy trudna ta sprawa odbywa się mniej solennie i muszę sobie dawać radę z pomocą jednego tylko człowieka. Całe polowanie dzisiejsze polegało na tym, że przejechaliśmy na dwie godziny przed karawaną jej drogę aż do miejsca nowego obozu i tam długo na nią czekać musieliśmy. Nie wiem, jaka zwierzyna miała się znajdować w tej głównej, przez ludzi dość często uczęszczanej dolinie; wiem natomiast, że się srodze

wynudziłem i niepotrzebnie zamiast o 6 już po 3 rano z domu wyjechać musiałem.

Dopiero po rozbiciu obozu pokazało się olbrzymie stado ibeksów na górze, położonej na prawym brzegu rzeki; leżały one jak barany na pastwisku i tworzyły z daleka wielką, różową plamę na zielonej połoninie. Wsiadłszy więc znowu na konie, próbowaliśmy przejechać na drugą stronę wody, starając się w dwóch miejscach znaleźć bród; ten przekłety Agojas był jednak nie do przebycia, gdyż woda sięgała koniom po szyję i byłaby je niewątpliwie wraz z jeźdźcami porwała. Pocieszałam się po tym zawodzie, jak lis w bajce La Fontaine'a o kwaśnych winogronach, mówiąc sobie, że w tym stadzie niema pewnie grubych capów.

Od kilku dni panuje tu przed południem gorąco; mimo to przychodzi popołudniu regularnie śnieg i zimny deszcz. Wskutek ciepła stały się wszystkie rzeczki, obficie wodą z lodowców zasilane, bardzo głębokie, tak że małe nawet sprawiają nam przy przeprawianiu się przez nie większe trudności. Onegdaj przejeżdżałem przez strumyczek ledwo na nazwę rzeczki zasługujący; bystry prąd porwał mego konia, który stracił już grunt pod nogami, i byłbym z pewnością wbrew swojej woli popłynął z wodą, gdyby przytomny Ong'kàh konia za cugle nie był chwycił.

2 sierpnia pojechał Kałmuk znowu w dolinkę, w której niedźwiedzie przebywać lubią; spowodował

wało to wielkie trudności dla ludzi i koni, bo dolina ta, a raczej głęboko między góry wrzynający się jar był wąziutki z dzikimi urwiskami po obu stronach. Niedźwiedź chodził w tym wąwozie w ciągu nocy; świadczyły o tym liczne ślady jego działalności. My go jednak zobaczyć nie zdołaliśmy. Wobec tego aspekty na dzisiejszy dzionek wydawały się raczej smutne, góry bowiem, okalające tę dolinę, były zanadto skaliste i poszarpane, koziorożce zaś unikają takich zbyt dzikich szczytów, gdzie nie ma wcale trawy; tak samo nie lubią one chodzić po wyżynach, pozbawionych zupełnie skał. Chciałem już nawet robić wyrzuty Mongołowi, że wskutek swojej manii szukania codziennie za niedźwiedziem, zaniedbuje rewiry koziorożcowe. Nim jednak ten zarzut sformułowałem, zmieniła się postać rzeczy. Dolinka rozszerzyła się nieco i pośród turni pokazało się kilka płatków ziemi pokrytych trawą. Wywindowaliśmy się teraz na wyższe miejsce, skąd było widać wszystkie okoliczne stoki i zbocze i odkryli wkrótce dwa stada ibeksów. Jedno spoczywało już w pobliskiej przepaści i składało się przypuszczalnie z samych drobnych sztuk, drugie posuwało się wolno i dość nisko stokiem przeciwległej góry. W tym stadzie błysły nam duże rogi, więc te dziś prześladować będziemy. Przeczekawszy, aż one za grzbietem zboczy znikły podążyliśmy pieszo za nimi. Wiatr wiał skłonem góry od nas ku nim, więc Ong'-kàh całkiem słusznie twierdził, że nie można ich zachodzić z góry, jak zwykle. Za to może się nam

udać podejść je z dołu, bo nie znajdowały się tym razem bardzo wysoko. Poszliśmy więc korytem płynącego tam strumyka i w niespełna kwadrans zobaczyliśmy stado leżące na skalistym urwisku. Jego widokiem byłem wprost olśniony i przyznać musiałem, że w całym Tienzanie tak pięknego stada dotąd nie widziałem. Na tę daleką odległość widać było jakby las ogromnych rogów; było tam pewnie z 50 samych starych koziorożców. Ale cóż z tego? One nas wnet poczuły, bo wiatr był i tu w dole niepomysłny i zaczęły się już na pół kilometra przed nami wynosić wyżej w górę. Koziorożce zachowują się zabawnie, gdy się im w tak niedelikatny sposób psuje dzienny wypoczynek. Mają one wtedy wygląd znudzony i kwaśny i okazują tym, jak niechętnie z legowisk powstają biorąc za złe intruzowi ludzkiemu, że im tak nie w porę przeszkadza; usuwając się oglądają się od czasu do czasu tak, jakby chciały stwierdzić, jakie to właściwie istoty tam w dole się ruszają.

Czułem, że kampania przegrana. Stado skomasowało się na wyższej terasie skalnej i posuwało się potem bardzo powoli dalej, jakby nie było zdecydowane, w którą stronę im podążać wypada. Postanowiłem popęlić rzecz prawdziwego myśliwego niegodną i wobec niemożności wzięcia pojedynczej sztuki na tę szaloną odległość na cel puścić parę kul w kupę. Ponieważ to były same pierwszorzędne capy, nie było obawy zabicia kozy lub nieletniego kozła. Nieszlachetny mój proceder wydał — jak to

zresztą na świecie często bywa — przecież jakiś rezultat. — Zajęty utrzymywaniem rotowego ognia, nie mogłem sam widzieć, gdzie kule padają i kazałem swoim adiutantom zdawać mi o tym raporta. Po trzecim, czy czwartym już strzale donieśli mi oni, że jeden cap upadł, a później, że drugi uszedł z odstrzelonym biegiem. Po ukończeniu tej kanonady poczęliśmy drapać się na miejsce strzałów. Zadanie to nie było nielada, gdyż ściana była zupełnie prostopadła. Stękając więc, sapiąc i mając za złe naturze, że takie strome skały tu stworzyła, wylazłem na górę o wiele później od swoich ludzi, którzy mnie już oczekiwali z wyrazem twarzy zwiastującym coś pomyślnego. Sądziłem, że mi pokażą martwego już kozła, a tu oni wskazują mi koziorożca pozornie całkiem zdrowego, siedzącego wesoło na cyplu skalnym i patrzącego z wyraźnym zaciekawieniem w naszemu kierunku. Powiadają mi, że do niego strzelać już nie trzeba, bo on zaraz zdechnie. Lecz ja, wyleczony od dawnego oszczędzania kul wobec postrzałków mierzę — o ile mi zadyszanie się na to pozwalało — możliwie dokładnie i ruję capa na miejscu. Po chwili jednak zrywa się on znowu i pędzi galopem dalej tak, jak gdyby był zupełnie nieuszkodzony. Muszę więc strzelić drugi raz za nim i powoduję tym jego ostateczną upadek i zwalenie się w przepaść. Ciekawy byłem, gdzie tego kozła pierwszym strzałem trafiłem, zmuszając go do zatrzymania się na skale; asystowałem więc umyślnie przy ściąganiu skóry. Znalazłem tylko dwie ku-

le; jedną z nich dostał w szyję, ale dość wysoko, gdy mi na sztych siedział, i ona go przewróciła na miejscu nie powodując jednak jego natychmiastowej śmierci; drugą trafiłem go w grzbiet od tyłu ku przodowi, gdy się znowu był zerwał i ode mnie uciekał. Niewyjaśnionym pozostało natomiast, czy i jaką ranę odniósł od strzałów do stada posyłanych.

Poszliśmy teraz dalej, aby zobaczyć co się z drugim postrzałkiem stało. Farba była obfita i prowadziła nas na przestrzeni kilkuset kroków do najbliższej przepaści przecinającej stok góry od wierzchołka do dołu. Ong'kàh zagląda do niej i obraca się potem do mnie, podnosząc z tajemniczą miną dwa palce do góry. Pierwszy rzut oka pokazuje mi nie jednego, lecz dwa wspaniałe capy stojące ze smutnymi minami na przeciwległej ścianie. Jedna z dwóch ostatnich kul, które jeszcze miałem ze sobą, przewraca jednego z tych matadorów, który z głuchym łomotem na dno urwisk się wali; druga rani drugiego olbrzyma, a to widocznie silnie, gdyż on po strzale tylko na miejscu obrócić się może. Widać także, jak mu krew z pyska obficie tryska. Ale co teraz dalej z nim robić wobec braku nabojów? Kałmuk pnie się ku niemu i chwyta go chyłkiem za tylny badył. Cap mu się wyrywa i zesuwa się niżej, bijąc rogami i głową o ziemię. Tam znowu staje. Widzę teraz, że mam nadzwyczajną sposobność do zrobienia zdjęcia fotograficznego, jakiego dotąd — o ile wiem — żaden myśliwy jeszcze nie zrobił, fotografię azjatyckiego koziorożca żywego

względnie jeszcze trzymającego się na nogach. W tym wypadku wyjątkowo lekkomyślny — spuszczałem się szybko w dół przepaści po karkołomnej, przez ibeksy tylko uczęszczanej ścieżynce, padam na szczęście tylko raz i mogę się do capa na dziesięć kroków zbliżyć. Biedne zwierzę trzęsło się na całym ciele, z brody ogromnej ściekała mu farba, a piękne jego, jasno-żółte oczy wyrażały szal i rozpacz. Po chwili zaczął on znowu bić rogami o kamienie i znowu zjechał na przodzie kilkanaście kroków niżej. Ludzie moi wpadli teraz na barbarzyński sposób dobijania go; brali duże głazy i ciskali je na głowę szlachetnego górala, ból tylko mu tym widocznie sprawiając, bo on nie upadł lecz stał tak samo dalej. Nie mogąc patrzeć na tak ordynarne kamienowanie pięknego zwierza, kazałem rzucania kamieniami zaprzestać, natomiast zaś próbować go rękami choć przez chwilę przetrzymać na to, abym go mógł nożem dokłuć; to zresztą nie było też łatwym, bo nikt z nas nie miał ze sobą kordelasa lub długiego jakiegoś noża. Ludzie złapali więc capa za rogi, on jednak ostatnim wysiłkiem znowu im się wyrwał, obalając swoich prześladowców na ziemię. Dopiero za drugim razem udało się chwilę go przytrzymać, dzięki czemu mogłem wbić scyzoryk w okolicę komory i wywoławszy silny upływ krwi zakończyć cierpienia mej ofiary. Pierwsza kula zła mała mu tylko tylny bieg nad samymi racicami; wystarczyło to, aby to silne, masywne zwierzę już po kilkuset krokach zatrzymać. Tak samo unie-

możliwiło roztrzaskanie przedniego badyla ucieczkę jego towarzyszowi. Oba zatrzymały się u stóp stromej skały, po której reszta stada bez trudności przeszła, a na którą one na trzech nogach wydrapać się czuły niezdolne. Widać, że u górskich zwierząt zgruchotanie kości jednej z kończyn wystarcza, aby je ubezwładnić. Podobnie powoduje też przełamanie kości takiej u bardzo ciężkich zwierząt, jak słoń, nosorożec i bawół ich natychmiastowy upadek. Myśliwi, polujący zawodowo na słonia, wiedzą o tym dobrze i mierzą też zawsze w przednią jego nogę, aby go w ten sposób unieruchomić. Sam dostałem w ten sposób olbrzymią żyrafę; strzeliłem do niej na wielką bardzo odległość, mierząc wobec tego wysoko w szyję. Kula trafiła ją w bieg ponad samą racicą, a więc o jakie 7 m niżej! Biedaczka z powodu bólu nie mogła się wcale ruszyć z miejsca i pozwoliła sobie zabić strzałem z bliska oddanym. Rogi obu dobitych ibeksów były 121 względnie 114 cm długie. Znacznie słabsze (92 cm) miał cap naprzód ubity. Sądząc jednak po grubości rogów u nasady (33 cm) musiał to być bardzo stary rogal, którego można — jak to mówiąc o jeleniach czynimy — nazwać wstecznikiem; miał on też zęby całkiem zjedzone.

Następnego dnia trzeba było odpokutować wczorajsze nienormalne powodzenie, a może też niemyślnie strzelanie do zwierzyny łownej na zbyt daleką odległość. W nocy był silny mróz, który na szczytach osiągał pewnie 6 lub 8 stopni R. Dziwię się, że

tu kwiaty i owady w nocy nie zamarzają, ale zdaje się, że im zimno nocne nic nie szkodzi. Skoro słońko rano zaświeci, widzieć można setki bujających w powietrzu motyli, a kwiaty rozchylają już wczesnym rankiem swoje kielichy, jakby po ciepłej cieplarnianej nocy. Teraz szarotka już przekwitła, natomiast można miasto niej podziwiać długie dzwonki kwiatu górskiego z rodziny *Gentiana* koloru amarantowego tak wspaniałego, że i paryski Poiret i warszawski Herse takim odcieniem jedwabiu nigdy nie będą rozporządzać. Nadto spotykam często dużą, ciemno-niebieską niezapominajkę, które jest tak barwną i tak wpada w oczy, że patrząc na nią myśl mimowoli kieruje się ku drogiej osobie, o której mimo oddalenie stale zapomnieć nie można. Zauważyłem również w tych górach niektóre gatunki dziko rosnących kwiatów, które u nas tylko w ogrodach są hodowane, a między innymi astry, floksy i duży gatunek akonitu, którego imponujące, ciemno-fioletowe kiście metrowej nieraz dosięgają wysokości. Akonit jest wielką trucizną nie tylko dla ludzi, ale i dla zwierząt. Kto uczy konie, że im tej rośliny ruszyć nie wolno? Gdy w taki klomb akonitu wjeżdżam, to wierzchowiec mój, który poprzednio rwał po drodze pełnym pyskiem liście, trawy, kwiaty, zaraz głowę wysoko podnosi w górę, jakby trującego zieleń nawet widzieć nie chciał.

Wkrótce po wyjeździe z obozu zobaczyliśmy piękne stado tekkè po drugiej stronie Agojasa. Dzięki zimnu, które powstrzymało przypływ ze śniegów

i lodów można było tę wczoraj groźną jeszcze rzekę przebyć nie mocząc sobie nawet silniej nóg. Koziorożce, które się przed wschodem słońca nisko pasły, ruszyły potem długą procesją ku szczytowi i znikły za grzbietem góry.

Rzeczy więc stoją pomyślnie. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że ibeksy po drugiej stronie szczytu do spoczynku się ułożą, a my je z góry doskonale zejść będziemy mogli. Góra, na którą teraz wspinać się zaczęliśmy, wydawała się z dołu stosunkowo niska i nietrudna do zwalczenia. To pierwsze wrażenie jest jednak bardzo często mylne, to też zawsze przystępuję z pewną obawą do pięcia się na jeden z tych kolosów tienszańskich. Dziwna to była góra. Składała się ona z dziesięciu co najmniej tarasów, leżących jeden nad drugim, mniej więcej tak samo, jak terasy w sławnym ogrodzie wersalskim po sobie następują. Nawiasem wspomnę, że terasy te, bujną, zieloną runią pokryte, ładniej wyglądały od zaniedbanych, zapuszczonych gazonów wersalskich; boska natura widocznie swe obowiązki lepiej wypełnia, niż Rzeczypospolita Francuska, mniej dbała o pamiątki przeszłości. Każdy taras oddzielony był od drugiego kamiennym podmurowaniem z kilkumetrowych płyt złożonym i tworzącym zupełnie pionową, gładką ściankę. Wywindowanie się na takie podmurowanie sprawiało mi nieprzewyciężone trudności i byłbym już na pierwszym tarasie ustał, gdyby mnie Ong'kàh za rękę w górę zapamiętałe nie ciągnął, a Dżajnak — bardzo przejęty ważnością

swej funkcji, całą siłą swych ramion nie pchał z tyłu. Od kilku dni towarzyszy mi dżigit na polowanie, gdyż Nabokow, upadłszy onegdaj w skałach i rozbijawszy sobie silnie nogę, jest na dłuższy przeciąg czasu niezdolny do każdej nożnej roboty. Miałem zupełną rację, że się wejścia na tę ogrodową górę obawiałem, stanąłem bowiem na jej wierzchołku dopiero po sześciu godzinach ciężkiej pracy. Rezultat zaś tego wysiłku był taki, że naszego stada wcale nie zobaczyliśmy. Znikło ono bez śladu; to wyrażenie nie jest tym razem użyte przenośnie; na kamieniach nie można było rzeczywiście zobaczyć śladów, po których dało by się stwierdzić, któredy koziorożce się wyniosły. Dnia tego wiał silny wiatr, który nieustannie się kręcił. Ostrożne zwierzęta musiały nas poczuć i cichcem niebezpieczną okolicę opuścić. Po drodze mogłem zresztą strzelać do innego stadka, siedem sztuk liczącego; były to jednak same młode kozły, które wobec tego bez strzału puściłem. Na sąsiedniej górze pasło się inne jeszcze, olbrzymie stado tekkè; perspektywy ukazały nam w nim liczne kapitalne rogi. Lecz nawet Ong'kàh oświadczył, że na tę górę w ogóle wydrapać się nie można; jeżeli on już nie twierdzi, że droga „piękna“, to można sobie łatwo wyobrazić, co to być musi.

Wieczorem zjawiała się u mnie deputacja mojej drużyny, skarżąc się, że od kilku dni już ani sucharów ani mąki nie mają, i wyraziła wobec tego prośbę, aby dżigita już teraz posłać po chleb i to aż do

Narynkola. Sartski bowiem kupiec, mieszkający u wylotu Agiasa z gór, sprzedał nam był już ostatnim razem resztę mąki, jaką w ogóle posiadał, a innego kupca w ogóle w okolicy nie było. Nie mogłem w żaden sposób odrzucić tej prośby, choć to znaczyło tyle, co wcześniejsze zakończenie polowania na ibeksy, niż to było zamierzone, i zrezygnowanie z osiągnięcia preliminarza 25 ubitych koziorożców, który sobie w czasach dobrego polowania zrobiłem. Prawdę mówiąc, nie byłem bardzo niezadowolony z tej zmiany moich planów, bo po miesiącu tak ciężkiego i do sił fizycznych takie wymagania stawiającego polowania na dzikie kozy czułem potrzebę dłuższego wypoczynku. Takim wypoczynkiem może być dla mnie polowanie na rogaczyki, a choćby i na wapiti. Moje osobiste zapasy już się skończyły; dzajnak musi więc oprócz mąki i inne rzeczy zakupić i wziąć to wszystko na wóz, którym tylko do mostu na rzece Agoyas będzie mógł dojechać. Wobec tego powinniśmy stanąć tam równocześnie z nim, aby zapasy na konie załadować. Drogę do Ochotniczego i napowrót odbędzie nasz posłaniec prawdopodobnie w ciągu sześciu dni, karawana zaś może w forsownych marszach dotrzeć za trzy dni do rzeki; powinienem więc jeszcze trzy dni poświęcić polowaniu.

4 sierpnia wyjechał dżigit rzeczywiście jeszcze w nocy do Narynkola, pożyczwszy ode mnie rewolwer dla obrony od wilków i rozbójników, ja zaś pojechałem na podjazd, wydawszy taborowi rozkaz,

aby się później posunął do najbliższego przez Kałmuka wskazanego obozu, który się miał znajdować o kilkanaście kilometrów stąd w kierunku źródeł Agojasa. Dolina, którą dziś opolowaliśmy, była najzupełniej pusta; mimo najdokładniejszego przeglądnięcia wszystkich stoków górskich nie zobaczyliśmy ani jednego koziorożca, choć teren był dla nich bardzo odpowiedni. Tak mnie to zniechęciło, że odrzuciłem z oburzeniem propozycję przewodnika, aby się drapać na potworny, skalisty, w górze śniegiem pokryty wierzchołek, z którego, jak twierdził, można by przy szczęściu gdzieś daleko wysledzić tekkę. Kazałem mu natomiast jechać do nowego obozu, który musiał być — jak sądziłem — jeszcze bardzo stąd daleko. Jakież było moje zdziwienie, gdy ujrzałem namiot u wylotu tej samej dolinki, w której polowaliśmy, a więc zaledwie o 5 km od poprzedniego obozu ustawiony. Wywołało to awanturę. Podniesionym głosem oświadczyłem, że tylko głupi przewodnik może kazać przenosić obóz o kilka tylko kroków i stawiać go w środku już opolowanego rewiru. Pokazało się jednak, że Kałmucy znają pojęcie honoru. Ong'kàh wręcz się obraził, okazując to w ten sposób, że odniósł mi do namiotu perspektywę, którą mu na czas wspólnych łowów do użytku oddałem: było to, jakoby złożenie hetmańskiej buławy. Wobec tego, że Ong'kàh jest mi ciągle równie potrzebny, jak chleb powszedni, musiałem natychmiast postarać się o załagodzenie jego niezadowolenia. Udało mi się to w ten sposób, że podarowałem

mu kawałek papieru, który poprzednio służył do zawijania czekolady. Nie wiem, z jakich pobudek mój Kałmuk z zapalem wszystkie choćby najmniejsze i najbardziej podarte ćwiartki papieru zbiera; nie można mu w ogóle sprawić większej przyjemności, jak ofiarowując mu nieco większy i nie tak bardzo jeszcze postrzępiony świstek tego u nas nie za tak bardzo cenny uważanego artykułu.

Podczas obiadu wywołali mnie z namiotu, aby mi pokazać liczne stado koziorożców, pasące się na górze po tamtej stronie Agojasa i to tuż nad obozem. Ze względu na zbliżający się deszcz spuściło się ono niezwykle nisko. Przez szkła można było w nim dojrzeć sporą liczbę dobrych rogali. Żeby to ono tak do jutra w tym samym miejscu chciało pozostać! Moglibyśmy je bez wielkich trudów podejść. Dziś na to już za późno a i tak po południu nie można się przedostać przez rzekę.

5 sierpnia stwierdziliśmy już przed świtem słońca, że to stado w ciągu nocy wyniosło się niewiadomo w którym kierunku. Kałmuk nie miał jakoś ochoty, szukać za nim w wyższych regionach tej góry, i obiecywał, że pojedziemy natomiast w bardzo dobre miejsca gdzie tekkè z pewnością przebywają. Dzisiejszego dnia zaszedł pamiętny wypadek, że wyjechaliśmy konno aż na sam szczyt jednej góry co najmniej 2500 m wysokiej. Lecz nie mogę twierdzić, że mnie ta jazda mniej umęczyła, niż gdybym na nią piechotą się był gramolił. Stale konieczne podpędzanie konia, ciągle jego ślizganie

się po kamieniach i potykanie na dziurach, nieustanna obawa, że wierzchowiec na stromych stokach upadnie, a nie najmniej widok, jak koniowi trudno tak długo pod górę się piąć, jak jego płuca i serce nienormalnie pracują, to wszystko więcej może denerwuje człowieka, a tym samym i nadweręża jego siły, niż najbardziej forsowny pochód pod górę na własnych nogach.

Najboleśniej zaś było, że całe to nadużywanie sił naszych wierzchowców było nadaremne. Objechaliśmy wkoło kilka szczytów, zwiedziliśmy nie mało ukrytych, już na wyżynie śnieżnej położonych dolinek i zaglądaliśmy do licznych, dawniej przez dzikie kozy silnie uczęszczanych wąwozów, ale nigdzie nie zastaliśmy ibeksów, spotykając tylko stare ich tropy. A trzeba wiedzieć, że według wszystkich sprawozdań myśliwskich mają właśnie wyżyny, położone niedaleko źródlisk Agojasa, na których się teraz znajdowałem, najbardziej obfitować w koziorożce; nawet myśliwi, którzy zresztą nigdzie dobrych rogów dostać nie mogli, zdobyli u źródeł tej rzeki całkiem kapitalne trofea. Z niewiadomych przyczyn zastaliśmy te najlepsze rewiry teraz całkiem ogolone ze zwierzyny. Wracając późno wieczorem w niewesołym usposobieniu do domu, spotkałem niespodzianie w szczelinie skalnej jedną, starą kozę tekkè z dwoma kozłatkami. Matka i dzieci były tak przerażone nagłym naszym pojawieniem się, że o ucieczce wcale nie myślały, tupiąc tylko ze strachu raciczkami w miejscu. Cudne jest takie

koźlątko ibeksa. Zwierzątko wygląda jak kwadratowe, bo ma korpusik równie gruby, jak wysoki; malutka główka jest tak samo jak ciało pokryta długim, niemal całkiem białym włosem.

Nie lubię trzymać dzikich zwierząt w niewoli, w domu; myślę jednak, że miałbym bardzo chętnie koło siebie taką śnieżno-białą kózkę, pieszcząc ją często i głaszcząc jej jedwabiste futerko.

Jeden ze zwiedzanych dziś szczytów był bardzo ciekawy; był on cały pokryty gładkimi, dużymi płytami z białego marmuru, czy alabastru. Zdawałoby się, że to któryś z renesansowych mistrzów-architektów włoskich po wybudowaniu jakiejś pięknej, marmurowej katedry spoił kiedyś i ułożył na tej górze resztę nieużytych przy budowie płyt, prawdopodobnie też na chwałę Stworzyciela świata. W ogóle gdy się tak długo przebywa w tym świecie gór niebotycznych, myśleć się często musi o potężnych siłach, które go takim zrobiły, jakim on się teraz przedstawia. Dlaczego jedna góra jest już od połowy rozstrzępiona i podarta na dzikie turnie, tudzież całkiem naga, podczas gdy sąsiednia na pozór geologicznie zupełnie tak samo złożona, posiada zbocze łagodnie spadające i nosi wegetację do samego prawie wierzchołka? Chciałbym znać dokładnie siły seismiczne, które tu były czynne. Onegdaj znowu byłem na szczycie, robiącym wrażenie, że jest cały ze srebra. Wszystkie tworzące go kamienie zawierały w sobie tyle do tego kruszcu podobnych pierwiastków, prawdopodobnie miedź, gale-

nit lub hematyt, że błyszczały w słońcu jakby bryły szczerzego srebra.

Po tym czterodniowym niepowodzeniu straciłem ochotę do dalszego polowania w tej okolicy i zarządziłem 6 sierpnia marsz powrotny, układając sobie, że poświęcę jeszcze dzień łowom w dolinie Kopr-Sùh, gdzie tak piękne miałem spotkanie. Marsz był długi i dopiero o 1 $\frac{1}{2}$ dojechaliśmy do rzeki Kaprùn, którą dziś jeszcze przekroczyć chciałem. Ze względu na ciepły bardzo dzień miała ona jednak tyle wody, że trzeba było przeprawę na jutrzejszy poranek odłożyć i rozbić obóz w miejscu zupełnie nieodpowiednim, pozbawionym nawet drzewa opałowego i możliwej wody. W ogóle woda w Tienzanie pozostawia pod względem smaku i czystości wiele do życzenia. Wybierając się tutaj, myślałem, że w każdym obozie znajdę szemrzące strumyki, z wodą czystą jak kryształ; sądziłem, że uniknę w tych górach cierpień, przez które afrykański myśliwy przechodzi, widząc prawie zawsze tylko zgniłą, cuchnącą wodę, której widok i smak obrzydzenie wywołują. W rzeczywistości płynie w tutejszych rzeczkach przeważnie woda brudna, białawo-żółtego koloru, która zawiera w sobie mnóstwo piasku i wapna i ma smak bardzo nieprzyjemny. Robiła ona na mnie wrażenie tak nieszczególne, że kazałem ją raz na zawsze przegotowywać przed piciem.

Jadąc doliną Agojasa ruszyliśmy kilkanaście stad kuropatw; młode były jeszcze malutkie, nie nadające się do strzału. Dotąd ich w ogóle nie spoty-

kałem; musiały wtedy siedzieć na jajach. Nie widzę na zewnątrz różnicy między kuropatwą naszą, a chińską, chyba co do wielkości; tutejsza wydaje mi się nieco mniejsza od europejskiej. W każdym razie jest to inny gatunek, rodzaj kury skalnej, bo oprócz w dolinach górskich spotykam ją także bardzo już wysoko blisko górnej granicy roślinności. Pies Nabokowa chwycił w zęby starą, która swoich piskłat opuścić nie chciała, a Kirgiz Aszyr złapał rękami dwie młode; będę więc miał dziś kolację, o czym wobec zupełnego skończenia się zapasów już wątpiłem.

Łysk miał dziś w ogóle dzień, który się w jego psiej pamięci powinien głęboko zaryć; oprócz kuropatwy schwytał mianowicie ni mniej, ni więcej jak siedem świstaków. Dzień był upalny, więc te śmieszne zwierzątka uznały pewnie za stosowne odbywać dziś dalsze wycieczki, wskutek czego nie mogły po pojawieniu się tego czarnego czarta w pobliżu nich — takim się pewnie pies w ich wyobraźni przedstawiać musi — na swych niedźwiedziowatych łapkach dopaść dość prędko bezpiecznych nor. Tym ich pogromem cieszył się Nabokow narówni z Kałmukiem. Dla Kozaka przedstawia taka skórka wartość trzydziestu kopiejek, a Ong'kàh uważa mięso świstacze za wielki przysmak tym cenniejszy, że widział już widmo głodu przed sobą. Z pierwszym świstakiem mieliśmy zabawne zajście; chciałem sfotografować psa, chwytającego gryzonia, i kazałem dlatego puścić zwierzątko, które Nabokow zamierzał właśnie

dobić pałką. Sądziłem, że pies je zaraz znowu w zęby złapie, a ja tę scenę na filmie uwiecznię. Łysk jednak jakoś się zapóźnił i grubemu gryzoniowi — co prawda silnie poturbowanemu — udało się jeszcze dopaść swej jamy, o kilka kroków tylko oddalonej. Kozakowi omal lży się z oczu nie puściły wobec bolesnej straty cennej skórki, nie wiedział on wtedy jeszcze, że nastał dla niego dzień szczęścia, który mu przyniesie czystego dochodu więcej jak dwa ruble. Bity świstak krzyczy zupełnie tak jak niemowlę. Nie lubiąc w ogóle niemowląt, zatykałem sobie uszy podczas częstych dzisiaj scen egzekucji.

Nie ma się wyobrażenia, w jak wielkiej liczbie te zwierzęta tutaj żyją. Kiedyś tu naliczyłem ich na tylko jednej, kamienistej zboczy przeszło sześćdziesiąt, które przed nami do dziur nura dały; a ile ich jeszcze pod ziemią siedzieć musiało. Szkoda, że trudno nam pójść za przykładem Kałmuka i spożywać ich mięso. Nie byłoby zresztą wcale łatwym ze strzelby je zabijać. Takie stworzenie siedzi zwykle tuż obok swej dziury i, choć ciężko ranne, zawsze jeszcze w niej skryć się może. Strzelcowi memu z kilkoma tak się nie udało; postrzelone schowały się w norze i stamtąd słychać było ich ludzkie kwilenie; musiały pewnie wkrótce potem zdechnąć. Podobnie działo mi się regularnie w Afryce z krokodylami. Takiemu jaszczurowi, spoczywającemu na ławicy piaskowej zwykle tuż koło wody, udawało się zawsze choć śmiertelnie być raniony, plusnąć jeszcze w rzekę i przepaść dla myśliwego.

Następnego dnia opuściłem z przyjemnością brzydki ten obóz i przekroczyłem raniutko Kaprùn-Sùh i to bez żadnych trudności. W ciągu dalszej jazdy zbieraliśmy rogi koziorożców, które porozwieszaliśmy poprzednio na drzewach lub skryli w jaskiniach dla uniknięcia ich transportu w górę Agojasa. Mamy teraz zawieść aż 19 par na miejsce, skąd wóz je do Narynkola zabierze. Przewóz ich sprawia nam wielkie trudności; z jednej strony stanowią one znaczny ciężar dla zwierząt jucznych — rogi grubego ibeksa ważą co najmniej 15 kg, z drugiej zaś niełatwym jest, rozmieścić je na tych kilku koniach pakunkowych w taki sposób, aby się wzajemnie nie ocierały i powłoki rogowej sobie nie psuły.

Dzisiejszy marsz był zupełnie monotony; jedynym, co prawda raczej nieprzyjemnym urozmaiceciem drogi był kilkakrotny upadek moich dwóch żelaznych kuferków z grzbietu końskiego, na którym były umieszczone. Kirgizi nie mogli dziś jakoś — może ze względu, na trudności z rogami — tak ich przywiązać, aby utrzymały dłużej jak godzinę równowagę. Przy takim zesuwywaniu się ciężaru na brzuch koński zachodzi zawsze obawa, że koń się tego zleknie i ponosząc rozbije kufry, uszkadzając i gubiąc w dalszym ciągu rzeczy tam upakowane. Nie byłoby to przyjemnym, gdyż właśnie w tych walizkach mam najważniejsze przedmioty, a zwłaszcza zapasy monety, bez której tak samo u nas, jak i na tutejszym pustkowiu daleko by nie zajechał. Raz zaczęły kuferki spadać w chwili, gdy koń szedł

stromą ścieżką nad samą rzeką; byłyby pewnie spadły do wody i porwane prądem przepadły, gdyby prowadzący konia Kirgiz Aszyr nie był ich na czas dopadł i zatrzymał.

O pierwszej stanęliśmy nad rzeką Kopr. Ujrzawszy ją, posmutniałem, gdyż jej duże, brudno-żółte fale nie wróżyły nic dobrego. Woda była widocznie bardzo duża. Pierwszy bród okazał się rzeczywiście niemożliwym do przebycia, należało więc jechać dalej w górę rzeki. Wkrótce potem zatrzymała nas wielka przeszkoda. Skały dochodziły w tym miejscu do samej wody i ścieżka wila się po gładkiej całkiem opoce pionowo w górę. Nie było mowy o tym, aby konie przez te skały mogły się z ciężarami dostać na górę i okazało się koniecznym, wszystko z nich zdjąć i rzeczy w pocie czoła przenosić na rękach przez to niebezpieczne miejsce, a następnie znowu wiązać. Dwa konie nawet luzem tamtędy iść nie chciały i trzeba było je przemocą na górę winować. Wszystko to trwało dwie godziny i ludzie bardzo pomęczeni prosili mnie, aby już teraz rozłożyć obóz. Odmówiłem im, chcąc za wszelką cenę przejść jeszcze dziś przez rzekę, aby móc jutro po tamtej stronie ubić coś dla kuchni. Celu swego jednak nie dopiąłem. Maleńki, przedtem w ogóle nie zauważony przez nas dopływ rzeki Kopr tak był wezbrał, że musiałem uznać niemożność przedostania się przez niego jeszcze w dzisiejszym dniu. Obóz stanął więc w tym samym miejscu, gdzie dni temu piętnaście niedźwiedzia ubiłem. Byliśmy srodze wy-

czepiani a nie było czym się posilić. Oby przynajmniej jutro nieco mięsa zdobyć się dało! Szczęście jednak na dobre już nas widocznie opuściło.

Już w nocy 8 sierpnia obudziło mnie złowrogie bicie kropel o płótno namiotu, a rano pokazało się, że to brzydka ślota; o polowaniu nie ma nawet co mówić, bo rewiry nasze toną w chmurach i gęstej mgle. Wobec obawy zagłodzenia siebie i towarzyszy chciałem mimo ulewny deszcz puścić się w dalszą drogę. Wszyscy jednak wątpimy, czy Kopr, wczoraj tak głęboki, dziś się da przebyć. Nie chcąc nadarmo prowadzić koni i ludzi do najbliższego brodu, o 5 km stąd oddalonego, posłałem Nabokowa i Kałmuka celem zbadania stanu rzeki; wrócili przerażeni i bardzo zmartwieni. Kozak próbował strumień przepłynąć, zapadł się zaraz z brzegu po szyję i o mało co nie utonął. Ong'kàh powiada, że nie pamięta jeszcze w Kopr-Sùh tak olbrzymiej wody. Trzeba więc siedzieć cicho i czekać cierpliwie na zmiłowanie boskie. A tu ślota łatwo kilka dni trwać może. Ludzie nie jedli już nic zgoła od 48 godzin; pijemy tylko czystą herbatę i to nie tę w listkach, którą w Europie widać, ale czarną chińską w cegielki prasowaną, która swoją goryczą mnie przeraża. Jeżeli jutro sytuacja się nie zmieni, będę musiał kazać zarżnąć jednego konia.

Przyznać należy, że drużyna moja heroicznie głód znosi; ludzie nie skarżą się i mnie o nic nie proszą, bo wiedzą dobrze, że i moje zapasy osobiste całkiem się już skończyły. Nie słysząc tylko

tych rozmów wesołych, które dawniej i w deszcz pod rozpiętą wołokową rozlegały się płachtą. Siedzimy wszyscy cichutko jak trusie i śledzimy cały dzień z niepokojem, czy niebo posępnie ołowiane gdzieś się nie rozjaśnia.

Nastąpiło to w nocy; po deszczu przyszedł trzaskający mróz i rano zobaczyliśmy widnokrąg czysty i wspaniały krajobraz gór, zupełnie świeżo spadłym śniegiem pokrytych. Wcześniej niż zwykle puściła się nasza karawana w drogę; trzęsiemy się wszyscy ze zimna, mając puste całkiem żołądki. Nie byłem dotąd nigdy przez półtora doby bez pożywienia; sądziłem, że jest to uczucie bardzo przykre, że człowiek musi się wtedy czuć nader niešťczęśliwym i przygnębionym. W rzeczywistości zaś czułem się bardzo dobrze i miałem wrażenie, że jestem jakoś dziwnie lekki i bezcielesny, że mógłbym nawet w razie potrzeby przewyciężyć siłę przyciągającą ziemi i podlecieć wysoko w górę. Bliższy bród na rzece był znowu nie do przebycia, mniej z powodu wielkiej wody, jak raczej ze względu na zawalenie rzeki przez wielkie głazy. Natomiast przedostaliśmy się wszyscy cało na drugą stronę Kopr-Sùh posługując się drugą dalszą mielizną. Ten nagły spadek temperatury mogę w ogóle uważać za wielkie i niezasłużone szczęście; byłbym bardzo cierpiał, gdybym dla uniknięcia śmierci głodowej mordować musiał dobre moje konie.

Dziś trzeba w każdym razie dostać się do wylotu doliny Agojas, gdzie zapasy żywności na nas

czekać mają. O polowaniu niema co myśleć wobec naszego wycieńczenia; zresztą jest to tu zbyt niepewny środek zdobycia mięsa! Marsz był oczywiście śmiertelnie długi. Drogę, którą w jednym dniu dzisiejszym przebyć musimy, szacowałem na 40 km; w istocie wynosiła ona blisko 60 km. W innych warunkach nie bylibyśmy nigdy takiej przestrzeni zwalczyli jednym pochodem. Ostatnia skalista górką przed nowym obozem okazała się nie do przebycia dla naszych, silnie sforsowanych koni juczych. Wypadało znowu zdjąć z nich ciężary i piechotą wynieść na górę. Przyjemne zadanie dla ludzi, którzy sami ledwie na nogach się trzymają. Po drodze odkryliśmy nadzwyczaj ciekawy cmentarz przedhistoryczny.

Na ukrytej, małej łączce znajdowały się liczne groby, oznaczone na zewnątrz pierścieniem szpiczastych, w ziemię wbitych kamieni. W środku koła wznosił się metrowy obelisk z granitu, na którym był wyryty wizerunek zmarłego. Rysunek zadziwiająco dobry; kilkoma tylko liniami umiał ten w dalekiej przeszłości żyjący artysta scharakteryzować twarz nieboszczyka.

Na jednej głowie widać było koronę. Król tego nieznanego plemienia nie miał wcale typu mongolskiego i musiał być Aryjczykiem; — nikt jednak pewnie nie wie, do którego narodu on się zaliczał. Szczerze żałowałem, że dla braku czasu i narzędzi, którymi by można rozkopać ten kamienisty grunt, nie mogłem dostać się do wnętrza jednego z tych

grobow. Kto wie, jakie ciekawe, a może i wielką wartość naukową mające przedmioty znaleźć by tam można. Zauważyłem też, że wszystkie obeliski z wizerunkami pogrzebanych były w jednym kierunku na wschód ustawione; plemię tu ongi mieszkające musiało widocznie należeć do czcicieli słońca.

Na wielkiej skale, stojącej samotnie w dolinie bocznej Kaprun-Sùh, widziałem innym razem bardzo ciekawe rysunki zwierząt wykute w kamieniu. Było tam widać wapiti z rogami, po kilkadziesiąt końców liczącymi, olbrzymie koziorożce i potworne niedźwiedzie. Wizerunki te, przypominają zupełnie ryciny zwierzęce, wyryte przez ludzi jaskiniowych za epoki kamiennej w niektórych pieczarach południowo-europejskich. Dla archeologa i historyka było by tu w Tienzanie w ogóle wielkie pole do badań; tutaj, a przynajmniej w pobliżu była bowiem kolebka wszystkich ludów, które podczas wędrówki narodów załwały całą Europę, względnie później tam dążyły. Stąd wywiódł Attyla Hunów, a Dżingischan i Tamerlan Mongołów na zdobycie połowy ówczśnie znanego świata i stąd wyruszyli też Awarowie celem znalezienia sobie nowych siedzib nad brzegami modrego Dunaju. — Dzisiejsi Kałmucy mają być zresztą potomkami Awarów, których część inna zaludniła dzisiejsze Węgry.

Po wielkich męczarniach stanęliśmy nareszcie o 6 wieczór w tym miejscu, skąd przed miesiącem wyruszyliśmy na wyprawę w dolinę Agijas. Czekало nas tu wielkie zmartwienie, nie było jeszcze

bowiem Dżajnaka z wozem i zapasami. Na szczęście zjawił się zaraz wódz sąsiednich Kałmuków, aby nas przywitać, opowiadając nam, że, dowiedziawszy się o naszym przyjeździe od dżigita, czekał na nas z mlekiem i kumysem nad rzeką; — chciał on nas napoić i orzeźwić po długim pochodzie. Jadąc niestety boczną drogą jakoś się z nim rozminęliśmy, a byłbym chętnie wypił tegoż chłodzącego napoju po trzynastu godzinach jazdy konnej. Poleciałem na gwałt „Wielkiemu Kałmukowi“ — tak szumnie siebie ten naczelnik nazywał — aby nam natychmiast przyprowadził barana. Za dziesięć minut już leżało śliczne, śnieżnobiałe zwierzę z olbrzymim zadem tłuszczowym zarżnięte w obozie, a za pół godziny pożerałem z wilczym apetytem kotlety z jego soczystego mięsa upieczone. Pierwsze mięso od czterech dni!!

Ze względu na ogólne umęczenie wyznaczyłem tutaj dwudniowy wypoczynek. W pobliżu są góry lesiste, na których wiele sarn ma się ukrywać; pojedę tam dopiero na drugi dzień, bo trzeba i koniom dać odetchnąć. Wytrwałość naszych rumaków jest imponująca: w trzech dniach zrobiły one pewnie ze 120 km, a nie widać wcale, aby się znajdowały u kresu swoich sił, choć tylko suchą trawę jedzą. Konie europejskie, tak często wręcz przekarmiane owsem, byłyby po tak forsownych marszach chude jak haki i na całe tygodnie do wszelkiej roboty niezdolne.

10 sierpnia raniutko zjawił się dżigit i zo-

stał radośnie przez wszystkich powitany. Kazałem mu przywieźć aż dziewiętnaście gatunków rozmaitych rzeczy do jedzenia, które na kartce spisałem. Chociaż czytać nie umie zrobił doskonale wszystkie zakupna i niczego nie zapomniał. Będziemy teraz żyli, jak w starej Polsce za króla Sasa; dziś już piliśmy mleko po raz pierwszy po wielu tygodniach.

Po południu udaliśmy się na zaproszenie króla Kałmuków do niego z wizytą. Byliśmy również w jurcie mojego kałmuckiego przewodnika, sąsiadującej z królewską. Ong'kàh ugościł mnie mlekiem niestety bardzo rozmaitymi nieapetycznymi rzeczami zanieczyszczonym. Ciekawy naród ci Kałmucy; są to już Azjaci w prawdziwym tego słowa znaczeniu; mężczyźni są tak podobni do Chińczyków, że wątpię, abym jednych od drugich umiał rozróżnić. Typ kobiet natomiast jest odrębny od chińskiego; mają one bardzo ciemną cerę raczej okrągłe oczy i są nader tłuste. Ich krucze grube włosy, noszone z przodu w gęstych kosach, spadają im aż do kolan. Chodzą one w spodniach, a na głowach noszą komiczne czapki w kształcie assyryjskiej mitry, bogato i ładnie wyszyte koralami i kolorowymi kamyczkami.

Dzieci, hołdując bardzo higienicznej zasadzie, chodzą zupełnie nago. Mimo to należy ten pocziwy i gościnny ludek uważać za skazany na wymarcie. Pijaństwo jest u nich tak rozpowszechnione, że już następna generacja będzie pewnie ułomna i zidioćiała. Opowiadano mi, że każdy Kałmuk regularnie

codzień od 10 rano zupełnie jest pijany, wyjąwszy dnie, w których znajduje się na polowaniu. Widać, że myśliwstwo nie tylko u nas, ale i tutaj uważać należy za namiętność raczej pożyteczną, bo chroni człowieka od gorszych i prawdziwie szkodliwych pasyj.

Kałmucy pokazywali mi, w jaki sposób z mleka wyrabiają wódkę. Mleko naprzód kwaszą, następnie zalepiają naczynie z mlekiem hermetycznie gliną, połączając je długą na dwa metry rurą z garnkiem pod wódkę przeznaczonym. Pod mlekiem palą tak długo ogień, aż para zdoła wódkę przez rurę do drugiego naczynia przepędzić. Nie mogłem dowiedzieć się, ile wódki można wyprodukować z jednego litra mleka. Wódka jest słabszą od naszej, ale ma smak zupełnie podobny. Z trudnością tylko mogłem się opędzić ciągłym naleganiom Mongołów, aby pić z nimi ich narodowy trunek. Nabokow wytłumaczył im, że ja w lecie nigdy nie pijam alkoholu.

Kałmucy są specjalistami do wyrabiania doskonałych wojłoków z delikatnej wełny tutejszego barana. Ostrzyżoną wełnę rozścielają oni na macie ze słomy, zwilżają ją wodą i zwijają następnie wszystko w kłębek. Zwój ten wałkują długo miarowym ruchem po ziemi śpiewając przytem dziką pieśń, od której mnie uszy bolały. Po dwóch godzinach tej procedury ma taki filcowy koc być zupełnie gotów. Od Kałmuków wracaliśmy do domu naokoło przez las. Teren dla myśliwego idealny, bo między pasmami lasów znajduje się dużo łąk. Ludzie jed-

nak obozujący tu od miesiąca wypędzili stąd wszelką prawie zwierzynę. Ruszyłem tylko cietrzewia, który był — zdaje się — takim samym ptakiem jak nasz. Mniej mnie ucieszyło, że usłyszałem gdzieś niedaleko strzał. Ong'kàh przypuszczał, że to jakiś jego rodak strzelał do maraluchy — tak Rosjanie nazywają łanię-wapiti. Podczas rykowiska ma się w tych lasach zbierać dość jeleni, toteż Kałmucy radzą mi w tym czasie tutaj powrócić; będzie większy spokój, bo oni powędrują wkrótce ku zimowym swoim siedzibom położonym głębiej w górach.

Nazajutrz poszedłem raniutko w las celem szukania illików; widziałem tylko kozę z małymi. Zasiadłem w tym miejscu, spodziewając się, że może rogacz z lasu wyjdzie. Po godzinie zobaczył Ong'kàh rzekomo kozła przesuwał się pod nami między drzewami i nie widząc go więcej, twierdził, że on zaległ na dzień, w grupie jodeł. Kazałem mu tę partię lasu delikatnie przegonić, ale nic mi nie wypędził. Wracając do domu spotkaliśmy w lesie Mongoła, którego widok srodze mnie przeraził; miał bowiem na szyi narośl objętości najmniej metra kwadratowego, dwa razy tak dużą, jak jego głowa. Dziwię się, że mógł z takim ciężarem w ogóle chodzić, a nawet być w tak dobrym humorze, w jakim go zastaliśmy.

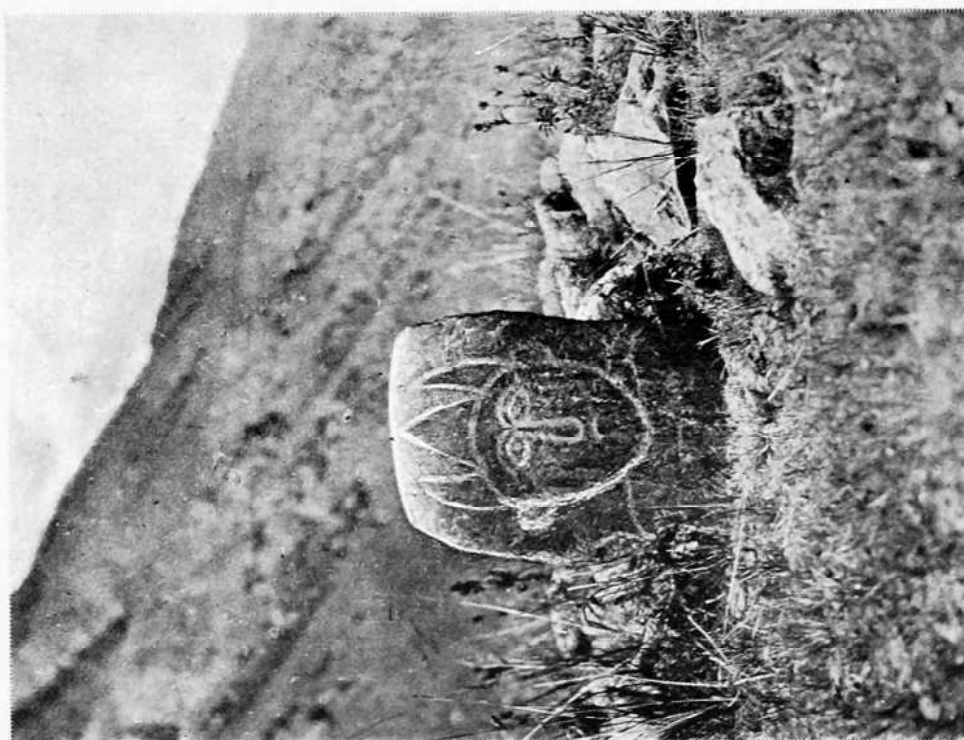
Po południu zastrzeliłem koło namiotu trzy gołębie; nikt do nich dotąd widocznie nie strzelał, gdyż po strzale siadały znów na tym samym miejscu o kilkanaście kroków ode mnie. Były one zu-



Dzajnak chce dobić koziorożca kamieniami.



Ong'kah ze świstakiem.



Pomnik na grobie przedhistorycznym.



Zając azjatycki.

pełnie podobne do europejskiego gołębia „siniaka“, tylko kupry miały białe. Żyje tu jeszcze inny gatunek dzikiego gołębia, trzymający się okolic wyższych w pobliżu skał; są one prawie całkiem białe z głową tylko i lotkami ciemno-szafirowego koloru. W nocy spotkała nas wielka przykrość. Psy Kałmuków wykradły nam resztę mięsa baraniego, przedwczoraj za drogie pieniądze kupionego. Mięso było schowane w silnym worku pod samą ścianą namiotu. Worek ten znaleźli nazajutrz moi ludzie, porzucony rzekomo niedaleko obozu. Ponieważ równocześnie przepadł nam kawałek sera, schowany jako bardzo ważny specjał pod łóżkiem w środku namiotu, zachodzi podejrzenie, że te psy nie chodziły na czterech nogach. Strzelec tak odczuł stratę sera, którego chciał użyć do zrobienia klusek, że przez trzy dni był w niemożliwym humorze i nawet mówić ze mną nie chciał. Oprócz kurki sprowadzonej z Narynkola, znowu więc mięsa nie posiadamy.

V

POLOWANIA NA PODGÓRZU TIENSZAŃSKIM

12 sierpnia przenieśliśmy się zapomocą trzygodzinnego marszu, na drugi brzeg Agojasa. Przejście przez rzekę było trudne, gdyż doskonały most, poprzednio tam przez Chińczyków zbudowany, zerwano podczas ostatnich walk Kalmuków z Kirgizami tak, że został się tylko środek, a z obu boków widać było kilkometrowe dziury. Na szczęście znaleźliśmy w pobliżu deski, a raczej obrębane pnie drzew; po ułożeniu tychże na jednej stronie mostu i zakryciu ich wojłokiem udało się wprowadzić wszystkie konie na środek kładki. Następnie przenieśliśmy drzewo na drugą stronę mostu, i stąpając po nim ostrożnie, stanęliśmy wkrótce na stałym gruncie. Nie nastąpiło to bez większych wysiłków, bo wierzchowce nasze nie bez racji nie miały wcale zaufania do tego improwizowanego mostku, wiszącego w powietrzu 50 m ponad dziko szumiącym strumieniem, który tu płynie w przepaści między stromymi skalnymi ścianami.

Obozem legliśmy u wejścia do pierwszej dolinki ciągnącej się na prawym brzegu Agojasa. Miejsce to było urocze. Z jednej strony widać było strome wprawdzie, ale nie wysokie wzgórza przeważnie la-

sem porośłe, z drugiej dużą trawą pokryte pagórki, a dalej, niezmierzoną płaszczyznę Tekkèsu, zamkniętą na północy pasmami wysokich gór mongolskich Temurlik-Tau i Czylik-Taù. Krajobraz staje się teraz już jesiennym. Trawa na stepie pożółkła, a w lesie rumieni się wiele czerwolistnych krzewów. Popołudniowy podjazd mógł się bardzo udać, gdyby mi szereg nieszczęśliwych okoliczności nie był przeszkodził. Skierowaliśmy się konno ku pagórkom porośłym olbrzymią trawą i zobaczyli w najbliższym już wądole pasącą się sarnę. Z góry nie można było stwierdzić jej pleć, więc zacząłem ją z boku piechotą podchodzić. Falą gruntu zakryci, zbliżyliśmy się do niej dość blisko, a Ong'kàh zaglądając w dół, szepnął mi do ucha: „*Tekkè*“ tj. rogacz. Kałmucy nie mają bowiem w ubogim swoim słów skarbie wyrażenia osobnego dla określenia rogacza i nazywają go tak samo jak męskiego koziorożca. Przygotowawszy karabin do strzału, podchodzę jeszcze bliżej ku zwierzęciu. Za chwilę Kałmuk staje i pokazuje mi sztukę na prawo od nas się znajdującą. Oglądam ją przez szkła, ale z powodu deszczu rzęsimego, padającego od kwadransa, źle widzę, wydaje mi się jednak, że między łyżkami są rogi. Dokładniejsze poznanie sztuki uznałem niestety za niepotrzebne, bo przecież Kałmuk już na pewno stwierdził, że to rogacz. W chwili dopiero strzału mknie mi przez mózg myśl, że to przecież dziwne, aby ten rogacz, stojący niedawno na lewo od nas, przeniósł się tak szybko na prawo. Sarna trafiona w krzyże rusza ga-

lopem w dół tempem coraz bardziej przyspieszonym i wywraca po pięciu krokach koziołka. Ong'kàh pyta mnie się teraz, czy ja widziałem rogi; zdziwiony tym pytaniem odpowiadam twierdząco, lecz głosem raczej niepewnym. — Podchodzę pośpiesznie do leżącej sztuki i widzę z prawdziwym obrzydzeniem, że zabiłem kozę, a wspaniały rogacz uszedł bezpiecznie w las, jak to mógł stwierdzić Nabokow, który z góry na tę scenę patrzył. W tym przykrym wypadku było dużo mojej winy, gdyż obowiązkiem moim było przypatrzeć się dokładniej do czego strzelam; Ong'kàh jednak zawinił także, bo nie powinien był pokazywać tej sarny w ten sposób, jakby to była ta sztuka, którą podchodziliśmy. Zdaje się zresztą, że on też myślał, iż to nasz rogacz tam się posunął. Później przekonałem się, że mój Kałmuk mający tak przedoskonałe oczy i na dalekie odległości tak świetnie widzący, iż moje dwunastokrotnie powiększające Zeissowskie szkła wydają się w porównaniu do tych oczu nędzną lornetką w rodzaju tych, które się wypożycza w teatrze w razie zapomnienia swoich własnych, poznaje rogacze bardzo słabo, a to pewnie z braku wprawy. Mongoł, polując na sarny, nie pyta nigdy o płeć i woli nawet ubić kozę, której i mięso smaczniejsze i skóra miększa. Odesławszy Nabokowa z kozą do obozu, pojechaliśmy dalej i spostrzegli już za pół godziny znowu trzy sarny na łące w innej dolince. Poznałem, że dwa z nich to młode kice lub najwyżej widłaki, a trzecia koza; wobec tego powstrzymałem się od strzału. Kałmuk

twierdził potem, że w pobliżu stał także duży ro-
gacz, nie wydaje mi się to jednak prawdopodob-
nem, gdyż całą okolicę przez dalekowiedz bardzo do-
kładnie przelustrowałem.

Wieczorem miałem z pagórka nad obozem prze-
piękny widok na step, u stóp moich się rozpoście-
rający. Promienie zachodzącego słońca, rzucały zło-
ciste blaski na szeroką równinę, po niej zaś wiły się
jak nici srebrne liczne rzeczki dążące wszystkie do
Tekkèsu, którego białą wstęgę daleko bardzo można
było jeszcze rozróżnić w żółtym obramowaniu traw
stepowych. Góry, zewsząd równinę zamykające, były
błękitnawe, jakby przeźroczym welonem przysłonie-
te, a cisza absolutna panująca dookoła potęgowała
jeszcze wrażenie wywołane widokiem pięknej okoli-
cy, pięknej głównie dlatego, że ludzie dotąd ją na
szczęście w tym stanie zostawili, w jakim była na
początku stworzenia, nie psując jej wdzięku dzieła-
mi swej kultury tak często brzydkimi.

Jeździmy teraz dwa razy dziennie na polowanie,
a właściwie jedziemy konno tylka rano, idąc po
południu do rewiru piechotą. Illik chodzi tu w niż-
szych górach rano po świcie tylko do siódmej,
kładąc się potem spać w jakimś ukryciu; wobec
tego wraca się wcześniej do domu i słuszną jest rze-
czą, aby i wieczorem szczęścia próbować. Mogę so-
bie teraz dobrze odpocząć po zbyt wielkich trudach
i zbyt silnych wrażeniach, doznanych podczas po-
lowania na koziorożce.

Następnego dnia widzieliśmy rano tylko kilka

kóz i spłoszyli dwa rogacze. Bieda z tutejszym konnym polowaniem! Konie tupią kopytami i, będąc objedzone świeżą trawą, wydają ze siebie często różne odgłosy, a to wszystko daleko słyhać! Należałoby właściwie przed każdym miejscem, gdzie pygargus znajdować się może, zesiadać z koni i zbliżyć się piechotą celem śledzenia za zwierzem. Azjaci, polujący ze mną, tego z lenistwa nie robią, a skutek tego taki, że tracę dużo sposobności przyjścia do strzału do tego nader czujnego zwierza. Po południu odbyłem męczący spacer z bronią w rękę, łażąc po dość stromych zboczach naszej lasem zarosniętej dolinki. Mimo że miejsca te były bardzo odpowiadające gustom sarn, nie było ich tam wcale widać. Natomiast oglądnąłem po raz pierwszy z bliska łanię-wapiti; jest ona o wiele większa od łani jelenia, ma maść ciemno brunatną, prawie czarną i znacznie od naszej jelenicy zgrabniejsza głowę. Ong'kàh i dżigitt, który tego dnia ze mną chodził, namawiali mnie z oczyma błyszczącymi od pożądania, namiętnie do strzału, tłumacząc mi, że mięso takiej maratuchy ma smak przedziwny. Starąłem się Kałmukowi wyjaśnić zasady łowieckie tu w grę wchodzące, i przekonać go, że szanowanie łań i w jego interesie leży. Jeżelibym ja teraz tę, a ewentualnie jeszcze kilka innych łań ubił, to on, chodząc za kilka lat w tej okolicy z innym Amerykanem, nie zobaczyłby na rykowisku pewnie ani jednego marała i pieniędzy za niego nie dostał. Zdaje się, że ta argumentacja i dla mongolskiego mózgu była

przekonywująca, gdyż przestał już nalegać, abym strzelał. Za łanią wysunęło się ciele na łąkę; o tyle bardziej byłem szczęśliwy, że nie popełniłem przestępstwa myśliwskiego, zabijając tę matkę rodziny. Może mi patron myśliwstwa wynagrodzi tę wstrzeźliwość, dając w jesieni grubego jelenia na strzał.

4 sierpnia jeździliśmy długo po dalej od obozu położonych trawą porośniętych pagórkach. Mój przewodnik twierdzi, że illiki teraz ze względu na smaczną trawę w lesie nie siedzą, że ich więc w stepie szukać należy. Widzieliśmy trzy kozy, rogacza tylko w wyobraźni Nabokowa, który przysięgał, że u jednej sztuki spostrzege rogi i tym twierdzeniem zmusił mnie do niepotrzebnie szybkiego biegu przez dwa strome wzgórza. Spotkała go za to nagana i napomnienie, aby na przyszłość trzymał na wodzy swoją bujną fantazję i nie poznawał — jak to dotąd bywało regularnie — każdą niewinną kozę jako „balszoi kaziol“.

Wracając do domu, zabiłem kulą zajączka, rozmyślającego siedząco na stepie; chciałem sprawdzić do czego tutejszy przedstawiciel zajęczego rodu jest podobny. Zając ten (*Lepus lehmanni* Sewertz) jest pół tak duży, jak jego brat cywilizowany, a ma sierść popielatą, podobną do sierści dzikiego królika; jego słuchy są bardzo długie a mięso nadzwyczaj smaczne przypominające całkiem mięso królicze.

Popołudniu chciałem ponownie zwiedzić te łąki, gdzie to przykre zajście z kozą miało miejsce. Trud to był zbyteczny; ostrożne syberyjskie sarny przez

długi czas więcej się tam nie pokazują, gdzie niedawno padły strzały.

Podchodziłem tylko z wielkim kunsztem i ogromnymi ostrożnościami jedną sztukę stojącą pod ~~l~~la-sem; mimo to spłoszyłem ją przedwcześnie, ale była to na szczęście sarna. Rano, pijąc w półmroku herbatę, słyszałem tuż obok namiotu beczącego rogacza. Strzelec mój zobaczył go nawet później i mógł go z obozu strzelać. A ja jeżdżę światami i tylko kozy widuję. Uwagi godnym jest to, że tu — tak samo, jak i u nas — spotyka się o wiele więcej kóz, niż kozłów, a powinno być raczej przeciwnie, bo Kałmucy stanowiący *le gros* myśliwych biją przeważnie samice, które są mniej płochliwe i dostępniejszych miejsc się trzymają. Może tu Amerykany w ostatnich latach dużo rogaczy podebrali. W ogóle jestem rozczarowany co do polowania na pygargusy. Przebywam obecnie w najlepszych dla nich rewirach i według opisów myśliwskich powinienem ich dużo spotykać. Właściwie widywałam ich znacznie więcej w górach nad granicą rosyjską w dolinach Sajkał i Uertentö, ale tam znowu z powodu trudnych i niekorzystnych warunków terenu nie sposób prawie sarn podejść. Podjazd na nie jest tutaj właściwie zupełnie podobny do polowania na tę zwierzynę w źle zaszanowanym, górskim rewirze europejskim. Jedyną, ale raczej przyjemną różnicę widać w trofeach, które są o dziesięć lub piętnaście centymetrów dłuższe od tych, które nasze rogacze nam dostarczać zwykły.

15 sierpnia przeniosła się karawana do sąsiedniej doliny Biken-Ti, a ja pojechałem o 4 rano naprzód z zamiarem zwiedzenia tych samych pagórków, na których już wczoraj szukaliśmy za zwierzyną. Ong'kàh twierdzi mianowicie, że to doskonałe miejsce na illiki i że my tam z rogaczem spotkać się możemy. Przejeżdżając po drodze przez gaj, widziałem olbrzymiego puhacza, wracającego z nocnych łowów; wydawał się o wiele większy od naszego *Bubo maximus* i bardziej żółty. W ciągu podjazdu spotkaliśmy naprzód dwie kozy, później zaś spłoszył Kałmuk znowu rogacza, wychyliwszy się nieostrożnie spoza wzgórza. Tymczasem słońce było już podeszło wysoko, nie było więc nadziei spotkania dalszej zwierzyny. Jechałem wobec tego zniechęcony, nie zwracając uwagi na to, co się wokoło dzieje. Naraz zwraca Ong'kàh swego wierzchowca i kryje się z nim za grzbietem pagórka, dając mi znak, abym to samo uczynił. Zesiadłszy z koni idziemy a raczej czołgamy się na wzgórze i spostrzegamy stamtąd sarnę, leżącą na przeciwległej zbocz w miejscu o dwieście kroków od nas oddalonym. Oglądam ją dokładnie przez szkła i nie widzę rogów. Wydaje mi się tylko, że między łyżkami wystają czubki wysokiej w tym miejscu trawy. Przewodnik jest także raczej zdania, że to koza; uważa jednak za podejrzane, że sztuka ta nieco za duża na kózkę, nawet syberyjską. Siedzimy tak przez kwadrans nie mogąc w żaden sposób płci illika stanowczo rozpoznać. Wpadam nareszcie na po-

myśl, aby zwierzę, które sobie dalej spokojnie śpi, chrząkaniem do wstania zmusić. Wtedy się przekonamy, czy podejrzane między uszami paski, są rzeczywiście tylko końcami chwastów. Na mój kaszel zwraca sarna ze zdziwieniem głowę ku nam tak, że rogi spostrzec mogę. Za chwilę z pagórka w dół stacza się illik, trafiony w komorę, jakby dla ułatwienia nam obielenia go w miejscu dogodnym. Przy bliższym oglądaniu zdobyczy pokazało się niestety, że to młody, dwu- lub najwyżej trzyletni rogacz. Długość parostków wynosi mimo to 30 cm; u nas nawet stary kozioł tylko w najrzadszych wypadkach wykazuje taką długość rożków.

Popołudniowy podchód zaprowadził nas w nowym rewirze w okolice, zarosłe kosodrzewiną, a raczej jałowcem. Sarny lubią tu bardzo po takich krzakach łązić. Widzieliśmy aż sześć żeńskich przedstawicielek tego gatunku zwierza, ale rogacza ani jednego. W tej dolinie zauważyłem po raz pierwszy ślady istnienia dzików, których ma być dużo w gęściej zalesionych nizinach Tienszanu. Odyńce miewają rzekomo fenomenalne szable. Naturalnie nie łatwo spotkać się z nimi na podjeździe, bo tylko w nocy żerują.

Następny dzień był nieszczęśliwy w pełnym tego słowa znaczeniu. Ong'kàh zaprowadził mnie w boczną szczelinę doliny Bikensaj. Dla przedostania się przez maleńki tylko strumyczek, szemrzący łagodnie pod samym namiotem, trzeba było zrobić wielkie koło, tracąc w ten sposób aż godzinę czasu. Rzeczka

jest w pobliżu obozu tak zawałoną wielkimi kamieniami, że według zdania moich ludzi musiałyby konie przechodząc tamtędy nogi połamać. Wyjeżdżając z lasku, niedaleko obozu położonego, spłoszył przewodnik grubego dzika, szukającego na łączce za pożywieniem; widziałem go tylko przez chwilę, gdy uciekał gąszczem, i poznałem, że miał duże kły. Gdyby Kałmuk przed wychyleniem się spomiędzy drzew był należycie zrekonoskował teren, byłbym był tego odyńca mógł doskonale strzelać, bo on, ryjąc zawzięcie ziemię, pewnie nie bardzo się rozglądał.

Po przewyciężeniu nader stromej zboczy, gęsto zalesionej, wjechaliśmy w inną dolinkę, której bliższe stoki były porośnięte kosodrzewiną, a wyższe już tylko kamieniem zawałone. Tam podchodziliśmy pięknego rogacza, którego niestety nie dostałem. Złożyło się na to aż cztery nieszczęśliwe okoliczności, z których zresztą już jedna była zupełnie wystarczająca do zepsucia tego spotkania. Będąc dziś niezdrowy, zadyszałem się silnie podczas podchodu, mimo że bardzo pod górę iść nie musiałem; wobec tego naturalnie spokojnie wymierzyć nie byłem już w stanie. W chwili gdy się do rogacza składałem, zauważyłem, że zamek karabinu sam się otworzył, co mi się dotąd nigdy nie zdarzało; zasuwanie zamku spłoszyło tak silnie kozła, że się pośpiesznie wyżej na górę wywindował i już znacznie gorszy cel przedstawiał. Do tego wychyliło się właśnie wtedy słońce spoza wierzchołka góry i blask jego otoczył ro-

gacza jakby złocistą mgłą, co strzału również nie ułatwiało. Na dobitkę zaś wypaliła mi broń przedwcześnie w chwili mierzenia do zwierza; zdaje się, że zbyt wcześnie nastawiłem przyśpieszacza i zderwowany zaszły mi trudnościami nieostrożnie się go dotknąłem.

Swoją drogą dobrze się stało, że dziś nastąpiła taka kumulacja nieszczęść; gdyby się one były rozdzieliły na cztery spotkania z rogaczami, byłoby to jeszcze boleśniejsze. Wracalem do domu jak struty i miałem cały dzień nieprzyjemne wrażenie, że członkowie mej drużyny jakoś szyderczo na mnie spoglądają.

Po południu powstał w obozie wielki popłoch; zauważono bowiem w pobliżu naszych koni czterech ludzi ze strzelbami i obawiano się, że to złodzieje, chcący sobie przywłaszczyć nasz tabor. Powiadają, że kradzieże koni dość często się tu zdarzają i że w pewnych okolicach należy w nocy straż utrzymywać. Zdaje się jednak, że Europejczycy konia nigdy jeszcze nie zabrali, chyba gdy złodziej myślał, że to własność tuziemca. Ludzie moi uzbroili się w moje strzelby i grube jodłowe gałęzie i pobiegli zagrożone rzekomo konie ratować. Rzecz się jednak szybko wyjaśniła. Obcy przybysze byli bogatymi Kirgizami, którzy poprzednio koczowali w dolinie Bikeu-Ti, a teraz tu przyjechali celem szukania kilka bardzo dobrych koni, które im ze stada zginęły. Wczoraj właśnie złapaliśmy jakieś kilkumiesięczne źrebię, które się tu po lesie same błąkało

i — jak się teraz pokazało — także ze stad tych właśnie bogaczy pochodziło. Chcieliśmy im konika tego oddać, lecz oni wspaniałomyślnie nam go zostawili, prosząc, abyśmy je „na ich zdrowie zjedli“! Nie jest to zresztą zbyt wielką dla nich ofiarą, gdyż — jak mi mówili — jest każdy z nich właścicielem około 2000 koni. Odwdzięczając się za dar źrebięcy ugościliśmy suto obcych, którzy aż wieczór w jak najlepszym usposobieniu nasz obóz opuścili.

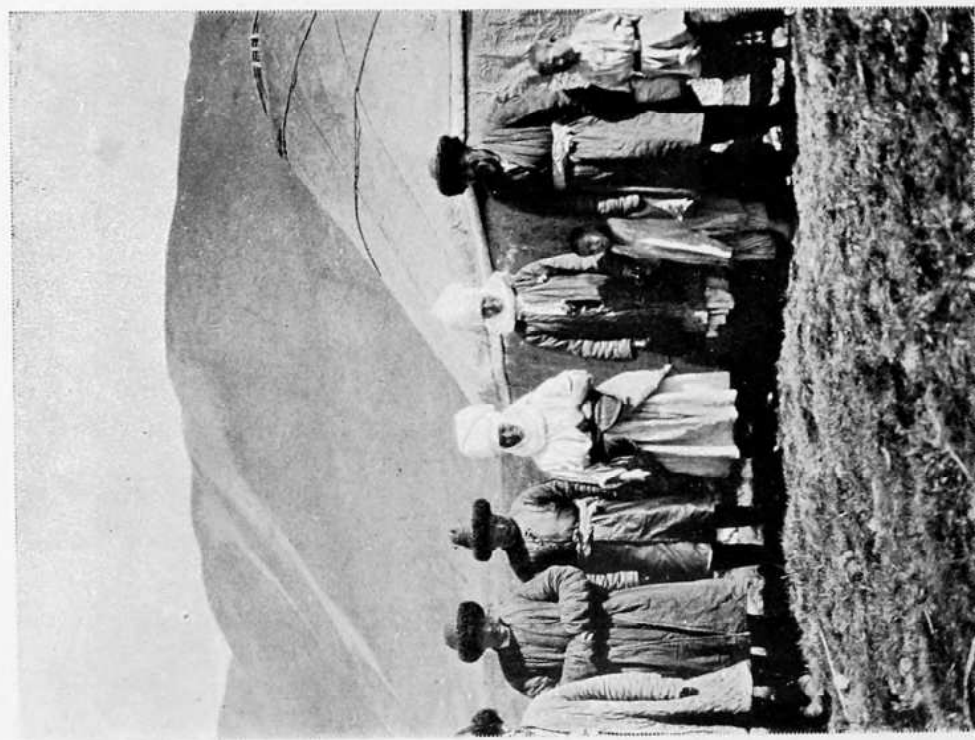
17 sierpnia zamierzaliśmy odbyć wielką wyprawę, która nas miała zaprowadzić na jakieś dalekie szczyty, na których Ong'kàh w przeszłym roku widział cztery grube barany. Miejsce to jest tak oddalone od obozu, że Kałmuk kazał mi wziąć ze sobą prowiant, zapowiadając zarazem, że dopiero późnym wieczorem do domu powrócimy. Ale człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi, wskutek czego wyprawa całkiem inny obrót wzięła. Przejechawszy przez dwie zalesione góry ścieżką, tak zawałoną kłodami, że konie cały czas prawie w ręku prowadzić należało, dostaliśmy się w znacznie wyżej położoną lesistą dolinkę; ku jej końcowi spostrzegliśmy stojącą w drzewach sarnę, która — jak mi się zdawało — coś miała na głowie. Pewności jednak nie miałem, bo koń stał niespokojnie i przez binokle patrzeć nie pozwalał. Zeskakiwałem właśnie ze siodła, aby się sztuce lepiej przypatrzeć, gdy Nabokow zawołał: „to napewno rogacz“. Po danej mu onegdaj w podobnym wypadku naganie wiedziałem, że tym razem nie blaguje, i nie oglądając bliżej zwierza

spokojnie doń strzelam. Na nieszczęście obrócił się rogacz, który stał poprzecznie na poleć, właśnie w chwili strzału niedogodnie na kulawy sztych. Czekać jednak dłużej nie można było, gdyż wszędzie naokoło były gęste drzewa tak, że w razie ruszenia zwierza nie byłoby go się na takiej luczce, jak teraz, zobaczyło. Cap strzał ślicznie wierzgnięciem zaznaczył i w tył uskoczył. Szedłem na strzał z uczuciem, że nareszcie znowu ładne rogi zdobył. A czas ku temu najwyższy, bo od 2 sierpnia nie mam oprócz młodego kozła nic na rozkładzie. Śmieszny to wynik w stosunku do straconego czasu i poniesionych trudów. Na strzale znajdujemy sierść, dalej włosy i farbę na patyku, który rogacz padając wbił sobie w skórę. Później farby nigdzie już znaleźć nie było można i nie udało się też stwierdzić, w którą stronę postrzałek się udał. Od pewnego już czasu padał deszcz, który się teraz zamienił w taką ulewę, że trzeba było szukania zaprzestać i pod jodełkę się schronić. Gdy ulewa po godzinie zamieniła się znowu w normalny deszcz, pomieszany ze śniegiem, podjęliśmy poszukiwania na nowo, mimo że nadzieja dojścia zwierzęcia po farbie zalanej obecnie wodą, zupełnie minęła. Rozeszliśmy się po całym lesie głównie ku dołowi gdyż postrzelona sztuka w górę uchodzić nie zwykła, i szukaliśmy rogacza na chybił trafił więcej jak przez godzinę, niestety bez rezultatu. Szukanie w tej dziewiczej kniei, w której tyle złomów, skał i miejsc zabagnionych bez psa-tropowca jest w ogóle bardzo utrud-

nione. Płakać się chce na myśl, że ten bezwątpienia piękny pygargus w tej rzadko przez ludzi nawiedzanej ustroni bezpożytecznie zgnije. To wszystko zajęło tyle czasu, że już było zapóźno jechać śledzić archary. Zresztą także aura opłakana zmuszała nas do szybkiego powrotu. Chcąc sobie skrócić drogę i uniknąć konieczności zrobienia wielkiego koła celem przejścia przez rzeczkę w możliwym dla koni miejscu, kazałem Kałmukowi odprowadzić nasze wierzchowce do domu, a sam podążyłem na wprost ku namiotowi. Fatalnie mi się to udało; przechodząc bowiem rzekę po śliskim drzewie, które tworzyło na niej naturalny, lecz wąski mostek, runąłem jak długi w wodę na kamienie i nie tylko gruntownie się zamoczyłem, ale stukłem sobie nadto dotkliwie oba kolana.

Wieczorem zjawił się u mnie Nabokow i oświadczył, że nie warto już jechać w te góry, gdzie mają być barany, słyszał bowiem od naszych gości Kirgizów, że oni właśnie w te góry się wybierają. Niema za tem celu polować na obszarach przez tych ludzi już przebuszowanych. Mam silne podejrzenie, że to Kozak i Kałmuk nie mieli ochoty przedsięwziąć tę żmudną wycieczkę dla szukania tych dość problematycznych owiec i że z tego powodu chwycili się pretekstu danego im przez Kirgizów. Ponieważ i mnie też nie chciało się bardzo tam jechać, zmieniliśmy zaraz plan naszej dalszej podróży i uradzili przenieść się już jutro do doliny Karabatty, która słynie też z wielkiej ilości zaludniających ją sarn.

Seria niepowodzeń widocznie jeszcze nie ukończona. Pojechawszy na drugi dzień raniutko naprzód, podczas gdy obóz miał nas później dogonić, zobaczyliśmy jeszcze przed wschodem słońca grubego rogacza, pasącego się na trawiastej ścianie głębokiej przepaści. Druga ścianka czeluści była zarośnięta lasem, zdawało się więc, że doskonale do rogacza na strzał będziemy się mogli zbliżyć. Spuściłem się po zboczu na dół, swoją drogą zjeżdżając więcej na zadzie, niż schodząc nogami, i przygotowywałem się właśnie do strzału, gdy rogacz bez widocznego powodu od nas się począł oddalać. Gdy się potem chwilę zatrzymał — strzeliłem do niego nie mniej gorączkowo, jak beznadziejnie, chybiam bowiem regularnie, gdy zwierz spłoszony się zatrzymuje, a ja czuję, że za chwilę dalej popędzi; zresztą było to już zadaleko na celny strzał; nie pojmuję, co tego kozła, który miał — jak się zdaje — kapitalne rogi, spłoszyć mogło; zobaczyć nas w gęstym lesie nie mógł, więc chyba go wiatr, który tu dziwnie często zmienia kierunek, ostrzegł o niebezpieczeństwie. Na gorące prośby moich towarzyszy, którzy znowu na brak mięsa narzekają, strzeliłem potem z bólem serca do siudy stojącej mi dobrze na 150 kroków i także ją na czysto chybiłem. Dziwnie jakoś dziś ładunki strzelają; zapalenie się prochu następuje chwilę później jak zwykle i huk jest bardziej głuchy. Tłumaczę to sobie w ten sposób, że naboje musiały wczoraj podczas upadku w rzekę zwilgotnieć, a ja ich dla braku słońca wysuszyć nie mogłem.



Bogaty Kirgiz.



Dobry archar.



Ong'kah z braćmi, żonami i dziećmi.



Mój najlepszy baran.

Blisko nowego obozu strzelałem kilka razy do gęsi-bazantów. Były to ptaki rodzaju bezsprzecznie gęsiego, ale z upierzeniem bazanta. Śliczne ich czerwono-fioletowe pióra lśniły się w słońcu, jak drogie kamienie. Jedna kula trafiła — zdaje się — gęsiora, który poleciawszy jeszcze daleko upadł nagle w dół. Posłałem człowieka za nim, ale go nie mógł odszukać. Chybień kozy kosztowało mnie pięć rubli. Ludzie rysim wzrokiem wykryli gdzieś na trzeciej górze stojące jurty i wysłali zaraz deputację do mnie z żądaniem, aby im skopa sprowadzić. Z kupnem tego barana były trudności. Dżajnak i Aszyr, którzy po niego pojechali, udali się na przód do najbogatszego Kirgiza w tej grupie jurt. Bogacz ten beczelnie się wobec nich zachował i barana im sprzedać nie chciał, powiadając, że on Amerykanów nie cierpi. „Gdyby ten“ — powiada — „który was posłał, zajechał do mojej doliny, to go dalej nie puszczę, a Kałmuka, który mu służy za przewodnika to napewno zarżnę. Kałmukom przecież w kraj kirgiski za Agojasem wchodzić nie wolno“. Wobec tak złego przyjęcia — jedyny to wypadek niegościnnosci w ciągu całej mej podróży — musieli moi wysłannicy się cofnąć i dostali barana dopiero u drugiego, uboższego obywatela kirgiskiego. Widać, że i tu ma bogactwo często zły wpływ na zachowanie się ludzi. O tym niegrzecznym Kirgizie powinienem donieść Taotajowi, chińskiemu gubernatorowi w Kuldży, który go bezwarunkowo wpakuje do więzienia na pewien czas. Nie nadarmo przecież powiedziane

jest w moim chińskim paszporcie, wielkim jak prześcieradło i zaopatrzonym w purpurową, cesarską pieczęć (jest to jakby w Europie wielka sygnatura monarchy), że wszyscy mieszkańcy Dżungarii, Mongolii i Turkiestanu mają mi na moje żądanie dawać wszystko, czego mi będzie potrzeba, a ci, którzyby mi czynili jakiekolwiek trudności, surowo będą karani. A wiedzieć trzeba, że urzędnicy chińscy są dla cudzoziemców niezmiernie grzeczni i starają się im na wszelki sposób być pomocnymi, może nie tak z przekonania, jak z obawy przed represaliami z Pekinu, które by ich niechybnie spotkały w razie zażalenia obcego poddanego, wniesionego w drodze dyplomatycznej.

Dolina Karagatty utkwi w mej pamięci jako rewir, w którym sarn zupełnie nie ma.

19 sierpnia chodziłem osiem godzin, tj. pięć rano, a trzy wieczorem po jej stromych i lesistych zboczach, nic literalnie nie spotykając. Mówię, że chodziłem a właściwie powiedzieć należy, że łąziłem jak małpa po złomach pniach i skałach. Aby się przedrzeć przez las tutejszy trzeba mieć prawdziwy talent akrobatyczny; co chwila spotyka się inne zapory na swojej drodze. Tu złomy spróchniałe wysokości kilkumetrowej zapadają się nagle pod ciężarem niebacznie na nie wstępującego człowieka, tam znowu piętrzą się wysoko w górę zdrowe jeszcze pnie, których czasem kilkanaście leży jeden na drugim. Wyłaząc na nie, masz tę przykrą pewność, że na ich śliskiej, mokrej zawsze powierzchni noga

ci się powinąć, a ty padając silnie się potłuc musisz. Gładkie skały, ukryte w wysokiej trawie, podcinają nieraz myśliwemu obie naraz nogi i wolno mu tylko dziwić się, że tak niespodzianie i niesamowicie szybko na ziemię się zwałił. Porównując ten las z naszymi borami karpackimi, a to nawet z tymi, w których rabunkowa gospodarka spekulantów żydowskich las zniszczyła i zanieczyściła, przyznać trzeba, że u nas w górach chodzi się w porównaniu do tutaj, jak po salonie. Podchód w takiej kniei daje myśliwemu mało nadziei przyjścia do strzału, gdyż robi się wiele hałasu i, wykonując ciągle ćwiczenia gimnastyczne, jakby się było członkiem drużyny sokolej, nie wielkie przestrzenie przebywać można. Widziałem jodłę z gałęziami poćcinanymi przez jeleniawapiti, który sobie czyścił tam w nocy omszone rogi; zaimponowała mi wysokość, do której rogi byka na jodle sięgały; szacuję ją na $2\frac{1}{2}$ metra. Wartoby tu powrócić podczas bekowiska i śledzić za tym olbrzymem. Jutro przerywamy niefortunne nad wyraz łowy na illiki i przerzucamy się w dwóch dniach na ośnieżone krańce doliny Moyen-tö. Ong'-kàh święcie obiecuje, że tam się z baranami spotkamy, a muszę koniecznie jeszcze raz spróbować, czy nie uda mi się zdobyć wielkiej wstęgi orderowej za myśliwstwo, uwożąc stąd podwójnie zakręcone baranie rogi.

Wyprzedzając karawanę, jadę szukać znowu ro-gacza. Kałmuk wiedzie mnie na brzeg zalesionej przepaści, do której zaglądamy z nieklamaną cie-

kawością. Musi to być dobre miejsce, bo przewodnik zdjął czapkę, nie bacząc na to, że wiatr rozburza jego piękny, kruczo-czarny warkocz. Ta jego metrowej długości głowy ozdoba staje się z każdym dniem brzydsza i krótsza. Gdy dwa tygodnie temu wrócił od swoich żon, miał warkocz tak cudownie upleciony, że podziwiać tylko wypadało, jak dzielne jego towarzyszek życia misternie umiały cienki jego koniec w równe zwinąć sploty. Teraz wyłamuje się niestety coraz więcej włosów z więzów i dolną część kosy stanowią już tylko luźne, rozwichrzone sploty. W przepaści widzimy szpiczaka na dobry strzał, który się naprzód pasie, a potem kładzie, spoglądając jednak od czasu do czasu ku nam do góry. Już kilka razy zauważyłem, że młody kozioł chodzi tutaj często w towarzystwie dużego; rozglądam się też z wielką uwagą, czy nie spostrzege gdzieś w pobliżu innej jeszcze sztuki. I rzeczywiście wychyla się w tej chwili bardzo ładny cap spoza najbliższej jodły. Robię nieznaczny ruch, aby wziąć od Kałmuka karabin, ale już to małe poruszenie się wystarczyło, aby sarny spłoszyć. Mały kozioł zauważył nas i pociągnął za sobą w ucieczce starszego towarzysza. W kwaśnym humorze jadę wobec tego dalej. Ong'kàh obraca się nagle ku mnie i wskazuje na przeciwległe wzgórze, śmiejąc się przytem serdecznie. Spostrzegam tam cztery dziki zajęte ryciem ziemi na poloninie. Można je było doskonale podjechać, kryjąc się za pojedynczymi drzewami rozsianymi na łące. Grubej sztuki nie było między

nimi, ale były to zawsze ładne przelatki. Dobry wy-
cinek pada od mej kuli na miejscu zjeżdżając z prze-
rażliwym kwikiem w pobliski parów. Zabity dzik
był — choć młody — całkiem siwy i miał na grzbie-
cie stojącą płową grzywę; nogi tylko były czarne.
Dzik środkowo-azjatycki nazywa się też w historii
naturalnej: *Sus nigripes*. Dziwnym było zachowa-
nie się Kałmuka w czasie tego epizodu. Już w czasie
podchodzenia świń tłumił w sobie z trudnością trzę-
sący nim śmiech. Gdy strzelona sztuka kwikła, za-
czął się konwulsyjnie śmiać i tarzać się po ziemi,
głośno z uciechy rechocąc. I przy rozbieraniu za-
bitej świni nie mógł on się powstrzymać od głośnego
chichotu, a zauważyłem później, że nawet przy za-
jadaniu mięsa i sadła dziczego ciągle się uśmiechał.
Nie udało mi się wykryć, dlaczego wszystko, co
z dziką swinią stoi w związku, wywołuje u mego
przewodnika tak głośną wesołość.

W dalszym ciągu marszu spotkała nas przykrość,
gdyż nie mogliśmy znaleźć karawany, która miała
czekać na nas na szczycie góry, panującej nad do-
liną. Szukając jej ciągle błędziliśmy niepotrzebnie
przez trzy godziny po wszystkich okolicznych wy-
żynach. Jesteśmy tu znowu w pobliżu pierwszego
poprzecznego grzbietu tienszańskiego, więc las ustaje,
a góry obnażone wyglądają ponuro i dziko. Karawanę
znaleźliśmy nareszcie już w samej dolinie Moyen-tö,
koło jurty koczującego tam Kirgiza. Zdaje się, że
ludzie uwiedzeni nadzieją otrzymania kumysu opu-
ścili samowolnie miejsce, w którym mieli na mnie

czekać. Nie mogłem się na nich za to srożyć, gdyż sam byłem spragniony i bardzo rad, gdy mi Kirgiz dał wypić puhar wyjątkowo dość czystego mleka. Nadzwyczajnie mnie zadziwiło, że tutaj i mego Kałmuka, śmiertelnego wroga Kirgizów, gościnnie napoił. Zarazem jednak oświadczył mu nasz gospodarz, iż byłby go na miejscu zastrzelił, gdyby się był w tej okolicy pojawił nie należąc do mojego orszaku. Widać, że zasada: „gość w dom, Bóg w dom“, jest w tym kraju — aczkolwiek z małymi wyjątkami — silnie jeszcze przestrzegana. Kirgiz ten był widocznie zamożnym człowiekiem, bo posiadał cały szereg żon i bardzo dużą jurte ładnie dywanami chińskimi i skórami niedźwiedzimi przybraną. Zauważyłem też u niego wiele drogocennych, wybitych srebrem i ozdobionych drogimi kamieniami siodeł, w których Kirgizi bardzo się lubują, płacąc za ładniejsze i po kilkaset rubli. Koń stanowi dla Kirgiza najcenniejszą własność, więc dba on naturalnie bardzo o piękne ubranie swego ulubionego wierzchowca.

Dojechawszy tego dnia bardzo późno do miejsca na obóz przeznaczonego, dowiedziałem się dopiero tam, że cel moich marzeń — barany, nie znajdują się wcale w dolinie Moyen-tö, ale że trzeba jeszcze będzie przez wysoką przełęcz dostać się do doliny Bikensai, bocznej szczeliny Agojasa. Gdyby nie ta rzeka, to bylibyśmy mogli już temu miesiąc — i to o wiele krótszą drogą — zawitać do tej owczej doliny. Ludzie byli właśnie zajęci ustawianiem na-

miot, gdy spostrzeżliśmy na przeciwległej górze stadko koziorożców, które się zatrzymało wbrew zwyczajem tych zwierząt dziwnie nisko, ledwie z pięćset metrów nad doliną. Górną część góry stanowiła całkiem prostopadła ściana, poniżej której widać było stromą zbocz, zarośniętą jałowcem i zasłaną kamieniami. Ibeksy stały tuż u podnóża ściany w miejscu bardzo dogodnym do podejścia ich z boku. Wobec tego i z powodu, że w stadzie znajdowały się też dobre capy, zdecydowałem się mimo zmęczenia na podchodzenie ich, a to tym łatwiej, że wobec sprzyjającej sytuacji wydawało się całkiem pewnym, iż do strzału przyjdę. Zapomniałem jednak o wietrze, który, jak tutaj zwykle w dzień słoneczny, wiał z dołu do góry, koziorożce poczuły nas i chyłkiem się wyniosły, gdyśmy ledwie w pocie czoła do połowy zboczy byli się wygramolili. O odwrócie czujnych zwierząt zawiadomili nas znakami z obozu ludzie, którzy stamtąd i nas i podchodzoną zwierzynę doskonale mogli obserwować. Pokazuje się, że podejście koziorożców od dołu nigdy prawie się nie udaje.

21 sierpnia przekroczyliśmy przełęcz, dzielącą doliny Moyen-tö od Bikensai. Przejście to nie byłoby niebezpieczne, gdyż przez przełęcz prowadzi stroma, lecz wyraźna ścieżka, gdyby moi ludzie, zmyleni widokiem Kałmuka i mej osoby na bocznej górze nie byli poszli za nami, sądząc, iż na nich czekamy. Myśmy zaś tam byli pojechali na przełaj celem śledzenia za zwierzyną i spuścili się potem

w dolinę po nadzwyczaj stromym stoku, prowadząc konie w rękę. Tabor nasz natomiast wyjechawszy na grzebień górski, na którym nas był zobaczył poprzędnio, był całkiem bezradny, bo jakże tu sprowadzić konie objuczone w dół po tak stromej ścianie. Obserwowałem z dołu zabłądzenie karawany i truchlałem o całość koni i rzeczy. Dzięki roztropności Nabokowa i Kirgizów udało się przecież wszystko szczęśliwie i cało w dolinę doprowadzić; każdy człowiek wziął juczne zwierzę za cugle i szedł ciągle w zygzak po zboczy, podpierając konia w najbardziej stromych miejscach. Złączywszy się z taborem, złącałem ludzi za nieroztropne zboczenie ze ścieżki, chwaląc ich jednak zarazem za ostrożne i zręczne sprowadzenie koni z ładunkami. Dolina Bikensai jest jedynym miejscem w części łańcucha tienszańskiego od granicy rosyjskiej do rzeki Kok-Sùh, w której mają być stale barany. Zupełnie inaczej ją sobie wyobrażałem! Sądziłem, że zobaczę tu niezbyt strome, trawą pokryte góry o łagodnych skłonach, gdyż takie tylko odpowiadają upodobaniom tych zwierząt. W rzeczywistości jest ta ich dolina okolona olbrzymimi, skalistymi szczytami o wierzchołkach lodem i śniegiem pokrytych. Jakże wytłumaczyć, że archary na przestrzeni trzystokilometrowej właśnie tu siedzibę swoją obrały. Zapomniałem powiedzieć, że dziś niestety znowu pomnożyłem listę chybionych przeze mnie rogiaczy. Blisko przełęczy odkryliśmy capa, chodzącego sobie po gołej zboczy z rzadka tylko jałowcem pokrytej. Ong'-

kàh wziął się bardzo rozumnie do podchodzenia tego pigargusa znajdującego się na tak odkrytym miejscu. Obserwował ciągle kozła i puszczał się kłusem ku niemu, jak tylko on spuszczał głowę, aby szukać za trawą; skoro zaś rogacz podniósł głowę dla rozglądania się, osadzał konia na miejscu i kładł się na siodle, aby być mniej widocznym. Jadąc w ślad za nim, podziwiać znów musiałem wzrok mego Kałmuka; sam rogacza oddalonego od nas jeszcze z 1500 kroków ledwo przez szkła w ogóle dojrzeć mogłem, a on widział gołym okiem każdy ruch jego! Cała ta strategia na nic jednak się nie przydała, bo nie można się było zbliżyć do capa na bliżej jak 300 kroków. Gdy zauważyłem, że już nas zoczył i ze strachu zaczął beczeć, zeskoczyłem szybko z konia i posłałem mu kulę, która mu widocznie przeszła nad samym combrem, bo silnie się wygiął. Stwierdzam, że kozła na dalej jak 150 kroków absolutnie trafić nie jestem w stanie. Zwierz to w porównaniu do koziorożca mały, a karabin nie strzela już tak centrownie, jak w pierwszych dniach ekspedycji. Zauważyłem, że kule przeważnie za wysoko idą; nie wiem, czy jest już wystrzelany (dałem z niego w ciągu lat kilku więcej niż 500 strzałów), czy też może lufa wskutek moich niezliczonych upadków doznała jakiegoś uszkodzenia, wpływającego niekorzystnie na celność strzału. Nie ma dla myśliwego nieprzyjemniejszego uczucia, jak stracić zaufanie do dotąd ulubionej broni. Po strzale zerwał się z jałowca drugi leżący tam rogacz i przedefilo-

wał w szalonym pędzie przede mną; choć był blisko, nie byłem w ogóle w stanie wziąć go na cel. Oba pigargusy miały potężne rogi i były pewnie prastarymi przedstawicielami sarniego rodu. Przekonałem się, że tylko bardzo silne rogacze opuszczają tutaj zalesione okolice i zachodzą daleko i wysoko w góry.

Dzień 22 sierpnia był najcięższym dniem w moim życiu pod względem umęczenia fizycznego; mimo to zapiszę go złotymi zgłoskami w księdze swoich wspomnień. Pierwsza część jego była nudna i przykra. Ong'kàh wodził nas przez sześć godzin po licznych górach, szczelinach i zagłębieniach, szukając skrzętnie baranów i nie spotykając ich wcale. Droga była trudna, gdyż jechać trzeba było ciągle stromymi zboczami i przeprawiać się często przez głębokie jary i przepaście. Koń mój kilkakrotnie pode mną upadał, a ja — nienawidząc szczerze tego rodzaju karkołomnej jazdy — miałem cały czas prawie duszę na ramieniu. Kałmuk nie mógł zrozumieć, dlaczego tu dziś baranów wcale nie widać; opowiadał nam, że zeszłego roku ze swoim „Amerykanem“ kilka stad spotkał, i że jeszcze miesiąc temu polując nad Agoyasem na jelenie z miękkimi rogami, mógł obserwować barany na tych górach. Objechawszy już wszystkie miejsca, gdzie były szanse ujrzenia dzikich owiec, zdecydowaliśmy się na podchodzenie stadka koziorożców, które już rano odkryliśmy, ale które ze względu na spodziewaną rzadszą zwierzynę dotąd w pokoju zostawiliśmy. Wobec niedostępnego terenu musiało się iść do nich

piechotą; stanęliśmy dopiero za dwie godziny na grzbiecie góry, na której się pasły poprzednio. Długo ich nie mogliśmy wysledzić i stwierdziliśmy dopiero po dłuższej chwili, że poszły niesłychanie wysoko i leżą obecnie na lodowcu blisko najwyższego w okolicy szczytu. Było to bardzo daleko, a droga wydawała się tak ciężką, że nie miałem zamiaru iść dalej za nimi; i Ong'kàh nie okazywał ochoty do tego, a to tym mniej, iż nie było pewnym, czy w stadku będą dobre rogale. Rzadki to wypadek, aby ibeksy aż na lodowce zachodziły; dziś jest jednak gorąco, więc one aż tam ochłody szukają, chroniąc się zarazem od plagi bąków, które nietylko nas, ale i zwierzęta do rozpacz doprowadzają. Mieliśmy już wracać do koni, gdy przewodnik, obszukując góry moim dużym teleskopem, zwrócił moją uwagę na kilka zwierząt, leżących jeszcze wyżej od koziorożców na zboczu, zasłanej mialkim kamieniem. Sądziliśmy naprzód, że to inna partia ibek-sów tam spoczywa; niebawem jednak zauważyliśmy, że te sztuki są jakoś bardziej bure, niż dzikie kozy, Ong'kàh zaczął wobec tego podejrzewać, że to są *guldza* — tak Kałmucy nazywają dzikie barany, to jego przypuszczenie zamieniło się wkrótce w pewność, gdy u jednej sztuki, która właśnie wstawała, spostrzegł zakręcone w bok rogi. Nie chcieliśmy wierzyć, że barany w takiej miejscowości znajdować się mogą. Ten zwierz, nie lubiący gór kamiennych, znalazł tu w miejsce, ukryte w morzu skał i otoczone pionowym niemal murem kamiennym;

stało się to chyba ze względu na upał i muchy. Góry tworzyły tam jakoby okrągły amfiteatr, którego środek wypełniał lodowiec. Jedyne do lodowca stanowisko nie szeroka, lecz kilka kilometrów długa szyjka, zasłana rozwalinami skał i nie wykazująca żadnej wegetacji. Sytuacja wydawała mi się beznadziejną, bo jakżeż tu dojść na strzał do archarów, kiedy jedyną drogą jest ten wąski przesmyk, który one z góry okiem obejmować mogą. Zająć je od szczytów byłoby rzeczą wręcz niemożliwą, gdyż po skałach, otaczających amfiteatr chyba koziorożce — a i te z trudnością łazić by były w możności. Braliśmy pod rozwagę, czy by nie należało w tej szyjce gdzieś zasiać i czekać, aż barany tą jedyną dla nich bramą wieczorem pójdą na paszę. Nastąpiłoby to pewnie dopiero przed samym zachodem słońca, a w takim razie byłoby niemożliwym wrócić na noc do obozu i przyszłoby chyba człowiekowi bez drzewa opałowego zamarznąć tu podczas noclegu. Ong'kàh był zatem zdania, aby prosto iść na nie wzdłuż szyjki; w rozpadlinach kamienia znajdują się pewnie głębsze zagłębienia, którymi niespostrzeżenie będzie się można prześliznąć. Powiadał, że — gdyby nie ibeksy, które, leżąc niżej, mogą nam, uchodząc, spłoszyć barany — mógłby mi wręcz obiecać, że mnie doprowadzi do strzału. Mając zaufanie do Kałmuka, który w tylu wypadkach okazał się nadzwyczaj zręcznym przewodnikiem myśliwskim, chciałem zaraz podchodzenie rozpocząć. Ong'kàh jednak nastawał na to, abym wprzód wy-

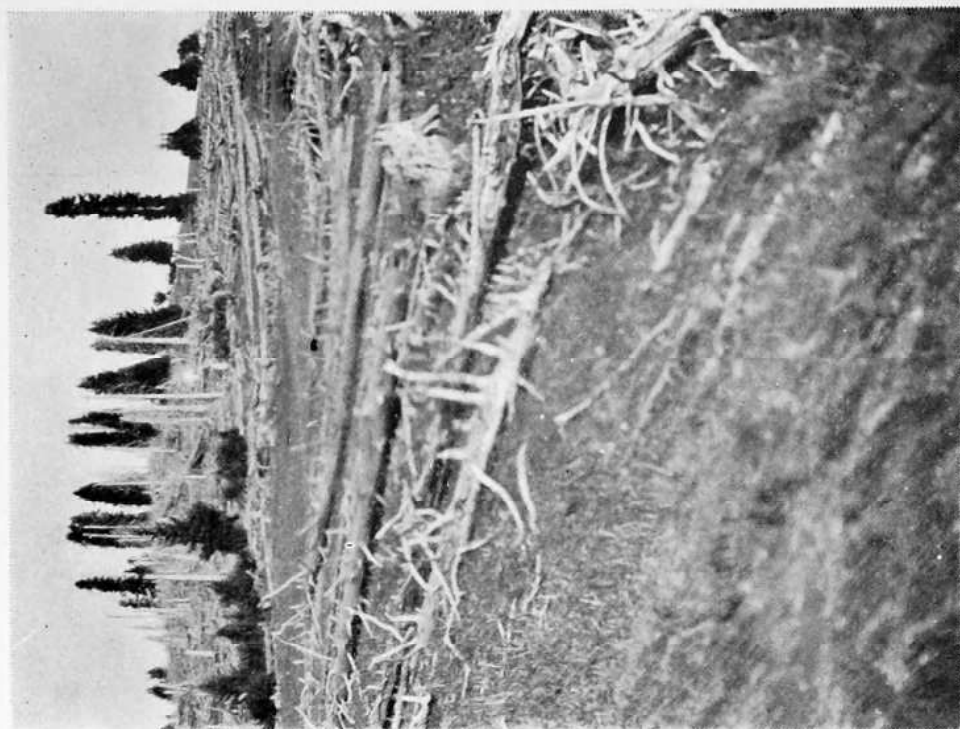
pił herbatę i coś przekąsił. Wkrótce mogłem się przekonać, jak słusznie mnie on do posilenia się namawiał; czekała nas bowiem czterogodzinna straszna droga. Idąc do koni i przechodząc miejscem odkrytym, kazał mi Kalmuk czołgać się po ziemi na brzuchu, mimo że stamtąd było jeszcze z 5 km do archarów; twierdził, że ta zwierzyna widzi na szalone odległości i żeby nas tam na czystym niechybnie zoczyła, gdybyśmy tam przechodzili, jak to *Homo sapiens erectus* czynić zwykł. Przedostanie się przez szyjkę było nader ciężkie. Wydawało się, że tam cała góra, na kawałeczki rozbita, leży; a kawałki te w stosunku do wielkości gór tutejszych naturalnie nie były małe. Potężne głazy objętości kilkudziesięciu metrów sześciennych leżały spiętrzone na sobie na kilkanaście sążni wysoko, a między nimi istniały czarne otchłanie, na spodzie których szumiała tajemnicza, niewidzialna woda — odpływ topniejącego lodowca. Każdy krok trzeba było naprzód obliczyć; raz wypadało daleko skoczyć innym razem utrzymać równowagę na ostrej krawędzi lub zręcznie unikać toczącego się w dół kamienia. Nieraz zaczynały się walić w dół wszystkie otaczające głazy i tylko szybka ucieczka w bok mogła uratować od rozmiżdżenia tymi kamyczkami! Pod względem myśliwskim była ta droga lepsza, niż się tego można było spodziewać; szyjka szła wprawdzie nieznacznie, ale ciągle pod górę, a fale kamienia, zakrywające horyzont przed nami, pozwalały nam posuwać się naprzód bez obawy spłoszenia baranów.

Od czasu do czasu wyłaził Ong'kàh na wyższą od otaczających skałę i przynosił nam potem pocieszającą wieść, że nasza zwierzyna jeszcze na tym samym miejscu spokojnie spoczywa. Najbardziej ucieszył mnie on wiadomością, że koziorożców na lodowcu już nie ma i że gdzieś na bok się usunęły, nie płosząc owiec. Siły moje były już od dłuższego czasu wyczerpane, to też, gdy miałem wydrapać się na cypel skalny, skąd według twierdzenia przewodnika będę mógł już „zbliska“ strzelać do baranów, nie mogłem tego uskutecznić bez pomocy Kałmuka i Kozaka, którzy mnie z dwóch stron ciągnąć, dźwigać i pchać musieli. Na kamień górujący już nad amfiteatrem nie pozwalał mi Ong'kàh wychylić się całemu, wolno mi tylko było wystawić oczy i lufę poza jego krawędź, a to trochę za mało, aby wygodnie strzelać. Barany były na swoim miejscu, ale ja zawiodłem się srodze na odległości; dzieliło mnie od nich bowiem dobre czterysta kroków i te zwierzęta wielkie jak jelenie wydały mi się małe jak jagnięta w owczarni. Mimo to widok burych archarów z ich właściwie śmiesznymi, śrubowatymi, z obu stron głowy zwisającymi rogami był nad wyraz wspaniały. Żałowałem, że i namiętność myśliwska i niecierpliwe gesty moich towarzyszy, a nie najmniej obawa, że barany spłoszyć się mogą i że wskutek tego cały mój krwawy trud będzie daremny, nakazywały mi natychmiast strzelać. Mam prawo nazywać trud mój krwawym, gdyż na ostrych kamieniach rozciąłem sobie w kilku miejscach obie

ręce i znaczyłem swoją drogę kroplami krwi. Byłbym tak chętnie długo jeszcze przypatrywał się archa-rom, wiedząc zapewne, że pewnie ostatni raz w życiu oglądać mogę te ludzkiemu oku tak zwykle niedostępne najdziksze z dzikich zwierząt.

Barany leżały na stalach amfiteatru w dwóch rzędach z góry ku dołowi; najwyżej znajdowały się dwie bardzo grube sztuki z szeroko rozłożonymi, silnie zakręconymi rogami. Jednego z nich wziąłem na cel, ale daremnie, bo karabin klapnął. Kłapa bezpieczeństwa nie była odsunięta. Ten cichy szmer wystarczył, aby wszystkie barany — a było ich trzynaście — zmusić do zerwania się na równe nogi; zaniepokojone zaczęły bystro w naszą stronę spoglądać. Teraz wystrzeliłem naprawdę, kula jednak przeszła — jak to teraz zwykle u mnie bywa — wysoko ponad wielkim archarem, do którego mierzyłem. Byłem bardzo ciekawy przekonać się, w którą stronę stadko rzuci się do ucieczki. Wszyscy byliśmy pewni, że one nie będą próbowały piąć się na ściany skalne, otaczające lodowiec, ale że pomkną wąwozem, w środku którego się znajdowałem. Owca dzika nie ma racic, zaopatrzonych w elastyczną, przylegającą do kamienia masę jak kozica lub koziorożec; po skałach chodzić też nie umie i dlatego właśnie trzyma się gór, trawą pokrytych. A mimo to wszystko poszły nasze barany do góry; część stada zaczęła się na lewo, część na prawo drapać na prostopadły mur. Ciężko im to widocznie szło; posuwały się stępo, przystając co chwila, jakby się

wahały, czy można w ogóle, tamtędy iść dalej. Ach, jakążby to była sposobność do dobrych kul, gdyby nie ta niemożliwie daleka odległość, zmuszająca do strzałów — jak to mówią — na chybił-trafił. Wszystkie moje następne kule poszły według zapewnień moich towarzyszy — również za wysoko. Dopiero, gdy barany zalażyły już prawie na szczyt ściany, trafiłem jednego z nich, można powiedzieć, że przypadkowo, na odległość, której nawet w przybliżeniu oznaczyć nie chcę. Z przestrzelonym krzyżem runął on ze skał w dół na lodowiec. Po dwunastu strzałach nie było już widać żadnego zwierzęcia, więc zaprzestałem kanonady. Zresztą nie byłbym już więcej strzelał, gdyż i tak czułem nieśmak, że przyszło mi dawać strzały w warunkach, w których celny strzał udać się może tylko wskutek szczęśliwego trafu, a nie dzięki dobremu wymierzeniu. Zaczęliśmy gramolić się w górę ku zabitemu baranowi. Ciężka to była przeprawa, gdyż trzeba było przejść bokiem lodowca, którego całkiem gładka powierzchnia nie dawała nogom żadnego oparcia, tak że przy każdym kroku była obawa, iż pojadę w dół zbyt daleko i zbyt szybko. Kałmuk wpadł na dobrą myśl i zaczął siekierką, którą miał przy sobie, wyrąbywać w lodzie schodki; dzięki tej ostrożności dotarliśmy do lodem pokrytych skał, wśród których zabity dotąd niewidzialny archar leżeć powinien. Szukając go oczyma, słyszymy wielki łomot i widzimy żywego barana, pędzącego na łeb na szyję poprzód nas z góry. Chwytam za broń,



Las spalony.



Wycinek ubity w Karabatty.



Tak leżał wapiti.



Strzelec preparuje barany.

sądząc, że to jakiś rozbitek ze stada chce się tedy przebić, aby się dostać na możliwą drogę do odwrotu, gdy wtem spostrzegam, że on zaczyna nagle jakoś nienormalnie nogami przebierać i wali się za chwilę na ziemi niedalej jak trzydzieści kroków od nas. Miła to niespodzianka! Oto drugi trafiony archar przybiegł wprost do mnie, aby u stóp swego pogromcy życie zakończyć. Nikt z nas nie zauważył, że także druga sztuka kulę dostała; gdyby był padł na szczycie muru, bylibyśmy się w ogóle nie dowiedzieli o tej drugiej zdobyczy. Niestety rogi tego barana są niezbyt silne, to widocznie dość młody jeszcze samiec. Drugi za to zabity zwierz zadowolnił mnie w zupełności; ma długie, podwójnie zakręcone i u nasady grube rogi. Nabokow i Ong'kàh zajęli się zdjęciem rogów i skóry ze szyi potrzebnej do spreparowania głowy barana, a ja tymczasem — ochłonawszy po tym niezwykłym epizodzie myśliwskim — odśzukuję perspektywą drugą jeszcze stronę ściany skalnej, na której również do kilku sztuk strzelałem. Dziwnym mi się trochę wydaje, że na prawej stronie trafić mogłem aż dwa barany, a na prawej, gdzie strzelałem nieco bliżej, a co ważniejsza częściej, miałem wszystkie chybić. W małym wklęsnięciu w skale spostrzegam coś czerwonego, nieco ciemniejszego od otaczającej opoki. Pokazuję te rzecz Kałmukowi, który po dokładnym zbadaniu stwierdza, że to także zabity *guldza*. Ale jak go teraz dostać stamtąd? Ściana wydaje się niedostępną dla ludzi — i obaj moi towarzysze powiadają, że tam

wyleźć nie będą mogli. Trzeba poczekać do jutra, wtedy sępy zniosą barana na dół celem spożycia mięsa w dogodniejszym miejscu a my będziemy mogli zabrać rogi. Nie mam wielkiej ochoty, liczyć na te ścierwniki jako na pomocników myśliwskich i, pragnąc także trzecią parę tych trudnych do zdobycia rogów mieć już dziś w swoim posiadaniu, obiecuję dość grubą nagrodę pieniężną zręcznemu taternikowi, który zdoła się dostać do barana z tym zastrzeżeniem, że musi nawrócić z drogi na wypadek, gdyby, z bliska oglądawszy ścianę, przekonał się o zbyt wielkim niebezpieczeństwie dla pnącego się człowieka. Na takie *dictum* podejmują obaj moi towarzysze próbę zwalczania groźnego muru skalnego, zdejmują obuwie i dążą boso ku archarowi. Z niepokojem śledziłem z dołu przez szkła, czy też odważni ci ludzie bliżej do mojej zdobyczy posuwać się mogą. Jeden wyciągał drugiego w trudniejszych miejscach do góry i podpierał go w razie potrzeby. Choć właśnie w czasie ich pięcia się zerwała się silna zawierucha z silnym wiatrem, który ich łatwo mógł strącić w przepaść, doszli oni szczęśliwie na miejsce. Wkrótce widzę, jak cielsko ubitego zwierza strącone przez Nabokowa na lodowiec spada i jak Ong'kàh niesie w dół parę, widocznie ciężkich rogów, na których widok serce mi radośnie zabiło. Ten baran jeszcze lepszy od poprzedniego! Rozmiary obu par dobrych rogów są następujące: długość po rogu wynosi 105, względnie 100 cm, grubość zaś u nasady 42 i 36 cm. Aby móc iść prę-

dziej z powrotem bierzemy tylko te dwie pary rogów; jest już piąta godzina po południu, droga powrotna daleka i łatwoby nas noc na tej skalnej pustyni zaskoczyć mogła. Trupy baranów, które strącone ze skał na lodowiec pojechały na nim jak po szynach z kilometr, i mniejsze rogi przykrywamy kamieniami, zatykając na nich czerwoną koszulę Kozaka dla odstraszenia wilków i sępów i zostawiamy je tu do jutra; ludzie z obozu przyjdą je zabrać. Powróciliśmy do domu o $1\frac{1}{2}$ 8 wieczór już całkiem po ciemku po piętnastogodzinnym podjeździe; droga była pod koniec wobec ciemności nader niebezpieczna i musieliśmy większą jej część przebyć piechotą.

Następnego dnia dałem dowód takiego hartu ducha i fizycznej wytrzymałości, że nieprzyzwyczajony do takiej ciężyzny u dziecka wieku dwudziestego, sam się sobie dziwiłem. O czwartej rano siadłem bowiem znowu na konia mimo wczorajszy wysiłek i pojechałem z niezadowolonym Kałmukiem, który na to liczył, że dziś cały dzień spać będzie, ponownie w góry celem obszukania drugiej strony doliny Bikensai. Tam okazał się zupełny brak archarów i mogę mówić o wielkim szczęściu, że z tej doliny baraniej nie powróciłem jako *krawiec*. (Tak przynajmniej Niemcy nazywają myśliwego, który z polowania wraca nie ubiwszy żadnej zwierzyny). Faktem pozostaje, że dzikie owce są już bardzo rzadkie w tych górach. Głównym powodem znikania tych zwierząt jest ich wielka niezręczność w głębokim śniegu; wtedy one wcale uciekać nie umieją i stają

się bardzo często łupem drapieżników. Słyszałem od angielskich sportsmenów, że w Mongolii w górach Ałtajskich znajduje się dolina literalnie pokryta setkami czaszek *Ovis ammon*. Opowiadają, jakoby wilki spędzały owce w zimie na skały otaczające tę dolinę, a następnie zmuszały do śmiertelnego skoku w dół.

Nigdzie dotąd nie widziałem tyle ułarów co w dolinie Bikensai; co kilkaset kroków zrywało się przede mną z krzykiem stadko tych potężnych kur, a melodyjny ich świst wszędzie było słychać. Biegając po ziemi, roztaczają te ptaki ogon we wachlarz, jakby indyki w miłosnym podnieceniu. Wracając do domu, odstrzeliłem jednemu kulą łapkę, co jednak okazało się wystarczającym, aby dzikiego ptaka zamienić w smaczne pieczone

24 sierpnia padał cały dzień deszcz, zamieniający się często w śnieg. Siedziałem cały dzień w namiocie, obwinięty w duże futro, nudząc się niemożliwie, ale czyniąc zarazem ciekawe spostrzeżenia co do obyczajów kirgiskich. Imponującym jest, w jak skrupulatny sposób oni swoje przepisy religijne przestrzegają. O pewnych porach dnia rozpościerają na ziemi małe dywaniki, wożone ze sobą, klękają na nich i długo gorąco się modlą. Zauważyłem, że umieją z matematyczną ścisłością oznaczyć zawsze stronę świata, w której Mekka leży, i stale się podczas modłów w kierunku tego świętego dla nich miejsca obracają. Kirgiz wolałby umrzeć z głodu, niż naruszyć przykazanie wstrzemięźliwości od świń-

skiego mięsa. Swinina wzbudziła w nich takie obrzydzenie, że wykluczyli zupełnie Nabokowa i Kałmuka, którzy mięso dzika namiętnie lubią, od wspólnego stołu; kazali im używać zupełnie innych naczyń, palić osobno ogień i nie dopuszczali ich do wspólnego koła z herbatą. Można by sądzić, że religia mahometkańska posiada jakąś wyjątkową w sobie moc, zmuszającą wyznawców do bezwzględnego posłuszeństwa. Nie jest jednak wykluczonym, że ona tylko dlatego wywiera tak silny wpływ na czcicieli Proroka, ponieważ oni rekrutują się wyłącznie z narodów półcywilizowanych, bezkrytycznie we wszystko wierzących, czego duchowni przełożeni nauczają. Nadpsuci kulturą mahometanie inaczej już postępują. Pamiętam moje zdziwienie, gdy, jedząc raz w Paryżu obiad z sekretarzem tamtejszej ambasady tureckiej, spostrzegłem, że on zajada z apetytem szynkę, zakrapiając ją gęsto winem i wcale się tego nawet nie wstydzi. Ludy półdzikie mają oryginalny sposób okazywania zainteresowania się opowiadaniem drugiej osoby. Taki dzikus wydaje ze siebie co chwila jakieś wykrzykniki, które mają oznaczać, iż to, co słyszy, bardzo go zajmuje. U niektórych dzikich plemion Afryki środkowej słyszałem w takich razach charakterystyczne, donośne beczenie „eee“, przeciągane nieraz w nieskończoność. Kirgizi zaś potakują żalosnym, piskliwym „iii“. Czym słuchacz jest grzeczniejszy i im więcej chce uchodzić za dobrze wychowanego człowieka, tym częściej i tym głośniejsze piszczy; gdy się kilku takich uprzej-

mych Kirgizów wywodom drugiego przysłuchuje i co chwila chórem płaczliwie jęczy, można się kłaść ze śmiechu. Z innego jeszcze spostrzeżenia muszę zdać sprawę, ale w sposób oględny, jeżeli sprawozdanie nie ma brzmieć nieestetycznie. Mężczyźni tu-tejsi, a to zarówno Kirgizi jak i Kałmucy pozbywają się wypitych trunków całkiem do ziemi przykucając, podczas gdy my w takich razach zachowujemy pozycję stojącą; to samo zauważyłem u wszystkich niekulturalnych plemion na wschodzie. Kto wie, czy ten system ludzi pierwotnych nie jest praktyczniejszy, a zwłaszcza higieniczniejszy od naszego? Czy to nie będzie w związku z tym, że Azjaci i Afrykańczycy nigdy się nie śpieszą, a Europejczyk zawsze ma za mało czasu?

Po południu powstało zamieszanie w obozie, gdy tuman mgły na chwilę się rozdarł i my zobaczyliśmy jakby w kinie na przeciwległej górze tłustego czarnego niedźwiedzia, idącego pośpiesznie w dół; śnieg duży, spadły dziś na szczytach, musiał go stamtąd wygonić. Wobec fatalnej aury nie można było myśleć o pogoni. Następnego dnia zbudziłem się przed ranem skostniały z zimna. Mamy pogodę, ale mróz siarczysty nią się cieszyć nie pozwala. Woda w naszych ostatnich jeszcze całych szklankach zamieniła się w lód, szkło rozsadzając. Było dziś pewnie z osiem stopni mrozu. Później wynikła z tego wielka dla nas korzyść, gdyż od dnia tego ustała straszna plaga bąków, wyniszczonych mro-

zem. Karawana wraca w dolinę Moyen-tö, ja zaś chcę przedsięwziąć ostatni na tej wyprawie pożegnalny podchód na koziorożce. Blisko przełęczy przechodzi ogromne ich stado przez grzbiet gór, na końcu kroczy poważnie nieprzerwany szereg wielkich capów; stado powinno zalec bezwarunkowo po tamtej stronie wierzchołków stanowiących dalszy ciąg siodła. Następuje, jak zwykle, ciężkie i długie drapanie się pod górę. Z powodu dziwnie dziś jasnego i cudownie czystego nieba wydają się góry mniejsze niż zwykle i człowiek jeszcze się częściej myli co do odległości. Państwa nie zastajemy niestety w domu! Ujrawszy nas pewnie w dolinie, posunęło się stado widocznie gdzieś dalej. Siadam na szczycie, a Ong'kàh obszukuje tymczasem sąsiednie przepaście. Wtem zauważam jakiś ciemny ruchomy punkt na trzecim wierzchołku ode mnie i poznaję że to czarny niedźwiedź idzie rącho wierzchem gór, połączonych tu siodłami, i to wprost ku nam. Posuwamy się śpiesznie naprzeciw niemu, będąc pewni, że za najbliższym wierzchołkiem mieć go na strzał będziemy. Niedźwiedź zobaczył jednak, niestety, nasz tabor, posuwający się główną doliną i zawczasie zbiegł po drugiej stronie na dół. Byłbym dziś o włos strzelał do siódmego widzianego na tej ekspedycji misia. Kałmuk chciał mnie potem na jeszcze inne góry prowadzić celem szukania ibeksów, ale wobec takiego braku szczęścia zrezygnowałem na dziś z dalszych planów myśliw-

skich. Rozłożyliśmy się obozem w górnej części doliny Moyen-Tö.

Mało tu zdaje się przebywać illików; 26 sierpnia nie widziałem bowiem zgoła nic na czterogodzinnym porannym podchodzie. Po nim urządziliśmy zasiadkę pod spalonym lasem, gdzie sarny wychodzić lubią; po trzechmiesięcznych ciężkich trudach jest to obecnie mój ulubiony system polowania. Po jednogodzinnym czekaniu okazał nam się ładny rogaczek, naturalnie jednak aż na przeciwległej zboczach. Długo go między krzakami w ogóle dojrzeć nie mogłem, co mnie silnie zdenerwowało; kula, puszczone nareszcie w jego kierunku przeszła mu bezpożytecznie nad grzbietem. Wywołało to trzechkrotne splunięcie Kałmuka, który ma zresztą czem pluć, gdyż od rana do wieczora żuje tytoń. Popołudniowy podchód nie dał też żadnego rezultatu. Przewodnik nie chce dłużej bawić w tej dolinie, ma to być bowiem najlepszy rewir na jelenie; byłoby nieostrożnie płoszyć strzałami te zwierzęta, które się tu w jesieni gromadzić mają. W dolinie Moyen-tö jest bardzo dużo lasu; podczas gdy gdzieś indziej góry tylko w jednej trzeciej pokryte są drzewami, obejmuje tutaj zalesienie dwie trzecie wszystkich stoków.

27 sierpnia przenosimy się przeto do bocznej, niżej położonej dolinki. Po drodze widzimy w skalistej, mimo to jodłami porośniętej przepaści jakieś zwierzę, spoczywające na skale, którego w żaden sposób rozpoznać nie możemy; przypuszczamy

naprzód ze względu na ciemną maść, że to mara-
łucha. Później dopiero przekonywujemy się, że to —
rzecz niesłychana — młody cap, koziorożec, który
się w tak nieodpowiednią dla niego okolicę zabłą-
kał. Chcąc zakosztować niezwykłego uczucia, jakie
dać musi strzał do tego mieszkańca nagich skał
wśród drzew, decyduję się na podchodzenie jego,
choć rogi ma malutkie. Obchodzić go musimy z góry
i przełazimy w tym celu z bolesnym wysiłkiem
trzy głębokie jary; przez czwarty nie mam odwagi
leźć, bo ściany są niemal prostopadłe i brak zupeł-
nie oparcia dla nóg. Podczas wahania się, co tu
dalej czynić należy, zachodzi niespodzianka. Ong'-
kàh odkrywa nagle kozła-sybiraka spoczywającego
między wysokimi chwastami. Chociaż widzę tylko
łeb, szyję i rogi, decyduję się na strzał, bo zwierz
leży blisko, a zatem jest nadzieja trafienia go. I był-
bym go trafił, gdyby szelma — zauważywszy coś
nienormalnego przed sobą — nie była właśnie pod-
czas mierzenia zaczęła przeraźliwie straszyć i beczeć.
Tak mnie tem wyprowadził z równowagi nerwów,
że kula szyję jego ominęła. Szkoda pięknego rogala
z bardzo wysokimi rogami! Na popołudniowym
podchodzie już z nowego obozowiska byłbym znowu
o mało co zabił niechcąc kozę, gdyż zarówno Kał-
muk jak i Kozak przysięgali, iż widzą „olbrzymie
rogi“ u sztuki, leżącej w jarze. Nauczony doświad-
czeniem nie uwierzyłem im na ślepo i chciałem sam
ozdobę głowy zwierzęcia stwierdzić. Dzięki tej prze-

zorności unikałem wstydu zabicia przez pomyłkę samicy zwierzęcia, mającego rogi w każdym razie dość widoczne, bo niemal półmetrowe. I rogacz był wprowadzie tam w pobliżu, ale spostrzegliśmy go dopiero, gdy pomknął za uciekającą kozą. Pierwszy to znak, że ruja sarn już się rozpoczęła. Mówiono mi, że powinna trwać już od trzech tygodni, lecz ja jej dotąd nie zauważyłem. Idealny tu teren do podjazdu! Góry niewielkie, a dzielą je wszędzie głębokie czeluście i jary-mateczniki illików. Lecz cóż z tego, kiedy sarn nadzwyczaj mało i one strasznie są płochliwe? W jednej przepaści ujrzałem nagle potworne jakieś zwierzę, którego widok wręcz mnie przeraził; myślałem, że to jest jakiś jaszczur, z paleontologicznej fauny pochodzący, który jakimś przypadkiem został przy życiu mimo przewroty światowe. Wkrótce się pokazało, że to dziki, a raczej półdziki wielbłąd, zbiegły ze stada, który tu w górach od roku już przebywa (Kałmuk go już kilkakrotnie spotkał) i ze swoimi swojskimi braćmi nie chce mieć już bliższych stosunków. Ludzie namawiali mnie, abym go zastrzelił, a ja sam miałem — przyznaję się — silną pokusę spróbowania efektu moich małych kulek na jego olbrzymim cielsku. Nie chcąc jednak niszczyć życia tego zwierzęcia bezpożytecznie, zapytałem się wprzód moich towarzyszy, czy by w danym razie jedli to mięso. Odpowiedzieli mi z oburzeniem, że tu w środkowej Azji nikt mięsa wielbłądziego nie je; a w Paryżu poda-

wano w swoim czasie mięso z dromedarów w pierwszorzędnym restauracjach jako największy egzotyczny przysmak. Ostatecznie więc darowałem życie okrętowi puszcy, który tu tak sobie łaził po skałach i lesie, jakby go z pustynią piaszczystą nic zgoła nie łączyło. Biedne źrebiątko, które z nami od tygodni już chodziło, i które wszyscy polubili, zostało dziś zakłute i zjedzone. Forsowne marsze w dolinie Biken-sai tak podcięły siły tego konika, że byłby niechybnie wkrótce zdechł, a tak mieli przynajmniej Kirgizi biesiadę przenosząc mięso źrebięce nad wszelkie inne.

28 sierpnia podjeżdżaliśmy sarny na ogromnych przestrzeniach spalonego lasu, którego tu wiele padło ofiarą płomieni. Taki spalony las ponuro i smętnie wygląda; szare lub obsmalone na czarno pnie najeżone gołymi gałęziami, sterczą lub leżą jak kościotrupy obok siebie. Całość wygląda, jak pole śmierci. Wychylając się z lasu na takie jedno pogorzelisko zobaczyliśmy sarnę blizutko stojącą; ona jednak zoczyła nas równocześnie i uchodząc spłoszyła dwa grube capy. W innej spotkanej trójce chciał się Ong'kàh dopatrzeć koniecznie rogacza w kozłatku, twierdząc, że taka ciemna sztuka to z pewnością kozioł. Kozłatka pygargusów są rzeczywiście ciemne, mają białe cętki na białym tle, tak jak u nas daniele. Dużo tutaj cietrzewi; nie strzelane nigdy są tak swojskie, że podrywają się dopiero na kilka kroków. Śrutówką możnaby robić hekatombę tych ptaków.

Następnego dnia odbyłem pięciogodzinny smutny pochód w dół innej doliny pokrytej lasem, nie widząc żyjącego stworzenia. Powrót do namiotu był nader przykry, bo trzeba było wracając iść nieustannie pod górę, zwykle idzie się tu pod górę na początku polowania, tu było przeciwnie i bardzo nieprzyjemnie się to odczuwało.

30 sierpnia przenosimy się do doliny Dżirentai, znanej także jako dobry rewir na marale. Jest tam dużo lasu rozdzielającego się na trzy kompleksy w trzech rozgałęzieniach doliny. Pojechaliśmy naprzód z Kałmukiem, którego spotkał niebawem przykry wypadek. Chcąc przejechać przez rzeczkę, która wydawała się płyciutka i całkiem niewinna, wpadł on z nienacka pod szyję w otchłań podwodną. Napór wody, zerwał go ze siodła i prąd go zaczął unosić. Byłoby się z nim źle skończyło, gdyby nie był zdołał chwycić się gałęzi nadbrzeżnego krzaka; dzięki temu udało mu się wprowadzić mokremu, jak mysz, ale całemu na brzeg wygramolić. Koń mój był już także przednimi nogami wpadł w tę samą dziurę, widząc jednak katastrofę Kałmuka, zdołałem jeszcze wczas go poderwać i siebie od podobnej kąpieli uratować. Później doznałem i ja niezbyt miłej przygody. Wierzchowiec mój, od tyłu miesiący spokojnie pode mną chodzący, dostał nagle jakiegoś ataku szału, wziął niespodziewanie głowę między nogi i zaczął czterema naraz nogami skakać pionowo w górę z widocznym zamiarem zrzucenia jeźdźca

na ziemię. Zaskoczony z nienacka tym wybrykiem, straciłem oba strzemiona, wypuściłem z rąk cugle i byłbym niechybnie zwałił się na dół, gdyby mój rumak po dwudziestu takich warjackich skokach nie był na szczęście się uspokoił. Pokazało się, że on dlatego dał w tak drastyczny sposób wyraz swemu niezadowoleniu, ponieważ z powodu usunięcia się czapraka siodło go gnieść zaczęło.

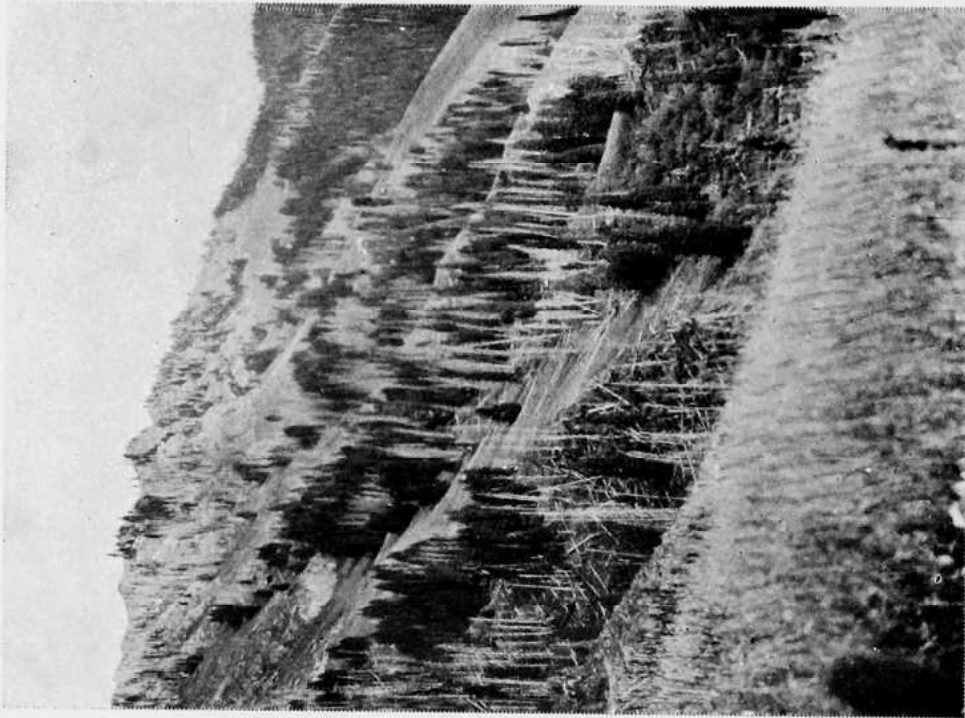
Na popołudniowym podchodzie wypełniam na-przód smutną konieczność i zabijam w grubym le-sie kozę; w obozie niema po zjedzeniu żrebięcia znowu mięsa i ludzie grożą mi strejkami, jeżeli nie będę dbał o to, aby mieli dość pożywienia. Rogacza zaś w żaden sposób nie jestem w stanie ubić. Kozę, która stała dość daleko i była w części zakryta drzewami, zrulowałem w ogniu bez żadnych trudno-ści. Nabokow odniósł mięso do domu, a ja z Kałmu-kiem krocę dalej przez imponujący las dziewiczy. Na krańcach jego już w pobliżu pokrytych skałami wierzchołkach gór wypatrzył przewodnik dwa illiki; dążymy tam, ale ich znaleźć nie możemy. W trudnym terenie zostałem się z tyłu, gimnastykując się roz-ważnie, ale z zapalem po licznych kłodach. Wtem widzę, jak Ong'kàh biegnie pędem napowrót ku mnie z twarzą konwulsyjnie zmienioną, wciska mi broń, którą jak zwykle nosił w rękę i, nic nie mówiąc, wskakuje na spód jaru, nad którym właśnie znaj-dowaliśmy się. Myślę sobie, że tam pewnie niedź-wiedź łązi, za chwilę widzę jednak ogromne białawe

zwierzę galopujące w dole i spostrzegam rogi. Poznaje, że to rogal-wapiti! Chcę strzelać, ale to nie łatwa rzecz, bo jar dość gęsto zarośnięty jodłami. W dwóch luczkach zdołałem maralowi posłać dwie kule bez uczucia jednak, iż dobrze strzeliłem. Zanim się spieszyć musiałem i z emocji nie oparłem karabinu o swój kij. Kałmuk jest widocznie też zdania, że te strzały są na nic, gdyż wypłuka ze złością dawno już zżutą tabakę powtarzając ciągle: *Czok, czok!* Wyraz ten ma dla mnie złowróżebne znaczenie, bo oznacza on po tutejszemu „nic“, więc słyszę go zawsze, gdy coś na czysto chybię. Przewodnik nie chce nawet wcale leżeć przez jar, aby na strzał się popatrzeć, lecz ja ciągnę go tam z obowiązku myśliwskiego za sobą. W chwili, gdy zaczynamy na drugą ścianę się drapać, słyszemy łomot spowodowany uciekającym zwierzem i uderzenie rogów o drzewa. Ong'kàh powiada mi zaraz, że wapiti musi być postrzelony, bo zdrowy jeleni tutejszy o pnie drzew nigdy nie zawadzi w przeciwieństwie do naszego, któremu się to w ucieczce często zdarza. Tłumaczę to sobie w ten sposób, że rogi marala mają zupełnie inną formę, niż jelenia europejskiego; u tego wznoszą się końce. wieńca prosto do góry zaginając się tylko ku końcowi; u tamtego zaś kieruje się róg począwszy od pierwszej, znacznie dłuższej od innych odnogi korony wprost ku tyłowi. Wapiti może przeto, w lesie uchodząc, zbliżyć swe rogi zupełnie do grzbietu, tak że mu wcale

nie przeszkadzają. Ten kształt rogów powoduje także, że mimo swą często kolosalną długość wydają się nie bardzo duże i wobec ogromu zwierza raczej zbyt krótkie. Strzelając do marala miałem wrażenie, iż mam przed sobą średniego szóstaka albo ósmaka; Kałmuk zaś poznał, że to duży dwunastak. Idziemy na trop i znajdujemy o sto kroków od strzału dużo farby ślicznego jasnego koloru. Ponieważ to widocznie farba płucna, zaczynam mieć nadzieję, że będę mógł dojść pierwszego swego marala. Podążamy kilkaset kroków za śladem jelenia, widząc wszędzie obfitą farbę, ale noc się zbliża, więc odkładam dalsze poszukiwania na jutro, a to tym bardziej, że się obawiam przedwcześnie spłoszyć postrzałka, jeżeli się już położył. Ong'kàh jest przekonany, że go jutro dojdziemy, ja jestem mniej optymistycznie usposobiony, wiedząc z doświadczenia, że od kuli mego karabina powinien zwierz leżeć w promieniu dwustu kroków od strzału; o ile zaś poszedł dalej, to dostał złą kulę i nie da się w ogóle znaleźć.

Następnego dnia wyruszamy jeszcze w nocy z obozu, biorąc ze sobą psa Nabokowa, który miał rzekomo chodzić za postrzeloną zwierzyną, lecz okazał się potem zupełnie do niczego pod tym względem. Po drodze spotykamy na polance leśnej ładnego rogacza na zupełnie możliwą odległość. Czekam ze strzałem, aby złapać trochę tchu, Kałmuk zaś myśli, że nie strzelam, ponieważ kozła dobrze nie

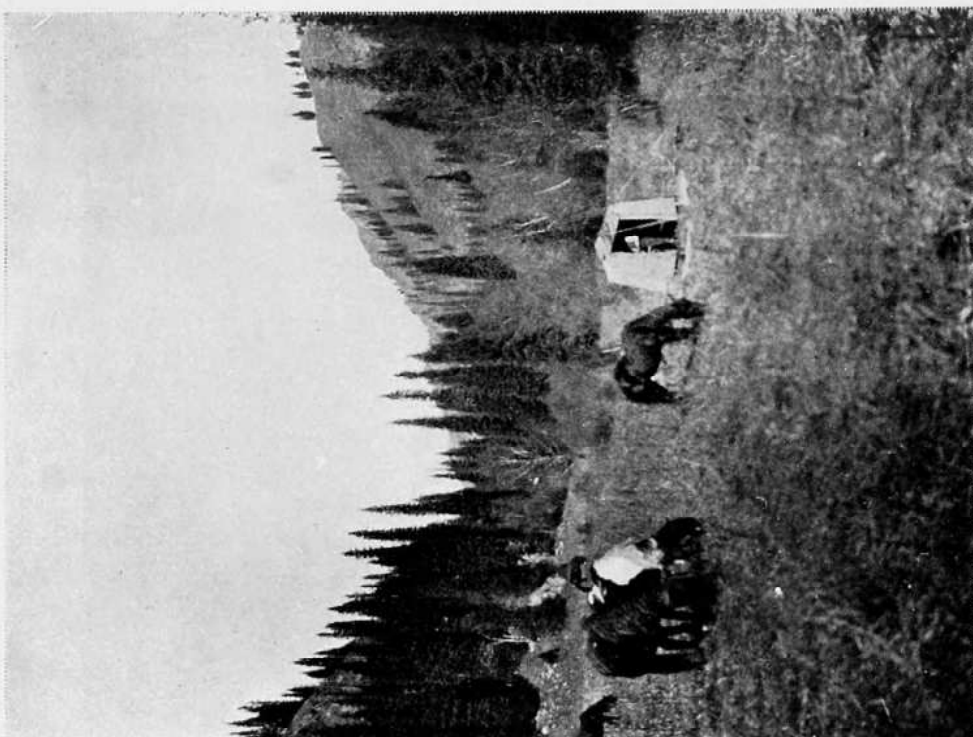
widzę i ciągnie mnie dziesięć kroków naprzód do miejsca, skąd lepszy wystrzał. Popełnił przez to kapitalne głupstwo, gdyż dwa inne rogacze stojące za drzewami i dla nas niewidzialne spostrzegły nasze posunięcie się i uszły, zabierając ze sobą naszego kozła; jeden z trzech capów przystanął chwilę w ucieczce; w pośpiechu chybiłem go oczywiście. Za wapitim idziemy z kilometr bez trudności, potem farba znika z powodu zaschnięcia rany, ale przewodnik trzyma się tropu z wielkim artyzmem, Ciężkie zwierzę zostawia wszędzie odciski swoich racic, więc zręczny tropiciel może i na trawie i na gruncie zasłanym igłami jodeł, tropu nie gubić. Niebawem natrafiamy na kamienie i ślad gubimy. Rozchodzimy się więc na wszystkie strony celem zbadania, którędy jeleni poszedł. Wtem spostrzega Ong'kàh maralę, leżącą pod jodłą i chce mnie świstem do siebie przywołać, abym go dostrzelił, rogał jednak nie czeka na to, ale się zrywa i galopem uchodzi. Kałmuk miał na sobie mój karabin i mógł doskonale strzelać, ale sądził, że ja mu dostrzelenie postrzałka wezmę za złe; przez karygodne zapomnienie zaniedbałem go do tego upoważnić, chociaż wiedziałem, iż w tym wściekłym terenie będę często w niemożności trzymania się blisko przewodnika. Z godzinę jeszcze szedłem za wapitim, mającym kulę gdzieś z przodu, bo przelaząc przez kłody zawadza o nie piersiami. Dalej za nim z powodu fizycznego wyczerpania iść nie mogłem, tym mniej,



Stoki doliny Moyen-tö.



Staramy się udźwignąć jelenia.



Obóz w dolinie Moyen-to.



Naboków odwozi marała do domu.

że mam do domu jeszcze cztery godziny drogi. Ong'kàh tropił jeszcze byka przez pół godziny i znowu go zastał leżącego, strzelić jednak nie mógł, gdyż ostrożne zwierzę leżało głową zwróconą do swego tropu i prześladowcę swego zaraz zobaczyło. Szkoda tego marała, tak niewiele już tych wspaniałych zwierząt żyje na świecie, a ja jednego z nich zniszczyłem nie mając z tego pożytku, jeno ciężkie zmartwienie. Fantastyczne szczegóły opowiadają mi moi ludzie o ilości wapitich, zamieszkujących Góry Niebiańskie jeszcze lat temu dwadzieścia wstecz. Ong'kàh powiada, że ojciec jego, z którym jako młody chłopak chodził na polowanie, zabijał przeciętnie w miesiąc ze trzydzieści grubych byków i to wcale nie podczas bekowiska. Nabokow zaś wyjeżdżał dawniej w czasie, w którym jelenie ryczały, na jaki tydzień w góry niedaleko Narynkola i przywoził zawsze do domu jakie dziesięć pięknych wieńców strzelając z kabzlówki na bliskie tylko mety. Rozpowszechnienie karabinów u tutejszej ludności a jeszcze więcej powstały w ostatnich czasach wielki popyt na miękkie rogi jelenie spowodowały w krótkim okresie doszczętne niemal wytępienie wapitich. Omszone ich rogi starte na proszek stanowią dla Chińczyka najważniejszy środek leczniczy. Wierzą oni święcie w to, że proszki takie, regularnie zażywane, zamieniają każdego podstarzałego Chińczyka w mgnieniu oka w dzielnego, młodego syna państwa niebieskiego mogącego bez trudu i zadyszania się

wypełniać wszystkie obowiązki wieku młodzieńczego. A że każdy Chińczyk lubiałby oczywiście jak najdłużej zaliczać się do młodych pod każdym względem ludzi, nie można się dziwić, że za parę rogów i po sto rubli płaci. Po południu dnia tego nadeszła nawałnica śnieżna, nazwana przez Nabokowa *buran* i w ciągu dwóch godzin nasypała nam 40 cm śniegu; trzeba go było zgartywać z dachu namiotu, bo groził zawaleniem się. O ile śnieg wkrótce nie zginie, trzeba będzie uciekać stąd, jeżeli konie nie mają zdechnąć z głodu. Dziś w nocy uciekły daleko, szukając za trawą i Sudak-Pai z trudnością je odnalazł o kilka kilometrów od obozu.

1 września była śliczna, mroźna ponowa. Wobec tego dążę znowu w góry tam, gdzie Ong'kàh zostawił marała w nadziei, że na śniegu trop jego znowu odszukamy. Był to jednak wysiłek bezowocny a ciężki, w tym lesie zawalonym drzewami, na gruncie najeżonym skałami człowiek i w normalnych warunkach ledwo się posuwać może; dziś zaś w półmetrowym śniegu w ogóle się nie można było ruszać. Nie jest przeto dziwnym, żeśmy ani śladu postrzałka nie zoczyli. Możliwy go znaleźć za jakie dwa tygodnie śledząc sępy, które się później zlecą do śmierdzącego już ścierwa, my jednak wtedy już daleko będziemy. Nabokow, chodząc opodal po lesie spotkał młodego marała o sześciu pasemkach, który wyszedł na polankę, aby się grzać na słońcu. Wracając z tego podchodu widzieliśmy liczne przez

dziki w śniegu porobione koryta; można było łatwo pójść za nimi i strzelać do nich w barłogu, nie mogłem się jednak na to jakoś zdobyć.

2 września pojechaliśmy obszukać dwie inne wąskie doliny lesiste, należące też do kompleksu dzi-rentajskich borów. Kałmuk poprowadził mnie szczółbem kamienistym, dzielącym oba wąwozy. Bardzo trudno było iść tamtędy, bo szczółb zamienił się wkrótce na wąziutką grań, tworzącą z dwóch stron głębokie przepaście. Nie widząc przez dłuższy czas zgoła nic, zacząłem już złorzeczyć przewodnikowi, że mnie znowu bezcelowo w miejsca niebezpieczne prowadzi, gdzie sobie głowę łatwo rozbić można. Balansując, jak można było najzręczniejsz na ostro-kątnych skałach zostałem się daleko z tyłu i nie zauważyłem zrazu gwałtownych gestów Kałmuka, przyzywającego mnie do siebie. Zrównawszy się z nim, pytam się, dlaczego się zatrzymał. Ong'kàh wskazuje na to ręką na przeciwległy stok przepaści i powiada *Bugu*, tj. po kałmucku: marał. Przez szkła odkrywam wkrótce jelenia, leżącego wysoko po tamtej stronie na polance, zavalonej drzewami przez wiatr wywróconymi. Widziałem, że rogi sterczą wysoko nad głową, samo zwierzę wydawało mi się małe, niby biała sarenka. Pytam się Kałmuka, które-dy on zamierza podchodzić jelenia, ten jednak dziwi się memu pytaniu mówiąc, że go przecież stąd strzelać będziemy. Dla bliższego podejścia marała trzeba iść ze trzy godziny okrążając przepaść, przez

którą tu przejść nieposób, a on już wkrótce, skoro słońce trochę się wzniesie, ujdzie w gęszcz pobliski. Na to ja odpowiadam, że nie myślę strzelać na wiat na tę szaloną odległość, na którą trafienie zwierzęcia jest więcej jak nieprawdopodobne. Tak się długo kłócimy. Ong'kàh mi na koniec mówi, że, gdyby miał ze sobą swoją birdżankę (wojskowy karabin rosyjski starego systemu), to by mi zaraz pokazał, że tego jelenia można trafić. Tym powiedzeniem przełamuje mój opór. Kładę się jak długi na skale i próbuję wziąć marała na cel; źle mi jednak mierzyć, bo nie ma podwyższenia, na którym by lufę oprzeć można. Zdejmuję swoją kurtkę, Ong'kàh swój płaszcz i tworzymy z tych rzeczy lafetę pod karabin. Ociągamy się, jak mogę ze strzałem; muszka zakrywa mi cały cel, tak że zamknąwszy jedno oko zwierza wcale nie widzę. Badam więc ponownie przez szkła sytuację, starając się zapamiętać kłody, wśród których on spoczywa. Między nie puszczam nareszcie pierwszą kulę podrywając jednak mimowoli w chwili strzału lufę wysoko w górę. Słyszę posępne *czok* Kałmuka i wnoszę z tego słusznie, że pocisk mój w ogóle nie był w pobliżu marała, który sobie spokojnie dalej spoczywa. Przed drugim strzałem myślę sobie, że dobrze by było, gdyby go nim przynajmniej spłoszyć było można, aby to napięcie nerwów nareszcie się skończyło. Zaraz po strzale łapię za perspektywę, aby zobaczyć, co jeleni ze sobą robi, i stwierdzam, że się podniósł do

góry przodem, ale się cały nie zrywa. Patrzę na Kałmuka, który na pół podniósł się ze ziemi i spogląda jakby zahipnotyzowany na marała z oczami w słup i gębą szeroko rozwartą nic jednak nie mówiąc. Repetuję i strzelam po raz trzeci między pnie, gdzie byk znajdować się powinien. Słyszę krzyk Kałmuka *ülödö* to znaczy „umiera“ i widzę jak wapiti tak, jak leżał na bok się zwała. Oniemiałem, bo w całym swoim życiu na taką odległość zwierza nie tylko nie trafiłem, ale nawet nie strzelałem. Ong'kàh twierdzi, że on dostał i drugą i trzecią kulę. W szalonym pośpiechu dążymy teraz do naszej zdobyczy, nie bacząc na żadne przeszkody terenu. Ale dopiero po kilku godzinach stanąłem nad marałem i, zobaczywszy tego potężnego zwierza pierwszy raz zbliska, długo z emocji słowa przemówić nie mogłem. Wapiti należy bezsprzecznie do największych zwierząt łownych, noszących rogi, i chyba łoś lub antylopa eland mogą się z nim równać co do wielkości; nasz jeleni zaś dosięga pewnie ledwie dwóch trzecich jego wzrostu. Bliższe oględziny wykazują, że ma dwie kule w samej komorze. Jest tak jasno siwy na tułowiu, że robi z daleka wrażenie zupełnie białego zwierzęcia, głowa tylko i badyle są szaro-brunatne. Zabity wapiti jest starym bykiem, bo rogi, które u korony tworzą rodzaj łopaty są grube; długość natomiast pozostawia nieco do życzenia, wynosi bowiem tylko 108 cm, podczas gdy kapitalny marał tutejszy powinien nosić wieniec między 120 a 130 cm

wysoki. Wydaje mi się zatem, że to musi być tak zwany wstecznik, tj. jelen, który jako stary już zwierz nie mógł wytworzyć gonnych rogów. Rozpiętość między końcami wynosi 97 cm, grubość rózży 26 cm, grubość pnia nad odnogą nadoczną 24, a w środku rogu 19 cm. Najdłuższa odnoga, która u marałów jest zawsze czwartą z dołu, mierzy 51 cm, łopata zaś u korony ma 36 cm obwodu. Jelenia tienszańskiego czyli dzungarskiego (*Cervus canadensis songaricus*) nie należy zaliczać do gatunku marała syberyjskiego, ściślej altajskiego, który i formą rogów i ubarwieniem sierści znacznie się od niego różni i jest w ogóle znacznie wężlejszy. Natomiast niema znaczniejszej widocznej różnicy między jeleniem tutejszym, a wapitim kanadyjskim, zamieszkującym Kordyliery Ameryki Północnej. Zachodzi tu pytanie, jak wytłumaczyć przebywanie tego samego zwierza na dwóch kontynentach morzem przedzielonych i tysiące mil od siebie oddalonych. Nie znajdując w tym względzie wyjaśnienia w zoologii stworzyłem sobie sam teorię, której nie przedłożyłem wcale do aprobaty zawodowych przyrodników. Przyjmując jako fakt prawie pewny, że Ameryka i Azja na początku naszej ery były złączone ze sobą w tym miejscu, gdzie następnie powstała cieśnina morska Beringa, przypuszczam, że część wapitich wywędrowała z Kanady przez Alaskę do Azji z niewiadomych powodów i, nie znajdując w Syberii nigdzie okolic im odpowiadających, a zwłaszcza gór lasem pokry-

tych, posunęła się aż do łańcucha Niebiańskiego, gdzie, zastawszy doskonałe warunki życia, zamieszkać mogła na stałe.

Bardzo trudno było wynieść rogi i skórę jelenia spośród złomów dziewiczej puszczy tej dzikiej doliny. Na szczęście zjawili się wkrótce z obozu na pomoc dwaj nasi Kirgozi, którzy słyszeli strzały i triumfalne nasze okrzyki, zresztą stwierdzają nasi ludzie jednoznacznie, że zabicie *bugu* przeczuwali, wierząc w kabałę z kamyków ułożoną wczoraj wieczorem przez Kałmuka. Co jest nadzwyczajne, to to, że w ciągu trzech dni strzelał do dwóch jeleni, mimo, że do rykowiska jeszcze daleko. Gdy fotografując marała, skarżyłem się na złe oświetlenie, oświadczył Ong'kàh, iż nie warto z niego robić zdjęć, bo my ich jeszcze kilka upolujemy. Oby się tylko te jego słowa sprawdziły!

Ponieważ dolina Dżirentai już opolowana i zwierzyna strzałami wypłoszona, przenosimy się 3 września do doliny Bikeren, na wschód równolegle się ciągnącej. Krajobraz, który tu oglądamy, jest nadzwyczaj ciekawy; przed nami rozciąga się szereg nieprzerwanych pagórków, trawą pokrytych, a między nimi znajdują się wszędzie długie, głębokie wąwozy, których jedna tylko i to zawsze północna zbocz jest porośnięta grubym lasem. Z daleka tych lasów jakoby podziemnych wcale nie widać; na horyzoncie ukazują się tylko wąskie linie wierzchołków, najwyżej w przepaści rosnących drzew. Zdawałoby

się, że to ktoś aleje sosnowe po całej okolicy porozsadzał. Dziś znowu widziałem marała. Siedząc nad takim zarośniętym wąwozem, ujrzeliśmy, jak jeleni z dwoma łaniami wracał daleko w dole ze stepu do grubego lasu; iść tam za nim nie miało celu, bo najwyżej by go spłoszyć można. Może go jutro będzie możliwym wypatrzeć.

Następnego dnia rano zobaczyliśmy rzeczywiście znowu tego samego jelenia. Leżał sobie w podniosłym lesie i moim zdaniem można go było podchodzić; Ong'kàh jednak boi się tak panicznie iść ku marałowi, aby go nie spłoszyć, że na nic stanowczego nie mógł się zdecydować i tylko mnie ciągle bezcelowo w kółko prowadził. Jelenia wprowadzie rzeczywiście nie spłoszył, ale rezultat był ten sam, bo zwierzyna sama się wyniosła, gdy słońce zaczęło przygrzewać. Dzajnak, którego zostawiliśmy na czatach celem obserwowania zwierza z daleka, wracał potem do nas przez las i spotkał rzekomo tego byka na dziesięć kroków; po tym spotkaniu jeleni ten, który miał być średnim dziesiątakiem, na dobre wyniósł się z okolicy. Po południu pojechaliśmy wierzchem zwiedzić szereg przepaści już z głównym stepem nad Tekesem sąsiadujących. Przed wieczorem zatrzymuje raptem Kałmuk konia, ściąga mnie prawie przemocą z siodła i, oddychając ciężko ze wzruszenia, pokazuje mi niedaleko pod lasem ozdobioną wysokimi parostkami głowę rogowca, siedzącego w wysokiej trawie. Mierzę mu w sam pysk i roztrzaskuję cały przód głowy, co spowodowało,

że konając skakał tak wysoko jak zając w łeb trafiony. Zdobyłem tu jedną z najpiękniejszych par parostków sarnich całej wyprawy. Kozła tego można nazwać dwunastakiem, każda bowiem z trzech odnóg normalnego szóstaka rozdziela się na dwa końce; parostki w górze tak się schodzą ku środkowi, że rozpiętość wynosi przy wysokości 38 cm tylko 18 cm. Zasnąłem dziś wieczór nadzwyczaj zadowolony ze siebie i z całego świata.

5 września rano odbyłem długi niewieńczony żadnym rezultatem spacer. Po południu chodziliśmy długo po kniei zwanej *körklertö* i spotkali tylko kilka kóz. Wychylając się przed samym wieczorem z lasu celem powrotu do koni, widzimy tam Nabokowa kiwającego do nas ruchem, oznaczającym coś nadzwyczajnego. Bieżymy ku niemu i widzimy w kotlinie między końmi a nami ładnego sybiraka spokojnie się pasącego. Kulę kwituje silnym wierzgnięciem i pada 100 kroków od strzału; jest to nieregularny szóstak z dwoma tylko pasemkami na jednym z rożków, które są dobrze operlone i 34 cm wysokie. Kozak opowiada nam, że ten cap w towarzystwie drugiego, o wiele grubszego pasł się już od dwóch godzin tuż koło koni i że on leżąc na ziemi, cierpiał niewymownie z obawy, że sarny spłoszy lub że my się za późno zjawimy. Na kilka minut przed naszym przybyciem cofnął się starszy rogacz z kozą w las i dziwić się należy, że drugi za nim nie pociągnął.

Na drugi dzień nie szczęściło nam się wcale.

Spłoszyliśmy dwa rogacze, które zobaczyły nas pierwszej, nim my ich. Zasmuceni tym siadamy w lesie nad wąwozem, którego drzewostan spalił się był i, nie widząc tam sarn, zaczynamy głośno rozmawiać. W pobliżu słyszymy naraz podejrzane trzasknięcie gałązek, potem następuje znowu cisza. Chcąc się przekonać, co to trzasło, idziemy w tę stronę, gdzie ten szmer dla myśliwego, niekiedy tak ważny, było słyhać i znajdujemy świeżutkie legowisko, a dalej trop dużego bardzo byka jeleniego. Żeby nie nasza lekkomyślna rozmowa, to bylibyśmy go może w czasie jego snu na strzał zeszli. Trzygodzinna pogoń jego dobrze widocznymi śladami nie dała żadnego rezultatu; Ong'kàh twierdzi, że taki raz spłoszony marał uchodzi światami. W południe leżałem sobie na słońcu przed namiotem i przyglądałem się manewrom, czy ćwiczeniom lotniczym stada wron nad sobą. Żaden pułk z ludzi złożony nie będzie tak sprawnie na komendę wykonywał zwrotów i ruchów gromadnych, jak ten regiment ptasi nade mną. Komendę dawała stara jakaś guwernantka wronia i — jak się zadaje — tylko jej wolno było wydawać ze siebie pewien rodzaj krakania, wywołujący celowy jakiś ruch pierzastej gromady; jedno krótkie kraknięcie zwoływało w mgnieniu oka wszystkie wrony do swej przełożonej, dłużej przeciągnięte rozsyłało ptaki na wszystkie strony świata; dwukrotne krakanie zmuszało towarzystwo do dłuższego lotu w jednej grupie i w pewnym

oznaczonym kierunku. Chrapliwy jakiś ton powodował natychmiastowe zawrócenie się szeregu i szybki powrót do głównodowodzącego. I jak tu nie wierzyć, że mowa ptasia istnieje, choć ludzcy uczeni nie ujęli jej jeszcze w reguły gramatyczne?

7 września przenieśliśmy obóz o kilkanaście kilometrów na wschód, bliżej wylotu doliny Moyen-tö. W tej dolinie mamy przebywać dłużej, bo tam ma przebywać dużo marałuch, do których byki i z dalekich stron powinny się ściągać. Nie daje się z pewnością stwierdzić, kiedy tu rykowisko się rozpoczyna. Jedni z moich ludzi powiadają, że już od 10 września począwszy pojedyncze byki się odzywają, drudzy, iż przed 25 tego miesiąca dobrego ryku się nie można spodziewać. Będzie to pewnie zależne, jak i u nas, od pogody, wczesnej wiosny, mokrego lub suchego roku itp.

Następnego dnia miałem ładne polowanie. Niedaleko obozu wypatrzyliśmy jeszcze w półmroku ran-
nym rogacza, który się cofnął przed nami do wąskiego pasemka lasu; pobieглиśmy szybko naprzód, aby mu zabiec drogę, ale go przez dłuższy czas nigdzie nie było widać; myśląc wobec tego, że się gdzieś bokiem wyniósł, siadam napowrót na konia i jadę z Nabokowem dalej, podczas gdy Ong'kàh bada jeszcze okolicę przed nami z małego wzniesienia. Wtem ów rogacz wychodzi z kawałka lasu, w którym się był zatrzymał i staje na ośmdziesiąt kroków przed Kałmukiem, który siedząc na ziemi, mo-

że tylko ręką za plecami poruszaną dać mi znak, żebym się do niego zbliżył. Całe szczęście, że rogacz dzięki wyniosłości gruntu nas zakrywającej, koni nie mógł zobaczyć. Czołgam się ostrożnie na wzgórze obsadzone przez Kałmuka i strzelam stamtąd do capa, ciągle jeszcze stojącego, nieco nerwowo. Przewodnik ściska mi mimoto z uznaniem za rękę, mówiąc, że widział, jak po strzale kiszki rogacza wypadły. I to było prawdą; kula rozszarpała mu całkiem wnętrzności, a mimo to mógł ten koziół pójść jeszcze z tysiąc kroków i schronić się w strome urwiska i skały. Trzy razy ploszyliśmy go przed sobą i musieliśmy mu dać jeszcze dwie kule. Dobry to cap z długimi 40 cm rożkami bardzo oryginalnymi; wszystkie trzy odnogi rożka są skoncentrowane u samego szczytu i całkiem króciutkie. Rozpiętość parostków bajeczna, wynosi aż 35 cm. W dalszym ciągu podjazdu zajechaliśmy nad głęboką, rozległą przepaść i zasiedli tam w nadziei, że się jakiejś zwierzyny będziemy mogli dopatrzeć. I rzeczywiście zaczęło się niebawem coś w lesie na drugim stoku poruszać. Ong'kàh sądził naprzód, że to marały tam chodzą. Wkrótce jednak pokazało się, iż cały ten las naprzeciwko zaludniony dzilkami. W luczkach między drzewami co chwila było widać przesuujące się stadka dzikich świń, a rechotanie zwierząt zajętych wydłubywaniem śniadania ze ziemi, wciąż się rozlegało. Kałmuk zaczął się naturalnie zaraz śmiać do rozpuku — jak zawsze w obliczu świń,

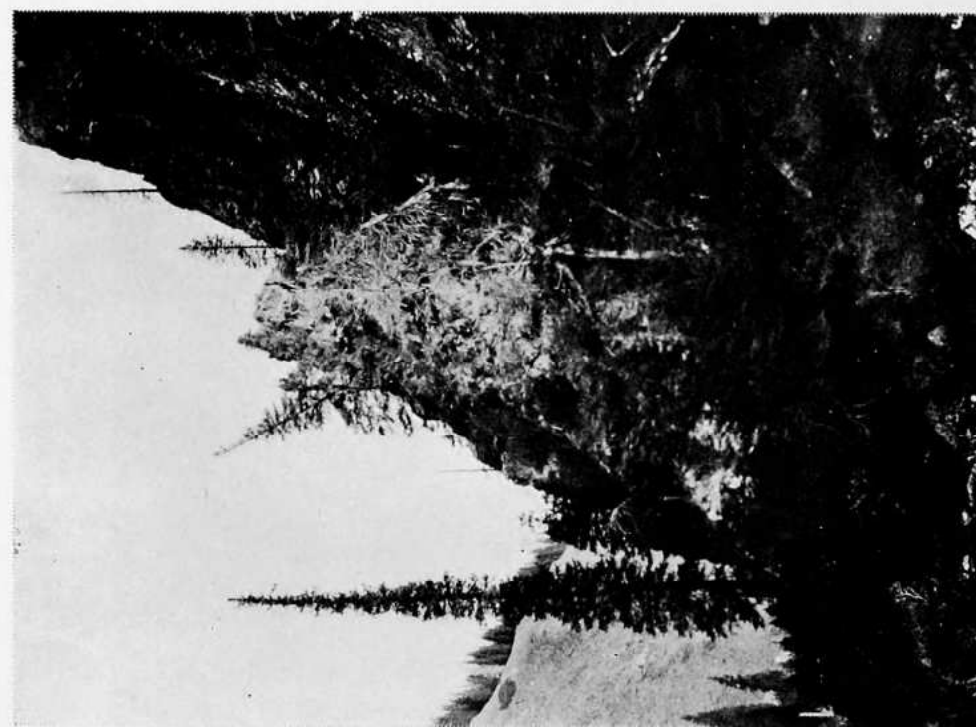
a Kozak spoglądał łakomie na nie, widząc już ich smaczne, tłuste mięso, warzone w obozowej kuchni. Na propozycję moich towarzyszy, aby świnie zejść od góry, obchodząc olbrzymi wąwóz naokoło, odpowiedziałem odmownie; szanse przyjscia do strzału były zbyt małe w porównaniu do wysiłku, z którym takie podchodzenie było połączone. Nie miałem natomiast nic przeciw temu, aby Nabokow zwierzyne nam przypędzić próbował. Ong'kàh był pewny, że część dzików przez przepaść w naszą stronę uciekać będzie. Usiadłszy sobie wygodnie na skale, wycekiwałem spokojnie wyniku tego polowania z nagonką, pierwszego na tej wyprawie. Gdy Kozak się nad dzikami pojawił i na nie huknąć zaczął, zaroił się las cały od dzików, które się chyłkiem na wszystkie strony wynosić zaczęły. Duże odyńce szły pojedynczo, kłapiąc białymi szablami, średnie sztuki biegały zbite w gęste gromady, a samury wiodły za sobą liczne sznurkiem idące prosięta. Wydawało się, że to cała czerń dzicza z gór tutejszych się zgromadziła na tym jednym stoku; było ich tam może sto, a może nawet i 200. Większa część dzików, przeszła mimo hałas robiony przez Nabokowa przez przeciwległy grzbiet góry, dwa stadka natomiast puściły się świńskim truchcikiem wprost ku nam. Wystrzał miałem doskonały, bo po naszej stronie przepaści rosły tylko małe krzaczki. Trwało dziwnie długo, nim świnie przede mną się pokazały; stok nasz był przecięty licznymi, głębokimi paro-

wami, przez które dziki widocznie powoli tylko były w stanie przechodzić. Pierwsze stadko — grubą lochę z całym szeregiem warchlaków — puściłem bez strzału, nie chcąc tym maluczkim odbierać bardzo im jeszcze potrzebnej opiekunki; za nimi pojawiło się sześć grubych sztuk na jakie ośmdziesiąt kroków przed nami defilując. Przedstawiały mi one cel doskonały, mogłem więc czterem sztukom posłać tyleż kul w sam środek ich siwych cielsk; widać formalnie było, jak pociski w dziki uderzały i jak farba po chwili z ran tryskała. Jedna sztuka została na miejscu, druga zrulowała w głąb przepaści, trzecia położyła się czterdzieści metrów od strzału, a czwarta uszła, ciężko postrzelona. Dziki szły po stromej zboczy tak powoli, że mógłbym być jeszcze i do dwóch ostatnich sztuk strzelać; nie chcąc jednak robić zbyt wielkiej rzezi, powstrzymałem się od dalszych strzałów. Nieszczęśliwy traf spowodował, że wszystkie trzy ubite sztuki były maciorami — co prawda olbrzymimi — ale szkoda zawsze, że żadnych kłów w tym pięknym spotkaniu nie zdobył. Poszedłem potem jeszcze za postrzelonym dzikiem, lecz musiałem wkrótce gonitwy zaniechać, postrzałek bowiem wszyl się w takie gąszcze, że się przez nie przedrzeć nie mogłem. Zabawne było, jak Ong'kàh nie mógł w żaden sposób zrozumieć, dlaczego ja i tego dzika czwartego chcę koniecznie znaleźć, kiedy już jest tyle mięsa; nie można mu było w żaden sposób wytłumaczyć, że

myśliwy powinien zawsze wszelkimi siłami starać się odnaleźć zranioną sztukę i że jej nie może zapisać we wykazie ubitej zwierzyny, jeśli jej nie podniósł. Nie mogę więc dziś powiedzieć, że zrobiłem kwadrupletę do dzików.

9 września lał cały dzień deszcz, nie pozwalając mi w ogóle opuszczać namiotu. Strzelec mój chodził ze śrutówką po lesie i ubił tuż koło obozu kilka cietrzewi. Następnego dnia miałem ciekawy widok. W głębi przepaści, nad którą czatowaliśmy na sarny, ukazały się dwa wilki; jeden z nich był kulawy i wyglądał tak obszarpany, nędzny i obdarty, że przypominał mi wilka z bajki o czerwonym kapтурku, który się położył do łóżka i udawał babkę; brakowało mu tylko białego czepeczka. Biedak ten, który wyrwał się pewnie niedawno z łapki kirgiskiej, poświęcając nogę, położył się dla wypoczynku w przepaści nad nami. Spowodowało to mnie, że na łeb na szyję poleciałem na dół na to tylko, aby stwierdzić, że wilczy inwalida tymczasem już się wyniósł. Tego samego dnia wymknął nam się rogacz w sposób dla mnie niezrozumiały. Wypatrzyliśmy go na czystym, krzewami tylko porośłym polu, jak się chował w mały szmat gęściejszych zarośli widocznie z celem zalegnięcia tam na dzień. Poszedłem do niego pewny, iż do strzału przyjsć muszę, bo nie mógł nam ujść niewidziany. A jednak znikł stamtąd jak kamfora i gdybym był przesądny, musiałbym myśleć, że tu jakieś czary w grze były. Nowa

plaga pojawiła się teraz, uniemożliwiając nam zupełnie polowanie wieczorne. Ukazało się tysiące czarnych muszek lilipucich rozmiarów, prawie nieostrzegalnych dla oka, niezaopatrzonego w mikroskop. I te maleństwa śmiały podnosić rękę, a raczej pyszczek na ogromnego człowieka i przegryzają bez żadnych trudności jego grubą skórę, zgrubiałą jeszcze więcej wskutek kilkumiesięcznego pobytu w puszczy! Najprzykrszejszym jest to, że wzięty umyślnie ze sobą dla ochrony od ukąszeń owadów kaptur gazowy na głowę, okazał się bezużyteczny, muszki bowiem malutkie i przez gazę wszędzie się dostać mogły.



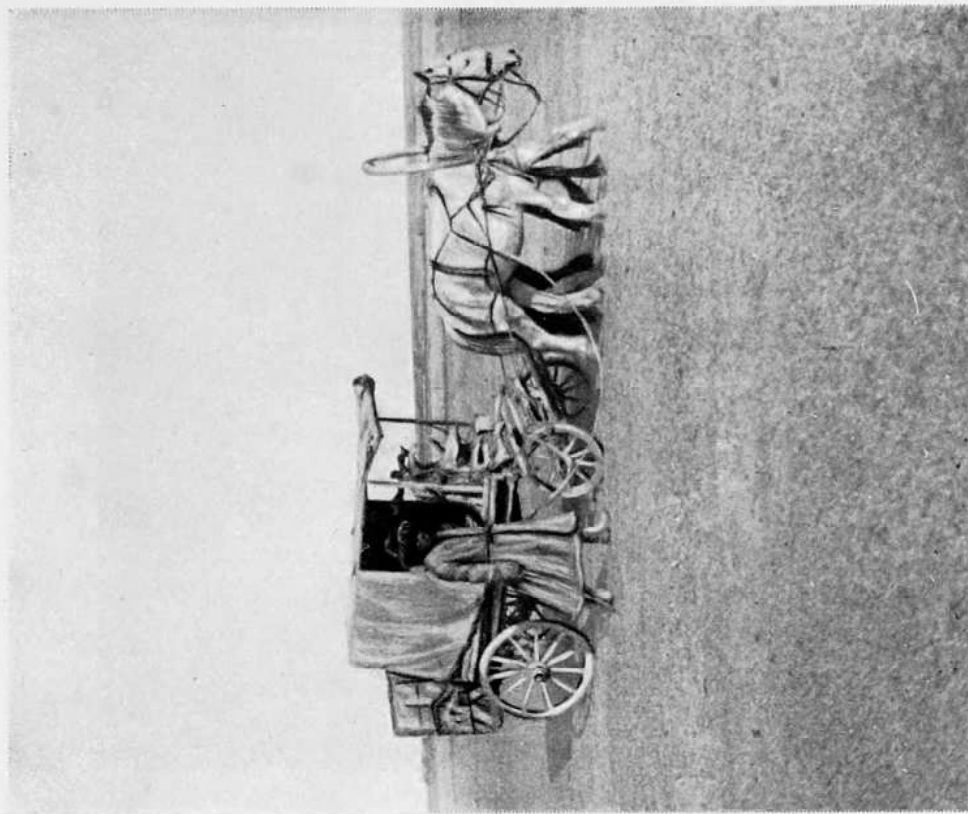
Zbocz w Moyen-tö.



Po ławce na bażanty.



Rozkład bażanci na drzewie.



Telega po złamaniu osi.

VI

POBYT W DOLINIE MOYEN-TÖ

11 września przerzuciliśmy się długim marszem w głąb doliny Moyen-tö, rozbijając obóz w miejscu, w którym ona dzieli się na trzy, czy cztery wąwozy, przeważnie lasem zarośnięte. Tutaj ma być nasza główna kwatera na cały szereg dni, gdyż mamy się w tym obozie doczekać bekowiska jeleni; nim się ono rozpocznie, będziemy strzelać rogacze, ale tylko w niektórych miejscach, dalej od obozu położonych, dokąd marały nie dochodzą. Wieczorem tego dnia strzelałem zupełnie po ciemku do sarny stojącej pod lasem; rożków nie mogłem rozpoznać, ale moi towarzysze zaręczali, że widzą duże rogi. Sarna po strzale uszła galopem w las, tak że wydawała się na czysto chybiona. Ong'kàh jednak usłyszał dwukrotne uderzenie racicami o kłody i wnioskował z tego słusznie, że pygargus już dobrze i pewnie nóg nie mógł stawiać. Znaleźliśmy go rzeczywiście nazajutrz o sto pięćdziesiąt kroków od strzału, lecz — o zgrozo — duże rogi widziane przez Kałmuka i Kozaka okazały się krótkimi parostkami rogacza-szpiczaka. Tego samego dnia zaszedł wypadek nadzwyczaj przykry i jeszcze teraz rwę sobie

włosy na głowie na same o nim wspomnienie. Z trudem wydrapawszy się na dużą kamienistą górę, ujrzałem w głębokiej u nóg swoich kotlinie wyjątkowo liczne zebranie sarnie; było ich tam może z dziesięć sztuk, między tym trzy ładne rogacze. Omawiamy właśnie najlepszy sposób zejścia ich bliżej, gdy nagle zrywa się z trawy na dziesięć kroków od nas potężny kozioł i staje ogłupiały po kilku skokach. Strzelam do niego zepsutym ładunkiem, w którym proch o wiele później, jak to być powinno się zapalił i brzydko go chybiam. Już mi się kilka razy zdarzyło, że pierwszy strzał dany rano zawodzi w ten sposób; następowało to zwykle po bardzo mroźnej nocy, przypuszczam zatem, że naboje, pozostawione na noc w karabinie przemarzają. Będę je w przyszłości trzymał w nocy na sobie pod futrem i uniknę może w ten sposób podobnych przykrych niespodzianek.

Rogacz po strzale galopem ucieka, a ja go drugim strzałem w pędzie na miejscu ruluje. Nie patrzę się zaraz na niego, szukając sposobności strzelenia do innych w dali uciekających kozłów. Widząc jednak, iż one już za grzbiet góry uszły, chcę iść do leżącego opodal capa. Spostrzegam zaraz, że on w międzyczasie podniósł się przodem ze ziemi, a zadem od nas powolutku się odsuwa. Składam się i chcę mu dać drugą, dobijającą kulę, ale Ong'kàh chwytą mnie za rękę i gorąco prosi, abym tego nie czynił, bo rogacz już umiera, a częste strzały

mogą spłoszyć marale, których mateczniki są nie-
daleko. Nierozważnie słucham tej rady i posyłam
towarzyszącego mi Sadak-Paia z moim kordelasem,
aby dokłuł rogacza. Ten ostatni tymczasem znacznie
się od nas był już oddalił sankując się ciągle na za-
dzie; byłem przekonany, że ma kość pacierzową zła-
maną, bo w górze na grzbiecie widać było krwawą
ranę. Cap, a za nim Sadak-Pai znikają za wyniosło-
ścią gruntu, a my posuwamy się powoli za nimi;
za chwilę widzimy Kirgiza daleko już w dole, przy-
zywającego nas do siebie wielkimi ruchami rąk.
Opowiada nam głosem przerywanym płaczem, że
rogacz goniony przez niego przestał wkrótce się san-
kować, podniósł całkiem i zataczając się poszedł
w las. Słyszając to, wiedziałem, że sztuka ta dla nas
bezpowrotnie stracona, bo kula mu widocznie tylko
chwilowo pacierz sparaliżowała; kilkugodzinne po-
szukiwania Kałmuka nie wydały żadnego rezultatu,
toteż nie usłyszał on dziś komplementów ode mnie;
sam zresztą bardzo się wstydził, że mnie od dobi-
cia rogacza powstrzymał.

Teraz zaczęły się dzień w dzień nudne poszuki-
wania za jeleniami, zupełnie niestety bezskuteczne.
Raz tylko miał Nabokow, który szedł z tyłu za nami,
widzieć dużego dwunastaka, pasącego się na polance
leśnej. Ong'kàh jakoś nie bardzo chciał wierzyć te-
mu spotkaniu i przypuszczał, że to bajka, wynal-
eziona przez Kozaka w zamiarze dania dowodu, iż
on mógłby mnie łatwiej od Kałmuka doprowadzić

do strzału. Przyznać trzeba, że tropów wapitich prawie wcale nie widać, o ryku ani mowy, a to tym mniej, iż zrobiło się obecnie bardzo gorąco. Ciężkie to były podchody, bo zbocza doliny Moyentō są wszędzie bardzo strome, a często trzeba się przedzierać przez lasy dziewicze. Mając ciągle nadzieję, że usłyszę nareszcie upragniony świst, którym się ryczenie rozpoczyna, przesiadywałem do późna wieczorem na wyżynach. Powrót do dalekiego obozu pociemku był regularnie męczarnią, od licznych upadków na kamienie i od ukłuć gałęzi kolczastych ucierpiało srodze nie tylko moje ubranie, ale i moja skóra. Dziwnie tu dużo sarn się spotykało; prawie na każdym podchodzie mogłem być strzelać do dobrego rogacza, czego jednak zwykle nie robiłem ze względu na konieczny spokój rewiru. Zamiast się tłuc po tyłu dolinach, szukając po większej części bezskutecznie rogaczy, należało przyjechać tutaj w sierpniu; byłbym tu w trzech tygodniach ubił więcej pygargusów, niż w całym zresztą Tien-szanie w dwóch miesiącach. 14 i 15 września chybiłem po jednym rogaczu, swoją drogą w niekorzystnych warunkach. 16 zaś tegoż miesiąca zrobiłem bardzo ładny dublet do capów na tej samej górze, na której nam onegdaj rogacz prawie z ręki uciekł. Podkradłem się rano jeszcze po ciemku do kozła, pasącego się na spadzistym stoku, i strzeliłem go bez trudności w komorę. Na to wpadł mi niewiadomo skąd, drugi rogaczyk pod same nogi. Oba

zrulowały po zboczy w dół i leżały tam prawie że razem. 17 września wziął sobie los odwet za powołenie dnia poprzedniego, postrzeliłem bowiem i rano i wieczór po rogaczu; farby było u obu dużo, ale po godzinie śledzenia ustała u obu postrzałków. Znowu się okazało, że na tutejszym trudnym terenie nie łatwo dojść zwierzę, który blisko miejsca strzału nie padnie. 18 i 19 września lał deszcz, co u nas wzbudziło nadzieję, że jelenie zaczną się nareszcie odzywać. Ale i ta nadzieja okazała się całkiem nieuzasadnioną. Ong'kàh wyraził przypuszczenie, że rykowisko może przynajmniej we wyższych regionach już się rozpoczęło, gdzie klimat zimniejszy i radził usilnie, aby pojechać w górę jednej z sąsiednich dolin celem wysłuchiwania marałów. Chcąc tam być na wieczornym i rannym podchodzie, trzeba się było zdecydować na przenocowanie w lesie bez namiotu, nie warto było bowiem na jedną noc przenosić się tak daleko z całym taborem — a to tym mniej, że według zapewnienia Kałmuka nie znalazłby tam — odpowiedniej paszy dla koni i równego miejsca na obóz. Mimo swoją odrazę do nocy przepędzanych pod gołym niebem, musiałem się na tę wycieczkę zdecydować, aby się nie narażać na zarzut mego przewodnika, iż nie ubiłem drugiego jelenia z powodu mego zamięłowania do wygody i braku przedsiębiorczości. Wziąłem więc ze sobą tylko łóżko polowe, futro i czajnik i wyruszyłem z dwoma ludźmi w górne strefy doliny, w której

Ong'kàh zeszłego roku miał ze swoim „Amerykanem“ strzelać do dwóch wapitich. Cztery godziny trwała nasza tam jazda urozmaiconą ładnym spotkaniem ze sybirakiem; zaglądając do jednej przepaści po drodze zobaczyłem rogacza w towarzystwie dwóch kóz i zeskoczywszy szybko z konia, chybiłem go dokumentnie na dość bliski dystans. Strzał ten jednak zamiast go spłoszyć, przypędził mi go jeszcze bliżej tak, że drugim strzałem w szyję mogłem go zwalić na miejscu. Kozy, widząc rogacza padającego, straciły zupełnie przytomność i stały długo na kilkanaście kroków przede mną, nie dając się wogóle odpędzić; były to męki Tantala dla moich ludzi, którzy nie mogli mnie namówić do ubicia jednej z kóz, choć długo mi tłumaczyli wyższość delikatnego mięsa koziego nad twardym rogacza. W tej okolicy stwierdziłem znowu piękny stan sarn — i mogłem ubić jeszcze trzy rogacze, lecz powstrzymałem się od strzału ze względu na możliwe jelenie. Tych ostatnich i tu nie ma wcale, nie widzieliśmy nawet świeżego tropu. Kałmuk nie może sobie już zgoła wytłumaczyć nieobecności tych zwierząt w najlepszych ich pieleszach.

Noc pod jodłą nie była wcale tak straszną, jak się tego obawiałem; ludzie ustawili mi łóżko polowe pod majestatyczną *Picea Schrenktana* w miejscu, zupełnie zakrytym od wiatru, i rozpalili olbrzymi ogień uważając na to, aby dym z niego na mnie nie szedł. Siedząc wieczorem przy ogniu opowiada-

łem tym półdzikim, ale dobrym i poczciwym ludziom długo o zachodnich krajach, o nowych wynalazkach ludzkości, o morzu, o zatonięciu Tytanika i o wojskach europejskich. W życiu nie miałem wdzięczniejszych słuchaczy; żaden z nich, nie wyłączając Nabokowa, nigdy w życiu nawet kolei żelaznej nie widział, więc słowa moje o dziwach cywilizacji formalnie w siebie wchłaniali, a żałośnie przytakujące „iii” Kirgizów rozlegało się jeszcze częściej, jak zwykle. Kilka razy zrywaliśmy się na równe nogi, gdyż zdawało się nam, że to upragniony ryk bojowy potężnego borów tutejszych rogala się rozlega. Alarm okazał się każdym razem fałszywy, raz braliśmy wycie wilka, drugi raz hukanie olbrzymiej sowy za głos marala.

Rano zobaczyłem na drugiej górze dwie łanie, same jeszcze chodzące, widocznie więc czas miłosnych zachwytów jeleni wogóle dotąd nie nastął. Wracając do miejsca naszego noclegu, zabiłem znowu dobrego capa. Wycieczka ta więc przynajmniej pod tym względem się opłacała, bo przywożę z niej dwie pary dobrych rożków, 36 i 34 cm wysokich; u pierwszej pary był niestety koniec jednego parostka złamany.

Następne trzy dni znowu nam nie przyniosły żadnego rezultatu, decydujemy się więc na ponowną nocną wyprawę w dolinkę, wyżej i dalej na wschód położoną, która łączy Moyen-tö z doliną Kok-Terek. Po dłuższej męczącej jeździe wynalazłem do-

bre miejsce na nocleg i pojechałem następnie z Kałmukiem we dwójkę na podjazd. U wejścia do zalesionego wąwozu słyszemy daleko w górze przeźrązliwe wycie, a tuż obok jako odpowiedź cały żałośny chór głosów piskliwie wyjących wilcząt. Matka zapowiadała z góry swój powrót do gniazda. Wilczęta były tak blisko nas, żeśmy je wnet zobaczyć spodziewali się, toteż przyczailiśmy się za drzewami, aby ewentualnie przyjść do strzału do wilczycy. Jeden z młodych wilków niebawem rzeczywiście wytknął pysk spomiędzy drzew, ale poczuwszy nas wrócił zaraz w tył. Matka, ostrzeżona głosami małych, także już się nie odzywała. Ten epizod tak nas opóźnił, że dochodząc w górę zboczy, skąd mogło się wąwóz obserwować, spostrzegliśmy z ubolewaniem, że już zmierzch zapada. I wtedy usłyszałem przed sobą łamanie jelenia między drzewami, a następnie pierwszy raz w życiu i kilkakrotnie jego odezwanie się. Ryk marała jest brzydszym i dziwaczniejszym od wszystkich głosów zwierzęcych. Złakłem się formalnie, słysząc go dziś; brzmiało to, jakby rzeżenie potępieńca w ogniu smolnym prażonego lub jak biadanie płaczki czynnej na pogrzebie murzyńskim. Rozpoczyna się przeciągłym skrzypiącym świstem, zamienia się potem w jakieś suche skrzeczenie, a kończy chrapliwym trąbieniem o czterech tonach, z których czwarty jest najwyższy. Anglik, który dużo na wapiti polował, porównywał jego ryk z trąbieniem konduktora na *mail-coachu*.

Było już za późno, aby jelenia podchodzić. Siedzieliśmy jednak długo, aby zbadać, któredy i jak on się będzie posuwać. Całkiem już w nocy usłyszeliśmy drugiego byka, chrapiącego w głębi wąwozu.

Noc miałem dziś niespokojną, spodziewając się, że może jutro otrzymam nagrodę za dwutygodniowe pracowite szukanie tych tak niedostępnych zwierząt. Księżyc nadto tak dziwnie jaskrawo świecił, że mi spać nie pozwalał; myślałem, że leżę w pokoju zbyt jasną lampą oświeconym. W nocy jeszcze o trzeciej poszliśmy do wąwozu jeleniego na to tylko, aby z rozpaczą stwierdzić, że marały wyniosły się stamtąd w ciągu nocy; nie miały one pewnie łań ze sobą i poszły szukać za nimi, a może chciał silniejszy z nich wypędzić słabszego i pognął za uciekającym. Ong'kàh powiada, że wapiti w czasie bekowiska ciągle wędrują, przechodząc w ciągu jednej nocy z jednej do drugiej doliny, choćby i 50 km oddalonej, co polowanie na nie niezwykle utrudnia. Całe nieszczęście, żeśmy się wczoraj tymi wilkami zajmowali; gdyby nie one bylibyśmy mogli za dnia podejść jelenia.

Od 25 do 28 września panowała w lesie zupełna cisza i podchody nasze były nad wszelki wyraz nudne. Ludzie w obozie zniechęceni tym zbyt długim a bezowocnym polowaniem codzień mnie proszą, abym wyprawę nareszcie zakończył. Zapasy się już przeważnie wyczerpały, a — co najprzykrzejsze — nie mamy już soli od kilku dni. Europejczyk nie ma

zupełnie wyobrażenia co za męczarnia jeść mięso i rosół niesolone, a ja mam już od szeregu dni tę przyjemność. Kirgizi powiadają mi, że, nim dojedziemy do Narynkola, skończy się czas, na który ich nająłem, a Nabokow straszy mnie zapowiedzią, że lada dzień muszą spaść wielkie śniegi w wysoko położonej Karkarze, wskutek czego przez przesmyk Santasz już się nie przedostanie i chyba w Narynkolu u niego będę musiał zimować. Strzelec mój, tęskniący już od miesięcy za ojczyzną, grozi mi samobójstwem, gdybym go jeszcze długo w puszczy trzymał. To wszystko przekonało mnie o konieczności zakończenia wyprawy, chciałem tylko krótką jeszcze zrobić próbę, czy w ostatniej chwili nie uda mi się osiągnąć przecież celu moich marzeń, zdobywając drugi wieniec jeleni. Umówiłem się więc z moimi ludźmi, że w razie zabicia marała wracamy tego samego jeszcze dnia do domu; w przeciwnym zaś wypadku będzie pierwszy dzień października ostatnim dniem pobytu w górach.

29 września, pojechaliśmy na noc w las, do położonej blisko doliny Dżirentai, gdzie w swoim czasie widzieliśmy marała, którego Ong'kàh przez zbytnią ostrożność nie podszedł. Trzecia ta noc przepełdzona pod drzewem dała mi się porządnie we znaki. Już w drodze do miejsca noclegu złapała nas zawieja, zasypała nas wilgotnym śniegiem i przemoczyła wszystkich do skóry. Wieczorem śnieg ustał, więc wysuszywszy ubranie nad ogniem położyłem

się spokojnie spać nic złego nie przeczuwając. Jodły większej w pobliżu nie było, więc tylko samą głowę pod gałęzie schować mogłem. Budzę się w nocy i czuję wielki ciężar na sobie tak, jakby ktoś na mnie leżał. Myślę w pierwszej chwili, że to może rusalka leśna, która podczas wczorajszej śnieżycy przemarzła, pod moim futrem ogrzać się chciała i wobec wąskości łóżka polowego swe różane ciało na mnie złożyć musiała. Chcąc tak rzadką dla śmiertelnika sposobność wyzyskać i tę feeryczną istotę popieścić wyciągam rękę ku ciężarowi na mnie spoczywającemu i zanuzam ją — o zgrozo — w kilkunastocentymetrowej warstwie lodowego śniegu, który w ciągu nocy na mnie napadał. Na szczęście miałem przynajmniej głowę zakrytą, bo byłbym się jeszcze udusił pod tym zimnym całunem. W takich warunkach nie wydał i poranny podchód żadnego rezultatu.

Raz nam się wydawało, że gdzieś daleko wapiti się odezwał, ale może tylko stęskniona wyobraźnia na słuch nasz podniecająco wpłynęła. Z powrotem do obozu były trudności, gdyż konie przyprowadzone do rozpaczy śniegiem, który ziemię, a zarazem i paszę na pół metra wysoko zakrył uciekły tak daleko, że je ledwo odnaleźć mogliśmy.

Wczoraj, nim śnieg upadł, znalazłem, grzebiąc w liściach za chrząszczami, kawałek starego, prawie już skamieniałego rogu jeleniego. Warto przytoczyć rozmiary tego odłamka, który odpowiadał

części rogu od nadocznej do środkowej odnogi. Długość jego wynosiła 1 m, więc podług tego szacować należy cały róg na 150—160 cm. Grubość w środku zaś mierzyła 26 cm. Są to rozmiary rogów jak u jelenia przedpotopowego! Teraz pewnie takich marałów już nie ma, choć Ong'kàh zapewnia, że tego rodzaju olbrzymy i obecnie jeszcze żyją, ale ich człowiek nigdy nie zobaczy, bo tacy starcy już z gąszcza w ogóle nie wychodzą. Co do mnie to sądzę, że wzrost dzikich zwierząt wszędzie stale się zmniejsza równocześnie ze znikaniem wielkich puszczy, w których one dawniej niepodzielnie panowały. Tak i u nas zastąpiła przyroda potężnego jelenia średnich wieków, który według opisów i życia współczesnych bywał i czterdziestakiem i sześćdziesiątkiem, stosownie do zmienionych okoliczności bytu naszym, obecnie żyjącym średnim jeleniem.

Na popołudniowym podchodzie, już z naszego obozu przedsięwziętym zobaczyłem jeszcze jednego marała, pewnie ostatniego w życiu. Zlustrowawszy cały szereg pagórków, jak zwykle bezskutecznie, zabieraliśmy się do powrotu, gdy daleko z tyłu lekko zaświstał wapiti. Popędziliśmy pośpiesznie z kilometr nazad, przewracając się często i kalecząc sobie przytęm ręce i kolana; stwierdziliśmy wkrótce, że marał odżywa się na innym łańcuchu wzgórz, przedzielonym od nas głęboką rozpadliną. Wkrótce ukazał nam się on sam na przeciwległych zboczach szedł raźnie naprzód, wężąc po ziemi i wydając od

czasu do czasu chrapliwy świst; szukał widocznie za marałuchą. Był szalenie daleko, ale może nie dalej jak marał przeze mnie poprzednio zabity. Kałmuk patrzył pytająco na mnie, czy też może nie zażądam karabinu, widziałem że jeleni idzie nieco ku dołowi i mogłem mieć więc nadzieję, że będzie można do niego jeszcze się zbliżyć. Pobiegliśmy w tym celu ukosem ku dolinie i ujrzeli niebawem marała, wchodzącego do wąskiego pasma jodeł. Przygotowałem się teraz do strzału pewny, że zwierzę wkrótce na czyste wyjdzie. Jeleń niestety zatrzymał się dłużej między drzewami, porykiwał tam i łamał gałęzie, a tymczasem zapadł zmierzch, a równocześnie przepadła nadzieja zdobycia tego rogala, który był wspaniały w potęgze swoich rogów. Wieniec jego miał tylko trzy końce u góry, ale te odnogi były tak długie, że każdą z nich na 60 cm długości szacować muszę. Byk ten zrobił mi także wrażenie całkiem białego zwierzęcia; gdyby był miał krzyż między rogami, byłby był całkiem podobny do jelenia, który według tradycji nakłonił św. Huberta do zaniechania myśliwstwa. Co do mnie to sądzę, że ten wielki święty mimo swoje nawrócenie dalej jeszcze polował i może tylko mniej czasu, niż przedtem tej szlachetnej, a w każdym razie dozwolonej rozrywce poświęcał. Nie wiem, czym nie przespekulował tego marała; szanse trafienia go były w każdym razie minimalne.

Dwa następne dni chodziliśmy rano i wieczór

po tych samych wzgórzach nie widząc więcej ani śladu jelenia. Mam wrażenie że marały ze względu na małą liczbę łań ciągle wędrują za niemi szukając, i dlatego też wcale nie ryczą. Wobec konieczności wyjazdu pozostanie dla mnie w ogóle tajemnicą, czy w tym roku rykowiska wcale nie ma, czy też ono może wyjątkowo późno się odbędzie.

30 września był dniem pod każdym względem feralnym, stanowiącym godne zakończenia tej w swej ostatniej części dziwnie niefortunnej ekspedycji.

Rano kłapałem pięć razy do rogacza dobrze mi na strzał stojącego — jak się zdaje — z powodu zamarznienia tłuszczu, co unieruchomiło sztyft uderzający w kapslę. Po południu zaś na ostatnim moim podjeździe w Górach Niebiańskich chybiłem — nie wiem już — którego rogacza, co wywołało płacz i zgrzytanie zębów u moich ludzi, już od kilku dni samą mąką żywić się zmuszonych. Aby ich pocieszyć strzeliłem pod sam wieczór do stadka kóz galopujących po dość od nas oddalonym stoku i zrułowałem pięknymi strzałami w pędzie aż dwie kozy. Rogacze w takich warunkach strzelane byłyby niewątpliwie uszły cało.

Na samo zakończenie miałem wypadek, który powinien się był skończyć utratą oka. Zostawiając ludzi przy kozach, które mieli obielić, puściłem się sam do obozu, myśląc że tam łatwo trafię; zaraz jednak wpakowałem się w jakiś labirynt krzaczysty i wnet nocą zaskoczony musiałem się po omacku

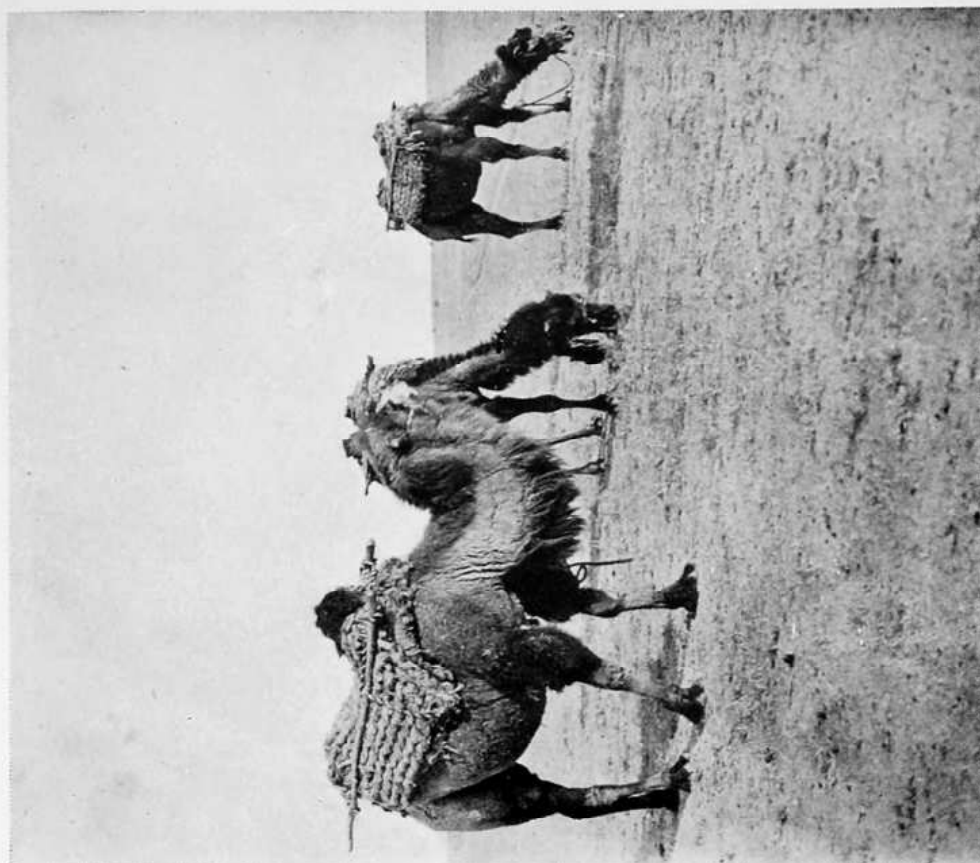
przez gąszcz przedzierać. Jakaś stercząca gałąź uderzyła mnie ze straszną siłą w oko, rozbijając na miazgę okulary, które na szczęście po zakończeniu polowania zdjąć zapomniałem. Uczulem szalony ból w oku i kładąc na nie dłoń czulem pociemku jak z niego ciepła strumieniem płynęła krew. Byłem pewny, że oko wybite i że wrócę do Europy jako jedno-oki, zbolący cyklop. Zabłądziłem potem zupełnie tak, że dopiero pocziwy Kałmuk, który na moje rozpaczliwe hopkanie się zjawił, z lasu mnie wyprowadził. Zimne okłady w ciągu nocy poprawiły dość prędko stan oka, zadraśniętego tylko gałęzią tak, że budząc się byłem spokojny co do przyszłości jednego z tych mojej duszy zwierciadeł.

Ostatnimi dniami sprawił mi Ong'kàh przykry zawód; przyzwyczaiłem się do jego widoku w całej krasie wspaniałego długiego warkocza, a tu on pięknego poranka zjawia się bez niego, a raczej z krótkim kosmykiem przypominającym smutnie zwisający ogonek małpy przeziębionej w europejskim klimacie. Sądziłem, że sobie warkocz wobec braku jeleni w przystępie rozpacz obciął lub zawisłszy jak Absalon w lesie na gałęzi oberwał. Na moje pytanie, co się z jego najpiękniejszą w tym wypadku męską ozdobą stało odpowiedział mi ze wstydliwym uśmiechem, że schował warkocz do kuferka bojąc się go zupełnie zniszczyć. A więc i tu tak z dala od cywilizacji znają włos fałszywy! A ja tak często wyśmiewałem się w Europie z kobiet i mężczyzn,

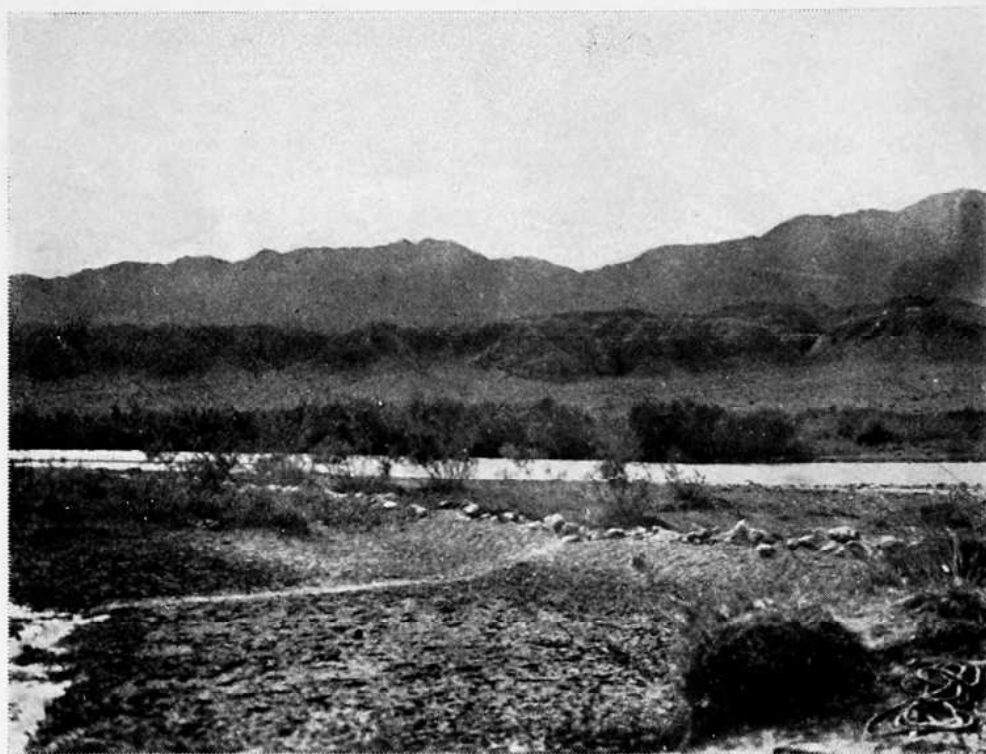
starających się w sztuczny sposób poprawić wygląd części głowy, która powinna być owłosioną. Kiedy się i ludy pierwotne do takich uciekają środków, to jest to widocznie rzecz naturalna, a zatem i nie śmieszna.



Urwisze kirgizcy na bykach.



Wielbłądy na popasie.



Rzeka Tekkès.



Krajobraz u ujścia wielkiego Muzarta do Tekkèsu.

VII

DROGA POWROTNA

1 października wierny danej ludziom obietnicy, opuściłem obóz w dolinie Moyen-Tö, w którym przeżyłem trzy długie tygodnie. Muszę przyznać, że z tej doliny, w której mi się tak niepowodziło, bez uczucia żalu wyjeżdżałem. Ostatnimi czasy cierpieliśmy dużo z powodu niezwykle licznych ós, które po bąkach i po mikroskopijnych czarnych muszkach nas prześladowały. Do każdego płynu, przeznaczonego na wypicie, wpadało ich naraz po kilkanaście sztuk. A pić rosół bez soli, ale z osami, a herbatę bez cukru, którego już dawno nie ma, okraszoną tymi owadami, do przyjemności zaliczać nie należy. Długim bardzo marszem dojechaliśmy do rzeki Tekkès w miejscu, gdzie do niej wpada rzeczka Moyen-Tö. Chciałem tu choć jeden dzień zapolować na prawdziwe mongolskie bażanty, które według zapewnień moich ludzi licznie nad wszystkimi rzekami, w równinie płynącymi, przebywać mają; chciałem bliżej zapoznać się z tymi potomkami protoplastów naszego bażanta. Nad Tekkèsem rozciąga się z obu stron szeroka wstęga lasu, składającego się z drzew liściastych: brzoź, jesionów,

lip i wierzb, podszytych kolczastą tarniną i tworzącą od czasu do czasu łączki, po większej części bagniste. Wyglądało to zupełnie jak zapuszczony park; takie ogrody widzi się u nas naokoło dworu szlachcica, któremu grozi subhasta lub który ojcowiznę przeznaczą na parcelację. W żółtej, czerwonym przetkanej szacie jesiennej był las ten śliczny, sprawiając poniekąd smętne wrażenie.

Nazajutrz urządziłem sobie łowy na bażanty; szło nas tylko pięciu więc sądziłem, że ledwo z trudnością będzie możliwe, z tej ciernistej gąszczy choć kilka ptaków wypędzić; przypuszczałem, że będzie ich o wiele mniej, jak w europejskim rewirze, w którym nie prowadzi się sztucznego chowu. Można sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy zaraz z pierwszego krzaka zerwało się dwa koguty, wielkie jak pawie, a potem z ziemi wznosiły się ciągle bukiety tych wspaniałych ptaków i to bez żadnych wysiłków z naszej strony, bez krzyku i przy wymijaniu wszystkich większych gęstw, przez które przejść byłoby uciążliwie. Takiej ilości tego ptactwa nie widziałem w żadnej czeskiej bażantarni, i wierzyć się nie chce, że te ptaki prześladowane i przez Kirgizów, łowiących je sokolikami, i przez rozmaite drapieżne zwierzęta, których nie brak, tak się tutaj rozmnożyć mogły. *Phasianus mongolicus* jest jednym z piękniejszych przedstawicieli rodziny bażanciej. Koguta charakteryzuje dwa centymetry szeroka, biała obrączka na szyi, która u ptaka lecącego

daleko bardzo widać. Płaszcz ma przeważnie fioletowy z bardzo małą przymieszką piór zielonych, a skrzydła zupełnie srebrno-szare. Stary kogut jest olbrzymem wobec naszych; waży pewnie dwa razy tyle.

Nie oddalając się zbyt od obozu zabiłem w ciągu kilku godzin 26 bażantów i, gdyby nie mała liczba ładunków śrutowych, wziętych ze sobą na wyprawę, byłbym mógł dnia tego łatwo i 50 bażantów ubić.

Swoją drogą dobrze się stało, że mi amunicji zabrakło, bo zasmakowawszy w tym ślicznym polowaniu byłbym w ładnej kniejce nad Tekkèsem i kilka dni przepędził, nie bacząc na tęsknotę moich towarzyszy za domem.

Oprócz bażantów zabiłem kozę — zdaje się, że w równinie przebywa też dużo pygargusów — cietrzewia, dużego orła rybitwę i — o miłe zdziwienie — dwie słonki. Te ostatnie są — zdaje się — tymi samymi długodzióbami, co nasza *Scolopax rusticola*. Już poprzednio ruszyłem w górach dwukrotnie słonki, które mi się wydały malutkie i były bardziej rude od naszych.

Strzelanie z śrutówki bawiło nadzwyczajnie Kałmuka i Kirgizów, którzy znali dotąd tylko kulowe strzelby. Widząc bażanty, jak groch na ziemię padające krzyczeli w niebogłosy i aportowali mi je, jak psy, biorąc ptaki w zęby. Strzały ściągnęły też Kirgizów z pobliskiego aułu; jeździli oni potem cią-

gle konno ze mną, dziwiąc się przemyślności białych, którzy wynaleźli broń palną, mogącą nawet ptaka w locie zatrzymać.

Długie bardzo pochody doprowadziły karawanę w trzech dniach do Narynkola, gdzie miało nastąpić jej rozbrojenie i likwidacja interesów wyprawy. Widać było, że wszyscy uczestnicy wyprawy czują się szczęśliwi z powodu zakończenia czteromiesięcznego prawie w puszczy pobytu. Przyznaję się, że i ja się cieszyłem na powrót do cywilizacji i żalu z powodu opuszczania środkowo-azjatyckich rewirów, a to pewnie dlatego, ponieważ przeszedłem wiele bardzo chwil przykrych, wobec ilości których przyjemne momenty zbyt rzadkie były.

W miłej stancy kozackiej załatwiłem w dwóch dniach wszystkie przygotowania do dalszej podróży. Największe trudności sprawiało mi upakowanie zdobytych myśliwskich i zoologicznych; chodziło głównie o to, aby je bezwarunkowo móc zebrać ze sobą i to na jednej teledze razem z nami. Z dwoma wozami nie mógłbym dla braku koni nigdy przejechać przez cały szlak pocztowy aż do kolei; posyłać zaś tak cenne dla mnie rzeczy osobno wydawało mi się zbyt ryzykowną próbą. Kupiliśmy więc ogromną drewnianą skrzynię, która wypełnioną skórami i częścią 40 par zdobytych rogów umieściliśmy z wielkimi trudnościami z tyłu wozu i przytwierdzili do niego żelaznymi silnymi drutami. Bóg wie, czy wóz ten za wielki dla niego ciężar wytrzyma. Resztę

rogów obszyliśmy w filc i rozłożyli we wnętrzu całej telegi. Skutek tego był taki, że nie było w ogóle, gdzie siedzieć! Nawet na miejscu przeznaczonym dla woźnicy sterczał wysoko w górę wieniec marała, a furmani nasi byli zmuszeni siedzieć już prawie na dyszlu.

Z prawdziwym żalem pożegnałem się z Nabokowem, Kałmukiem i moimi Kirgizami. Przyznać muszę, że nie miałem dotąd w życiu nigdzie tak porządnej, wiernej i uczciwej służby.

Smutno powiedzieć, że o wiele gorzej od tych niecywilizowanych ludzi sprawował się wzięty z Polski służący, który mi ciągle robił awantury i zadzierał się z innymi ludźmi, i którego przemocą prawie powstrzymywać musiałem, aby w przystępie szału nie porzucił karawany i nie uciekł, narażając się na pewną zgubę w nieznanej mu pustyni. Na jego częściowe uniewinnienie dodać muszę, że był fizycznie za słaby do wytrzymania ciężkich trudów, z taką wyprawą połączonych, i że wskutek przemęczenia dostał prawdopodobnie jakiejś choroby nerwowej.

Do Przewalska dojechaliśmy szczęśliwie, przebywając bez wypadku przełęcz Santusz, na której śniegu jeszcze wiele nie było. Zdaje się jednak, że była to ostatnia chwila ku temu, gdyż w pobliżu Przewalska zaskoczyła nas wielka śnieżycą, która trwała aż dwa dni i przełęcz pewnie całkiem zasypać musiała, zamykając ją jako drogę komunikacyjną

na cały przeciąg długiej tutejszej zimy. Truchleje na samą myśl, że mało brakowało, a byłbym zmuszony przepędzić samotnie sześć miesięcy między Kozakami nad chińską granicą.

Na płaskowzgórzu koło Karkazy widziałem ogromne stada dropi na stepie i strzelałem do nich nawet kilkakrotnie, ale bez skutku. Były to ostatnie moje strzały w Azji, gdyż w Przewalsku ostatecznie strzelby zapakowałem. Później tego żałowałem, spotkałem bowiem nad jeziorem Issykkul liczne orły, a potem w wąwozie nad rzeką Czu kilka sępów. Wszystkie te ptaki siedziały, nic się nie bojąc tuż koło drogi i można je było nawet śrutem łatwo ubić.

W Przewalsku zostałem znowu serdecznie przyjęty i ugoszczony przez cały tamtejszy świat urzędowy. Gościnność tę mogłem teraz jeszcze lepiej ocenić jak za pierwszym razem; dostawszy się po tylu niewygodach do quasi-cywilizacji doznawałem tak silnych rozkoszy, o jakich człowiek, nieopuszczający krajów, posiadających tak zwaną kulturę, wyobrażenia nawet mieć nie może.

Ośmnastodniowa droga kołowa z Przewalska do stacji kolei żelaznej Kabuł-Sai była tak samo okropna, jak w maju. Mieliliśmy naturalnie kilka przykrych przygód z powodu rozpędzenia się koni i wywrotu woza, a raz uniknąłem niemal cudem tylko groźnego wypadku. Chcąc koniecznie dojechać na noc do większej stacji pocztowej, jechaliśmy dnia

tego długo wieczorem całkiem pociemku; powoził młody rosyjski kolonista, który z powodu rogów, zajmujących miejsce dla niego przeznaczone, siedzieć musiał bardzo niewygodnie na samym brzeżku telegi. Po kilkunastugodzinnej jeździe byłem, jak zwykle, bardzo wyczerpany i nawpół przytomny. Nagle wydaje mi się, że woźnica, który się przede mną w ciemnościach majaczy — gdzieś znika i czuję zarazem, że konie nas szalonym galopem ponosić zaczynają; domyślam się, że furman wypadł z wózka i że należy za każdą cenę konie zatrzymać, jeżeli nie mają nas i wóz rozbić na drzazgi. Poomacku szukam za licami, ale nie znajduję ich na wozie; muszą widocznie ciągnąć się po ziemi. Nie ma co zwlekać, tylko trzeba z wózka zeskoczyć i starać się lice pochwycić. Skaczę niefortunnie tak, że lice mnie za nogi łapią i na ziemię obalają. Leżę teraz na kamienistej drodze, a konie mnie ciągną kilkanaście metrów za sobą. Czułem, jak głowa moja coraz bardziej się zbliżała do szybko obracającego się koła i myśl mi przechodzi przez mózg, iż za chwilę koło mi głowę przejechać musi i będzie już po wszystkim. Na szczęście ciało moje wleczone po ziemi wydało się trójce naszych rumaków za ciężkie, tak, że uznała za właściwe przestać uciekać i stanęła. Podniosłem się z ziemi w okropnym stanie; nie tylko ubranie mi w strzępach zwisało, ale i skóra w wielu miejscach, a zwłaszcza na brzuchu całkiem była zdarta; poza tym

byłem zdrow i cały. Do stacji było już niedaleko, więc mogłem wkrótce rany obmyć i obandażować. Woźnicy, który wypadł z wozu na jakiejś dziurze, nic się nie stało. Miałem tu znowu dowód niezwyklej uprzejmości rosyjskich urzędników w Turkie-stanie. Na tym samym przystanku nocował przypadkowo naczelnik powiatu, który w sprawach służbowych swój okręg objeżdżał. Dowiedziawszy się o moim przyjeździe i wypadku, nie tylko zaraz przyszedł sam do mnie, ofiarując mi swoją pomoc, lecz posłał także jeszcze w nocy dwóch żandarmów kirgiskich na miejsce wypadku z poleceniem odszukania rewolweru, który podczas wleczenia mnie po ziemi był się oderwał; niestety żandarmi nie odnaleźli tego doskonałego rewolweru, za którym bardzo żałowałem.

Mniej więcej w połowie drogi wypowiedziała nam telega służbę wskutek złamania się osi; nawet ta podwójna, żelazem umocniona oś nie zdołała wytrzymać ciężaru wielkiej paki z rogami z tyłu wozu umieszczonej. Musieliśmy z tego powodu czekać trzydzieści sześć godzin na odludnej stacyjce w stepie a oś posyłać do naprawy konnym posłańcem o jakie pięćdziesiąt wiorstw stamtąd. W ogóle nie można sobie wyobrazić, jakie to różne przeszkody człowieka w takiej podróży zatrzymywać mogą. Niedaleko Aulie-Ała przeszkadzał nam bardzo w podróży archirej, nowo mianowany książę kościoła prawosławnego we Wiernym; jechał do swojej stolicy

biskupiej z wielkim orszakiem duchownych, którzy naturalnie wszystkie pocztowe konie dla siebie zabierali. Archireja, który bardzo imponująco wyglądał, mając wypieszczoną twarz i ręce i długą jedwabistą czarną brodę, przyjmowano wspaniale na wszystkich stacjach, ozdobionych pięknie wschodnimi dywanami, które Kirgizom kazano dostarczyć. Od niego dowiedziałem się o wybuchu wojny bałkańskiej. Na innym przystanku czekałem znowu kilka godzin z powodu spotkania się z kobietą, ukąszoną przez psa wściekłego. Biedaczka jechała już trzy tygodnie aż z Semipałatyńska i chciała jak najprędzej dostać się do szpitala w Taszkencie wiedząc, iż chodzi tu o jej życie; na jej prośbę ustąpiłem jej naturalnie koni, dla mnie zarezerwowanych. Opowiadała mi, że w południowej Syberii ginie corocznie mnóstwo osób wskutek ukąszenia przez wściekłe zwierzęta; niewiadomo, czy to bardzo tam gorące lato wywołuje u zwierząt wściekliznę częściej niż u nas.

Ciekawe były zmiany temperatury, przez które od wyjazdu z Przewalska przechodziłem. Tam panowała już zupełna zima i śnieg na dobre leżał; za jeziorem Issyk-Kul było w dzień łagodnie, a w nocy mroźno — mniej więcej tak jak u nas w końcu października. Czym się jednak więcej do Taszkentu zbliżałem, tym cieplejszym stawało się powietrze, a w mieście samym było tak gorąco, jak u nas w lipcu, i w letnim nawet ubraniu trudno było wytrzy-

mać. Musiałem do Taszkientu pojechać celem oddania trofeów i zbiorów zoologicznych spedytorowi do dalszego transportu. Widać tam było teraz moc pięknych owoców, między którymi gruszki zwłaszcza i winograd były nadzwyczaj słodkie i soczyste.

Z Taszkientu dojechałem w ciągu sześciu dób jednym i tym samym wagonem do Moskwy. Podróż przez niezmierne, mało zaludnione stepy nad Morzem Aralskim była bardzo monotonna; powoli robiło się coraz chłodniej, a w Moskwie zastałem zupełną zimę z piętnastostopniowym mrozem. Jest to dla podróżnika bezwarunkowo najciekawsze miasto na naszym kontynencie. Dziwna mieszanina europejskiej kultury z azjatycką malowniczością czyni silne wrażenie. Ulica wspaniała, która mogłaby być ozdobą każdej stolicy zachodniej, krzyżuje się często z brudnym i wąskim zaułkiem, godnym powiatowego miasteczka. Niezliczone cerkwie przedstawiają się na zewnątrz po większej części estetycznie, a polichromia kopuł przerywa mile szarzyznę miejskich kamienic. Bizantyjskie ich wnętrza jest natomiast przeważnie zbyt bogato ozdobione i przeładowane złotem. Oglądając tych wschodnich świętych, wymalowanych na wszystkich ścianach, mimowolnie myśleć się musi, iż im samym pewnie nie swojsko w tym otoczeniu zbyt jaskrawych, niedobrych kolorów i ozdób złotych bez miary i celu artystycznego rozmieszczonych. Nieprzyjemne wrażenie, odnoszone w cerkwiach, potęgują się jeszcze,

gdy się obserwuje bijące ciągle pokłony tłumy pobożnych; widać, że oni nie z miłości i wdzięczności Bogu cześć oddają, lecz że nimi więcej kieruje strach przed karą w przyszłym życiu lub chęć okazania swej pobożności wobec innych. Pod jednym jeszcze względem ma Moskwa cechę wybitnie wschodniego miasta; niezliczona jest tu zawsze ilość służby, którą każdy surdutowiec rozporządzać może; nie ma mowy o tym, aby ci jakieś drzwi pozwolono otworzyć lub kapelusz własnymi siłami powiesić na gwoździu; zgraja istot służebnych rozwiera przed tobą wszystkie wrota, a kilku naraz ludzi galonowanych wyrywa ci z rąk czapkę, którą zamierzasz gdzieś złożyć. Zbyt niedawno zniesiono tu pańszczyznę, więc Rosjanin nie przyzwyczał się jeszcze do tego, aby w takich razach obchodzić się bez pomocy.

Z Moskwy do domu to już tylko krótka przejażdżka; do Krakowa przybyłem w pierwszych dniach listopada, podróż moja trwała zatem trochę więcej niż sześć miesięcy. Memu strzelcowi nie udało się próba przekroczenia granicy rosyjskiej o własnych siłach. Tak się spieszył do domu i tęsknił za narzeczoną, że nie chciał czekać na to, aż ja po kilkodniowym pobycie wyjadę z Moskwy. Ponieważ był wpisany na mój paszport, tłumaczyłem mu, iż nie ma mowy o tym, aby go beze mnie przez granice puszczono. On jednak był pewny, że takiego bywalca, który pół świata zwiedził, nie będą śmieli zatrzymać, i pojechał naprzód, przyjmując odpowie-

działność za swoje dalsze losy. Pierwszą osobą, która mi się na peronie w Granicy ukazała, był mój niefortunny Pansa, którego sam wygląd wzbudzał serdeczne współczucie; siedział trzy dni na stacji pod silną strażą i musiał biegać do każdego pociągu, aby się przekonać, czy już przyjechałem.

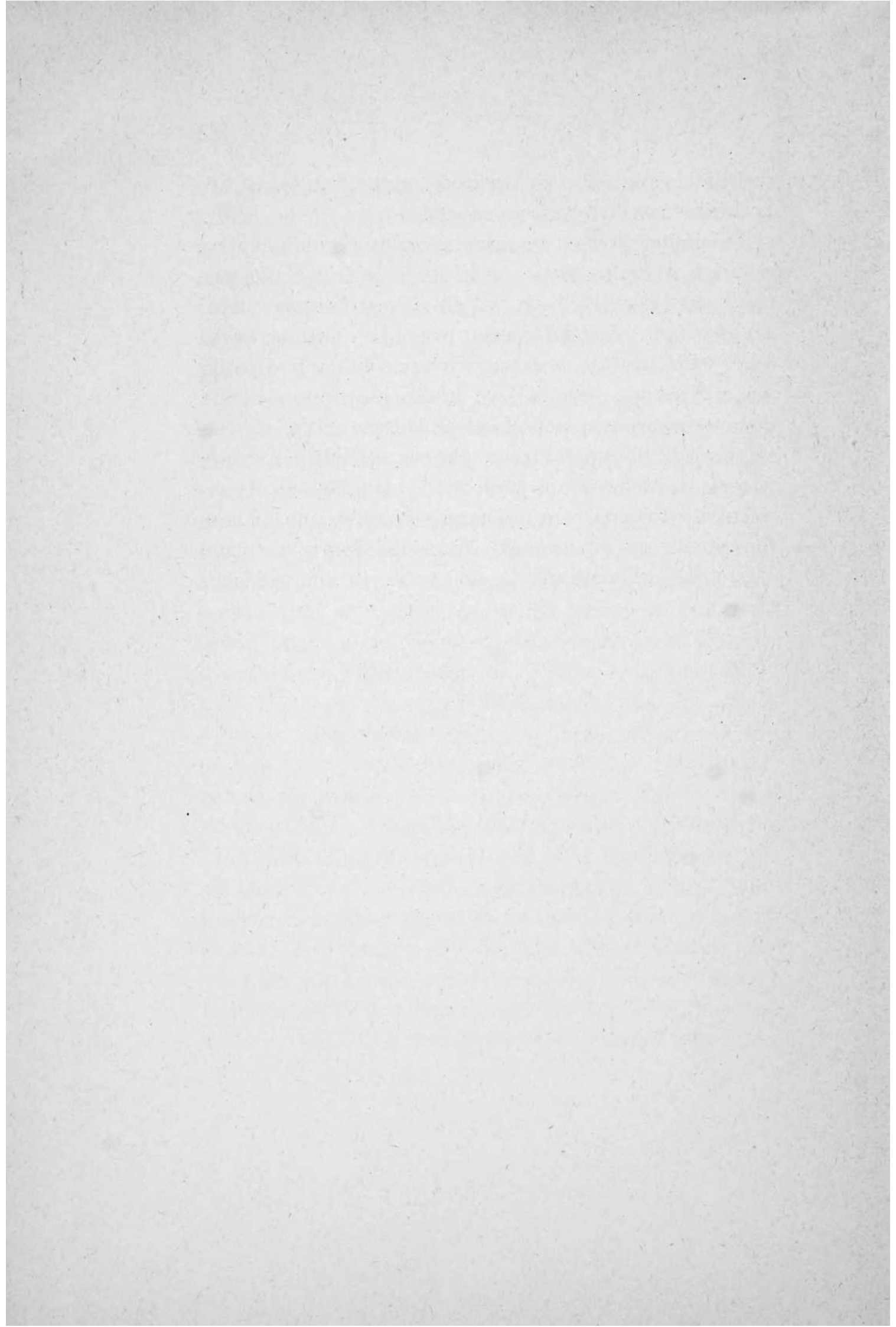
Mogę powiedzieć, że mam za sobą ciężki, ale pełny silnych wrażeń okres życia; przeszedłem przez więcej fizycznych cierpień, niż w całym dotychczasowym, doczesnym swym bycie. Nic to jednak nie szkodzi, bo przykre wspomnienia szybko w pamięci się zatrą, a przyjemne na całe życie żywe pozostaną. Wracam do kraju fizycznie tęższy z mięśniami, powstałymi w miejscach, w których i w najśmielszych marzeniach wykluczałem możliwość ich zawiązania się. Powracam do swoich zwykłych zajęć ze wzmocnioną energią, wzmoczoną siłą do życia i pracy. Długotrwały pobyt w zupełnej prawie samotności i bezpośrednie obcowanie ze wspaniałą, dziewiczą niemal jeszcze przyrodą pogłębiły moją zdolność do rozmyślań nad rzeczami duchowymi i uczyniły mnie obojętniejszym na powodzenie w życiu doczesnym, a odporniejszym wobec pokus światowych. Dlatego szczerze mogę radzić każdemu, który posiada dostateczne siły fizyczne, czas i środki, aby choć raz spróbował wyzwolić się na jakiś czas z więzów nie całkiem zdrowej tegoczesnej kultury i zaspokoić właściwą każdemu człowiekowi chęć do

doświadczenia silnych wrażeń poza granicami tak zwanego cywilizowanego świata.

Niejeden powie, że szkoda czasu i pieniędzy na podróże w dzikie kraje, w których żadnych nie mamy interesów. Byłbym zupełnie tego samego zdania, gdybym wiedział, że my wogóle za granice kraju mało wyjeżdżamy; w rzeczywistości Polacy podróżują wiele, kierując jednak swe kroki prawie wyłącznie do miejscowości zachodniej Europy, gdzie można się bawić. Pobyt taki dla zabawy kosztuje pewnie więcej pieniędzy, niż podróż do krajów egzotycznych, a wrażenia tam doznane są przeważnie marne, ten zaś, który ich szukał, wraca do domu fizycznie osłabiony, zblazowany i do życia raczej zniechęcony.

Koniec.





TREŚĆ

I. Przygotowania do wyprawy	5
II. Podróż	15
III. Polowania w Tienzanie rosyjskim	77
IV. Wyprawa w dolinę Agoyas	141
V. Polowania na podgórzu Tienszańskim	242
VI. Pobyt w dolinie Moyen-tö	305
VII. Droga powrotna	321
